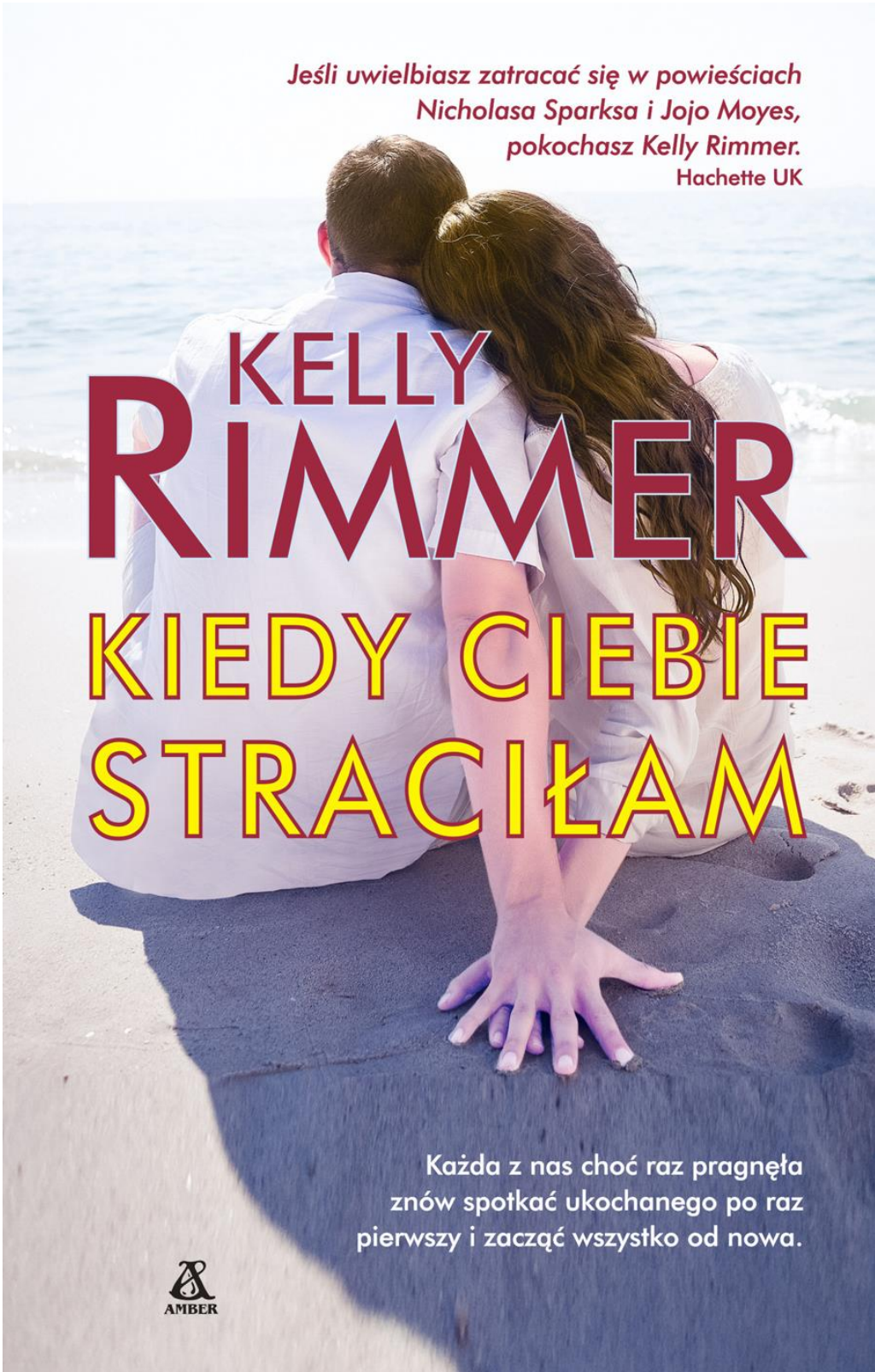


*Jeśli uwielbiasz zatracać się w powieściach
Nicholasa Sparksa i Jojo Moyes,
pokochasz Kelly Rimmer.
Hachette UK*



**KELLY
RIMMER**
**KIEDY CIEBIE
STRACIŁAM**

Każda z nas choć raz pragnęła
znów spotkać ukochanego po raz
pierwszy i zacząć wszystko od nowa.


AMBER

KELLY
RIMMER

KIEDY CIEBIE
STRACIŁAM

Przekład
EWA BRZEZIŃSKA



Dla Catie

Część pierwsza

1. Molly

Lipiec 2015

Zdałam sobie sprawę, że można kochać kogoś całym sercem i jednocześnie równie mocno go nienawidzić. Te emocje jakoś się równoważą, pozostawiając poczucie dręczącej pustki. W ciągu dziesięciu dni, które spędziłam przy szpitalnym łóżku, wpatrzona w mojego męża, bez przerwy zastanawiałam się, jakim cudem tu trafiliśmy. Nie nad tym, jak on tu trafił w tak fatalnym stanie – to akurat było nieuniknione. Nie, zaskakujące w tym wszystkim są moje sprzeczne uczucia do człowieka na pośłaniu. Leo był – jest – miłością mojego życia. Będę go kochała aż do śmierci. I wciąż wydaje się niemożliwe, że go zarazem nienawidzę. A jednak.

Nieprzytomny Leo jest nadal przystojny, mimo mnóstwa opatrunków, pozostałości po wypadku. Błady, nieświadomy, ale nadal wydaje się niebezpieczny... jest niebezpieczny. Leo zawsze traktował swoje ciało i życie jak ofiary składane na ołtarzu pracy. Ciało pod kołdrą i szpitalną piżamą pokrywają blizny – te po ostatniej katastrofie i te starsze, wyblakłe, po niezliczonych wcześniejszych wypadkach.

Mój mąż potrafi pociągnąć innych za sobą – nawet gdy, jak wszystko na to wskazuje, zmierza donikąd. Od jego wypadku ja także dołączyłam do żywych trupów – odchodziłam od jego łóżka tylko wtedy, gdy moje ciało domagało się snu, przeżywałam kolejne dni, jakbym sama była pogrążona w jakiejś dziwnej śpiączce. Oczywiście w przeciwieństwie do Leo byłam zupełnie przytomna, ale wszystkie, poza podstawowymi, funkcje życiowe pozostawały w zawieszeniu.

Przez te koszmarne dni czułam tylko całą gamę emocji. W ciągu kilku ostatnich lat uważałam się za kogoś w rodzaju ekspertki od samotności, ale teraz, po tych wszystkich dniach bez Leo, wiem, że zaznałam zaledwie jej cienia. Od czterech lat, mimo wzlotów i upadków, lepszych i gorszych chwil, Leo był moją podporą. Ostatnio łapałam się na tym, że sięgam po telefon, żeby mu powiedzieć, jak bardzo się boję, jak bardzo jestem zagubiona – ale w tej chwili dociera do mnie, że to całe zagubienie i samotność w moim życiu to jego wina.

Byłam zaskoczona, kiedy lekarze orzekli, że czas wybudzić Leo ze śpiączki farmakologicznej. W ciągu pierwszych kilku godzin podpisałam zgodę na pobranie organów i omówiłam ze specjalistami, do którego momentu heroiczne wysiłki mają jeszcze sens. Ba, zdobyłam się nawet na koszmarne telefon do jego rodziców i

wydawcy w Sydney, żeby porozmawiać o ewentualnym pogrzebie. Nawet kiedy jego stan się ustabilizował, lekarze podkreślali, że powinnam patrzeć na sytuację realistycznie, ilekroć więc mój wrodzony optymizm brał górę, szybko ściągali mnie na ziemię. Szanse na całkowity powrót do zdrowia od samego początku były małe i spadały z każdym dniem. Nawet gdyby się obudził, tłumaczyli, to nieprawdopodobne, że będzie tym samym człowiekiem co dawniej.

A potem zaczęli na próbę odłączać go od respiratora i przez krótkie chwile widziałam, jak oddycha samodzielnie. Nienawidziłam odgłosów tej cholernej maszyny – monotonnego puff, gdy powietrze wypełniało mu płuca, i nieodzownego psss, gdy je opuszczało. Respirator stanowił dwudziestoczerogodzinną ścieżkę dźwiękową czekania i strachu, czasami działał mi na nerwy, budził dziwną niewdzięczność, ilekroć do mnie docierało, że zapewnia mu bezpieczeństwo. Któregoś wieczoru poszłam do hotelu wykąpać się i przespać, a kiedy wróciłam następnego ranka, rurki zniknęły z jego gardła. Kiedy patrzyłam, jak równomiernie oddycha, poczułam przyływ nadziei, której tak rozpaczliwie potrzebowałam. Mimo tego wszystkiego, co się między nami wydarzyło w ciągu dwunastu miesięcy, mimo oceanu rozpaczonych tygodni, nadal nie chciałam wyrzec się nadziei. Chcę, żeby ludzie tacy jak Leo wypełniali świat, mój czy nie mój.

Jest późny ranek jedenastego dnia od mojego przyjazdu do Rzymu. Budzi mnie kasłanie i chrząkanie Leo. Zasnęłam na fotelu przy oknie, skulona na siedzeniu, z głową na podłokietniku.

– Jestem tutaj, Leo! – wołam. Nie wiem, czy może poruszać głową, podchodzę więc do łóżka i pochylam się nad nim. Widzę zmarszczone czoło, szukam jego okularów. Zakładam mu je i natychmiast odczuwam ulgę. Teraz, gdy sińce i opuchlizna ustępują, dziwnie wygląda bez tych swoich okularów w szylkretowych oprawkach, które są jego znakiem rozpoznawczym. Widzę, jak jego źrenice kurczą się i rozszerzają, dostosowując do mocy szkieł, a potem odnajduje mnie wzrokiem. Uśmiecham się, blado, nieśmiało, bo boję się tak bardzo, że nie mogę oddychać. Początkowo Leo w ogóle nie reaguje – i przez chwilę rozczarowanie chwyta mnie za gardło. A jeśli nie będzie już lepiej? Jeśli odzyskał przytomność, ale nigdy się do mnie nie odezwie, nie da do zrozumienia, że wie o mojej obecności?

Zesztywniały mi nogi i biodra. Nie mogę tak bez końca nad nim stać, powoli więc osuwam się na krzesło obok łóżka. Nagle emocje powracają – widzę, jak odwraca głowę w moim kierunku. Patrzy na mnie uważnie i nagle mruży oczy. Wydaje mi się, że widzę w nich coś na kształt oskarżenia. Natychmiast przechodzę do defensywy – czyżby kwestionował moje prawo do przebywania tutaj? Czego się spodziewał? Że zostanę w Sydney i pozwolę, by był tu sam? Kolejny raz nie ma nawet zielonego pojęcia, przez co przez niego przeszłam. Ma niewyobrażalnie grubą skórę.

Ale nie mogę przecież na niego warknąć – na Boga, facet dopiero co wybudził się ze śpiączki. Ledwie ta myśl przechodzi mi przez głowę, Leo znowu opadają powieki.

Lekarze uprzedzali mnie, że to może potrwać i że musimy uzbroić się w cierpliwość – ale od zbyt dawna byłam cierpliwa i teraz już naprawdę pokłady mojej cierpliwości się wyczerpały. Za późno zdaję sobie sprawę, że jestem tak głodna, że moje usta wypełnia gorycz mdłości. Niechętnie wstaję, żeby pójść do szpitalnego bufetu. W progu pokoju zastanawiam się, czego tak naprawdę oczekuję. Odpowiedź czai się na krawędzi świadomości, ale ledwie dopuszczam ją do siebie, odzywa się poczucie winy.

Chcę, żeby Leo jak najszybciej odzyskał przytomność i jakimś cudem był całkowicie zdrowy. A potem chcę wrócić do domu i w końcu zacząć żyć własnym życiem.

2. Leo

Rok 2011

Cześć, Leo!

Mam nadzieję, że ten mail dojdzie do Ciebie. Śledziłam Twoją karierę – gratulacje z powodu Nagrody Pulitzera, to wielki sukces. Mój brat byłby z Ciebie dumny, zawsze mi powtarzał, że coś w życiu osiągniesz.

Jak zapewne wiesz, kilka miesięcy temu minęła dziesiąta rocznica śmierci Declana. Pomyślałam, że kiedy będziesz w Sydney, mógłbyś poświęcić mi parę chwil, żeby porozmawiać o jego ostatnich dniach. Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale gdybyś mógł ze mną porozmawiać.

Zrozumienie pewnych rzeczy trochę lepiej pomoże mi zamknąć ten rozdział w moim życiu. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Odezwij się, jeśli możesz.

Pozdrawiam

Molly

Byłem w szpitalu polowym w Libii, kiedy dostałem od niej tę wiadomość. Minęły trzy tygodnie, odkąd ostatnio sprawdzałem pocztę. Tak wiele maili – jej był tylko jednym z ponad dwustu innych. Nie miałem ochoty ich otwierać. Miałem lewą rękę na temblaku, oberwałem w bark. To podobno szczęście, że tylko tak się skończyło. W każdym razie bolało jak cholera.

Najpierw przeczytałem mail od Molly na ekranie telefonu satelitarnego, ale nie dlatego nie trafił prosto do kosza.

– To jak? – Brad Norse, mój fotograf i kompan we wszystkich niecnych działaniach, siedział na krześle obok. – Wracamy do domu?

– Do domu? – powtórzyłem, a potem westchnąłem głośno. – Brad...

– Kiedy jeden z nas jest ranny, wracamy do domu. Takie są zasady.

– Proszę cię. – Wyłączyłem telefon satelitarny. – Trudno to nawet nazwać raną. Kula nie uszkodziła żadnych ważnych organów.

– Morfina przez ciebie przemawia.

– Nie mają tu morfiny. Myślę, że dali mi paracetamol. – Albo cukierek, bo to, co połknąłem dwie godziny wcześniej, niewiele pomogło na ból w ramieniu. Prawdę mówiąc, ja też chciałem wracać do domu. Lekarz polowy opatrzył mnie, na ile to było możliwe w tych warunkach, ale chciałem się upewnić, że nie skończy się to trwałym kalectwem. No i naprawdę potrzebowałem czegoś mocniejszego na ból. Ale spędziliśmy w Libii tylko kilka tygodni i nie byłem zadowolony z efektów naszego pobytu. A gdybym wrócił do Sydney, żeby odzyskać siły, musiałbym spotkać się z Molly Torrington i odpowiedzieć na jej niewygodne pytania o śmierć

brata.

– Wracamy do domu, Leo – powiedział nagle Brad. Pokręciłem głową, a potem skrzywiłem się, gdy ruch wywołał falę bólu w rannym barku.

– Możemy stąd wycisnąć coś więcej – stwierdziłem, kiedy ponownie odzyskałem oddech.

– Zawsze można wycisnąć więcej. Ja wracam, z tobą czy bez ciebie. Być może ty jesteś ze stali, ale ja nie. Każdy z nas mógł zginąć. Muszę odpocząć.

No więc nie miałem wyboru. Opisując incydent naszej wydawczynie, Kisani Hughes, bagatelizowałem moją ranę, ale Brad zadzwonił do niej później i powiedział, jak sytuacja ma się naprawdę. Kazała nam wracać do Sydney. Opierałem się, ale gdy dotarliśmy do samolotu, miałem już gorączkę i objawy zakażenia. Niechętnie musiałem przyznać, że miała rację.

Nie zgadzałem się jednak na urlop zdrowotny, na który wszyscy mnie namawiali. Kilka tygodni beczynności to moja wizja piekła. Już po paru dniach nudziłem się do szaleństwa. Nie mogłem biegać, chodzić na spacer z psem, jeździć motocyklem. Nie mogłem nawet prowadzić zajęć z karate, jak zwykle w Sydney między zleceniami. Dużo czytałem i jeszcze więcej myślałem, ale czy to chciałem się skupić na powieści, czy na niezdarne zrobionym śniadaniu, moje myśli wciąż kręciły się wokół Molly Torrington.

Zawsze ją lubiłem, ale wiedziałem, że rozmowa o śmierci jej brata będzie dla nas obojga bolesna. Nie mogłem dać jej odpowiedzi, na które liczyła. Gdy chodzi o Declana Torringtona, nic nie jest łatwe.

Nigdy jej dobrze nie poznałem. Latami dryfowałem na peryferiach życia ich rodziny, i to w najlepszym wypadku jako nieproszony gość. Ostatni raz widziałam ją na pogrzebie jej brata, kiedy patrzyła na grób z wydawałoby się obojętną miną.

Dawniej, ilekroć ją widziałam, zawsze śmiała się pogodnie – była radosnym dzieckiem, które każdą sytuację witało promiennym uśmiechem. Declan żartował, że ten jej śmiech wkracza do pokoju przed nią, że anonsuje ją jak lokaj.

Na jego pogrzebie po raz pierwszy widziałem ją smutną. Rozpacz w jej oczach kazała mi się zastanowić, czy głębia bólu może ją zmienić; czy już nigdy nie uśmiechnie się beztrąsko?

Smutek w nieoczekiwanym mailu po tylu latach sugerował, że miałem rację.

Czasem widywałem ją w prasie, a na okładce „Financial Times” rok czy dwa wcześniej, gdy została wiceprezeską Torrington Media. Pamiętam, że zobaczyłem to pismo w kiosku na lotnisku w Dubaju. Zaskoczyła mnie podwójnie – była chyba za młoda, żeby pracować u ojca? Policzyłem lata i ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że zbliżała się do trzydziestki. Wydawało mi się to niemożliwe. Rozchichotana Molly Torrington pewnego dnia poprowadzi światowe imperium medialne? W artykule już widziano w niej nieuniknioną następczynię ojca.

Molly robiła to, czego Declan nie potrafił: wytyczała własną drogę od

dzieciństwa do dorosłości w przytłaczającym cieniu Laitha Torringtona. Sądząc po zdjęciu na okładce gazety, beztroška dziewczynka, którą niegdyś znałem, odeszła bez śladu. Ścięła karmelowe włosy, noszone dawniej długie aż do pasa. Teraz ich miejsce zajęła surowa krótka blond fryzurka. Na zdjęciu uśmiechnęła się, ale jej uśmiech zatrzymał się na ustach. Niebieskie oczy były twarde, wzrok ostry, jakby rzucała fotografowi wyzwanie – odważysz się ze mną zadrzeć?

Gdybym nie widywał w prasie jej innych fotografii, w życiu bym jej poznał – z rozchichotanej nastolatki wyrosła dorosła pirania korporacji.

Zastanawiałem się, ile z tej transformacji było wynikiem utraty brata. Nigdy nie byłem fanem ukrywania szkieletów w szafie – to wbrew mojej naturze i wykształceniu, zostawmy więc szkielety w spokoju – ale też nie chciałem stosować tej filozofii do spraw osobistych. Pewne sprawy powinny zdecydowanie zniknąć w przeszłości, wiedziałem jednak, że nie mogę za nią o tym decydować i dlatego odnalazłem wiadomość od niej w koszu i przeczytałem jeszcze raz. Kiedy dzwoniłem, usiłowałem nie zwracać uwagi na ucisk strachu w żołądku. To nie będzie przyjemna rozmowa, ale byłem pewien, że postępuję słusznie.

– Molly Torrington – odezwała się nagle.

– Cześć, Molly. Tu Leo. – Kiedy nie odpowiedziała, wyjaśniłem ostrożnie: – Leo Stephens.

– Wiem, przepraszam... Po prostu... Nie sądziłam, że się odezwiesz – odparła. Zerknąłem na mail i zobaczyłem, że wysłała go miesiąc temu.

– Przepraszam, że tak długo – powiedziałem. – Byłem za granicą i zostałem ranny.

– Ale wszystko w porządku?

– Och, tak. To nic takiego.

– To dobrze... – Przerwała trochę niezręcznie. – Boże, Leo, przykro mi to słyszeć.

Bębniłem palcami o stół, dając ujście dziwnej energii, która mnie przepełniała. Ta rozmowa była sztuczna, cały czas tylko odwlekałem nieuniknione.

– Chcesz porozmawiać o Declanie?

– Tak, bardzo. Możemy się spotkać?

– Spotkać się? – Tego się nie spodziewałem, ale ledwie to powiedziała, wiedziałem, że to było do przewidzenia. – Cóż, ja...

– Proszę – powiedziała cicho. Przystałem bębnić palcami o stół. – Nie zajmę ci wiele czasu, obiecuję.

– W porządku.

– Kiedy?

– Jestem na zwolnieniu lekarskim. Mogę się spotkać, kiedy chcesz.

– Teraz?

– Teraz? Ale...

– Później?

– Nie, teraz może być. – Westchnąłem, a potem ostrzegłem: – Nie wiem, czego się spodziewasz, Molly.

– Ty go znalazłeś, prawda?

Poczułem, jak coś ściska mnie za serce. Wciąż go widziałem oczami wyobraźni. Declan, leżący bezwładnie na brudnym, nędznym chodniku w komórce w piwnicy bloku, w którym mieszkał mój kuzyn.

– Tak.

– W takim razie... – zaczęła.

Czekałem, aż dokończy tę myśl, a kiedy stało się jasne, że tego nie zrobi, uległem:

– Dobra, gdzie chcesz się spotkać?

Declan i ja poznaliśmy się podczas pierwszych tygodni studiów na uniwersytecie w Sydney, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Połączył nas najprawdopodobniej okrutny żart profesora, który wyznaczył nas na partnerów podczas zajęć. Bo co mogło łączyć chłopaka z mieszkania socjalnego z synem miliardera, który wychował się w rezydencji obok Sydney Harbour?

W tamtych czasach byłem szorstki, nieciosany, i dobrze o tym wiedziałem. Siedziałem obok Declana i bałem się tak bardzo, że nie mogłem z nim nawet rozmawiać. Na szczęście wkrótce zdałem sobie sprawę, że nie jestem jedynym, który traci grunt pod nogami; Declan sprawiał wrażenie pewnego siebie, był świetnie ubrany i wygadany. Jednak pozory nie trwały długo – dokładnie do pierwszego kolokwium. Stało się jasne, że on potrzebuje mnie o wiele bardziej niż ja jego. Zaprzyjaźniliśmy się szybko i mocno, jak to potrafią tylko nastolatki. Obaj dotkliwie odczuwaliśmy niesprawiedliwość naszej sytuacji. Ja, jako jedyny Aborygen w morzu białych, czułem, że jestem intruzem, a wdarłem się na studia dzięki specjalnym programom pomocowym i umiejętności pisania dobrych wypracowań.

Ale Declan, niezmiernie bogaty biały chłopak, też nie czuł się dobrze na uniwersytecie – w szkole średniej nie zdał egzaminów końcowych. Gdyby nie pieniądze ojca, w ogóle nie dostałby się na studia, nie mówiąc już o tak prestiżowym kierunku na uniwersytecie w Sydney.

Właściwie powinienem go znienawidzić za te wszystkie przywileje i przez kilka dni rzeczywiście tak było. Lecz Declan miał jedną cudowną cechę – nie widział pieniędzy lub ich braku, koloru skóry, rasy, nie dostrzegał tych wszystkich kategorii, poprzez które większość ludzi filtruje świat. Od samego początku byłem dla niego po prostu przyjacielem; nawet przez myśl mu nie przeszło, że z jakiegoś powodu nie powinienem nim być. Kiedy wreszcie niechętnie zaprosiłem go do domu, wszedł do małego, wilgotnego mieszkania, w którym mieszkałem z bezrobotną matką, rozejrzał się i stwierdził autentycznie zdezorientowany i

zszokowany:

– Jezu, Leo, ty jesteś biedny?

– Tak.

– Nie wiedziałem – powiedział, wzruszając ramionami i otworzył lodówkę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Declan był jedyny w swoim rodzaju – był jednym z dobrych facetów.

Zaledwie godzinę po naszej rozmowie telefonicznej czekałem na Molly w kawiarni w hotelu The Rock. Ucisk strachu w żołądku nie ustępował. Nie da się zaprzeczyć, że rodzina Torringtonów wstydziła się śmierci Declana – dowiedli tego, fabrykując na potrzeby mediów jej przyczyny. Zastanawiałem się, czy to, co powiem, przyniesie Molly ulgę.

– Przepraszam za spóźnienie... – Nie zauważyłem, kiedy podeszła, ale teraz stała tuż obok mnie. Dźwignąłem się na nogi. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a potem objęła mnie serdecznie. Nigdy dotąd się nie dotykaliśmy, nawet na pogrzebie. Jej ojciec dopilnował, żebym trzymał się od nich z daleka. Odwzajemniłem uścisk, odsuwając ranny bark.

Była o wiele wyższa, niż zapamiętałem – prawie tak wysoka jak ja. Tak jak się spodziewałem, otaczała ją aura bogactwa i pewności siebie. Miała mocny makijaż – moim zdaniem zbyt mocny – i pachniała bardzo ciężkimi perfumami.

Usiadła naprzeciwko mnie. Nerwowo bawiła się paskiem sukienki, a potem przyglądała dłonią grzywkę. Platynowoblond włosy były krótsze niż moje. Miękkości dodawała jej jedynie grzywka, opadająca na czoło i policzek.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała.

– Jak mówiłem, mam nadzieję, że nie oczekujesz wyrafinowanych odpowiedzi. Mogę ci powiedzieć tylko to, co wiem.

– Zamówimy kawę?

Kelner potykał się o własne nogi, gdy rzucił się, by nas obsłużyć. Zapomniałem już, jak to jest pokazać się publicznie z którymś z Torringtonów. Co prawda Molly i Declan nigdy nie brylowali na łamach brukowców, ale za sprawą ojca byli powszechnie znani.

Kiedy dawniej zaglądaliśmy z Declanem do knajp w pobliżu uniwersytetu, zawsze dostawaliśmy drinki za darmo. Dla mnie był to jedyny sposób, żeby pozwolić sobie na drinki, ale Declan tylko się śmiał – już jako nastolatek miał dostęp do praktycznie nieograniczonego funduszu powierniczego.

Zamówiliśmy kawę i nastąpiła niezręczna cisza, gdy jedno czekało, aż drugie zacznie. Zacznie rozmowę, której wcale nie chciałem.

– Więc co chciałyś wiedzieć?

– Wiem, że to dziwne – przyznała. – Od dawna myślałam, żeby się z tobą skontaktować, ale śmierć Declana była takim szokiem, że... No i było mi wstyd, bo widziałam, jak ojciec traktował cię na pogrzebie. Nie wiem, co powiedzieć i jak

przeprosić.

– Nie ty powinnaś przepraszać, ani wtedy, ani teraz – zauważyłem.

Westchnęła ciężko.

– A jednak przepraszam. Zasłużyłeś, by tamtego dnia być z nami. Nikt nie znał Declana tak jak ty.

– Twój brat był wyjątkowym facetem – powiedziałem cicho. Nadal często myślałem o Declanie, ale nie mówiłem o nim od lat. Czułem się dziwnie, nienaturalnie.

– Tata miał atak serca w zeszłym roku – powiedziała nagle Molly.

Zmarszczyłem brwi.

– Przykro mi to słyszeć. – Zaskoczyło mnie, że o tym nie słyszałem, w końcu jej ojciec to potentat w mojej branży.

– Oczywiście trzymaliśmy to w tajemnicy, tata nie chciał, żeby akcjonariusze się dowiedzieli. – Westchnęła znużona, potarła czoło, a potem spojrzała prosto na mnie. – Rzecz w tym, że tata miał zawał, a Declan prawdopodobnie zmarł z powodu niewykrytej wady serca. Można by więc pomyśleć, że zważywszy na chorobę Declana, tata powinien sprawdzić, czy to nie jest obciążenie genetyczne, prawda?

Spojrzała na mnie, czekając na odpowiedź, otworzyłem więc usta, żeby coś powiedzieć, ale nie padło z nich żadne słowo. Molly wydawała się dziwnie zadowolona z szoku, którego nie mogłem ukryć. Skrzyżowała ręce na piersi, spojrzała na mnie i mówiła cicho:

– Ilekroć poruszałam ten temat lub choćby tylko wymieniałam imię Declana, ojciec wrzeszczał, a matka szlochała. Coś mi tu nie gra. Ze wstydem przyznaję, że latami łatwiej było udawać, że niczego nie widzę. Leo, czy Declan popełnił samobójstwo?

Zadała to brutalne pytanie bez chwili wahania, ale kiedy spojrzałem na nią, zobaczyłem, że trzyma się ostatkiem sił. Czekwała na moją odpowiedź.

– Nie! Boże, nie!

Molly odprężyła się, ale tylko odrobinę.

– No dobrze. Ale to oczywiście nie była wada serca. Więc czego nie wiem?

– Po prostu... – Westchnąłem ciężko i wbiłem wzrok w stół. – Daj mi chwilę, dobrze? – Przez moment wydawało się, że uratuje mnie kelner z kawą, ale wkrótce przekonałem się, że nie mogę bez końca gapić się w moją latte i gorączkowo kombinować, co jej powiedzieć.

Wiedziałem, że Laith i Danielle Torringtonowie kłamali – i nawet prawie rozumiałem dlaczego. Wiedziałem również, że Molly nie miała pojęcia o jego problemie, kiedy żył. Prosił nas wszystkich, abyśmy trzymali to przed nią w tajemnicy, i to też mogłem zrozumieć. Był przerażony, co sobie o nim pomyśli.

Natomiast nigdy nie przyszło mi do głowy, że kłamstwa wymyślone po to,

by ją chronić, nie znikną po jego śmierci. Gardziłem Laithem Torringtonem i wszystkim, co sobą reprezentował.

– Leo? – zaczęła łagodnie. Myślała, że nadal cierpię po stracie przyjaciela. To nieprawda, już nie. Minęło dziesięć lat, widziałem wiele innych okropności. Moje wahanie wynikało z czego innego – spodziewałem się smutku, a wszedłem na istne pole minowe. Zazwyczaj nie słodzę, ale sięgnąłem po cukier, żeby się czymś zająć.

Molly odwróciła się powoli.

– Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć – przyznałem.

– Ale wiesz coś, czego nie wiem? Wiedziałaś, że jest chory?

Ponownie skinąłem głową. Patrzyłem w kawę, gdziekolwiek, byle nie w te błagalne niebieskie oczy.

– Tak. – Tym razem to krótkie słowo zawierało prawdę. Tak, wiedziałem, że jest chory – był chory, w szponach potwornego uzależnienia, które opierało się terapii. Spodziewałem się, że zapyta mnie o jego drogę ku śmierci, do narkotyków i już to samo byłoby wystarczająco trudne. Ale tej sytuacji się nie spodziewałem. Odchrząknąłem.

– Musisz zapytać o to Laitha i Danielle.

– Nie mogę. Staralam się, ba, naciskałam ich tak mocno, jak mogłam. Nie chcą lub nie mogą o tym mówić. W ogóle o nim nie rozmawiają.

Gniew ustąpił zmieszaniu. Odsunąłem kawę od siebie, na środek stołu, i wstałem.

– Przepraszam, że nie mogę ci pomóc, ale to są rzeczy, o których musisz porozmawiać z rodzicami, a nie ze mną. – Wyjąłem portfel z kieszeni. Po kilku niezręcznych ruchach rzuciłem banknot na stół – wystarczył na obie kawy. Potem odważyłem się spojrzeć na twarz Molly po raz ostatni. Zmrużone oczy, zaciśnięte usta – Molly Torrington była wkurzona. Nie pierwszy raz zostawiam kogoś z Torringtonów w tym stanie, ale nie czułem wyrzutów sumienia.

Molly też wstała. Patrzyła na mnie uważnie.

– Leo – powiedziała spokojnie, ale z determinacją w głosie. – Zasługuję na to, a nikt inny mi nie powie, poza tobą.

Przypomniała mi się ostatnia kłótnia z Laithem w szpitalu. Ciało Declana stygło na łóżku. Danielle szlochała przy zwłokach syna. Przypomniał mi się oddech Laitha na twarzy, kropelki śliny na skórze, gdy tracił kontrolę nad emocjami. Przypomniałem sobie walkę, którą toczyłem sam ze sobą, żeby oprzeć się pokusie nakrzyczenia na niego. Pokonałbym go. Jednym uderzeniem czy kopnięciem zamknąłbym mu usta, powstrzymał okrutne słowa, które miały mnie zniszczyć, a budziły surowe, prymitywne uczucia.

– Ty brudny śmieciu! Ty mu to zrobiłeś! Nie miałby pojęcia, skąd wziąć to gówno, gdyby nie ty i twoja przeklęta rodzina!

Ale to już nie mój problem. Nie moje miejsce, żeby jej powiedzieć. Prawda jej nie pomoże. Kusiło mnie, żeby po prostu wyjść i zostawić ją samą. A potem spojrzałem na Molly i zobaczyłem rozpacz w jej oczach. Westchnąłem.

– To nie jest rozmowa na kawiarnię.

Molly skrzywiła się, ale tylko na chwilę. Zaraz skinęła na kelnera.

– Możemy dostać te kawy na wynos?

3. Molly

Lipiec 2015

Kolejny raz Leo odzyskuje przytomność po obiedzie i tym razem od momentu, w którym otwiera oczy, wiadomo, że jest o wiele bardziej świadomy. Unoszę okulary do jego twarzy. Wyciąga ręce. Nasz dotyk wydaje się dziwnie obcy. Zdaję sobie sprawę, że chce je założyć sam, bez pomocy, i uśmiecham się w duchu: uparty niezależny mężczyzna, ten, którego poznałam i pokochałam.

– Cześć, Leo – mówię cicho.

– Dzień dobry – odpowiada. Zaskakuje mnie tym nieoczekiwanie formalnym powitaniem. Przesuwa dłońmi po twarzy. Unosi powieki i szepcze ochryple: – Boli gardło. Woda?

– Nie wiem – odpowiadam histerycznie, wciskam guzik wzywający pielęgniarkę i od razu słyszę kroki. Zjawia się Alda – jedna z młodszych pielęgniarek, bardzo kiepsko mówi po angielsku. Ciemne brwi unoszą się. Alda uśmiecha się i klaszcze w dłonie.

– Obudził się.

W ciągu tych dwóch tygodni w Rzymie nauczyłam się, co prawda, tylko podstawowych włoskich słów, ale za to stałam się mistrzynią świata w rozumieniu angielszczyzny z najdziwniejszym obcym akcentem. Nagle dociera do mnie, jakie to cudowne, jakie wspaniałe, i czuję, że po policzku spływają mi łzy. Ocieram je wierzchem dłoni, ale mogłam to sobie darować. Leo nie ma pojęcia o własnych uczuciach, ale nigdy nie miał problemu, widząc łzy innych. Większość dorosłego życia spędził jako korespondent wojenny w zapalnych punktach globu i chyba przywykł do widoku cierpienia.

– Mogę prosić o wodę? – pyta.

Alda entuzjastycznie kiwa głową.

– Zaraz zapytam. Bardzo, bardzo dobrze – mówi i znika za drzwiami.

– Gdzie jestem? – Leo podnosi na mnie wzrok.

– W Rzymie.

– Nie – zaprzecza bez namysłu. – W Libii.

– Nie, byłeś w Syrii, sprowadzono cię tutaj po wypadku samochodowym, nie pamiętasz?

– Nie, nic. – Kręci głową, ale ten ruch najwyraźniej powoduje ból, bo krzywi się i unosi ręce do czaszki. Zerkam na zegarek i zdaję sobie sprawę, że powinienem zażyć lekarstwo.

– To była bardzo poważna rana, nic dziwnego, że nie wszystko pamiętasz –

mruczę pod nosem, ale jednocześnie sięgam po telefon i szybko piszę grupową wiadomość do naszych przyjaciół i rodziny w domu, w Australii:

„Odzyskał świadomość i mówi, jest zagubiony, ale przytomny i mówi”.

Wysyłam wiadomość i czuję, jak ogarnia mnie poczucie triumfu. Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, po prostu wiedziałam. Leo należał do tych, którzy śmieją się w twarz, widząc, czego inni od nich oczekują.

– Nie jestem zagubiony, czuję się świetnie, tylko boli mnie głowa – mówi i patrzy na mnie, marszcząc brwi. Delikatnie porusza prawym barkiem, owszem, był tam kiedyś ranny, ale to było cztery lata temu. Dziwi mnie, że akurat teraz ta stara rana daje mu się we znaki. – Byłem w Libii, wiem to na pewno.

– W tej chwili to i tak bez znaczenia – mówię najłagodniej, jak potrafię. W Sydney jest już bardzo późno, ale na moim telefonie pojawiają się wiadomości – wszyscy reagują na dobre wieści.

Leo nagle wzdycha gwałtownie. Jego arogancja sprawia, że moja radość odrobinę gaśnie.

Właściwie nie powinno mnie dziwić, że ocknął się ze śpiączki mimo poważnej rany głowy i nadal zakłada, że wie lepiej ode mnie, jak doszło do obrażeń. Jedną z rzeczy, które mnie w nim pociągały na początku, to między innymi to, że doskonale zna samego siebie. Zresztą właśnie ta cecha omal nie doprowadziła mnie do szaleństwa podczas naszego małżeństwa.

– A właściwie dlaczego tu jesteś? – pyta.

Nie panuję już nad sobą, łypię na niego groźnie.

– Naprawdę, Leo? – Krzywi się i kręci głową, usta wykrzywia mu grymas, bo ból znowu daje się we znaki.

Staram się opanować rozczarowanie. Właściwie to logiczne pytanie, ale czy nie mógł dorzucić przynajmniej: „Dziękuję”?

– Nie chciałem... – chrząka. – Przepraszam.

– Nie mogłabym w takiej sytuacji zostawić cię samego – mówię po chwili. – Jeśli chcesz, mogę wyjść.

– Mieszkasz tu teraz?

– Co masz na myśli? – Wrzucam telefon do torebki i pochylam się nad nim. – Oczywiście, że nie mieszkam w Rzymie, nadal mieszkam w Sydney.

– Cóż. – Leo znowu chrząka. Znam jego zmieszanie, rozpoznaję je po tym, jak unika mojego wzroku, wbija wzrok w sufit, a potem patrzy na mnie i zaczyna ostrożnie: – To znaczy, oczywiście dziękuję ci, ale...

– Nie mogła przyjechać – mówię cicho. Jego matka śmiertelnie boi się latać i nawet kiedy wszystko wskazywało na to, że Leo nie przeżyje, nie udało mi się jej przekonać, żeby wsiadła do samolotu. Nie chcę mu tego mówić, sprawiłoby mu to przykrość, kłamię więc, jeśli chodzi o powody jej nieobecności: – Bardzo chciała tu być, ale Teresa jej potrzebowała, przechodzi ciężkie chwile z chłopcami, a nie

byliśmy pewni, jak długo zostaniesz w szpitalu. Angel... Cóż, sam wiesz, ile ma pracy w centrum i pełne ręce roboty z Tobiaszem podczas mojej nieobecności, nie mogliśmy oboje zniknąć na Bóg jeden wie jak długo...

Paplam dalej i widzę, że ma szeroko otwarte oczy i patrzy na mnie z taką miną, jakby nie wierzył w to, co słyszy. Szybko analizuję wszystko, co powiedziałam, i teraz ja nie bardzo wiem, co myśleć. Oczywiście zapewne mu przykro, że jestem jedyna przy jego szpitalnym łóżku, ale nie powinno go to dziwić, jego rodzina to wspaniali ludzie, ale żadne z nich nie może rzucić wszystkiego, żeby znaleźć się u jego boku.

– Wszystko w porządku? – Wyciągam rękę, żeby dotknąć jego dłoni. Odsuwa się błyskawicznie. Zdaję sobie sprawę, że to zrozumiała reakcja, ale i tak robi mi się przykro. Prostuję się i odwracam wzrok. Mam nadzieję, że nie widzi, jak bardzo mnie rani.

– Możesz wezwać pielęgniarkę? – prosi sztywno. Obawiam się, że coś jest nie tak. Wyciągam rękę i z całej siły wciskam guzik.

– O co chodzi? Leo, powiesz mi, co jest nie tak?

Patrzy na drzwi i oddycha z wyraźną ulgą, kiedy staje w nich pielęgniarz. Ja też, dlatego, że Edmondo bardzo dobrze mówi po angielsku. Ma ze sobą leki przeciwbólowe i dużą szklankę wody.

– Przepraszam, że tak późno, panie Stephens. Musiałem zapytać lekarza, czy możemy podawać panu płyny doustnie. Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję. – Leo patrzy na mnie i chrząka. – Mogę porozmawiać z nim w cztery oczy?

Wiem, że to logiczne i sensowne i że Leo ma prawo do prywatności, ale to nie pomaga, cały czas jest mi przykro. A do tego teraz jeszcze jestem wkurzona. Siedziałam przy nim przez prawie dwa tygodnie, a ledwie odzyskał przytomność, każe mi wyjść. Co za drań.

– Dobrze. – Wstaję, ale przed wyjściem posyłam mu mordercze spojrzenie, na wypadek gdyby umknął mu mój oschły ton. Przy drzwiach Edmondo patrzy na mnie ciekawie. Zastanawiam się, co sobie o tym wszystkim pomyśli i jak bardzo dziwne mu się to wydaje.

Wstyd mi, że nasze prywatne sprawy staną się tajemnicą poliszynela, w każdym razie tutaj, w szpitalu. Leo powiedziałby, że to bez znaczenia, że przejmuję się tym tylko z wrodzonej potrzeby aprobaty. Co do tego pewnie ma rację. Wstyd mi na samą myśl o tym, co sobie o mnie pomyśli personel szpitala, i to jeszcze zanim pozna prawdę na nasz temat.

Wychodzę z pokoju, ale trzymam się w pobliżu drzwi – chcę słyszeć, o czym będą rozmawiać. Leo może sobie myśleć, że chce prywatności, ale odniósł poważną ranę głowy i czy mu to się podoba, czy nie, nadal jestem jego żoną i jego jedynym wsparciem tutaj, w Rzymie, i póki nie będę pewna, że nic mu nie jest,

nigdzie się stąd nie ruszę.

– Jak się pan czuje, panie Stephens? – słyszę. Odwracam się. Łóżko Leo jest podnoszone.

– Dobrze. – Chwila ciszy. Słyszę, jak Leo głośno pije wodę. – Od dawna tu jestem?

– Od prawie od dwóch tygodni – odpowiada Edmondo. Przerywa stukanie w klawisze, uzupełnia dane w karcie choroby.

– Odniosłem rany głowy?

– Miał pan pęknięcie czaszki.

– A dlaczego boli mnie gardło?

– Po intubacji, ale zaraz poczuje się pan lepiej.

– Trudno mi się mówi.

– Odniosł pan bardzo poważne obrażenia, panie Stephens, to cud, że w ogóle jest pan w stanie mówić.

– Molly... Czy Molly jest tu od dawna? – Zagryzam usta, słysząc chłód w jego głosie. Jak do tego doszło? Przeleciałam pół świata, żeby być przy nim. Chyba zasłużyłam na odrobinę ciepła?

– Od samego początku. Przyleciała dzień po tym, jak pana przywieziono.

– A wie pan może dlaczego?

– Dlaczego co, panie Stephens?

– Dlaczego tu jest? – Z jego słów bije zniecierpliwienie. Ściągam brwi, pochylam się bliżej drzwi. Zastanawiam się, czy może źle go zrozumiałam. Na pewno rozumie, dlaczego tu jestem, a przynajmniej dlaczego przyjechałam. Mimo wszystko wiem, że zrobiłby to samo dla mnie.

– Wie pan, kim ona jest? – pyta Edmondo.

– Oczywiście, że wiem. To Molly Torrington – odpowiada Leo. Zauważam, że pominął swoje nazwisko. Czerwienię się. Biedny Edmondo, mogłam go przynajmniej uprzedzić. – Wiem, kim ona jest, ale nie bardzo wiem, czemu tu jest.

– Jak pan się nazywa, panie Stephens?

– Wiem, jak się nazywam.

– Domyślam się, ale proszę mi powiedzieć, bardzo proszę.

– Leonardo David Stephens.

– Kiedy się pan urodził?

– Dziesiątego marca 1975 roku.

– Jaki mamy dziś dzień?

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Półtora tygodnia.

– Aha – odpowiada z absolutną pewnością w głosie. – Luty.

Mało brakowało, a zwątpiłabym w to, co wiem, gdy słyszę jego odpowiedź. Jestem wyczerpana, być może rzeczywiście straciłam poczucie czasu, ale jedno

wiem na pewno – to nie jest luty.

– Którego roku?

Dłuższa chwila ciszy. Im bardziej się przeciąga, tym bardziej się denerwuję. Edmondo ponagla go delikatnie.

– Bardzo proszę, panie Stephens. Proszę odpowiedzieć. Takie są procedury po urazach głowy. Kiedy ktoś odzyskuje przytomność, musimy zadawać takie pytania.

– Dwa tysiące jedenastego – odpowiada Leo ze zniecierpliwieniem. Czekam, aż Edmondo go poprawi, ale słyszę tylko stukanie w klawiaturę, a potem cichy pisk, kiedy klawiatura wraca na swoje miejsce przy komputerze.

– Może pan teraz odpocznie – mówi Edmondo. – Niedługo przyjdzie lekarz.

– Ja po prostu nie rozumiem, co ona tu robi – odpowiada Leo. – Właściwie w ogóle jej nie znam, a ona tyle mówiła o mojej rodzinie. Coś jest nie tak.

– Poproszę ją, żeby poczekała na zewnątrz, póki nie ustalimy, co się dzieje.

Serce wali mi jak szalone, kiedy słyszę, jak Edmondo podchodzi do drzwi. Zanim dołączy do mnie na korytarzu, dygocę na całym ciele.

– Podśluchiwała pani – gani mnie, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Co to było, co on mówi?

– Odniósł poważne rany, jest zagubiony. To normalne.

– Normalne? – powtarzam z niedowierzaniem.

– Cóż, może nie do końca normalne – przyznaje Edmondo. – Ale to nic wyjątkowego. Lekarz zbada go dokładnie.

Spokój Edmondo działa mi na nerwy. Nie mogę stać spokojnie, czuję napięcie od czubka głowy po palce u stóp.

– Kiedy?

– Jest tu dzisiaj Craig Walker. Poproszę go, żeby jak najszybciej przeprowadził badanie kognitywne. Ale Leo jest zagubiony. Najlepiej, żeby pani poczekała tutaj, na zewnątrz, póki wszystko się nie wyjaśni.

Craig Walker, Amerykanin, specjalista traumatolog, odkąd się tu zjawiłam, był dla mnie istnym darem bożym. Często zaglądał do Leo, czasami nawet wpadał tylko po to, żeby wytłumaczyć mi, co się dzieje.

Przechadzam się nerwowo szpitalnym korytarzem i czekam. Kiedy do mnie podchodzi, witam go jak dawno niewidzianego krewniaka.

– Edmondo ci powiedział?

– Oczywiście – odpowiada i pokazuje mi listę pytań w segregatorze. – Przeprowadzę badanie kognitywne, a ty pójdziesz na spacer albo coś zjeść i odetchnąć świeżym powietrzem. To trochę potrwa.

Craig wychodzi z pokoju Leo po ponad godzinie.

Nie poszłam ani się przejść, ani coś zjeść. Siedzę na ławce w korytarzu i zamartwiam się. Kiedy Craig zamyka za sobą drzwi, ma ponurą minę. Siada koło

mnie i pyta delikatnie:

– Jak się trzymasz, Molly?

– Dobrze, oczywiście, że dobrze. Co z nim? Wyzdrowieje?

– Cóż, jest tak, jak można się było spodziewać. Nie wszystkie organy działają tak, jak powinny. Po pierwsze, są pewne kwestie motoryczne, jeśli chodzi o dolną część ciała, ale nie przejmowałbym się tym zanadto, jeszcze na to za wcześnie.

– Nie może chodzić?

– Do chodzenia jeszcze daleka droga – tłumaczy Craig. – Przeprowadziłem podstawowe testy, ale trochę potrwa, zanim ustalimy dokładnie, co się właściwie dzieje. Leo ma wprawdzie czucie w nogach, ale zaburzenia w kontroli mięśni. Mówiąc krótko, ma ograniczoną możliwość ruchu. Nie chciałbym cię martwić, póki nie ustalimy czegoś więcej. Zauważyłem mnóstwo dobrych sygnałów, na przykład to, że wszystkie inne funkcje fizyczne działają bez zarzutu. Przy odpowiedniej rehabilitacji jest spora szansa, że uda nam się go z tego wyprowadzić.

– Czy to oznacza, że Leo wyląduje na wózku inwalidzkim?

– Chwilowo tak.

Myślę nad tym intensywnie, a potem kręcę głową, jakbym w imieniu Leo odrzucała taką wizję, jakbym chciała powiedzieć: nie, dziękuję, ale on nie lubi jajecznicy, albo: nie, dziękuję, nie będzie czytał brukowców; czy możemy zamiast tego poprosić porządną normalną gazetę? A teraz to: nie, dziękuję, nie poradzi sobie z życiem na wózku; czy zamiast tego moglibyście go po prostu wyleczyć? Leo to korespondent zagraniczny, który specjalizuje się w pracy w zapalnych punktach naszego globu. Nie może tego robić z wózka inwalidzkiego. To fanatyk fitnessu, instruktor karate. W naszym trzypiętrowym domu jego ukochany gabinet znajduje się na strychu, sypialnia na drugim piętrze. Jak może tam mieszkać, skoro wyląduje na wózku inwalidzkim? Nic się nie uda, nie poradzi sobie z tym. Nie ma żadnej magicznej sztuczki, która sprawi, że ta wiadomość okaże się znośna dla Leo.

– Przyzwyczaj się, Molly – mówi Craig cicho. – Podobnie jak ty. Jak powiedziałem, jest naprawdę duża szansa, że przy odpowiedniej rehabilitacji i ciężkiej pracy uda mu się to pokonać, proszę więc, nie panikuj. Jeszcze nie teraz.

– Gdyby to chodziło o mnie, mogłabym żyć pełnią życia, ale on sobie z tym nie poradzi.

– Oboje sobie z tym poradzicie. Zawsze możecie liczyć na wsparcie.

Zakrywam oczy dłońmi i wzdycham, i wtedy przypominam sobie, że to przecież nie wszystko. Zerkam na lekarza.

– A dlaczego mu się wydaje, że jest rok 2011?

– Cóż, nazywamy to częściową amnezją wsteczną. Leo był ranny podczas

zamieszek w Libii?

– Tak, w bark.

– To ostatnia rzecz, którą pamięta, ma wrażenie, że to miało miejsce dzisiaj i że dopiero co odzyskał przytomność – odpowiada Craig. – Wtedy jeszcze go nie znałaś?

Znałam go o wiele dawniej jako mała dziewczynka, ale nie mam siły mu wszystkiego tłumaczyć, więc tylko kiwam głową.

– Spotkaliśmy się tuż po tym, jak został postrzelony. – Usiłuję sobie wyobrazić, co zapamiętał z tamtych czasów, i nagle uświadamiam sobie, że chyba scenę na pogrzebie Declana. Nic dziwnego, że zdziwił się na mój widok. – Powiedziałeś mu?

– Tak.

– I jak zareagował?

Craig uśmiecha się smutno

– Nie uwierzył. Wyszukałem w Google zdjęcia, które paparazzi zrobili wam razem. Stwierdził, że musi sobie to wszystko przemyśleć. Moim zdaniem uważa, że robimy mu głupi kawał.

Wzdycham i masuję czoło palcami.

– Boże drogi, czy to wszystko może być jeszcze bardziej skomplikowane? Czyli że jestem dla niego obcą osobą?

– Bez paniki, proszę – mówi Craig cicho i nagle myślę sobie, że powinnam zapisywać każdy raz, gdy słyszałam te słowa z jego ust, odkąd się poznaliśmy. Podejrzewam, że liczba dochodzi już do setki. – Leo jest na liście oczekujących na badanie neurologiczne w ciągu najbliższych dni, ale postaram się to przyspieszyć. W każdym razie taka amnezja rzadko kiedy zostaje na stałe. Miejmy nadzieję, że odzyska pamięć, a tymczasem musimy zadbać, żeby był spokojny, i skupić się na jego powrocie do zdrowia.

– Co mam mu powiedzieć?

– Jeszcze przez pewien czas będzie półprzytomny, moim zdaniem na razie nie powinnaś zawracać sobie głowy, jak mu o wszystkim przypomnieć. Gdyby zadawał konkretne pytania, odpowiadaj na nie, ale nie musisz odtworzyć mu całej przeszłości. Niech twoje odpowiedzi będą na tyle niejasne, żeby sam koncentrował się na poznaniu prawdy. Niech sam stara się sobie wszystko przypomnieć.

– Dobrze – wzdycham. Tyle, jeśli chodzi o zabranie Leo do domu i podjęcie przerwanej życia. – A już myślałam, że gorzej być nie może.

Craig śmieje się z ledwie wyczuwalną nutą wyższości i klepie mnie po plecach:

– Zawsze może być o wiele gorzej, uwierz mi. Mam nadzieję, że to ostatni odcinek z przeszkodami.

Zgodnie z poleceniem staram się nie panikować, ale kiepsko mi to wychodzi,

a mój poziom energii wkrótce spada do zera. Zmuszam się, żeby wrócić do pokoju Leo i z ulgą stwierdzam, że śpi. Nie mam pojęcia, co mogłabym mu powiedzieć, co zaspokoi jego ciekawość, a jednocześnie pozwole zachować spokój. Leo wie, kim jestem, ale nie wie, kim jesteśmy razem. Jak właściwie opowiedzieć komuś o związku, zwłaszcza tak skomplikowanym jak nasz? Poznaliśmy się, zakochaliśmy po uszy, wzięliśmy ślub, a potem...

Do tego dochodzi najgorsza część – okropne miesiące tego roku naszego wspólnego życia. To zbyt wiele, a po tylu napięciach i stresach jego amnezja jest kolejnym ciosem w najgorszym okresie mojego życia.

Leo warknąłby na mnie, gdyby wiedział, jak bardzo się nad sobą rozczulam.

– Odrobina dystansu, Molly! Na świecie dzieci umierają z głodu, więc chyba dasz radę przetrwać ze mną kilka trudnych tygodni?

Pocieszam się i staram zachować zdrowy rozsądek. Leo żyje, wbrew wszelkim oczekiwaniom. Może się ruszać, przynajmniej częściowo, i jest w stanie mówić. Ten wypadek naprawdę mógł skończyć się o wiele gorzej.

Jakimś cudem zapadłam w lekki sen u jego boku. Nagle budzi mnie ruch. Niechętnie unoszę powieki i widzę Aldę przy szpitalnym łóżku. Stawia tacę na ruchomym stoliku.

– Ilekroć się budzę, czuję się lepiej – słyszę cichy głos Leo.

– To bardzo dobrze, panie Stephens.

– Mów mi Leo. Ty jesteś Alda, prawda?

– *Si.* Alda.

Siedzę dalej na krześle, obserwuję go z odległości niepewna, co teraz zrobić. Podejść do łóżka? A może Leo chce zostać sam? Opieka, której potrzebował przez ostatnie dni, przekreślała wszelką prywatność, ale wtedy o tym nie wiedział. Fakt, że teraz jest przytomny, oznacza nową przeszkodę wrażliwości, z którą muszę sobie taktownie poradzić.

– Jestem straszliwie głodny i spragniony – mówi, a Alda śmieje się cicho.

– Skoro nie piłeś od dwóch tygodni, nic dziwnego. – Chichocze, kiedy rozrywa opakowanie. – Nakarmię cię.

– Nie, broń Boże, nie – mówi i bierze od niej łyżkę. – Nie mogę ruszać nogami i nie pamiętam, który mamy rok, ale jeść mogę sam.

Zerka na mnie, nasze oczy się spotykają. Poświęciłam niezliczone godziny mojego życia na wpatrywanie się w te piękne brązowe oczy. Doskonale pamiętam uczucie bliskości, gdy się w nich zatraciałam. Gdy po raz pierwszy zaczęliśmy się spotykać, miałam wrażenie, że w nich tonę, i jednocześnie ogarniała mnie błogość na myśl, że znajdę się gdzie indziej, z nim i dzięki niemu. Oczy Leo postrzegają świat, którego sobie nie wyobrażałam, jakiego nie znałam. W tych cudownych chwilach intymnych spojrzeń dzielił się ze mną cząstką tego, co widział.

To jednak nie jest jedna z tych chwil. Tak naprawdę te momenty zniknęły z

naszego życia bez śladu. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio naprawdę na siebie patrzyliśmy. Ostatnimi czasy nasz kontakt wzrokowy ogranicza się do przelotnych spojrzeń i złośliwych łypnięć. Gdy widzę ciekawość w jego oczach, kusi mnie, żeby udawać, także przed sobą, że wszystko jest jak dawniej, choćby przez chwilę. Zaraz jednak pojawia się poczucie winy, jakbym go wykorzystywała w chwilach słabości, nawet tylko patrząc na niego. Wbijam wzrok w podłogę i dopiero wtedy mówię:

– Cześć.

– Hej, Molly – odpowiada cicho. Milczymy, kiedy Alda przesuwa małą ruchomą stoliczek do jego pośłania. Uśmiecha się do mnie i wychodzi z pokoju. Zostaję sama z mężem. Jedno jest jasne – jestem zbyt zdenerwowana, by myśleć logicznie, i nie mam pojęcia, co dalej. Wstaję i zaraz tego żałuję, bo nie chcę podejść do łóżka i sprawić, żeby poczuł się jeszcze bardziej niekomfortowo. Po chwili pochylam się, jakbym chciała ruszyć w jego kierunku, waham się jednak i cofam, i koniec końców stoję sztywno wyprostowana, z dłońmi zaciśniętymi w pięści na wysokości ud. Poczekam, niech Leo zrobi pierwszy krok.

– Przepraszam, naprawdę mi przykro – mówi nagle. – Za wcześniej. Czy to działa się dzisiaj, czy wczoraj?

– Kilka godzin temu. Nie przepraszaj, naprawdę. – Płaczę się we własnych słowach, tak bardzo chcę go pocieszyć. – Nie pamiętasz niczego o nas? – Kręci przecząco głową. – Pewnie to wszystko zbiło cię z tropu.

– Cały czas zbija mnie z tropu – wyznaje cicho. Słyszę niepewność w jego głosie. Nadal nie jest przekonany, że mówimy prawdę. Podchodzę do małego stolika przy łóżku, biorę torebkę, wyjmuję z niej paszport, otwieram i kładę na pośłaniu koło jego uda.

– Widzisz? – Torrington-Stephens. – Pokazuję mu moje nazwisko obok tradycyjnie koszmarne zdjęcie, podnoszę lewą rękę, żeby widział pierścionki na moich palcach. – Jak zapewne pamiętasz, to pierścionek zaręczynowy twojej babci. Kazałeś wstawić nowy kamień, bo stary był popękany, ale zapewne rozpoznasz wzór.

W milczeniu patrzy na pierścionki. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, bo Leo nie płacze i nie rozmawia o łzach, ale jestem przekonana, że widziałam je w jego oczach, kiedy wsuwał mi go na palec w dniu naszego ślubu. Byliśmy wtedy bardzo szczęśliwi. Tamtego dnia to było takie szczęście, które przerasta daną osobę czy parę i ogarnia wszystkich, którzy są jego świadkami. To był najpiękniejszy dzień mojego życia.

Mimo tego, co wydarzyło się później, myśl, że zapomniał, że stracił na zawsze wspomnienie tego, kim byliśmy, jest nie do zniesienia. Było nam dobrze ze sobą, przynajmniej przez jakiś czas. Widzę, że znowu patrzy na paszport, ale już z inną miną.

– Skoro to prawda, dlaczego ja nie mam obrączki? – pyta nagle.

– Została w domu – odpowiadam. Jego obrączka, srebrna jak moja i prosta z wyjątkiem jednej linii pośrodku. Linii bez końca, jak zauważył, gdy patrzyliśmy na nasze dłonie kilka godzin po ślubie, ale to wspomnienie szybko znika, zastępuje je myśl o tym, kiedy po raz ostatni widziałam obrączkę Leo. Weszłam do łazienki, żeby sprawdzić, czy zabrałam wszystkie kosmetyki. Widok jego obrączki był, jak cios w żołądek. Zaparło mi dech w piersiach. Leżała w mydelniczce na umywalce, ledwie widoczna w kałuży mydlin. W nocy godzinami tłumaczyłam sobie, że Leo zostawił ją tam przypadkiem. Wydawało się niemożliwe, że tak szybko zdjął ją z własnej woli.

– No, dobrze, czyli zdjąłem ją, zanim pojechałem do Libii – mówi, urywa i zaraz poprawia się ostrożnie. – Do Syrii, żeby jej nie zgubić.

Wiem, że powinnam powiedzieć mu prawdę, wydaje się, że to odpowiedni moment, ale nie jestem pewna, jak zareaguje. Waham się, zastanawiam nad tym, a Leo mówi dalej, nie czekając na moją odpowiedź.

– Nie. – Energicznie kręci głową. Widzę grymas bólu na jego twarzy, kiedy to robi. Podnosi wzrok. W jego groźnym spojrzeniu kryje się wyzwanie. – Nie kupuję tego, to bez sensu. O co naprawdę chodzi?

Chrząkam niespokojnie, siadam na skraju łóżka, obok paszportu, blisko niego, ale uważam, żeby go nie dotknąć. Staram się opanować rozszalałe myśli, przemyśleć najlepszą odpowiedź. Zamartwiam się, jak mu powiedzieć, że nasze małżeństwo właściwie się skończyło, a on nadal nie wierzy, że w ogóle się zaczęło.

– To długa historia – mówię – ale obiecuję, że wszystko ułoży się w logiczną całość, kiedy przypomnisz sobie minione lata. Dlaczego miałabym kłamać, dlaczego byłabym tutaj z tobą? Mogę ci udowodnić, który mamy rok. – Sięgam po paszport. – Myślisz, że jest ciągle 2011, prawda? A ten paszport wydano w 2014.

– To nie data sprawia mi problem – odpowiada. Jest teraz na tyle zniecierpliwiony, że warczy gniewnie. Wskazuje ręką siebie i mnie. – Chodzi o nas. Wiem na pewno, że nie ożeniłbym się z tobą.

Pogarda w jego głosie boli i chociaż powtarzam sobie, że nie będę się z nim kłócić, nie mogę pozwolić, żeby tak się do mnie odzywał.

– Co to właściwie ma znaczyć? – pytam znacząco.

Leo krzywi się odrobinę.

– To oczywiste. Za bardzo się różnimy. Gdybym miał się z kimś ożenić, a nie miałem takiego zamiaru, nie byłaby to kobieta podobna do ciebie.

– Skoro nie pamiętasz niczego, co się wydarzyło po 2011, w ogóle mnie nie znasz. – Unoszę brew. – Poza tym teraz za późno na takie obiekcje. Bez względu na to, czy to pamiętasz, czy nie, jesteśmy małżeństwem od prawie trzech lat.

– Nie muszę cię znać, żeby wiedzieć, że do siebie nie pasujemy. Należysz do Torringtonów. To mi wystarczy. Nie wpakowałbym się w coś takiego.

– Leo, zachowujesz się skandalicznie – odpowiadam. Mówię z wysiłkiem nie dlatego, że jego stereotypowe myślenie sprawia mi ból, ale dlatego, że jego arogancja doprowadza mnie do szału, i walczę ze sobą, żeby nie ulec odruchowi i na niego nie warknąć.

– Nie chciałem sprawić ci przykrości – zaczyna, ale mówi to tak pogardliwie, że w końcu puszczają mi nerwy. Gwałtownie zamykam paszport i energicznie wsuwam go do torebki na nocnym stoliku.

– Jeśli naprawdę nie chcesz mnie obrazić, przestań z góry zakładać, że wiesz, jaka jestem, tylko dlatego, że znasz moje panięskie nazwisko. Bo tylko to o mnie pamiętasz, prawda? Jak śmiesz wmawiać mi, że to niemożliwe, żeby ktoś taki jak ty ożenił się z kobietą taką jak ja, tylko dlatego, że wiesz, kim są moi rodzice! Wyobraź sobie, co by było, gdyby sytuacja była odwrotna i gdybym to ja mówiła takie rzeczy.

Leo ma cały czas otwarte usta. Zamyka je powoli, przenosi wzrok na posiłek. Oddycham głęboko. Masuję sobie czoło zmęczona. Wydaje mi się, że rozmowa dobiegła końca, aż słyszę jego szept:

– Jestem dla ciebie zdecydowanie za stary.

– Na miłość boską, to tylko dziesięć lat. To nigdy nie był nasz problem.

– Co nas właściwie łączy? Jak się poznaliśmy? – Odsuwa od siebie pojemniczki po musie jabłkowym i marszczy brwi. – Ja nawet nie chcę się żenić.

Uśmiecham się pod nosem. Wiem, że jego opory zawsze wynikały z troski o to, jak posiadanie żony połączyć z grafiką wyjazdów. Teraz, patrząc z perspektywy czasu, muszę przyznać mu absolutną rację. Unosi brew. Odpowiadam mu:

– Wiem, że tego nie chciałeś, ale najwyraźniej zmieniłeś zdanie, bo oświadczyłeś mi się, a potem dotrzymałeś słowa i się ze mną ożeniłeś.

– Ale dlaczego zmieniłem zdanie? – Leo traci cierpliwość, a mój śmiech cichnie. Widzę, że znowu jest zmęczony i zapamiętuję sobie, żeby zapytać Craiga Walkera, do jakiego stopnia mam go chronić przed stresem. Jeśli mam zapewnić mu całkowity spokój, muszę to wszystko przemyśleć. Oddycham głęboko, wstaję z posłania, a potem siadam koło niego. Leo po prostu musi się z tym pogodzić. Jestem jedyną osobą, którą ma tutaj, w Rzymie, i nikt inny się nie zjawi. Nadal nie wiem, kiedy uda nam się wyjechać ani co go czeka, kiedy wróci do Sydney.

Przede wszystkim muszę mu uświadomić, że może mi zaufać, że dawniej mi ufał, a to osiągnę chyba tylko w jeden sposób. Kiedy znowu zabieram głos, udaje mi się zachować spokój głównie dlatego, że wiem dobrze, jak delikatny jest temat, który muszę poruszyć.

– Wiem, że do trzynastego czy czternastego roku życia byłeś przekonany, że nie ma innego wyjścia, że skończysz tak samo jak Mike. – Dwóch słów nie używamy nigdy, rozmawiając o rodzinie Leo. Pierwsze to słowo: „przyrodni”, choć

Teresa jest jego siostrą przyrodnią, a Andrew to jego ojczym. W oczach Leo to rodzina, koniec, kropka, i jeżeli czasem zdarzyło mi się z rozpędu użyć tego słowa, poprawiał mnie natychmiast. Drugie słowo, które nigdy nie pada, to imię Mike, biologiczny ojciec Leo. W ciągu czterech lat odbyliśmy dokładnie trzy rozmowy na jego temat i za każdym razem to ja je zaczynałam. Leo nie lubi wracać do najbardziej mrocznych wspomnień z dzieciństwa, nie chce o nich rozmawiać. Ja jednak przekonałam się, że właśnie te okresy naznaczyły go równie silnie jak tatuaże, które pokrywają jego ramiona i barki. Teraz, kiedy wymawiam to imię, Leo jest w szoku, dokładnie tak, jak się tego spodziewałam. To jedno słowo udowodniło mi, że zaufałam mi na tyle, że zwierzył się z najciemniejszych zakamarków swojego wewnętrznego świata. Tu i teraz nie sugeruje w ogóle egzystencji Mike'a. – Nie miałeś pojęcia, kim jesteś, póki nie zobaczyłeś świata i nie przekonałeś się, jak jest naprawdę – mówię spokojnie. – Tak samo było, kiedy się poznaliśmy. – Szukam odpowiednich słów, żeby to wyrazić. Póki nie poznałam Leo, nie zdawałam sobie sprawy z otchłani prawdziwej miłości. Wydawało mi się, że kochałam moich poprzednich chłopaków, ale z perspektywy czasu widzę, że tamte uczucia były płytkie i kruche. Miłość, którą czułam do Leo, to coś wyjątkowego, specjalnego, coś zupełnie innego, choć teraz cierpię, przyznając to nawet sama przed sobą. Wzdycham i wracam do niego wzrokiem. Jest czujny, ale obserwuje mnie uważnie. – Było tak, jakbym wcześniej postrzegala wszystko w czerni i bieli, a kiedy zakochałam się w tobie, po raz pierwszy zobaczyłam kolory. Wiem, że odebrałeś to tak samo. Bardzo szybko wpadliśmy po uszy i wszystko, co sobie zaplanowaliśmy na przyszłość, trzeba było przemyśleć, bo świat nagle stał się zupełnie inny. – Marszczę nos, szukając odpowiednich słów. – Było tak wspaniale, rozumiesz?

– Chyba tak. – Cały czas ściąga brwi, ale widzę, że moje tłumaczenia przekonały go, przynajmniej w pewnym stopniu. – Jak właściwie się spotkaliśmy?

– Napisałam do ciebie wiadomość, bo miałam pytania o Declana. Spotkaliśmy się, żeby o nim porozmawiać, i tak to się zaczęło. – Przygląda mi się intensywnie. Rozpoznaję to skupienie, daję mu chwilę spokoju. Zastanawiam się, czy coś sobie przypomina. W końcu ciekawość wygrywa. Dotykam jego ramienia. – Leo?

Opada na poduszki. Koncentracja ustępuje znużeniu.

– Niczego nie pamiętam. Wszystko ciągle jest bez sensu.

– Daj sobie trochę czasu.

– Czuję, że coś jest tuż pod powierzchnią. Nie wiem nawet, czy to wspomnienie – mamrocze. Dotyka czoła. – To takie uczucie jak wtedy, gdy masz słowo na końcu języka. Dokładnie takie samo. Może, kiedy sobie przypomnę, co to jest...

– Cierpliwości, Leo. Nic na siłę – mówię.

Wzdycha ciężko.

– Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną.

– Wiem coś na ten temat – zauważam oschle.

Zerka na mnie ponownie.

– Mówili ci już, że nie do końca mam władzę w nogach?

Mam łzy pod powiekami, ale udaje mi się je opanować. Mrugam jak szalona.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Potem Leo pyta z wahaniem:

– Ponieważ najwyraźniej nie mam zielonego pojęcia o moim obecnym życiu, powiedz mi, czy możliwe, żebym pracował, siedząc na wózku inwalidzkim, bo o ile pamiętam, to w ogóle nie wchodzi w grę.

Nie patrzę mu w oczy, staram się zachować neutralny wyraz twarzy. To chyba najbardziej bohaterska rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Podnoszę brodę, prostuję plecy i zapominam o wszelkich słabości, bo chcę, żeby widział, że mierzę się z tym dzielnie i że on też da radę. Szlochać mogę później, i tak zapewne będzie.

– Po pierwsze – mówię – nikt nie twierdzi, że będziesz na stałe przykuty do wózka. Zrozum, dwa tygodnie temu podpisałam już zgodę na pobranie organów, a teraz proszę bardzo, siedzisz tu i ze mną rozmawiasz. Udowodniłeś, że nie robisz tego, czego inni od ciebie oczekują, i nie mam cienia wątpliwości, że choćby siłą woli zmusisz nogi do pracy, a do tego czasu musimy jakoś przetrwać.

W naszym związku to nie ja jestem silniejszą stroną. Dąsam się z byle powodu tak długo, że nie jestem w stanie rozróżnić dobrej decyzji od złej, jeżeli zaangażuję się emocjonalnie. A jednak to ja muszę pomóc Leo poradzić sobie z tą przerażającą perspektywą. Czarno widzę jego szanse, ale na razie on jeszcze tego nie wie i to nie jest właściwy moment, żeby mu to mówić.

Wydaje się zaskoczony siłą mojej deklaracji. Zastanawia się nad nią przez chwilę, a potem uśmiecha się lekko. Powieki opadają mu ciężko, jest blady, ale jego uśmiech sprawia, że odczuwam ogromną satysfakcję na myśl, że dałam mu przynajmniej odrobinę pocieszenia.

– W tej chwili czuję się, jakbym znowu miał halucynacje – przyznaje i zapada się w poduszki.

Siadam obok łóżka, wydaję iPada z torebki.

Zerka na niego.

– Co robisz? – pyta.

– Mam mnóstwo maili do napisania, a na ciebie czekają prawdziwe halucynacje, czyli sen – odpowiadam. – Później znowu porozmawiamy. Będę tu, kiedy się obudzisz.

Naprawdę będę, mimo wszystkiego, co między nami zaszło. Będę u jego boku tak długo, jak długo będzie mnie potrzebował.

4. Leo

Styczeń 2011

Najpierw spacerowaliśmy z Molly w milczeniu, sącząc po drodze kawę. Cały czas usiłowałem wykombinować, jak się wykręcić od powiedzenia jej prawdy o Declanie, a jednocześnie zastanawiałem się, jak ująć to w słowa, gdyby koniec końców jednak do tego doszło.

– W jaki sposób zostałeś ranny w rękę? – zapytała.

Spojrzałem na nią.

– To jest bark. Oberwałem w Libii.

– Zostałeś postrzelony?

– Ryzyko zawodowe.

– Och. A teraz masz odpoczywać?

– Spacer mi nie zaszkodzi.

– A mnie chyba tak. Zaraz odpadną mi nogi. – Westchnęła i roześmiała się cicho. – Kilka dni temu byłam na zajęciach pilatesu. Nie mam pojęcia, co sobie wtedy myślałam. Możemy gdzieś usiąść?

Skręciliśmy w stronę First Fleet Park, oazy zieleni między The Rocks a Circular Quay. Razem szliśmy w stronę jedynej wolnej ławki. Otulały ją gałęzie drzewa. Kiedy się zbliżaliśmy, w naszą stronę wzbilo się w powietrze stadko mew. Odgoniłem je i usiedliśmy obok siebie.

– No, to mów – zaczęła Molly, ledwie zajęliśmy miejsca, i nagle wszystko, co sobie zaplanowałem w drodze z kafejki, wydało mi się boleśnie płytkie.

– Declan był wspaniałym facetem, Molly. A ciebie uwielbiał.

– Wiem o tym. Chcę, żebyś mi powiedział coś, czego jeszcze nie słyszałam.

– Dobrze, ale chciałbym, żebyś zapamiętała to, co powiedziałem: był fantastycznym człowiekiem, kochającym bratem, bo tylko to się liczy, a nie jego zmagania.

– Możesz tak mówić, bo dobrze go znałeś. Ja wiem o Declanie tylko to, że był powszechnie lubiany. Bystry i czarujący. Tylko że gdyby naprawdę taki był, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, a moja matka nie zmieniałaby tematu, ilekroć ktoś wypowiada jego imię, i to nawet teraz, dziesięć lat po tym, jak go straciliśmy.

– Wygląda na to, że znałaś go takim, jakim chciał być, zapewne nie bez powodu. Wolał, żebyś nie wiedziała o czymkolwiek innym.

– Bo byłem jego siostrą?

– Bo byłaś sobą. Uwielbiał cię.

– Chcesz powiedzieć, że rodzice okłamywali mnie przez dziesięć lat tylko

dlatego, że Declan mnie uwielbiał?

– Nie, nie mogę tłumaczyć ich roli w tym, co się działo po jego śmierci, ale kiedy żył, zależało mu na tym, że tak bardzo go podziwiasz.

– Kim on naprawdę był, Leo? Wcale nie był tym, za kogo go uważałam?

Westchnąłem, wbiłem wzrok w port i zastanawiałem się, co odpowiedzieć.

– Był dokładnie taki, jak go opisałaś, potrafił być czarujący, ale nie był szczególnie bystry, nie, jeśli chodzi o naukę. Na uniwersytecie było mu bardzo ciężko. Najzwyczajniej w świecie przerastały go wymagania wykładowców.

– A mnie się zawsze wydawało, że Declan był najlepszy na roku – odparła lekko, bez namysłu, jakby myślała na głos.

– Declan dostał się na studia tylko i wyłącznie za sprawą twojego ojca, a ukończył je tylko dlatego, że wszystkie przedmioty powtarzał podczas wakacji.

– A problemy, z którymi, jak wspominałaś, się zmagał?

– No tak. Declan... – Okazało się, że to jeszcze trudniejsze, niż mi się wydawało. Odchrząknąłem. – Jak większość dzieciaków na studiach, podczas pierwszego roku czy dwóch eksperymentowaliśmy z narkotykami. Nic poważnego. Wszyscy, których znaliśmy, wyrastali z tego i potrafili się ustatkować. Ale Declan nigdy nie potrafił powiedzieć: basta! Rozumiesz?

– Declan był narkomanem? – wyszeptała.

Jakim cudem, do cholery, właśnie ja musiałem jej to uświadomić?

– Bardzo mi przykro, Molly.

– To nieprawda, niemożliwe. Jak mogłam tego nie zauważyć?

– Czy w tym czasie nie mieszkałaś za granicą?

– Tak, ale zaledwie od roku, a kiedy przyjeżdżałam do Sydney, wszystko było w porządku.

– Szczerze mówiąc, nie do końca – westchnąłem. Ona także.

– No tak, pewnie nie.

Odczekałem chwilę. Dałem jej czas, żeby przetrwała to, czego się przed chwilą dowiedziała. Byłem pewien, że chciało jej się płakać. Po pewnym czasie zerknąłem na nią, żeby się przekonać, czy uległa pokusie. Miała suche oczy, ale tępo wpatrywała się w zatokę. Nagle ogarnęło mnie bardzo silne wrażenie déjà vu; ten sam neutralny wyraz twarzy, który pamiętałem z jego pogrzebu, świadczący o tym, że jest w szoku, że ból jest zbyt silny, by była w stanie w tej chwili się z nim uporać.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Wmawiam sobie, że jesteś wariatem albo że mnie okłamujesz – mruknęła i zerknęła na mnie z ukosa. – Niestety, nic z tego, bo wiem, że mówisz prawdę.

– Wydaje mi się, że jego problemy zaczęły się na dobre na drugim albo trzecim roku studiów. Zawsze otaczały go chmary kandydatek na jego dziewczynę, ale on tak naprawdę nie potrafił z nimi rozmawiać i wiecznie narzekał i zwierzał mi

się, że widzą w nim tylko jego pieniądze. Bardzo chciał wyjść ze skorupy, a po narkotykach był kimś zupełnie innym. Stawał się pewny siebie, otwarty i właśnie wtedy był duszą towarzystwa.

– Widziałam go po narkotykach?

– Nie wiem. Pamiętam, że kiedy jechał do domu na święta w ostatnim roku, w ogóle już nad tym nie panował, więc pewnie tak.

– Dlaczego niczego nie zauważyłam?

– Bo nie wiedziałas, na co zwracać uwagę.

– Co brał?

Łatwiej wymienić, czego nie brał, ale tego nie musiała wiedzieć.

– Zabiła go heroina.

– Staraleś się go powstrzymać?

– Oczywiście, podobnie jak twoi rodzice.

– Ale nic nie pomagało?

– Czasami się udawało. Zdarzyło się kilka okresów trzeźwości, w tym także stosunkowo długi okres tuż przed śmiercią, może nawet kilka miesięcy. – Ech, fałszywe nadzieje, które we mnie wzbudziły tamte dni. Nasza przyjaźń, jak się wydawało, wróciła na dawne tory. Wydawało się, że Declan pogodził się ze sobą.

– Poszedł na odwyk?

– Nie – mruknąłem. – Twoi rodzice obawiali się, że ta wiadomość wycieknie do prasy. Chodziło im o prywatność, zawsze więc starali się zapewnić mu opiekę w domu.

– Chcesz powiedzieć: obawiali się skandalu – poprawiła.

– Tego zapewne też.

– Myślisz, że gdyby trafił na odwyk z prawdziwego zdarzenia, żyłby do dziś?

– Długo się nad tym zastanawiałem, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nie miałyby to takiego znaczenia.

– W jaki sposób umarł?

Odchrząknąłem.

– To był ciężki dzień, miał trudne spotkanie z zarządem, tak mi się przynajmniej wydaje, a wasz ojciec go upokorzył. Declan nie przygotował czegoś, czego od niego wymagano. Zadzwoił do mnie w drodze do domu. Rozmawialiśmy długo, planowaliśmy, że następnego wieczoru wybierzemy się na partyjkę krykieta. Z tego, co wiem, to naprawdę był nieszczęśliwy wypadek. Kiedy się rozłączył, wydawał się już w lepszym humorze. – Odchrząknąłem znowu i poruszyłem się niespokojnie na ławce. Zerknąłem ukradkiem na Molly. Cały czas wbijała wzrok w swoje kolana. Jej oczy nadal były suche.

– Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił? Dlaczego nikt mi niczego nie powiedział? – szepnęła. – Nie byłam już dzieckiem, miałam dziewiętnaście lat.

Zniosłabym to.

– Zależało mu na twoim podziwieniu.

– Opowiedz, jak umarł – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

Dopiłem resztkę kawy i postawiłem kubek na ziemi.

– Declan miał kilku dealerów w okolicach plaży Bondi, niedaleko swojego mieszkania, ale wasz ojciec zastosował przemoc finansową, tak się chyba określa taką strategię, więc kiedy Declan postanowił znowu zażyć, zwrócił się do kuzyna, który mieszka u mojej ciotki.

– Twojego kuzyna?

– Tak. Declan dał mu pieniądze, żeby kupił towar dla nich obu. – Urwałem, odetchnąłem głęboko. – Ciotka do mnie zadzwoniła, nie miała pojęcia, co robią ani dokąd poszli, wiedziała tylko, że Declan to mój przyjaciel. Obawiała się, że jej syn sprowadza go na złą drogę. Kiedy tylko zadzwoniła, wiedziałem, że Declan wybrałby się w tamte okolice tylko w jednym celu.

– A twój kuzyn?

– Nic mu nie było w tym sensie, że nie przedawkował. Później trochę poszperałem, starałem się to wszystko zrozumieć. Prawdopodobnie Declan, który nie brał od kilku miesięcy, stracił tolerancję na narkotyki. Długo trwało, zanim ich znalazłem. Zamknęli się w schowku w piwnicy budynku, musiałem wyważyć drzwi, żeby do nich dotrzeć.

Urwałam na moment. Przypomniała mi się moja panika, kiedy zdałem sobie sprawę, gdzie są. Przypomniał mi się odgłos pękającego drewna, gdy kopałem w drzwi, a potem przerażenie, bo kiedy zobaczyłem Declana, od razu wiedziałem, że już za późno.

Molly wstała gwałtownie. Zaskoczyła mnie. Spojrzałem na nią. Zaimponowała mi, że nadal nie płakała.

– Dostyc na dzisiaj – zdecydowała cicho. Była wściekła. Nie dziwiłem się jej.

– Bardzo mi przykro, Molly.

Złagodniała odrobinę.

– Tobie nie musi być przykro. Mogę do ciebie jeszcze zadzwonić?

– Oczywiście.

Położyła mi rękę na zdrowym barku i ścisnęła lekko. Uśmiechnęła się delikatnie.

– Dziękuję, Leo.

Odprowadzałem ją wzrokiem. Wydawało mi się, że widzę drżenie jej ramion, ale natychmiast się wyprostowała. Odchodziła perfekcyjnie wyprostowana, z wysoko uniesioną głową.

Odczekałem trochę, a potem i ja wyszedłem z parku. Siedziałem na ławce, aż plecy mi zdrętwiały. Lek przeciwbólowy przestał działać, bark pulsował boleśnie. Myślałem o Declanie i jego rodzinie, o lekcjach życiowych, których udzieliła mi ta

przyjaźń, i o tej najważniejszej lekcji – nieważne, gdzie zaczyna się twoja życiowa podróż; to, jak się potoczy, zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

5. Molly

Lipiec 2015

Budzę się tuż przed świtem. Spędziłam u boku Leo tak wiele nocy, że tracę orientację i nie wiem, jaki mamy dzień tygodnia. Odkąd zmuszam się, by unieść powieki, przepełnia mnie świadomość zmęczenia, które zdaje się panować nad każdym mięśniem mojego ciała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak wyczerpana.

Potykając się o własne nogi, idę korytarzem do automatu ze słodyczami i kawą i, półprzytomna, nawet nie zauważam, że Leo nie śpi, siedzi na posłaniu, kiedy wracam do jego pokoju. Zdażę jeszcze wrócić na moje krzesło i upić łyk kawy, zanim zaskoczy mnie jego cichy głos.

– Dzień dobry, Molly.

Jakimś cudem udaje mi się nie upuścić kubka. Płaczę się, przepraszając, sama nie wiem za co.

– Cześć, przepraszam, nie zauważyłam, że nie śpisz. Nie przyniosłam ci kawy, ale jeśli chcesz, zaraz...

– Nie, nie nie trzeba, w porządku. – Rozgląda się po pokoju i marszczy brwi.
– Gdzie ty właściwie spałaś?

– Zatrzymałam się w hotelu o przecznicę stąd – odpowiadam. To prawda, ale mam nadzieję, że Leo nie zauważy, że właściwie nie odpowiedziałam na jego pytanie. Patrzy na mnie. Chwila szybko staje się niezręczna. – Wieczorem po prostu nie chciałam, żebyś został sam. No wiesz, na wypadek gdybyś się obudził i nie wiedział, gdzie się znajdujesz, ale dzisiaj wieczorem już pójdę do hotelu.

– Miałaś tu przynajmniej jakieś łóżko polowe czy coś takiego?

Świadomość, że wraca mu czujność, uwaga i skupienie na najmniejszych drobiazgach, dodaje mi otuchy.

– Nie, bo istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś się potknie czy coś takiego, ale to nie szkodzi, i tak nie bardzo chciało mi się spać. – Oczywiście to tak idiotyczne, że sama się wstydzę, że w ogóle powiedziałam coś takiego. Patrzę na Leo i zaraz uciekam wzrokiem, bo przygląda mi się, a wolałabym, żeby nie zorientował się jeszcze, że to bzdura. Milczy przez chwilę, zanim w końcu zabiera głos.

– Dziękuję, Molly.

– Przypomniałeś coś sobie?

– Jeszcze nie, ale wczoraj wydawało mi się, że ilekroć z kimś rozmawiałem, czekał mnie nowy szok, nowe zaskoczenie. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Dzisiaj jestem bardziej sobą. To na pewno pomoże.

- Więc pogodziłeś się z tym, co ci wczoraj powiedziałam?
- Że jesteśmy małżeństwem? – domyśla się i parska śmiechem. – No cóż, uwierzyłem, że mówisz prawdę, a to już coś, prawda?
- Tak. – Naprawdę odczuwam wielką ulgę. Nie wiem, czy miałabym w sobie dość energii, by nadal go przekonywać, że to prawda.
- Problem w tym, że w ogóle nie czuję, że czegokolwiek nie pamiętam. Mam wrażenie, że tylko się zdrzemnąłem. Teraz się obudziłem i wszyscy wokół mówią, że przespałem cztery lata, moje życie wygląda zupełnie inaczej. Nie mam pojęcia, co zrobić, żeby wróciły wspomnienia, bo w ogóle nie czuję, że zniknęły.
- Brzmi jak najprawdziwszy koszmar – mruczę pod nosem.
- Koszmarem są moje nogi. – Opuszcza wzrok na posłanie, kiedy to mówi, ale zaraz wraca do mnie spojrzeniem. – Cały ten czas spałaś na krześle?
- Tylko kilka nocy, gdy zacząłeś odzyskiwać przytomność.
- Pewnie bardzo chcesz wrócić do domu.
- Lucien będzie pewnie gruby jak prosiak – wzdycham głośno. Kiedy zamieszkałam z Leo, od razu pokochałam kremowego pudła, którego dzielił z wiekową sąsiadką. Nie dziwię się, gdy Leo rozpromienia się, słysząc imię psa. Nigdy nie przepadałam za psami, ale w tym nie sposób się nie zakochać.
- Czyli teraz opiekuje się nim pani Wilkins? Nadal mieszka u siebie?
- O tak, i nadal jest w świetnej formie. Parę miesięcy temu świętowaliśmy jej dziewięćdziesiąte drugie urodziny. Raz w tygodniu przychodzi do niej opiekunka, a pani Wilkins rzadko zagląda na piętę, bo nie ma siły tam wchodzić, ale ciągle jest w dobrej formie, zważywszy na jej wiek. Uprowadzając kolejne pytanie, tak, nadal opiekuje się Lucieniem. Psia opiekunka przychodzi do niego rano i wieczorem, ale kiedy ostatnio oboje wyjechaliśmy, pół roku minęło, zanim udało mi się go odchudzić do wagi poniżej dwudziestu pięciu kilogramów.
- Chwila, chcesz powiedzieć, że mieszkamy w moim domu?
- To pytanie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydaje. Chyba żadne z nas nie jest jeszcze gotowe na rozmowę na ten temat.
- Oczywiście.
- Szeroko otwiera oczy z niedowierzaniem.
- Jeśli chodzi o ciebie, nie ma żadnego oczywiście, nadal jesteś jedną z Torringtonów, prawda? Myślałem, że mieszkamy w przerażającym domiszczu na przedmieściach.
- Nie, nie jestem jedną z Torringtonów – przypominam mu. – Nazywam się Stephens. Nadal jesteśmy bogaci, ale po ślubie nie chciałeś wyprowadzić się ze swojego domu, więc wypracowaliśmy pewien kompromis i ja się tam wprowadziłam.
- Kompromis? Jaki dokładnie? – Marszczy brwi, a ja uśmiecham się miękko.
- Spokojnie, Leo, wiem, że kochasz ten dom. Nie bój się, nie zniszczyliśmy

go, przeprowadziliśmy tylko remont kuchni i łazienek, pomalowaliśmy ściany i wymieniliśmy wykładzinę na najwyższych piętrach.

– Z tego, co mówisz, wynika, że mieszkamy w tym samym miejscu, ale w zupełnie innym domu.

– To ten sam dom, ma ten sam rozkład, po prostu go odnowiliśmy. – Uśmiecham się i wzruszam ramionami. – No i oczywiście dodaliśmy pewne... udogodnienia.

Domyślam się, że oczywiście założę, że mam na myśli personel, i chociaż mam wyrzuty sumienia, że z niego kpię, w tej chwili bawi mnie obserwowanie jego reakcji na te sprawy. Negocjacje dotyczące naszego wspólnego życia w jego domu trwały kilka miesięcy i wiem doskonale, na czym zależało mi najbardziej.

– O Boże drogi, nie! Tylko nie służba! – Jest przerażony.

– Spokojnie, nie zbudowaliśmy kwatery dla służby na podwórku i nie zatrudniliśmy personelu. Dom ma sześć pokoi, co niby mieliby robić całymi dniami? Raz w tygodniu przychodzi sprzątaczką, ale ważniejsze, że zainstalowaliśmy zmywarę.

Przed remontem właściwie była to taka minikuchenka. Leo mruży oczy, kiedy mówię o zmywarce, i wiem od razu, że całkiem słusznie zresztą zakłada, że aby w kuchni zmieściła się zmywarka, trzeba było dokonać sporo zmian.

– Jakim cudem zmieściłaś tam zmywarę?

– Wkrótce sam się przekonasz. Spokojnie, już raz to przeżyłeś, na pewno znowu ci się to uda.

– A nadal pracujesz dla ojca? – pyta. Zaprzeczam ruchem głowy. Nie, już nie.

– Przeze mnie? Przez nas?

Nie od razu odpowiadam na to pytanie. Nie miałam wyjścia, musiałam zrezygnować, kiedy ojciec dowiedział się o Leo i o mnie, ale to nie był główny powód, dla którego to zrobiłam. Odeszłam, bo pracowałam u niego z niewłaściwych przyczyn. Byłam jak w klatce, wiecznie szukałam aprobaty ojca, nawet za cenę własnego szczęścia. Prawdopodobnie gdyby nie nasz związek, nadal pracowałabym w Torrington Media, zamknięta w życiu, które nigdy tak naprawdę nie było moje. Leo zapoczątkował reakcję łańcuchową, ale końcowym efektem była moja wolność.

Wtedy wydawało mi się, że w tym, jak miłość do niego zmieniła moje życie, nie ma nic magicznego, jednak teraz, z perspektywy czasu, sama nie wiem, czy czuję ulgę i wdzięczność, że dzięki niemu uciekłam z tamtego życia, czy może rozgoryczenie, bo oszukał mnie i pozbawił przyszłości, która była mi pisana. Leo i ja zaczęliśmy naszą wspólną podróż, on jednak odbił w bok na własną rękę, i to po tak krótkim czasie, i zostawił mnie samą. Oczywiście nadal się cieszę z tego, gdzie jestem, nadal jestem mu za to wdzięczna, ale jednocześnie nawet te myśli

sprawiają, że ogarnia mnie głębokie rozczarowanie na myśl, jak to wszystko powinno wyglądać. Myślałam, że odchodzę z Torrington Media, żebyśmy razem z Leo budowali wspólną przyszłość. Nigdy, nawet przez sekundę, przez myśl mi nie przeszło, że się nam nie uda. Wydawało mi się, że miłość, którą do niego czułam, pokona wszystkie przeszkody.

– Odeszłam, bo chciałam – mówię w końcu. – Zajął się pracą trochę przez przypadek po śmierci Declana, a kiedy się poznaliśmy, byłam już na tym etapie, że rozpaczliwie chciałam odejść, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Teraz prowadzę fundację dobroczynną i w tym sprawdzam się o wiele lepiej.

Słyszymy jakiś dźwięk przy drzwiach. Kobieta z wózkiem pełnym metalowych tac. Słyszę, jak Leo burczy w brzuchu na samą myśl o jedzeniu. Zerka na drzwi, a kiedy pielęgniarka nie wraca, wzdycha głośno.

– Jeśli dzisiaj powiedzą mi, że znowu dostanę tylko mus jabłkowy, zacznę płakać.

– Ty nigdy nie płaczesz.

– Skoro znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje, powinnaś zrozumieć, jak bardzo pragnę normalnego jedzenia – mówi i kącik jego ust unosi się w uśmiechu, którego echo widzę także w jego oczach. Oto czarujący uśmiech Leo i choć od dawna nie był dla mnie przeznaczony, czuję, że nadal nie jestem w stanie się mu oprzeć.

– Daj mi chwilę, pogadam z nimi i może uda mi się przekonać lekarzy, żeby dali coś konkretnego.

– Dobrze.

– Jeśli pozwolą ci jeść, później przyniosę ci coś lepszego. Szpitalne żarcie wygląda okropnie.

Wracam kilka minut później z uśmiechem na twarzy i tacą w dłoniach.

– Powiedzieli, że mam cię obserwować jak jastrząb, ale możesz spróbować jeść normalne jedzenie, jeśli naprawdę ci na tym zależy – oznajmiam spokojnie.

– Dzięki – mówi.

Czuję na sobie jego wzrok, kiedy kładę tacę na stoliku, i nagle dopada mnie niepewność. Zdejmuję przykrywkę z paczuszki z czymś, co wygląda jak dżem, i czuję, jak włosy opadają mi na twarz. Przytrzymuję barkiem niesforny kosmyk, od razu jednak spada z powrotem. Leo wyciąga rękę, powoli, z wahaniem, i bardzo delikatnie zakłada mi je za ucho.

Doświadczam tysiąca emocji jednocześnie; w jego geście jest czułość, której między nami nie było od tak dawna, że zapomniałam już, jak bardzo za nią tęsknię. Chce mi się płakać. Jak cudownie jest czuć znowu na sobie jego dotyk, tak delikatny. Czuję, jak w moim żołądku niebezpiecznie gromadzą się emocje. Przyciąganie między nami zawsze było bardzo silne. Nawet kiedy wszystko inne waliło się w gruzy, ta część naszego małżeństwa działała bez zarzutu. Jest we mnie

też odrobina żalu nad sobą, bo wiem, że kiedy Leo odzyska pamięć, ta czułość zniknie, i dobrze, bo nasze małżeństwo już nie istnieje. Przy tej myśli mam ochotę się odsunąć, chronić się przed bólem, który nieuchronnie nadejdzie, ale nie chcę wprowadzać w jego głowie jeszcze większego zamętu. Zamiast tego uśmiecham się niemal nieśmiało i przysuwam mu tacę.

– Speszyłem cię? – pyta. – Wydawało mi się, że to był taki naturalny odruch.

– Nie, nie. – Energicznie kręcę głową. – Po prostu wiem, że dla ciebie to wszystko jest całkiem nowe. Pewnie masz wrażenie, że znasz mnie od wczoraj.

Leo wzrusza ramionami i patrzy na mnie z namysłem.

– Miałem wrażenie, że robiłem to już tysiąc razy, nawet jeśli tego nie pamiętam. Dziwne, prawda?

Kiedy się poznaliśmy, miałam króciutkie włosy. Później Leo wyznał mi, że bardzo mu się nie podobałam z tą fryzurą. Wyglądałam z nią bardzo poważnie – w ogóle do mnie nie pasowała, ale wydawało mi się wówczas, że muszę wyglądać na twardzielkę, skoro usiłowałam stanąć na własnych nogach w twardej ścianie imperium ojca. Pamiętam uniesione brwi członków zarządu na pierwszym posiedzeniu, kiedy zjawiłam się w sukience w kwiaty i z długimi rozpuszczonymi włosami spływającymi do pasa. Szybko się przekonałam, że muszę przynajmniej udawać, że jestem twarda i bezwzględna. Zmieniłam wygląd, żeby dopasować się do tego wizerunku, nigdy jednak nie czułam się z tym dobrze.

Kiedy w końcu zrezygnowałam, oddałam wszystkie ciuchy organizacji dobroczynnej i zapuściłam włosy. Zapuszczałam je przez pierwszy rok naszego związku. Leo zawsze zakładał mi kosmyki za ucho. Czasami stał tuż koło mnie i zakładał je po obu stronach, a potem całował mnie delikatnie, aż znowu byłam rozczochrana. Rumienię się na to wspomnienie i odsuwam się od łóżka. Uwagę Leo pochłania taca z jedzeniem.

– Co za uczta – rzuca z przekąsem. Na tacy jest biały tost, dżem, mocna czarna kawa i niezidentyfikowane bliżej gotowane owoce z jogurtem.

– Pamiętaj, małe kęsy, gryź starannie, łykaj powoli.

Unosi brwi i patrzy na mnie, a ja rozkładam ręce.

– Wiem, że wiesz, jak się je, po prostu powtarzam słowa pielęgniarki.

Leo wbija zęby w grzankę, gryzie powoli, starannie przełyka i widzę ulgę na jego twarzy, gdy jedzenie wędruje do jego żołądka. Zanim ponownie skoncentruje się na mnie, zdążyłam wrócić na krzesło przy łóżku i sięgam po kubek z okropną szpitalną kawą.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

Patrzę na niego. Czy to odpowiednia chwila, żeby mu powiedzieć? Cały czas skupia się na tacy z jedzeniem. Wolę go nie rozpraszać, powinnam też najpierw skonsultować z Craigiem Walkerem, do jakiego stopnia mogę go zdenerwować. Lepiej poczekać. Postanawiam więc odpowiedzieć prosto.

– Trzy lata miną w grudniu. Uwierz mi, tego akurat nigdy nie pamiętałeś. – Staram się żartować, ale to nie było dla mnie zabawne i słychać to w moim głosie. Leo się krzywi.

– Powiedz mimo to. Może tym razem postaram się bardziej.

– Trzeciego grudnia. – Leo sili się na żarty, ale nie chcę się do niego uśmiechać, bo to Leo. I to jego wina, że ta sprawa jest dla mnie tak bolesna. Cofam się myślami do naszych dwóch poprzednich rocznic. Obie spędziłam w domu sama. Za pierwszym razem byłam z tego dumna, że jestem taka szlachetna, bo pozwalałam mu pracować. Za drugim czułam już tylko wściekłość, bo nawet do mnie nie zadzwonił.

– Dobrze – stwierdza Leo z determinacją w głosie. – Czyli trzeciego grudnia. Są jakieś zasady dotyczące prezentów na rocznicę, prawda? Trzecia to jaka? Papierowa? Szklana?

– Nie mam pojęcia, ale w pierwszym roku byłeś w Iraku, a w drugim w Syrii, więc jeśli naprawdę chcesz mi coś kupić, niech to będą trzy prezenty, bez względu na to, co wybierzesz. Tym sposobem wynagrodzisz mi dwa poprzednie lata.

Obserwuję grę emocji na jego twarzy; najpierw grymas, zaraz jednak ustępuje ciekawości, a potem skupieniu. Przystaję być obiektem jego zainteresowania, a jednocześnie wiem doskonale, co sobie myśli – zastanawia się, co się działo w Iraku i Syrii, dlaczego tam pojechał. Zastanawia się, jakie teksty napisał w tych krajach. Zastanawia się, jak szybko zdoła uzupełnić luki w pamięci. Jak szybko zdoła wrócić do pracy.

Nie chcę się na niego złościć, ale od razu wpadam w furię. Ranny w głowę czy nie, mam ochotę zdzielić go z całej siły, wrzeszczeć na niego i wybiec z pokoju. Staram się uspokoić, ale odruchowo miażdżę w dłoni papierowy kubeczek po kawie. Szeleści o wiele bardziej, niż się spodziewałam. Leo gwałtownie podnosi wzrok, przygląda mi się badawczo. Czuję w sobie napięcie od czubka głowy aż po palce u stóp.

– Wiem, co sobie myślisz – mówię. Głos mi drży. Leo przygląda mi się w milczeniu. – Opowiadam ci o rocznicach, które przegapiłeś, bo miałeś zlecenie, a ty już się zastanawiasz, jakie artykuły wtedy pisałeś. Dopiero co wybudziłeś się ze śpiączki, nadal nie masz władzy w nogach, nie pamiętasz niczego ze swojego życia sprzed trzech tygodni, ale już myślisz o tym, kiedy będziesz mógł wrócić do pracy, prawda?

Chwila ciszy, a potem Leo mruczy cicho:

– A jednak dalej tu jesteś. – Na jego twarzy maluje się zdumienie i zachwyt.
– Jestem najszcześniejszym kretynem na świecie.

Patrzę na niego pustym wzrokiem. Tyle razy kłóciliśmy się o jego pracę. Jestem już zmęczona tymi awanturami. Wykańczają wszystkie moje nadzieje co do

naszej wspólnej przyszłości. Teraz, bez wspomnień tamtych awantur, Leo postępuje inaczej, gra bez scenariusza, a ja nie wiem, co powiedzieć. Powinien teraz krzyknąć, że jego praca jest dla niego bardzo ważna, a ja odwarknąć, że ja też, że powinnam być ważna, a potem oboje się obrażamy. Z krzyków robią się wrzaski, gorycz podchodzi nam do gardła i zagłusza wszystko inne.

Takie kłótnie zepsuły najcudowniejszą rzecz w moim życiu. Ciągłe oplakuję to, co mogło między nami być, a teraz, gdy już jest za późno, Leo zasugerował, że wcale nie musi tak być, że nie musi skończyć się jak zawsze. Nawet tak małe odłamek wdzięczności mógł zmienić wszystko.

Jestem wściekła, kiedy podnoszę wzrok i widzę, że nadal na mnie patrzy z ciekawością. Moja irytacja to nie jego wina, przecież nawet nie pamięta, że wzięliśmy ślub, co dopiero tego wszystkiego, co wydarzyło się później, ale z drugiej strony to jest jego wina, to wszystko to jego wina i nadal jestem zła i nadal cierpię. Nie jestem w stanie utrzymać kontaktu wzrokowego dłużej niż przez sekundę, więc otulam się ramionami i marszczę brwi.

– Uraz czaszki okazał się bardziej rozległy, niż sądzili – mruczę pod nosem.
– Nasze kłótnie nie tak wyglądają.

– A jak?

– Bardzo szybko przechodzą w dzikie wrzaski.

– Za bardzo boli mnie głowa, żebym mógł wrzeszczeć. A może obiecuję ci, że w tym roku nie tylko spędzę naszą rocznicę we właściwym kraju, ale zorganizuję coś odpowiednio romantycznego i wystarczająco znaczącego, żeby zmasać dawne winy?

To już brzmi bardziej znajomo; ilekroć jestem zła, Leo składa obietnice, których nie potrafi dotrzymać.

– Uwierzę, jak zobaczę. – Wzdycham, a potem niezdarnie zmieniam temat, na co Leo ochoczo pozwala. – Jak śniadanie?

– Przepyszne, chociaż się cieszę, że później, w ciągu dnia, przyniesiesz mi coś porządnego, jeśli naprawdę chcesz to zrobić.

Śmieję się cicho.

– Dobrze, przyniosę ci coś.

– Posłuchaj, teraz wróć do hotelu, weź prysznic i wyśpij się. Wróć do mnie dopiero, kiedy będziesz gotowa.

Odruchowo kręcę przecząco głową. Nie chcę go zostawiać, czuję, że powinnam tu być na wypadek, gdyby mnie potrzebował. Przecież nikogo innego tu nie zna. Chcę zaprotestować, ale zamiast mówić, zaczynam ziewać.

Leo patrzy na mnie znacząco i mówi:

– Przez kilka godzin nic mi się nie stanie.

– Chcesz powiedzieć, że wyglądam okropnie? – Dotykam zmierzwionej grzywki i wyglądam ją niespokojnie.

– Wyglądasz przepięknie. Nadal nie mieści mi się w głowie, że mogłabyś wyjść za kogoś takiego jak ja.

Ten komplement i autoironia są tak nieoczekiwane, że rozpadam się na kawałki, mam łzy w oczach i tym razem nie udaje mi się nad nimi zapanować. Mrugam nerwowo, wstaję. Odwracam się na pięcie z nadzieją, że niczego nie zauważy. Delikatnie dotyka moich pleców.

– Chciałem tylko zażartować, Molly. Przepraszam.

– Zawsze kiepsko ci to wychodziło. – Ulegam. Przestaję walczyć ze łzami. Jedna z nich spływa mi po policzku, aż na brodę. Ocieram ją wierzchem dłoni. Jestem po prostu zmęczona. Wzruszam ramionami. Odwracam się do posłania, przykrywam jego lewą dłoń swoją. Ściskam ją delikatnie. – Cieszę się, że wróciłeś, Leo.

Odwraca dłoń, splata palce z moimi, zaciska dłoń. Jestem przekonana, że to kolejny odruchowy gest, ale widzę chwilę wahania na jego twarzy. Toczy się w nim wewnętrzna walka między tym, co o mnie wie – jestem mu obca – i tym, kim podobno dla niego jestem, czyli żoną. Prawdopodobnie wydaje mu się, że poczuje się przy mnie bardziej swobodnie, kiedy powrócą wspomnienia. Dopadają mnie wyrzuty sumienia, bo przekona się, że będzie zupełnie inaczej. Po moim policzku spływa kolejna łza.

– Idź stąd, i to już – mówi. – Idź, odpocznij, nic mi nie będzie. Obiecuję.

– Dobrze – szepczę, puszczam jego dłoń, odsuwam się od posłania. Obserwuje w milczeniu, gdy sięgam po torebkę, podchodzę do drzwi i w progu znowu się waham. Odzyskał przytomność zaledwie jeden dzień temu. Co, jeśli jego stan się pogorszy, kiedy będę spała?

– Idź już.

Z komiczną przesadą kiwam głową i wychodzę.

Naprawdę rozpaczliwie potrzebuję snu. Muszę odzyskać zdolność logicznego myślenia, żeby przez to wszystko przebrnąć.

6. Leo

Styczeń 2011

Nigdy nie znosiłem wiadomości tekstowych. Nie znoszę ograniczonego kontekstu i oschłego tonu, nie znoszę skrótów i literówek, które stanowią nieodłączną część tego środka przekazu. A jednak przez cały dzień po tamtej rozmowie miałem wyrzuty sumienia i martwiłem się o Molly Torrington. Z drugiej strony nie chciałem jej przytłaczać. Kiedy zapadł zmrok, znalazłem jej numer telefonu i wysłałem wiadomość: „Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej niż rano”.

Odpowiedziała, zanim zdążyłem odłożyć telefon:

„Bardzo przepraszam, że zmusiłam Cię, byś do tego wracał. Doceniam Twoją szczerość, naprawdę. Z nikim innym nie mogę o tym rozmawiać i wydaje mi się, że minie trochę czasu, zanim się z tym uporam”.

Odczytałem jej wiadomość i dopiero wtedy dotarło do mnie, że przez cały ten czas zastanawiałem się, czego w tej sytuacji oczekiwałyby ode mnie Declan. Odpowiedź była oczywista: Możesz ze mną rozmawiać, kiedy tylko poczujesz, że tego potrzebujesz.

Szczerze mówiąc, ja też chciałem o tym więcej porozmawiać i już to było dla mnie sporym zaskoczeniem. Tamtej nocy, gdy Declan umarł, kiedy w końcu wyszedłem ze szpitala i wróciłem do siebie, cisza huczała mi w uszach. Starłem się zasnąć, ale nie mogłem i w końcu poszedłem do domu rodziców. Usiłowali mnie pocieszyć, ale nie byłem w stanie im wytłumaczyć, dlaczego tak cierpię, ani ubrać w słowa poczucia winy, które nie dawało mi spokoju. Później właściwie już nigdy o tym nie rozmawiałem. To było zbyt szokujące, zbyt bolesne. Potem życie potoczyło się dalej i zostawiłem to za sobą.

Nie odpowiedziała od razu na moją propozycję kolejnej rozmowy. Odłożyłem telefon, poszedłem do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Nagle słyszałem dźwięk wiadomości. Spojrzałem na wyświetlacz: „Masz już plany na dzisiaj?”

Spotkaliśmy się w tej samej kafejce, ale dopiero tym razem przyjrzałem się jej dokładnie. Było to jedno z tych hipsterskich miejsc w centrum miasta, które zazwyczaj omijam szerokim łukiem. Kafejka wtulona w wąską uliczkę, wyłożoną kocimi łbami, na stromym wzgórzu, umeblowana przedziwną eklektyczną mieszanką staroci, przyciągała młodych ludzi.

Molly siedziała przy stoliku przy oknie. Kiedy do niej podszedłem, czytała coś na wyświetlaczu telefonu. Dopiero wtedy miałem okazję przyjrzeć się jej dokładnie. Ta dorosła Molly, mimo zawodowego sukcesu, wydawała się bardzo

krucha, bardzo wrażliwa. A może sprawiały to tylko okoliczności, w których się spotykaliśmy.

– Niepotrzebnie cię prosiłam, żebyś przyszedł, i tak zajęłam ci już zbyt dużo czasu. – Skrzywiła się, gdy usiadłem naprzeciwko.

Wskazałem temblak na ramieniu.

– Pracować nie mogę, pisać nie mogę, ćwiczyć nie mogę. Zostaje siedzenie w domu i liczenie godzin, aż wyzdrowieję, więc jeśli chcesz zająć mi trochę czasu, to idealny moment, żeby to zrobić.

– Nie mieści mi się w głowie, że cię postrzelono. I to, że w ogóle się tym nie przejmujesz.

– Kiedy jedziesz do strefy działań wojennych, możesz się spodziewać, że będą strzelać, do ciebie i wokół ciebie, więc... – Wzruszyłem ramionami. – Idiotyczne byłoby z mojej strony narzekać na coś takiego.

– To pierwszy raz?

– Pierwszy raz? – powtórzyłem i roześmiałem się cicho. – Nie, co najmniej trzeci. Jak się trzymasz po dzisiejszym ranku? – Zmieniłem temat.

– Naprawdę? – Westchnęła. Masowała czoło obiema dłońmi. – Jestem rozdarta; z jednej strony jestem załamana na myśl, że przechodził przez to wszystko sam, a jednocześnie jestem wściekła i pełna współczucia dla rodziców wobec decyzji, żeby zachować to w tajemnicy. Declan miał problem i ten problem go pokonał. To nie w porządku, ale tak bywa i nie ma się czego wstydzić.

– Jestem przekonany, że twój ojciec zawsze wierzył, że Declan wcześniej czy później upora się ze swoimi demonami, i nie chciał, żeby zarząd wiedział i później mu to wypominał. Bez względu na to, jak bardzo twój brat nabałaganiał sobie w życiu, wasz ojciec zawsze oczekiwał od niego czegoś więcej. – Nie mieściło mi się w głowie, że bronię starego Torringtona, ale przynajmniej do pewnego stopnia mu współczułem.

– Ale w tym właśnie rzecz, prawda? Tak samo traktuje mnie. – Molly skrzywiła się i przeczesła włosy palcami, wyraźnie zdesperowana. – Powierza mi najbardziej skomplikowane, najtrudniejsze projekty, a ja biorę je i wychodzę z tego obronną ręką. I co? Kiedy ojciec patrzy na efekty moich działań, widzi tylko wady, zawsze oczekuje ode mnie czegoś więcej. W oczach mojego ojca nie ma czegoś takiego jak wystarczająco dobrze. No i... – Urwała nagle, sięgnęła po kartę dań i wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Kiedy w końcu znowu zabrała głos, zniknęły z niego gniew i frustracja. Odsunęła je i zamknęła w sobie, starannie zaryglowała wewnętrzne drzwi. – Umieram z głodu. Zjesz coś?

Zamówiliśmy jedzenie. Gdy czekaliśmy na nasze dania, Molly wypytywała mnie o szczegóły mojej pracy. Kiedy mówiłem, słuchała uważnie. Widziałem takie reakcje wśród kobiet, z którymi się spotykałem. Zainteresowanie i fascynacja to pierwsza reakcja na wiadomość o mojej pracy. Kolejne to wahanie i strach. W

moim życiu było wiele wyjątkowych kobiet, ale wzorzec rozwoju tych związków zawsze wyglądał tak samo. Między innymi dlatego już dawno temu zdecydowałam, że nigdy się nie ożenię. Po pewnym czasie skierowałam tory rozmowy na jej pracę.

– Niedawno czytałem o tobie artykuł – zauważyłem cicho. – Wygląda na to, że bardzo dobrze sobie radzisz.

– To prawda – odparła lekko. – Ciężko pracuję i szybko się uczę.

– Zawsze planowałam pracę w rodzinnym biznesie – zapytałem.

– Nie miałam żadnego planu, myślałam, że może założyc własną firmę pewnego dnia – westchnęła i wzruszyła ramionami – ale potem Declan umarł i wszystko się zmieniło.

– Pracujesz w firmie ojca tylko dlatego, że Declan umarł. – Nie zdołałem zapanować nad zdumieniem w moim głosie. Znowu się skrzywiła.

– Studiowałam w Stanach, na Manhattanie, ale przeniosłam się tutaj, na uniwersytet w Sydney. Rodzice chcieli mieć mnie w pobliżu i doskonale to rozumiem. A kiedy już wróciłam, ojciec założył, że będę pracować z nim, kiedy skończę studia. Początkowo myślałam, że to tylko na początek, dla zabicia czasu, a z czasem powiem mu, że wołałabym robić coś innego. Potem rzeczywiście skończyłam studia i nie miałam serca go zranić. Poza tym, jakie to właściwie ma znaczenie: albo pracuję w firmie ojca, albo pracuję gdzie indziej? Koniec końców sprowadza się do tego samego.

– Naprawdę?

Molly zawahała się.

– Nie.

– Więc dlaczego? Powiedz mi, co byś zrobiła, gdyby Declan żył?

– To część problemu. Wydaje mi się, że gdybym dawniej miała konkretny plan... No wiesz, gdyby było coś, co naprawdę chciałabym robić, łatwiej byłoby mi sprawić ojcu zawód, ale nie miałam czegoś takiego, a ojciec chciał przekazać stery jednemu ze swoich dzieci. Zostały już tylko jedne barki, które mogły to udźwignąć.

– Jedne barki Torringtonów – poprawiłem ją. – Na świecie są pewnie dziesiątki milionów ludzi, którzy spokojnie mogliby poprowadzić waszą firmę; nie jesteś aż tak wyjątkowa.

Roześmiała się cicho i wzruszyła ramionami.

– Może nie, ale ojciec postrzega to inaczej.

– Nie możesz przez całe życie zadowalać ojca.

– Do tej pory mogę jak najbardziej.

– Jak najbardziej – powtórzyłem, ale tym razem widziałem, jak zmarszczyła czoło i zmrużyła oczy. Najwyraźniej tym komentarzem przekroczyłem niewidzialną linię. Rozłożyłem ręce na znak poddania. – Przepraszam, wiem, że to

nie moja sprawa.

– Sprawiałam, że to twoja sprawa, rozmawiając na ten temat – mruknęła pod nosem. Kelner przyniósł nasze zamówienia. Spojrzałem na kotlet wieprzowy, który zamówiłem, i zdałem sobie sprawę, że będę musiał zdjąć temblak, żeby go pokroić. Ruszyłem ręką, żeby go zdjąć, i wtedy Molly pochyliła się nad stołem.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokroić.

– Nie, ale dziękuję. – Skrzywiłem się. – Sam sobie pokroję. – Wysunąłem rękę z temblaka i metodycznie pokroiłem cały kotlet, potem spojrzałem na nią, wsuwając rękę z powrotem w opatrunek.

Obserwowała mnie z delikatnym uśmiechem na ustach.

– Takie to zabawne? – zapytałem, unosząc brwi.

– Zabawny jest twój upór. To taka typowo męska rzecz. Oczywiście bardzo cię to bolało, ale musiałeś to zrobić sam. Tylko po to, żeby nie przyjąć pomocy, choć dla mnie byłaby to bardzo prosta sprawa.

– Chodzi o godność.

– Chodzi o głupią męską dumę i ego – mruknęła w odpowiedzi.

Odłożyłem widelec i spojrzałem na nią.

– Zdenerwowałem cię, kiedy zapytałem o pracę w firmie ojca.

Zaskoczyła mnie. Umilkła, zmarszczyła brwi, a potem roześmiała się nagle i skinęła głową.

– Chyba tak, zważywszy, że odruchowo przeszłam w tryb urażonej dumy. Bardzo cię przepraszam; nie powinnam była tego robić, zwłaszcza po tym, jak miło mnie dzisiaj potraktowałeś. Cóż mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Czasami bywam wredna. Nie zasłużyłeś na to.

Coś w jej uśmiechu rozbroiło napięcie, który się we mnie wzbierało; rozplynęło się w ułamku sekundy. Musiałem odpowiedzieć uśmiechem.

– Póki nie rozwalisz mi głowy, chyba jakoś wytrzymam – odparłem. Oboje się roześmialiśmy. Molly ponownie zajęła się jedzeniem.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – zauważyła cicho.

– Tylko jednej?

– No dobra, nie rozumiem całego mnóstwa rzeczy, ale jedna szczególnie nie daje mi spokoju, a ty możesz mi to wyjaśnić – przyznała z krzywym uśmiechem. – Dlaczego właściwie przyjaźniłeś się z Declanem? Ojciec traktował cię okropnie, prawda?

– Tak. – Delikatnie mówiąc, wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że jestem niemile widziany, od mojej pierwszej wizyty w rezydencji Torringtonów do późniejszych spotkań na oficjalnych uroczystościach. Nawet teraz, dziesięć lat po tym, jak rozmawialiśmy ze sobą po raz ostatni, przewierca mnie morderczym wzrokiem, ilekroć przebywamy w tym samym pomieszczeniu.

– A Declan? – rzuciła Molly. – Z tego, co mi dzisiaj mówiłeś, wynika, że

niełatwo było się z nim przyjaźnić. – W jej uśmiechu był teraz smutek.

Odłożyłem widelec, pochyliłem się nad stolikiem i odparłem cicho:

– Wiesz, właśnie dlatego rano powiedziałem, żebyś skupiała się na wszystkich dobrych rzeczach, które o nim wiesz. Twój brat był wspaniałym człowiekiem, jednym z najbardziej hojnych, uczciwych i szczerych ludzi, których miałem w życiu zaszczyt poznać.

– Opowiedz mi o tej jego stronie – poprosiła. – Wiem, że był wspaniałym bratem, ale nigdy nie myślałam, że był hojny i szczerzy. Jak to się ma do tego, co mi dzisiaj powiedziałeś? Z mojego punktu widzenia wygląda na to, że przez większość dorosłego życia żył w kłamstwie.

Nie miałem zamiaru zdradzać jej sekretów Declana, ale bolał cynizm w jej głosie, kiedy o nim mówiła, i świadomość, że zjawił się w nim przeze mnie. Poza tym chciałem jej udowodnić, że mimo głupiej męskiej dumy i ego naprawdę potrafię przyjąć pomoc, kiedy jej potrzebuję. Tak więc odłożyłem widelec, spojrzałem na nią i opowiedziałem historię jej brata słowami, w które nigdy wcześniej jej nie ubierałem.

– Poznaliśmy się na pierwszym semestrze studiów. Wtedy moja sytuacja mieszkaniowa była, delikatnie mówiąc, niezbyt korzystna. Mieszkałem z matką, a wtedy była w bardzo kiepskim punkcie swojego życia. W każdym razie, kiedy Declan odwiedził mnie w domu... Jestem przekonany, że nigdy w życiu nie widział czegoś takiego, jak okolica, w której mieszkaliśmy. To było mieszkanie socjalne w jednym z tych wieżowców w Redfern. Wtedy w tamtych okolicach było niebezpiecznie i niewygodnie. Widziałem już wasz dom, więc oczywiście nie chciałem, żeby zobaczył, gdzie mieszkam, ale nie dawał mi spokoju i w końcu go zaprosiłem. – To było przykre wspomnienie: mama była w fatalnym stanie, kiedy mój ojciec biologiczny w końcu od nas odszedł. Musiało minąć parę lat, zanim w końcu stanęła na własnych nogach. Ja tymczasem szukałem swojego miejsca na uniwersytecie, pracowałem w dwóch pracach i nie byłem pewien, czy dam radę pogodzić to wszystko ze sobą.

– Declan dawał ci pieniądze?

– Nie bezpośrednio – odparłem i roześmiałem się. – Umarłbym ze wstydu, gdyby mi to zaproponował, i tak zapewne skończyłaby się nasza przyjaźń, ale pod koniec pierwszego semestru dziekan wezwała mnie i oznajmiła, że zostałem wybrany i przyznano mi specjalne stypendium. Po kilku tygodniach miałem tyle pieniędzy, że mogłem zamieszkać sam i spokojnie dokończyć studia. Minęło krępująco dużo czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że fundatorem mojego stypendium był nie kto inny, jak twój brat. Choć Declan zawsze się wypierał, kiedy skończyłem studia, dziekan przyznała, że to był on. – Sięgnąłem po widelec i grzebałem nim w talerzu. Po chwili dodałem: – Szczerze mówiąc, nie wiem, czy zdołałbym skończyć studia, gdyby nie tamte pieniądze. A gdybym ich nie

skończył... cóż, wokół mnie był wówczas inny świat, który zapewne wciągnąłby mnie z powrotem. Jako nastolatek nieraz pakowałem się w kłopoty i sępy już krążyły mi nad głową. Gdybym wrócił do tamtego życia, moja rzeczywistość wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Nie wierzę. – Molly zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie. – Dwadzieścia minut temu rzuciłeś nonszalancko, że zostałeś ranny w pracy. Naprawdę pozwoliłbyś na to, żeby pieniądze stanowiły dla ciebie przeszkodę?

W pierwszej chwili chciałem rozprawić się z tymi słowami. W myślach upomniałem się, że Molly dorastała w dobrobycie, który oślepia tak samo jak ubóstwo. A dzisiaj miała za sobą bardzo ciężki dzień. Choć jej ignorancja nie wynikała ze złej woli, i tak działała mi na nerwy.

– Ludzi z mojego środowiska omija mnóstwo rzeczy, właśnie ze względu na pieniądze. Kiedy zaczynałem studia, byłem pierwszym z mojej rodziny, który przekroczył progi uniwersytetu. Gdyby mnie wyrzucili, najlepsze, na co mogłem liczyć, to gówniana robota fizyczna i stagnacja na jednym stanowisku przez kolejne pięćdziesiąt lat. W najgorszym wypadku...? – Wzruszyłem ramionami. – Cóż, moi inni przyjaciele to, powiedzmy delikatnie, bynajmniej nie idealni obywatele. A to, czym zajmowaliśmy się w wolnym czasie, nie zawsze było zgodne z prawem. Nawet gdybym tylko raz trafił za kratki, nie mógłbym teraz podróżować swobodnie. To właśnie marzenie o pracy pozwoliło mi trzymać się z dala od kłopotów, ale droga, którą pokonałem stamtąd do tutaj, nie była zbyt starannie wydeptana; nikt z ludzi, których wtedy znałem, nie robił kariery zawodowej. Mój Boże, połowa ludzi z tamtego okresu mojego życia nigdy w ogóle nie pracowała.

– Ale miałeś w sobie dość determinacji, żeby dosłownie postawić wszystko na jedną kartę dla tej pracy, raz za razem, i dość talentu, żeby osiągnąć to, co sobie zamarysz. Nie mieści mi się w głowie, że dopuszczałeś do siebie myśl, że cokolwiek mogłoby cię przed tym powstrzymać – zauważyła Molly cicho.

– Większość ludzi nie rozumie jednej rzeczy, jeśli chodzi o ubóstwo. Bieda jest jak niewidzialny mur odgradzający cię od innego życia. Kiedy stoisz na ziemi i patrzysz w górę, wydaje się nie do pokonania. Kiedy już wiesz, jak sklecić drabinę, zdajesz sobie sprawę, że to tylko mur, nic więcej. Tym właśnie była dla mnie edukacja: drogą na zewnątrz, na wolność.

– A przepraszam...? A nie ma czegoś takiego, jak wsparcie finansowe od rządu? – Molly uciekła wzrokiem przy tych słowach, wypowiedzianych z pewnym wahaniem. Zawstydziłem ją. Nie chciałem tego, ale skoro już do tego doszło, nie czułem się specjalnie winny.

– Owszem, jest, ale to małe sumy. A studia to bardzo droga rozrywka – zauważyłem ostrożnie. – Nie dałbym sobie rady, gdyby nie stypendium Declana.

– Czyli są też dobre rzeczy, których nie wiedziałam o moim bracie, nie tylko złe.

– Nauczył mnie szukać w ludziach dobra, owszem. Nasza przyjaźń była czasami trudna i dziwna, ale była tego warta. Był fantastycznym człowiekiem. Jeżeli za sprawą moich słów zmieniłaś o nim zdanie, żałuję, że cokolwiek powiedziałem.

– Nie, postąpiłaś słusznie. Po prostu muszę się przyzwyczaić do myśli, że miał także zupełnie inne oblicze, którego nigdy nie widziałam. – Zerknęła na mnie.
– Ojciec był przerażony, kiedy po raz pierwszy przyprowadził cię do nas do domu. Wiecznie się o ciebie kłócili.

– Chronił swojego syna – odparłem cicho. Bronilem Laitha Torringtona drugi raz tego samego dnia. Chyba oszalałem. – Może postępował słusznie.

– Jak możesz tak mówić! Chyba nie uważasz się za winnego decyzji, które podejmował Declan.

– Tu nie chodzi o obwinianie się, jestem realistą. – Nagle znowu nie mogłem na nią patrzeć, więc wbiłem wzrok w bukiet na środku stolika. – Jest jednak spora szansa, że żyłby nadal, gdyby nasze drogi nigdy się nie przecięły. Oczywiście nie miałem nawet cienia złych intencji, ale otarł się o ten świat przeze mnie.

– Co za stek bzdur – stwierdziła Molly.

Podniosłem na nią wzrok i wzruszyłem ramionami.

– Być może.

– Spójrz na mojego ojca: ma sześćdziesiąt cztery lata, ale odkąd skończył szkołę, nie był na nawet jednodniowym urlopie. Kiedy w zeszłym roku miał atak serca, lekarz powiedział mu, że jeśli nie zwolni, umrze. Co zrobił? Zwolnił lekarza i znalazł takiego, który przepisuje mu leki, a nie odpoczynek. Ojciec jest równie uzależniony, jak według ciebie był Declan, tylko że jego narkotykiem jest praca. Gdyby nie heroina z rąk twojego kuzyna, zapewne byłby to inny narkotyk, który kupiłby przez jednego z bogatych przyjaciół. Wydaje mi się, że zrobiłaś coś innego; dałaś mojemu bratu przestrzeń, do której mógł uciekać, ilekroć świat walił mu się na głowę. Nawet nie usiłuję sobie wyobrazić, jak wiele cię to kosztowało. – Nakryła moją dłoń swoją, ścisnęła lekko. Zaskoczył mnie jej dotyk. Nigdy nie oczekiwałem, że mnie dotknie, a już na pewno nie spodziewałem się, do jakiego stopnia moją uwagę rozproszy miękkość jej dłoni na moim przedramieniu.

Choćbym chciał, nie mógłbym nie dostrzec urody Molly, ale aż do tamtej chwili obserwowałem ją niejako z oddalenia. Jej skóra na mojej zmieniła wszystko, bo nagle nie była już tylko piękną kobietą; była piękną kobietą, która mnie dotykała i intensywnie patrzyła mi w oczy. Coś się zmieniło w naszej rozmowie za sprawą tego dotyku. Ciekawość i współczucie, które czułem, zniknęły, aż nagle byłem świadomy jej obecności, jakby tętno przyśpieszyło. Jakby z każdym uderzeniem serca ta świadomość narastała, przybierała na sile. Czułem jej zapach w powietrzu, widziałem lśnienie jej ust. To wszystko było jeszcze bardzo niewinne, ale nagle moje myśli już takie nie były. Między nami było napięcie, kryło się

głęboko w nostalgicznej rozmowie i dramacie tego, czego przed chwilą dowiedziała się o bracie. Czy ona także to czuła? Jej ręka spoczywała na moim nadgarstku.

– Masz bardzo dużo tatuaży – zauważyła nagle. Wzrokiem dotykała tego samego miejsca na moim przedramieniu, gdzie spoczywała jej dłoń. – Czy one coś znaczą?

Zdałem sobie sprawę, że jej palce są obok tatuażu, który zrobiłem tuż po śmierci jej brata. Nigdy nikomu nie tłumaczyłem ich znaczenia, ale teraz nagle poczułem, że muszę to zrobić. Znaczenie moich tatuaży jest bardzo osobiste. Nie mówiłem o tym do tej pory, nie chciałem. To była moja i tylko moja prawda. Co oznaczał fakt, że chciałem podzielić się nią z tą kobietą? Ledwie ją znałem, ale wiedziałem jedno – ona także straciła Declana i zrozumie moją rozpacz po jego śmierci.

Palcami rannej ręki niezdarnie wskazywałem symbole na przedramieniu, obok jej dłoni: dwa łuki otaczające kilka kropek.

– Ten tatuaż zrobiłem na cześć Declana – powiedziałem cicho. – Dwóch mężczyzn siedzących razem, co symbolizuje przyjaźń. Wiesz, co to smutny interes?

Przecząco pokręciła głową.

– W przeszłości na tym kontynencie mieszkały setki plemion Aborygenów. Każde z nich miało własną kulturę, ale śmierć zawsze stanowiła obiekt wielu rytuałów, to właśnie był smutny interes. Jest wiele sposobów upamiętniania i wspominania odchodzących. Wszyscy moi przodkowie pochodzili z miasta i te tradycje w naszej rodzinie zaginęły. To, co wiem o tradycyjnych zwyczajach mojego ludu, pochodzi z ksiązek, ale śmierć Declana była pierwszą sytuacją, gdy smutek mnie naznaczył. Nie miałem pojęcia, jak sobie z tym poradzić, więc wypracowałem własny rytuał.

Molly powoli cofnęła rękę, ale jej palec natychmiast dotknął kolejnego tatuażu. Obrysowała kształt niemal machinalnie, a ja obserwowałem, jak jej palec wędruje po mojej skórze. Jej dotyk był o wiele bardziej znajomy, niż mogłaby na to wskazywać nasza przelotna znajomość. Zadziwiające, zważywszy, że byliśmy w pełni ubrani, właściwie sobie obcy, i siedzieliśmy w miejscu publicznym. Czułem, jak w moich żyłach rozpala się ogień.

– Czy te tatuaże ciągną się przez całe ramię i przez drugą rękę? – zapytała szeptem. Do tego stopnia koncentrowałem się na delikatnym tarciu jej palca o moją skórę, że mało brakowało, a nie usłyszałbym pytania, a kiedy w końcu do mnie dotarło, nagle pożałowałem tego, jak potoczyła się rozmowa. W milczeniu skinąłem głową i kombinowałem gorączkowo, jak przenieść ją na inne tory, ale byłem zbyt powolny. Molly zadała kolejne pytanie: – A co oznaczają pozostałe?

– To samo – wyznałem niechętnie. – Każdy upamiętnia kogoś, kogo

straciłem na polu bitwy. Każdy ma swoją historię. To przypomnienie osób, które na mnie wpłynęły, a potem odeszły.

– Boże – szepnęła. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie intensywnie. – To bardzo dużo rozpaczy jak na jedno życie, Leo.

– To sprawa zamknięcia, sposób, żeby oddać im cześć. – Nagle poczułem się obnażony i nie było mi z tym najlepiej. Cofnąłem rękę wyprostowałem się na krześle. – Rzadko o tym mówię.

– Myślałam dzisiaj o tobie – stwierdziła nagle Molly. Cofnęła dłoń. Teraz oparła łokcie na stole i podparła głowę rękami. – Mogłeś powiedzieć prawdę o śmierci mojego brata w każdej gazecie na świecie i w zamian dostać stanowisko, jakie sobie tylko zamarzysz, ale tego nie zrobiłeś.

– Oczywiście, że nie.

– W takich sprawach nie ma: oczywiście. Znam wielu dziennikarzy i większość z nich napisałaby ten artykuł.

– Żaden przyzwoity człowiek nie napisałby czegoś takiego, tylko zachował dla siebie, gdyby chodziło o kogoś bliskiego jak rodzony brat. Na Boga, kto zadałby taki cios pogrążonej w żałobie rodzinie?

– Może ktoś, kogo ta rodzina upokorzyła na pogrzebie najlepszego przyjaciela? – podsunęła miękko.

Energicznie pokręciłem głową.

– Nigdy nawet nie brałem tego pod uwagę.

– No właśnie o to mi chodzi. Nie chciałam cię zaatakować! Ja tylko... – Westchnęła, uśmiechnęła się do mnie. – Dziękuję. Sposób, w jaki zareagowałeś w tej sytuacji, wiele o tobie mówi.

– Cóż, nie byłaś tak przejęta, jak się obawiałem tego ranka.

– Kiedy się rozstaliśmy, trochę płakałam – przyznała bez wysiłku. – Ale już wcześniej wiedziałam, że coś w tym wszystkim nie trzyma się kupy. Tak naprawdę już dawno opłakałam Declana. Straszne, co się stało, ale to zawsze było straszne. Odezwałam się do ciebie, bo chciałam poznać prawdę nie po to, żeby pogodzić się z jego odejściem, bo to już mam za sobą, mniej więcej. Poza tym – skrzywiła się – ja naprawdę nie jestem płaczliwa. Sporą część życia spędziłam w oku opinii publicznej. Nieźle sobie radzę z zachowaniem kamiennej twarzy, kiedy to potrzebne.

Sięgnęła po widelec i ponownie zabrała się do jedzenia, podobnie jak ja. Przez kilka chwil jedliśmy w milczeniu. Nie byłem w stanie ocenić tego milczenia; nie było to przyjazne, wygodne milczenie dwóch starych przyjaciół, ale też nie była to niezręczna cisza między nieznajomymi. Czułem się nieswojo; opowiedziałem jej rzeczy, o których nie chciałem rozmawiać, a teraz byłem boleśnie świadomy jej bliskości i nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić.

Ponownie zaczęliśmy rozmawiać. Była to błaża rozmowa o niczym,

jakbyśmy oboje w milczeniu postanowili choć na chwilę rozluźnić atmosferę. Rozmawialiśmy o jej pracy, wypytywała mnie o moje zlecenia. Po pewnym czasie, kiedy skończyliśmy jeść, rozmowa umarła naturalnie. Zapłaciliśmy rachunek po połowie i razem wyszliśmy z restauracji w stronę stacji kolejki.

Przy wejściu do budynku wyciągnąłem rękę i podałem jej.

– Powodzenia, Molly. Jeżeli będziesz chciała pogadać, masz mój numer telefonu.

Spojrzała na moją rękę, roześmiała się cicho i objęła mnie mocno w talii. Odwzajemniłem uścisk zdrową ręką. To był niewinny gest z jej strony, tego byłem pewien, co nie zmieniało faktu, jak na mnie podziałał. Pasowała do mnie idealnie. Była doskonałą mieszanką delikatności i siły. Chłonałem przyjemne ciepło, które czułem przez ubranie. Nawet gdy się odsunęła, byłem przekonany, że jej zapach został na mnie, jakby chciała mnie sobą naznaczyć. Tego dnia odbyliśmy razem podróż w przeszłość, a wspólna rozpacz to silna więź.

– Nie będziesz zły, jeśli znowu do ciebie zadzwonię?

– Oczywiście, że nie.

– Dziękuję, Leo. Za wszystko.

Skinąłem głową. Uśmiechnąłem się i odszedłem kilka kroków. Już kombinowałem, jak mógłbym się znowu z nią spotkać, żeby głównym tematem naszych rozmów nie był jej brat.

7. Molly

Lipiec 2015

Nastawiam budzik na telefonie na lunch i uciekam do rozkosznie wygodnego hotelowego łóżka. Rozkoszuję się świadomością, że leżę wyprostowana na odpowiednio długiej powierzchni, ale zaraz sen bierze górę.

Kiedy się budzę, od razu zdaję sobie sprawę, że jest już późne popołudnie i przespałam dźwięk budzika. Biorę prysznic, myję włosy, potem wkładam pierwsze ciuchy, które wpadną mi w ręce. Szybko pokonuję przecnicę dzielącą mnie od szpitala. Zatrzymuję się tylko w restauracji po drodze i biorę na wynos spore opakowanie przekąsek na ciepło. Biegnę korytarzem w stronę OIOM-u. Widzę w lustrze swoje odbicie i jęczę głośno: jakimś cudem po godzinnym śnie i prysznicu wyglądam jeszcze gorzej niż poprzednio. Moje włosy są niesforne i pogniecione. Mam na sobie spódnicę w geometryczny wzór w odcieniach pomarańcza i różu, do tego bluzkę w żółto-niebieskie paski. Wyglądam jak klaun. Na tę myśl ogarnia mnie histeryczny śmiech.

Craig Walker i lekarz, którego nie znam, siedzą w pokoju Leo. Widzę dokładnie wyraz ich twarzy – nie przekazują Leo najlepszych wieści. Zatrzymuję się w progu z ręką na klamce.

– Proszę wejść – mówi cicho Craig. – Doktor Fido to neurolog. Leo miał dzisiaj testy. Teraz rozmawiamy o wynikach.

Popycham drzwi, wchodzę do środka. Trzej mężczyźni kierują wzrok na mnie. Ja jednak koncentruję się na Leo.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Chcesz, żebym tu była? Bardzo mi przykro, przespałam budzik.

– Wejdz – mówi Craig. – Powinnaś tego posłuchać. Doktor Fido to neurolog Leo. Pomagałem Leo zrozumieć doktora.

– Dzień dobry, pani Stephens – odezwał się doktor Fido i wyciąga do mnie rękę.

Ściskam ją i odwzajemniam powitanie.

– Rano robili mi różne testy neurologiczne – mówi Leo.

– Doktor Fido tłumaczył, skąd prawdopodobnie biorą się problemy z poruszaniem się Leo, jeśli chodzi o dolną część ciała – mówi cicho Craig.

Słucham, przez kilka minut staram się cokolwiek zrozumieć z medycznego bełkotu, podczas gdy doktor Fido i Craig tłumaczą mi, czego się dowiedzieli: Leo ma problem z koordynacją mięśni nóg i utrzymaniem równowagi. Te symptomy to najprawdopodobniej efekt tego, gdzie umiejscowione było pęknięcie i związanych

z tym urazów mózgu. W tej chwili za wcześnie, żeby stwierdzić, czy to działanie długotrwałe. Lekarze sugerują intensywną rehabilitację, żeby wesprzeć stronę fizyczną, póki mózg dochodzi do siebie.

– Ale jesteście dobrej myśli? – pyta Leo.

Wydźwięk tej dyskusji sprawia, że się o niego martwię. Mam ochotę wziąć go za rękę, ale jednocześnie nie chcę, żeby poczuł się nieswojo.

– Naprawdę zdecydowanie za wcześnie, żeby prognozować cokolwiek na dalszą przyszłość – mówi Craig. – Widzimy z wyników badań, że doznałeś urazu mózgu, ale to wyjątkowy organ; z czasem dojdzie do siebie, a przy wsparciu rehabilitacyjnym dostosuje się, nawet gdyby doszło do trwałych uszkodzeń.

– Ja po prostu muszę wiedzieć, że będę znowu chodził – mówi Leo ostrożnie. – Nie wyobrażam sobie innej opcji, czyli tego, że nie mógłbym chodzić. – Urywa. Teraz dopiero biorę go za rękę i ściskam ją. Puszczę, jeżeli będzie chciał się wycofać, ale jeśli nie, będę go trzymać z całej siły, żeby ani na chwilę nie zapomniał, że jestem przy nim i chcę go wspierać w tych trudnych momentach.

Doktor Fido i Craig rozmawiają przez chwilę po włosku. Obserwuję twarz Leo. Jest przerażony, ale ze wszystkich sił stara się tego nie okazywać. Po dłuższym czasie w końcu odwzajemnia mój wzrok. Uśmiecham się niespokojnie. Nie odpowiada uśmiechem, ale też nie odwraca głowy.

– Największe szanse na odzyskanie pełnej mobilności pojawią się, jeżeli jak najszybciej zaczniemy rehabilitację, ale nie możemy ci niczego zagwarantować.

– Wiem, że na całym świecie miliony ludzi prowadzą pełne szczęśliwe życie na wózkach inwalidzkich – odpowiada Leo sztywno. – Ale ja tego nie potrafię. Nie jestem w stanie pracować na wózku. Nic w moim życiu nie będzie jak dawniej, jeżeli nie będę mógł chodzić.

– Zawsze można się dostosować i nauczyć wszystkiego od nowa – zauważa delikatnie Craig. – Ale w tej chwili wybiegasz myślami za daleko w przyszłość. Pierwszy krok do odzyskania zdrowia to przede wszystkim więcej odpoczywać. Kolejny krok to rozpoczęcie rehabilitacji w Sydney. Na szczęście działają tam światowej klasy programy pomocy ludziom z urazem mózgu.

– A amnezja? – przypominam nieśmiało.

– Jesteśmy przekonani, że ustąpi w swoim czasie. – Craig ponownie patrzy na Leo. – W przypadkach takich jak twój, gdy pacjent jest w stanie budować nowe wspomnienia, a utracił jedynie część poprzednich wspomnień, prognoza jest naprawdę bardzo, bardzo dobra. Najprawdopodobniej większość brakujących wspomnień wróci, gdy ustąpi obrzęk mózgu.

– Już sobie coś przypomniałem – przyznaje cicho Leo. Zerkam na niego, zaskoczona. Widzę po tym, jak na mnie patrzy, że przypomniał sobie coś o nas, a sądząc po cieple w jego oczach, wspomnienie dotyczy początków naszego związku.

– To bardzo zachęcające – mówi Craig.

– Czy jest coś, co mogę zrobić, żeby to przyspieszyć? – pyta Leo. Entuzjastycznie kiwa głową.

– Właśnie – włączam się. – Czy są jakieś leki? Może jakaś terapia, którą moglibyśmy zastosować w przypadku Leo?

– Nie, niestety nic nie da się zrobić. Jedyne lekarstwo to czas i cierpliwość. – Leo i ja wzdychamy jednocześnie. – Teraz przejdźmy do dobrych wieści. – Najwyraźniej lekarz jeszcze nie skończył. – Możesz już podróżować, ale tylko drogą powietrzną i tylko samolotem medycznym. Twój stan zdrowia nie pozwala jeszcze na lot zwykłym samolotem pasażerskim.

– Załatwię zespół medyczny do naszego samolotu – mówię. Craig kiwa głową, za to Leo śmieje się pod nosem i zauważa sucho: – Oczywiście, naszego samolotu. Jak mógłbym zapomnieć.

Nienawidzę sarkazmu. A jego uwaga to przypomnienie tego, jak było między nami, co mnie boli bardziej niż powinno.

– Chcesz wracać do domu czy nie? – Spojrzenia lekarzy natychmiast kierują się na mnie. Rumienię się, a potem ze wszystkich sił staram się, by w kolejnych słowach po ostrym komentarzu było już tylko delikatne tłumaczenie: – Należy do moich rodziców, ale w każdej chwili mogę z niego korzystać. Możemy wracać do domu, jeśli tego chcesz, Leo.

Lekarze szykują się do wyjścia. Mówię Leo, że muszę iść do łazienki, w drodze do drzwi podaję mu pudełko z przekąskami. Czekam na Craiga w korytarzu.

– Jak się trzymasz, Molly?

– Ja... w porządku – mówię. – Ale chciałam prosić cię o radę.

– Bardzo chętnie ci pomogę.

Szukam słów, żeby wytłumaczyć nasze położenie. Nie chcę przyznać, że znaleźliśmy się w koszarnej sytuacji, że sami jesteśmy temu winni – nawet jemu, lekarzowi, z którym wkrótce się pożegnaję i nigdy więcej nie zobaczę.

– Mówiłeś, że mamy zapewnić mu spokój. Do jakiego stopnia? Jest tyle rzeczy, które zapomniał. Sama nie wiem, od czego zacząć. Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć.

– Szczerze mówiąc, sugeruję, żebyś zdała się na instynkt. Chyba będziesz wiedziała, kiedy będzie gotów usłyszeć to wszystko, co musisz mu powiedzieć.

Wbijam wzrok w podłogę i usiłuję sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało w praktyce.

Craig cicho dodaje:

– Myślę, że przede wszystkim musisz zapytać sama siebie, co, twoim zdaniem, powinien wiedzieć. Musisz być jego przewodniczką, prowadzić go od dzisiaj do chwili, gdy sam sobie wszystko przypomni, ale jednocześnie pozwolić,

żeby sam o własnych siłach na nowo poznawał świat, i zarazem dawać mu dość informacji, by potrafił go zrozumieć.

Trochę trwa, zanim wezmę się w garść. Kiedy wracam do pokoju, widzę, że Leo z apetytem zajada swoje przekąski. Siedzi na posłaniu bardziej swobodnie, już nie wtula się tak panicznie w poduszki. Na stoliku obok niego leży gazeta. O tak, Leo zdecydowanie wraca do siebie.

– Fantastyczne – mówi.

– Między szpitalem a moim hotelem jest cudowna pizzeria. W ciągu ostatnich dwóch tygodni pochłonęłam więcej węglowodanów niż w ciągu minionego roku. Dobrze będzie w końcu wrócić do domu.

– W ośrodkach rehabilitacji na pewno są długie listy oczekujących.

Mnie także to przyszło do głowy, ale mam już plan B – jeżeli nie uda nam się znaleźć odpowiedniego miejsca dla Leo, zatrudnimy terapeutów i rehabilitantów, żeby przychodzili do nas do domu. Będzie musiał wprowadzić się do mojego mieszkania – w jego domu jest jednak zdecydowanie za dużo schodów.

– Załatwię wszystko, Leo, damy sobie radę.

Przez chwilę milczymy oboje. Potem Leo przesuwa opakowanie przekąsek w moją stronę. Biorę kawałek grzanki.

– Mówiłeś, że coś sobie przypominałeś – zauważam.

– Kilka naszych spotkań. Kiedy rozmawialiśmy o Declanie, nie, wcześniej, kiedy o tym... Wydawało mi się... – Szuka odpowiednich słów, a potem mówi: – To było jak... Bo ja wiem, jak déjà vu; znajome, jakbym już tam kiedyś był, ale zapomniał, jak tam wrócić. – Znowu się waha, a potem dodaje niepewnie: – Bardzo trudno to wytłumaczyć, ale pamiętam, jak sobie pomyślałem... – Urywa, bardzo starannie dobiera kolejne słowa: – Pamiętam, jak sobie myślałem, że gdybym poznał kobietę taką jak ty, w innych okolicznościach umówiłbym się z nią na randkę.

– A co do tej pory sobie przypominałeś?

– Na razie nie ma nic romantycznego.

– Pamiętasz tamtą noc, gdy poszliśmy na drinka w porcie Darling?

Koncentruje się, potem wzdycha sfrustrowany i zaprzecza ruchem głowy.

– A mogłabyś mnie tam zabrać? – pyta nagle. – Do portu Darling i innych miejsc, w których się spotykaliśmy? No wiesz, kiedy będziemy już z powrotem w Sydney, i pozwolą mi wychodzić z domu? Zobaczymy, może wtedy powrócą mi wspomnienia.

Przyglądam mu się badawczo. Sama nie wiem, co sądzić o tym pomysle. Ze strony Leo to rozsądne, że chce zobaczyć miejsca, w których się spotykaliśmy, ale jest mi wystarczająco trudno; nie chcę tam wracać i przypominać sobie wszystkiego, co straciliśmy. Upominam się, że w tej chwili najważniejsze jest jego zdrowie, nawet jeśli powrót do tamtych miejsc sprawi mi przykrość. Leo stanowi

bardzo ważną część mojego życia i muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

– Oczywiście, jeśli uważasz, że to pomoże.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jak najszybciej wrócić do siebie, spróbuję wszystkiego. Trująca jest świadomość, że mam pytania, których nawet nie potrafię zadać. Mówiłaś wcześniej, że twój ojciec nie bierze udziału w naszym życiu, ale korzystamy z jego samolotu.

– Zazwyczaj naprawdę nie bierze udziału w naszym życiu. Ja jednak nadal czasami się z nim spotykam i często rozmawiam z mamą. Dzwoniłam, żeby im powiedzieć, co się z tobą stało i powiedzieli, że mogę skorzystać z samolotu; to nic takiego, ojciec i tak ma drugi firmowy.

– Nie mieści mi się w głowie, że się z tobą związałem – mówi Leo.

– Wiem, co miałaś na myśli. – Zerkam na zegarek i w myślach obliczam różnicę czasu. – W domu jest bardzo wczesny ranek, ale powiedziałam Anne, że dzisiaj do niej zadzwonisz. Jak się czujesz po tylu badaniach? Jesteś bardzo zmęczony?

– Nie, spokojnie. Odpoczywałem, zanim przyszli lekarze. Może opowiesz mi coś o sobie? Naprawdę chciałbym cię trochę lepiej poznać.

– A co chcesz wiedzieć?

– Twój ulubiony kolor?

– Od tego chcesz zacząć?

– Równie dobry początek jak każdy inny, a naprawdę nie sposób tego wywnioskować z kolorów, które masz na sobie.

Zerkam na mój strój prawie klauna i krzywię się pod nosem.

– No tak, tak bardzo się spieszyłam, żeby tu wrócić, że nawet nie patrzyłam, co na siebie wkładam.

– Zastanawiałem się właśnie, czy moda aż tak bardzo zmieniła się w ciągu czterech lat.

Ubrania Leo to tuziny takich samych drelichowych spodni i koszul; moda w ogóle go nie interesuje.

– Akurat jakbyś miał jakiegokolwiek pojęcie o modzie! – Cudownie jest znowu śmiać się razem z Leo. Dawno, dawno temu znaczną część naszego życia stanowił wspólny śmiech i radość.

– Mój ulubiony kolor to żółty.

– A mój?

– To podstępne pytanie. Nie masz jednego ulubionego koloru.

– Twoje ulubione danie?

– Coś, czego nie muszę sama gotować. A ty lubisz proste jedzenie, zjesz właściwie wszystko, zwłaszcza w podróży, ale w domu najbardziej pragniesz prostoty. Kiedy zamieszkaliśmy razem, wróciłeś z pierwszej dalekiej podróży, a ja

tak bardzo się cieszyłam, że jesteś w domu, że ugotowałam elegancki czterodaniowy obiad. Zazwyczaj nie gotuję, więc z mojej strony był to nie lada gest. Nie miałeś serca powiedzieć mi, że miałeś swój własny mały rytuał i że przeszkadzam ci w nim, więc kiedy już poszłam spać, wymknąłeś się na dół. Przyłapałam cię przy stoliku z filiżanką herbaty i twoim ukochanym tostem z pastą warzywną.

Leo kiwa głową, jakby wiedział doskonale, co mam na myśli.

– Zaczęło się bardzo praktycznie. Zawsze miałem chleb w zamrażalniku, a pasta warzywna właściwie nigdy się nie psuje, więc nie miało znaczenia, która jest godzina i że akurat wróciłem prosto z lotniska. Nic tak bardzo nie kojarzy mi się z Australią i domem jak porządny staroświecki tost z pastą warzywną. Wcale nie chciałem, żeby z tego zrobił się rytuał.

– W każdym razie mam nauczkę, że nie wolno ci przeszkadzać, kiedy wracasz do domu, i od tej pory tylko machałam ci z kanapy i czekałam, aż skończysz jeść.

Leo marszczy brwi.

– Ale chyba nie ignorowałam cię przez cały ten czas, kiedy jadłem kolację?

– Szczerze mówiąc, właśnie tak było.

– Nie wkurzało cię to?

– Owszem, czasami mnie to denerwowało, ale przede wszystkim rozumiałam, że w ten sposób oddzielasz życie prywatne od pracy; to była twoja chwila przerwy przed powrotem do nas, do naszego życia.

Szczerze mówiąc, tolerowałam ten jego idiotyczny rytuał tylko dlatego, że aż do chwili, gdy sprawy między nami naprawdę się popsuły, zawsze mi to wynagradzał. Bo miał także inny rytuał, który odbywał się zaraz po grzance w kuchni. Ten drugi rytuał to długie objęcia na kanapie, chwile pełne czułości i emocji. Nawet kiedy był wykończony, zawsze zdobywał się na wysiłek, żeby naprawdę do mnie wrócić. Leo nigdy nie przeprosza, ale nauczyłam się interpretować każdy czuły gest w tych chwilach bliskości jako prośbę o przebaczenie.

– Co najchętniej robimy razem? – pyta teraz.

Zastanawiam się przez chwilę, a potem odpowiadam lekko:

– Uwielbiamy oglądać programy w telewizji.

– Jezu, teraz mam nadzieję, że kłamiesz. Ja nie oglądam telewizji. – Jest przerażony, dokładnie tak, jak się spodziewałam. Uśmiecham się szeroko i przez chwilę zatracam się we wspomnieniach – noce na kanapie przy jego ciepłym ciele, które czuję przez ubrania, gdy leżymy spleceni. Ja otoczona jego zapachem w poświacie bijącej od telewizora. Wtedy naprawdę byliśmy razem, wtedy wszystko było w porządku.

– Zazwyczaj siadaliśmy razem po kolacji; ja oglądałam telewizję, ty czytałeś

– wyjaśniam. – Co jakiś czas podnosiłeś głowę znad książki i rzucałeś aroganckie uwagi na temat programu, który akurat oglądałam. Zazwyczaj udawałam, że jestem obrażona. To taka nasza gierka. – Nawet nasze przekomarzenia były idealne w tamtych cudownych, pierwszych dniach, pełne czułości, miłości i ciepła, które przenikają nas do szpiku kości, tworzą całość z jednostek.

Boże, jak ja bardzo za nami tęsknię.

– Aha, czyli rzucałem pogardliwe wyniosłe uwagi na temat programów telewizyjnych, czytając dobrą książkę. A sarkazm jest zdecydowanie w moim stylu. – Leo śmieje się, ale wtedy co innego zwraca jego uwagę. – A moja rodzina? Wszystko z nimi w porządku? Może powinienem o czymś wiedzieć, zanim zadzwonię do mamy.

Zmiana tematu. Nie chcę zbyt długo wspominać naszych szczęśliwych chwil. Naprawdę nie mogę o tym myśleć. Ból utraty jest nadal zbyt dotkliwy. Przez kolejnych kilka minut opowiadam, co się działo w rodzinie Stephensów, opowiadam o dwójce niewiarygodnie energicznych dzieciaków, które doprowadzają jego przyrodnią siostrę Teresę do szaleństwa. Pokazuję mu zdjęcia na telefonie, a Leo zauważa, że jego zdaniem są do niego trochę podobni. Śmieję się, bo nie łączy go z tymi dziećmi więź biologiczna, ale to samo powiedział tuż po ich przyjściu na świat.

Mówię mu, że jego mama jest jak zawsze w dobrej formie, a ojczym Andrew ciągle pracuje zbyt dużo, ale też czuje się nieźle. Nie mówię mu o pracy, którą wykonuje razem ze mną – wymagałoby to zbyt wielu wyjaśnień, łatwiej będzie w Sydney, kiedy będzie mógł to zobaczyć na własne oczy.

Pielęgniarka przynosi tacę z kolacją, którą Leo pochłania, a ja uruchamiam wideorozmowę z jego rodzicami. Anne szlocha przez cały czas, co chwilę zapomina, że to rozmowa wideo, i unosi telefon do ucha, ale Andrew i Leo jak zwykle starają się zachować fasadę prawdziwego macho. Obaj zaskakująco często pękają i odwracają wzrok od kamery, ale znam ich zbyt dobrze, by dać się nabrać choćby na chwilę. Po skończonej telekonferencji widzę, że Leo jest coraz bardziej zmęczony.

– Dzisiaj będziesz spała w hotelu, prawda? – mówi do mnie.

– Chyba że nie chcesz, mogę tu zostać, ale muszę też wykonać mnóstwo telefonów – odpowiadam.

– Spokojnie, wyśpij się, dobrze?

Ta rozmowa wydaje się dziwna i zarazem znajoma, bo na samym początku taki właśnie był Leo – troskliwy, wrażliwy, czuły, a z drugiej strony jest dziwna, bo w ciągu minionego roku tak bardzo się od siebie oddaliliśmy, że niemal już zapominałam, że na początku czułam się przy nim tak bezpieczna.

Po powrocie do hotelu przez pół nocy wydzwaniam w różne miejsca, szukając odpowiedniego ośrodka rehabilitacyjnego z wolnymi miejscami. Udaje mi

się załatwić mieszkanie dla Leo, ale jest ono na drugim końcu miasta i nawet gdyby je zaakceptował, zastanawiam się, jak mamy sobie z tym poradzić. Następnie dzwonię do mojego asystenta, Tobiasa. Proponuje, że zorganizuje samolot i wyposażenie medyczne, niezbędne do transportu, na następne popołudnie.

W końcu rozłączam się. Cisza pokoju hotelowego stanowi kontrast wobec szaleństwa moich myśli. Nie mieści mi się w głowie, że wracamy do domu, i to oboje.

Kładę się do łóżka, ale nie mogę zasnąć, leżę wpatrzona w sufit. Staram się zrozumieć, zdecydować, co powiedzieć Leo, i przede wszystkim – kiedy. To równanie, którego sama nie zdałam rozwiązać, ale jednocześnie nie bardzo mogę prosić o pomoc, bo chyba nikt poza Leo i mną nigdy nie zrozumie, co między nami poszło nie tak.

8. Leo

Styczeń 2011

Nigdy nie uważałem się za człowieka szczególnie impulsywnego, ale przyznaję, że działałem pod wpływem instynktu. Kiedy przecucie mówi, że mam coś zrobić, właściwie zawsze go słucham. Dokładnie sobie to przemyślałem. To zarówno wada, jak i zaleta, jeśli chodzi o pracę. Kiedy instynkt podpowiada, że mam podejść do danego tematu w określony sposób, robię to bez namysłu, koncentruję się tylko na szukaniu rzadkich, oryginalnych historii, które wydarzyły się poza strefą bezpieczeństwa, z dala od linii frontu, które sięgają głębiej niż tylko powierzchowna analiza, którą zadowala się większość moich kolegów w strefie działań wojennych.

Jeśli chodzi o Molly, instynkt odezwał się po tamtej kolacji w kafejce. Bardzo chciałem się jeszcze z nią zobaczyć; właściwie nie tylko chciałem, musiałem się z nią zobaczyć. Tylko w ten sposób mogłem zrozumieć, czy więź, którą z nią poczułem, to efekt uboczny tematów, które poruszaliśmy w związku ze śmiercią jej brata. Wahalem się, wiedziałem, że nie mogę tak po prostu zadzwonić do niej i umówić się na randkę. Podczas naszych pierwszych rozmów śmierć Declana była zarówno pretekstem, dla którego mogłem się z nią jeszcze raz zobaczyć, jak i powodem, dla którego musiałem działać ostrożnie.

W czwartek postanowiłem, że zorganizuję spotkanie i odezwę się do niej w sprawie Declana, a potem zobaczymy, jak potoczy się rozmowa. Zadzwoniłem do niej.

– Witaj, Leo – powitała mnie ciepło.
– Cześć, może dzwonię w nieodpowiedniej chwili?
– Nigdy nie ma odpowiedniej chwili. – Westchnęła, ale słyszałem uśmiech w jej głosie. – Jak się masz? Jak bark?
– Z największą przyjemnością informuję, że rozstałem się z temblakiem.
– To naprawdę dobre wieści! Czyli wracasz do pracy?
– Jeszcze nie, ale już wkrótce. Nadal nie wolno mi zbyt dużo robić, ale przynajmniej teraz mogę sam kroić swoje jedzenie.

Roześmiała się cicho.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś, naprawdę.
– Ja też. – Rozsiadłem się na kanapie i położyłem nogi na stoliku.
– Masz czas na drinka? – zapytała. – Przemyślałam sobie pewne rzeczy po naszej ostatniej rozmowie. Gdybyś zechciał poświęcić mi jeszcze chwilę, chciałabym z tobą porozmawiać.

– Oczywiście, że poświęcę ci chwilę – odparłem cicho. Spokój w moim głosie nie zdradzał, jak bardzo się cieszyłem, przyjmując jej zaproszenie.

Tego wieczoru umówiliśmy się w barze w porcie Darling.

Kolejny lokal to dla mnie dziwne miejsce, zważywszy na nieprzyjemnie pretensjonalny wystrój i gości – modnych i bogatych ludzi. Molly spóźniła się kwadrans. Zastanawiałem się już, czy przypadkiem nie zrozumiałem źle jej wyjaśnień.

– Cześć – sapnęła zdyszana, siadając naprzeciwko mnie. Była lekko zarumieniona, widziałem to mimo makijażu. Emanowała energią. Siadając, głęboko zaczerpnęła tchu. – Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale mój telefon się urywa. W weekend opublikowaliśmy rekordowe wyniki i miałam pełne ręce roboty z prasą. Sam najlepiej wiesz, jacy są dziennikarze. – Błysnęła zębami w uśmiechu.

Odpowiedziałem tym samym.

– Nie ma sprawy. Czyli wszystko dobrze?

– Tak, ale jestem wykończona. Wiesz co? Mam ochotę napić się wina.

Roześmiałem się.

– Brzmi nieźle.

Zamówiliśmy alkohol i usiedliśmy przy stoliku nad wodą, na długiej, wyłożonej poduszkami ławie. Usiadłem pod kątem tak, że cały czas mogłem patrzeć na Molly. Poświata w restauracji oświetlała knajpę i port. Uderzyło mnie, jak bardzo się wyróżniała w tym tłumie. Była wyjątkowo piękna. Dobrze uczesana młoda kobieta w morzu dobrze ubranych, ale nudnych typów biznesowych.

– Czyli co? Rekordowe wyniki? – rzuciłem.

– I to wszystko moja zasługa – oznajmiła z uśmiechem.

– Oczywiście.

– Tak naprawdę to był po prostu dobry rok, ale nasi udziałowcy zawsze oczekują dobrych lat, więc to miłe uczucie, kiedy spełniamy ich oczekiwania.

– A to, o czym rozmawialiśmy?

– W porządku – odparła i uśmiechnęła się. – Jeszcze nie rozmawiałam o tym z rodzicami i nie wiem, czy się na to zdobędę. Nie mam pojęcia, czy cały czas kurczowo czepiają się fałszywej wizji tego, kim był i jak umarł. Do tego stopnia nie chcą przyjąć do wiadomości tego, jak żył. – Zerknęła na mnie i po chwili wahania dodała: – Wiesz, gdybyś przypadkiem spotkał mojego ojca w ciemnym zaułku, radziłabym uciekać co sił w nogach. On naprawdę ma do ciebie pretensje.

– Chyba sobie poradzę z nim samym, ale gdyby miał ze sobą ochroniarzy, zdecydowanie posłucham twojej rady – stwierdziłem. Molly roześmiała się. – Bardzo mi przykro, że twoi rodzice nadal nie chcą o nim rozmawiać.

– Trudno – odparła. – Teraz przynajmniej znam prawdę. Szczerze mówiąc, bardzo często w pracy zastanawiałam się, czy udaje mi się wypełnić po nim miejsce, ale przez ostatnie dni czułam, że po raz pierwszy jestem sobą. To było

wspaniałe, a zawdzięczam to tobie.

Skrzywiłem się, słysząc jej komplement. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo egoistyczna była moja motywacja do tego spotkania

– Nie mów tak. Nie zrobiłem nic wyjątkowego, ale moje gratulacje za to, że jesteś sobą – powiedziałem i uniosłem kieliszek w toaście. Przysunęła się do mnie bliżej. Stuknęliśmy się kieliszkami.

– I za ozdrowienie – dodała, wskazując mój bark.

– I za ozdrowienie. – Każde z nas upiło po małym łyku i wtedy zdałem sobie sprawę, że siedzimy na tyle blisko, że gdybym odrobinę przesunął kolano w lewo, dotknąłbym jej nogi. Jak wówczas zareaguje? Zdecydowanie za wcześnie, żeby się o tym przekonać, ale sama myśl była kusząca. Oparłem się plecami o oparcie i spojrzałem na stolik. Molly założyła nogę na nogę. Jej kolana były bardzo blisko. Oderwałem od nich wzrok i spojrzałem jej w oczy.

– Czasami wyobrażam sobie, że odchodzę z firmy ojca – mruknęła wpatrzona w port. – Jeszcze nie teraz, ale może kiedyś, któregoś dnia.

– To byłby bardzo odważny krok.

– Proszę cię! Odważny? Dziewczyna z funduszem powierniczym, która rozważa, czy rzucić wygodną posadkę w rodzinnej firmie, żeby obijać się całymi dniami i oglądać naraz całe sezony seriali reality show? Nie, w tym nie ma nic odważnego.

– Każdy krok w nieznaną to dowód odwagi.

– Tylko, jeśli nie ma się siatki bezpieczeństwa, a ja mam aż trzy. Udziały w firmie, udziały Declana i fundusz powierniczy. Szczerze mówiąc, niczego nie muszę robić.

– Szczerze mówiąc – poprawiłem – jeśli tak stawiasz sprawę, masz rację, nie ma w tym ani odrobiny odwagi. Tylko nie mieści mi się w głowie, że tak długo z tym zwlekałaś. – Molly roześmiała się i delikatnie szturchnęła mnie łokciem. – A zastanawiałaś się, co chciałabyś robić po odejściu z firmy ojca?

– Chciałabym zrobić coś dla Declana – powiedziała. – Jeszcze nie wiem co, wiem tylko, że chciałabym zrobić coś, żeby uczcić jego pamięć. – Przesunęła wzrok na moje tatuaże i dodała po chwili: – Upamiętnić go takim, jakim był naprawdę. Staram się wymyślić, co mogłabym dla niego zrobić. Może wtedy będę gotowa zacząć własne życie.

Znowu błysnęła zębami w uśmiechu, upiła spory łyk wina i wróciła wzrokiem do zatoki. Patrzyłem, jak dotyka ustami szkła, zauważyłem, jak zwilża językiem wargi przy łykaniu. Kiedy odstawiała kieliszek na stół, zdałem sobie sprawę z tego, co robię, i poczułem, że się rumienię. Instynktownie obserwowałem każdy jej ruch. Uderzyło mnie, że fascynacja sprawia, że nawet najbardziej niewinny gest wydaje się jakoś zmysłowy. Zaskoczyło mnie też, jak szybko uciekłem myślami od poważnego tematu, jakim była jej żałoba. Wziąłem się w

garść, zaczerpnąłem głęboko tchu i starałem się skoncentrować na naszej rozmowie.

– Kiedy wrócisz do pracy... Znowu pojedziesz do Libii? – zapytała nagle.

– Tak – odparłem nieoczekiwanie szorstkim głosem. Odchrząknąłem, zanim mówiłem dalej: – Musimy skończyć to, co zaczęliśmy. Współpracuję z fotoreporterem, Bradem Northem, od kilku lat. Właściwie razem zdobyliśmy tamtą Nagrodę Pulitzera.

– Który twój artykuł dostał nagrodę? Pamiętam, że widziałam cię w telewizji, ale umknęły mi szczegóły.

– Seria artykułów o wpływie wojny na życie czterech irakijskich rodzin.

– Muszę tego poszukać. Brzmi ciekawie – mruknęła.

– Najwyraźniej zrobiliśmy kawał dobrej roboty. – Siliłem się na żart, ale zaskoczyło mnie, kiedy parsknęła śmiechem, jakby to, co powiedziałem, było naprawdę śmieszne. Kilka osób przy sąsiednich stolikach odwróciło się w naszą stronę. Nagle powrócił głośny śmiech, który charakteryzował ją jako małą dziewczynkę. Wierciła się przez chwilę niespokojnie, aż wreszcie odwróciła się w moją stronę i zapytała:

– Co zainspirowało cię do napisania tej serii artykułów?

– Wszystko zaczęło się od zdjęć, które Brad zrobił dzieciom bawiącym się w ruinach Faludży, kiedy wojna szalała w najlepsze. Brad myślał wówczas przede wszystkim o synu czekającym w domu. Czasami tak jest, żyjemy jakby dwoma różnymi „życiami”: z jednej strony egzystencja na adrenalinie, tam, na polu bitwy, z drugiej – zwyczajne, codzienne życie z zakupami i praniem, tutaj, w domu. Co jakiś czas, tak jak wtedy z Bradem i tymi irakijskimi dziećmi, dostrzegasz wspólny mianownik i zarazem różnice. Właśnie wtedy powstają najlepsze historie, bo takie artykuły naprawdę trafiają do czytelników.

– Już wiem, co chcę robić w życiu – powiedziała Molly nagle.

– Jeżeli teraz powiesz, że chcesz zostać korespondentką wojenną, jestem przekonany, że twój ojciec mnie odnajdzie i zabije.

Znowu się roześmiała.

– Zdecydowanie wolę podróże, które kończą się w luksusowych pięciogwiazdkowych hotelach, w krajach, w których panuje pokój. Dziękuję bardzo, nie chodzi o to, co robisz, Leo. Chodzi o to, jak o tym opowiadasz. O to, że naprawdę to kochasz. Opowiadasz o pracy tak samo, jak inni ludzie opowiadają o partnerach i dzieciach. W twoich słowach jest duma, pasja i motywacja.

– Nie mógłbym przestać tego robić, choćbym chciał – przyznałem cicho. – To nie praca, to powołanie.

– No właśnie! – zawołała z takim entuzjazmem, że kolejne osoby odwracały się w naszą stronę. Ciekawe, co sobie myśleli, widząc ją u mego boku. Siedzieliśmy blisko siebie, pogrążeni w rozmowie przy stoliku nad wodą, w

modnej knajpie. Skończyliśmy drinki i patrzyliśmy sobie w oczy. Czy wszyscy zakładali, że byliśmy na randce? Bardzo mi się spodobała ta myśl.

Młody facet przy sąsiednim stoliku, za plecami Molly, odwrócił się, kiedy krzyknęła. Przyglądał się nam przeciągle. Odpowiedziałem surowym spojrzeniem. Cierpliwie czekałem, aż odwrócił głowę.

Nie miałem prawa do Molly, nie miałem prawa do tak zaborczego postępowania, ale z drugiej strony, jeśli miał się na nią gapić, nie będzie tego robił, póki siedzę u jej boku.

– Właśnie o to mi chodzi – ciągnęła dalej, nieświadoma mojej wymiany wzrokowej, czy raczej walki o dominację, która przed chwilą miała miejsce za jej plecami. – Co sprawiło, że zdałeś sobie sprawę, że chcesz być dziennikarzem? – Przechyliła głowę. Odwzajemniłam jej spojrzenie i od razu pochłonęły mnie błękitne oceany jej oczu i intensywna koncentracja, z jaką na mnie patrzyła. Po dłuższej chwili uniosła brew. Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. – Nie śpieszy mi się. Chcesz już iść?

W tamtej chwili nie chciałem być nigdzie indziej na całym świecie, uświadomiłem to sobie z niemałym zaskoczeniem.

– Podczas pierwszej wojny w Iraku widziałem kiedyś wywiad telewizyjny. Nastolatek, mniej więcej w moim wieku, widział, jak zastrzelono jego matkę. Moja mama jest dla mnie bardzo ważna i uderzyło mnie, że takie rzeczy dzieją się na świecie. To sprawiło, że wiele rzeczy ujrzałem w innej perspektywie. W moich oczach facet, który stał tam i rozmawiał z tym dzieciakiem, był prawdziwym bohaterem; przebywał w strefie działań wojennych i oddał głos chłopakowi, którego dotknęła tragedia. I od tego się zaczęło. – Wzruszyłem ramionami.

– A jednak wybrałeś prasę, nie telewizję.

– To akurat była prosta decyzja. Chciałem przeprowadzać ważne wywiady, natomiast nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, jak to robię. Co jakiś czas dostaję propozycje z telewizji, przede wszystkim dotyczy to komentowania konfliktów. Nie przepadam za tym. Zdecydowanie wolę mieć czas, żeby dobierać odpowiednie słowa, aż mam poczucie, że idealnie oddają moje myśli.

– No tak – mruknęła. Głęboko zaczerpnęła tchu. – Więc muszę znaleźć sobie przełomowy moment.

Zachichotałem.

– Nie sądzę, że można to sobie jakoś zaplanować.

– Leo. – Uśmiechnęła się z wyższością. – Jestem jedną z Torringtonów. Mogę wszystko.

– Nie sugerowałem ani przez chwilę, że nie jesteś wyjątkowa, broń Boże – zapewniłem. – Podoba mi się twoje podejście. – Byłem zachwycony jej pewnością siebie. – Mam nadzieję, że ci się uda.

– Uda się – stwierdziła z determinacją, dopiła resztę wina i odstawiła

kieliszek na stół. – Boże, muszę się jeszcze napić.

– Proszę bardzo – odparłem. Przesunąłem się na skraju ławki, wstałem. – Ja też się jeszcze chętnie napiję. Może weźmiemy butelkę?

– To była tania zagrywka – oznajmiła, sięgając po torebkę. – Sama przyniosę.

– Nie, nalegam. – Wysiłem się na żart: – Wiem doskonale, że twoja firma wczoraj ogłosiła dobre wyniki finansowe, ale nie możesz bezustannie kupować alkoholu każdemu, z kim się spotykasz. Nawet ty musisz liczyć się z każdym groszem.

Najzwyczajniej w świecie chciałem postawić jej tego drinka. Owszem, to było zagranie w stylu macho. Mogłaby powiedzieć, że idiotyczne męskie ego podniosło głowę. Nieważne jednak, czy była multimilionerką, czy nie – była też po prostu piękną kobietą, świetnie się bawiłem w jej towarzystwie i to ja chciałem postawić jej drinka, choć jednocześnie byłem świadomy, że kiedy tak siedzimy i gadamy, Molly zarabia więcej niż ja przez cały rok.

Zmarszczyła nos i skinęła głową.

– Dzięki za rady finansowe, Leo. Zapamiętam to sobie, ale chętnie napiję się wina.

Przez kolejne godziny zjadaliśmy przekąski z półmiska, sączyliśmy wino i cały czas rozmawialiśmy. Po zachodniej stronie portu słońce chyliło się ku horyzontowi. Obserwowałem, jak zmienia się wyraz twarzy Molly w niknącym świetle. W końcu zapadł zmrok. Siedzieliśmy dalej w delikatnym blasku małych lampek. Ludzie przy sąsiednich stolikach zmieniali się, wstawali, ich miejsca zajmowali nowi goście. Tylko Molly i ja siedzieliśmy dalej. Upływ czasu przestał mieć znaczenie. Koncentrowałem się wyłącznie na niej.

Wspominaliśmy razem jej brata, tym razem z nostalgią, a nie żalem przypominała mi, jak chodziła za nim krok w krok po całym domu jak cień i dziwiła się, że Declan zawsze się z nią bawił, ilekroć go o to prosiła, nawet jeśli miał się uczyć.

– Był wspaniałym bratem – westchnęła.

– Powiedział mi kiedyś, że najlepszym sposobem, żeby się ciebie pozbyć, to bawić się z tobą przez kilka minut i poczekać, aż się znudzisz i zajmiesz czymś innym – wyznałem po chwili wahania.

– Cóż, to wszystko tłumaczy. – Roześmiała się. – Ale mimo to był wobec mnie bardzo tolerancyjny. – Zerknęła na mnie. – Wiesz, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek sprzeciwiał się ojcu... Do tamtego dnia, gdy po raz pierwszy zjawiłeś się w naszym domu.

– Nigdy właściwie się do mnie nie odezwałaś – zauważyłem nagle. – Wydawało mi się, że się mnie boisz.

– Nie, nie bałam się ciebie. Po prostu wiedziałam, że ojciec cię nie lubi, a ja

zawsze robię to, czego chce tata. – W jej głosie była gorycz. Westchnęła nagle i pokręciła głową. – To żalosne.

– Teraz lubi mnie jeszcze mniej – stwierdziłem. – A jednak jesteś tu ze mną.

– Tak, ale zobaczysz, jak zacznę panikować, jeśli akurat wejdzie do tej knajpy. – Potarła czoło pod moim spojrzeniem. – Przepraszam, że taka jestem, ale on zawsze wszystkim rządził, rozumiesz? Jestem uzależniona od jego aprobaty. Ilekroć prosi, żebym coś zrobiła, staram się ze wszystkich sił, ale i tak nigdy nie jestem wystarczająco dobra, więc tym sposobem daję się wciągnąć w zamknięty krąg: wiecznie chcę go zadowolić, a to oznacza, że przez całe życie na darmo uganiam się za jego aprobatą.

– Nie musisz żyć w ten sposób – zauważyłem. Miałem ochotę ująć jej twarz w dłoń, wygładzić zmarszczki, bruzdy zmartwienia na jej czole i wokół oczu, które pojawiały się, ilekroć w rozmowie poruszaliśmy temat jej ojca. Pochyliłem się i dodałem: – Z twoimi zasobami finansowymi naprawdę możesz zrobić wszystko, co sobie zamarysz, dosłownie. Nie marnuj życia, robiąc coś, czego nie chcesz.

– Chciałabym mieć w sobie więcej odwagi – mruknęła. Odnalazła mój wzrok, jakby liczyła, że znajdzie w moich oczach impuls do rozwiązania swoich problemów. – Chciałabym być naprawdę odważna, jak ty. Na moim miejscu pewnie już dawno rzuciłbyś tę pracę i wykorzystał fundusz powierniczy, żeby załatwić sprawę głodu na świecie czy coś takiego. A teraz uważasz mnie za idiotkę bez własnej woli.

– Zrozumiałe, że nie chcesz sprawić zawodu rodzicom, ale życie jest krótkie. Żyje się tylko raz.

– Zdaję sobie sprawę, że próby zadowolenia ojca przez całe życie to idiotyzm – mruknęła, nerwowo bawiąc się kieliszkiem. – Wiem, że żartowaliśmy, mówiąc o poszukiwaniu przełomowej chwili, ale naprawdę mam plan. Chcę być otwarta na możliwości i zobaczyć, czy znajdę coś, co pobudzi mnie do życia. Może wtedy zdobędę się na odwagę, żeby odejść.

Przesunąłem się na ławce, by oprzeć ramiona na oparciu, patrzeć na nią jeszcze i siedzieć z nią twarzą w twarz. Niechcący musnąłem kolanem jej udo. Oboje zeszytnieliśmy. Obserwowałem jej twarz, czekając na jej reakcję. Zagryzła usta, potem oderwała wzrok od kieliszka i spojrzała mi w oczy. Byłem tak blisko, że widziałem, jak rozszerzają się jej źrenice. Kiedy wypuściła z ust powietrze, czułem jego podmuch na policzku. Miała intrygujące spojrzenie. Obserwowała moją reakcję. Nie było w niej wahania, ale jednocześnie niewiele dawała po sobie poznać.

– No więc – mruknąłem – w jaki sposób chcesz być otwarta na inne możliwości?

– Tego jeszcze nie wiem – przyznała. Mówiła niskim głosem, bardzo powoli.

– Masz jakiś pomysł?

Och, pomysłów miałem mnóstwo. Z każdą chwilą coraz więcej.

– Może po prostu poszukasz nowych wrażeń. Przekonasz się, dokąd cię zaprowadzą – zaproponowałem cicho.

– Ostatnio miałam sporo wrażeń – mruknęła. Oparła się na łokciu na stole, czekając na moją reakcję.

– Coś takiego.

– Nie za dużo, choć szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czy jest coś takiego jak za dużo wrażeń – stwierdziła nagle. – Właściwie mogłabym powiedzieć, że miałam ich idealną ilość.

Mówiła tak lekko, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie interpretujemy tej sytuacji na różne sposoby. Cały czas patrzyłem na nią, a potem zdałem sobie sprawę, że mój biedny oszołomiony mózg niczego w tym wszystkim nie ogarnia i że jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

– O jakich wrażeniach mówisz? – zapytałem.

– To zależy od tego, o czym ty mówisz – zauważyła logicznie.

– Miałem na myśli podróże – odparłem. W tym momencie oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Wcale nie.

– Ależ owszem – zaprotestowałem, a Molly wyprostowała się, przesunęła wzrok na moje usta i przez jedną szokującą chwilę myślałem, że mnie pocałuje, tam i teraz. Czulem, jak serce bije mi w piersi. Nie byłem w stanie oddychać. Pochyliła się jeszcze bliżej ze wzrokiem na moich ustach, ale kiedy nasze twarze dzieliły już tylko centymetry, podniosła oczy i spojrzała na mnie. Patrzyliśmy na siebie. Kącikiem oka widziałem, jak rozchyliła usta. Już naprawdę dosłownie wstrzymałem oddech. Nie byłem w stanie się poruszyć. Minimalnie pochyliłem się w jej stronę.

– Kłamca – wyszeptała bardzo powoli, a potem uśmiechnęła się, odsunęła i wyprostowała się. Roześmiała się, ale był to cichy niespokojny śmiech. Z jednej strony byłem poruszony jej gierkami i zachwycony lekkim podejściem. Jednego byłem pewien – oczarowała mnie absolutnie. Wyciągnąłem rękę i delikatnie pociągnąłem ją w moją stronę. Znowu patrzyliśmy sobie w oczy i tym razem nie było w naszym wzroku ani odrobiny rozbawienia.

– Zjedz jutro ze mną kolację – zaproponowałem.

– Na kolacji byliśmy już dzisiaj – zauważyła. Widziałem, że nie chce mi tego ułatwić, ale nie miałem nic przeciwko temu, zawsze lubiłem wyzwania.

– Nie, nie taką kolację. Prawdziwą kolację.

– Masz na myśli kolację, podczas której nie będziemy przez połowę czasu rozmawiać o tragicznej śmierci mojego ukochanego starszego brata? – zapytała, unosząc jedną brew.

– Masz coś przeciwko temu?
– A mogę wybrać miejsce?
– Dlaczego?
– Bo to lokal, do którego chciałabym cię zabrać.
– Dobrze. – W tej chwili mogłaby poprosić o gwiazdkę z nieba, a ja znalazłbym sposób, żeby ją dla niej zdobyć. Jeśli chce wybrać kolejne modne miejsce bogatych damulek? Proszę bardzo. Przynajmniej nie będę musiał się głowić, dokąd, do cholery, ją zaprosić.
– O ósmej? – zaproponowała.
– Gdzie się spotkamy?
– Jutro wyślę ci wiadomość.
– Dobrze – odparłem, a potem, na wszelki wypadek, żeby nie było już żadnych wątpliwości, dodałem cicho: – Randka?
– To będzie randka – powtórzyła, a potem uśmiechnęła się szybko. Sięgnęła po telefon, zerknęła na wyświetlacz, wcisnęła kilka guzików i mruknęła przeprasząco: – Naprawdę muszę już iść.
– Dobrze – odparłem. Wstaliśmy z ławki, wyszliśmy i odruchowo ruszyłem za nią.
– Zamówić ci taksówkę? – zapytałem.
– Nie, limuzyna już po mnie jedzie. Podrzucić cię?
– Dzięki, ale twój szofer chyba umarłby na zawał, gdybym podał mój adres. Złapię taksówkę.
– A gdzie mieszkasz?
– Niedaleko domów opieki społecznej w Redfern.
Molly zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Odpowiedziałem zdumionym spojrzeniem.
– Jak możesz mieszkać w Sydney i nie znać tej okolicy?
– Nie mam zielonego pojęcia o Redfern. Wiem tylko, że jest tam niebezpiecznie – przyznała.
– Pewnie ucieszy cię wiadomość, że zmiany Redfern są spore i już nie jest tam tak źle jak dawniej. To naprawdę wspaniałe miejsce – zapewniłem. Molly skinęła głową i uśmiechnęła się, ale widziałem, że nie była do końca przekonana. Miałem już plany na część przedmieścia tak bliskiego memu sercu, ale odwróciła moją uwagę, wskazując coś za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem nadjeżdżającą taksówkę. Pokręciłem przecząco głową.
– Poczekam z tobą, aż przyjedzie limuzyna.
– Nie potrzebuję niańki.
– Nie mam nic przeciwko temu. Szczerze mówiąc, wolałbym mieć wsparcie, na wypadek gdyby twój ojciec czaił się na tylnym siedzeniu mojej taksówki.
Uśmiechnęła się.

– Wiesz, Leo, coś mi mówi, że jesteś w stanie sam sobie poradzić. Wsiadaj, obrażę się, jeśli tego nie zrobisz.

Zawahałem się, ale Molly wysunęła się przede mnie i zamachała energicznie. Taksówka zatrzymała się koło nas.

– Wyślesz mi wiadomość, kiedy dotrzesz do domu? – poprosiłem. Nie podobało mi się, że zostawiałem ją samą, w nocy, choć byliśmy w ruchliwej i bezpiecznej dzielnicy.

– Jezus, Maria! Posłuchaj sam siebie. – Przewróciła oczami. – Umówiłam się z tobą na kolację, a ty nagle zachowujesz się jak mój ochroniarz.

Kiedy otwierałem drzwi taksówki, Molly powoli podniosła rękę, żeby wygładzić grzywkę, przesunęła palcem po uchu i szyi, a potem położyła ją sobie na ramieniu, patrząc na mnie intensywnie. Między nami była autentyczna, niezaprzeczalna chemia i nie było we mnie cienia wątpliwości, że jest jej równie świadoma, jak ja.

– Do zobaczenia jutro – rzuciłem.

– Oczywiście – zapewniła cicho, a potem zatrzęsnęła drzwi taksówki.

9. Molly

Lipiec 2015

Lot z Rzymu do Sydney trwa dwadzieścia cztery godziny, wliczając krótki postój w Singapurze, gdzie musimy nabrać paliwa. Leo leży na szpitalnym łóżku, które zainstalowano na pokładzie odrzutowca. Co chwila zasypia i budzi się, przede wszystkim w czasie posiłków. Rozmawia krótko, długo czyta – gazety, które ktoś przezornie wniósł na pokład. Kiedy w końcu lądujemy w Sydney, wyglądam przez okno, żeby zobaczyć most Harbor Bridge. Ku mojemu zdumieniu mam łzy pod powiekami. Oddycham z ulgą, że udało mi się tu z nim wrócić.

Kilka godzin później Leo może się rozgościć w przypominającym hotel pokoju w ośrodku rehabilitacyjnym, który na jakiś czas stanie się jego domem. Ośrodek rehabilitacyjny jest bardzo elegancki; odkąd przekraczamy jego próg, wszyscy troskliwie zajmują się Leo. Jestem spokojna – będzie mu tu dobrze, a przede wszystkim, przynajmniej na razie, będzie tu bezpieczny. Jeśli chodzi o Leo, tego nigdy nie mogłam być pewna.

Odkąd wylądowaliśmy, mój telefon dzwoni bez przerwy; jego przyjaciele i rodzina za wszelką cenę chcą się z nim zobaczyć, ale proszę, żeby wszyscy, poza najbliższymi, poczekali. Najpierw musi się zaaklimatyzować.

Potem, kiedy w końcu wychodzi pielęgniarka, która tłumaczyła mu zasady funkcjonowania ośrodka, po raz pierwszy tego dnia jesteśmy we dwoje. Leo przegląda dokumenty, które mu podano, a ja siedzę na skraju posłania i wyglądam przez wielkie okno na zadbane ogrody otaczające ośrodek rehabilitacyjny.

– I co ty na to? – Przesuwam wzrok na niego i uśmiecham się.

– Jeśli tobie się podoba...

– Wszystko w porządku?

– Nie mieści mi się w głowie, że tak szybko to zorganizowałaś.

– Mówiłam ci. – Uśmiecham się z trudem. – Pieniądze mają wielką moc.

Twoje szczęście, że ożeniłeś się z dziewczyną z funduszem powierniczym. Jak widzisz, ma to pewne korzyści.

Uśmiecha się krzywo.

– Zapewne nie tylko takie. Jakie masz plany na dzisiaj? Wracasz do domu, żeby się porządnie wyspać w swoim... – poprawia się natychmiast – w naszym łóżku?

Owszem, wracam do domu, do naszego łóżka, nie do mojego. Zamówiłam sprzątanie jego domu i chcę tam przenocować, przynajmniej dzisiaj. Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia dlaczego.

– Chyba że czegoś jeszcze potrzebujesz?
– Nowych nóg?
– Z twoimi nogami wszystko w porządku – przypominam. – Problem jest z twoim mózgiem, ale wkrótce i on wróci do normy.

– Mam nadzieję.

– Gdybyś nie stracił pamięci, wiedziałbyś, że rzadko kiedy się myślę.

Leo śmieje się.

Wstaję z łóżka, przeciągam się.

– Przynieść ci coś jutro?

– Tak, chciałbym prosić o kilka drobiazgów. Domyślam się, że w Syrii miałem ze sobą telefon satelitarny, ale pewnie zaginął?

– Pewnie tak. Brad był z tobą, ale nie sądzę, żeby wracał po twój sprzęt.

– Był ze mną? – Leo widocznie rozpromienia się na tę wiadomość i nie po raz pierwszy ogarnia mnie irracjonalna zazdrość o jego pracę. – A jak myślisz, odwiedzi mnie?

– Pisał do mnie dzisiaj po południu i pytał, kiedy może wpaść, podobnie jak połowa ekipy z waszego czasopisma i siłowni. Twoi rodzice wpadną dzisiaj wieczorem, ale wszystkich innych odesłałam i powiedziałam, że mogą cię odwiedzić dopiero za kilka dni. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Dzięki, Molly. Super. Więc powiedz, mam jakiś inny telefon? Komórkę?

Po chwili wahania kiwam głową. Bóg jeden wie, co znajdzie na telefonie; na pewno jest tam zapis naszych wiadomości – delikatnie mówiąc, złośliwych, w najgorszym wypadku – brutalnie okrutnych.

– Owszem, ale nie mam pojęcia, gdzie go zostawiłeś – kłamię.

– Prawdopodobnie w sejfie, w moim gabinecie, chyba że coś się zmieniło w moich zwyczajach. Znasz kod?

– Znam, zobaczę, czy tam jest. Chcesz coś do czytania? Twój czytnik elektroniczny pewnie został w Syrii, ale mogę ci przynieść zapasowy.

– Czytnik elektroniczny? – Unosi brew. – Czytnik? Nie lubię czytać na ekranie.

– To samo mówiłeś, kiedy kupiłam ci go na urodziny podczas pierwszego roku naszego związku. Teraz masz już dwa. Trochę trwało, zanim się przekonałeś do czytania na wyświetlaczu, ale kiedy już to polubiłeś... Naprawdę to polubiłeś.

– Naprawdę? – Cały czas podchodzi do tego sceptycznie, ale wiem, że zmieni zdanie po lekturze jednego rozdziału. – No dobrze, w takim razie przynieś też zapasowy czytnik i moje ciuchy... jeżeli nie sprawię ci tym kłopotu. – Wyciąga do mnie rękę. Odruchowo podaję mu swoją, jakbyśmy mieli ucisnąć sobie dłonie. Dziwię się, kiedy przyciąga mnie do siebie i obejmuje mocno. – Dziękuję za wszystko – szepcze mi do ucha. Zaskakuje mnie szczerłość w jego głosie. Rzecz nie w tym, że Leo jest niewdzięczny, tylko w tym, że zazwyczaj nie okazuje uczuć. W

jego głosie jest pewna wrażliwość, pewne rozedrganie, jakby to wszystko go przerastało, ale to niemożliwe. Leo nic nie przerasta. Zwłaszcza jeśli chodzi o wdzięczność.

Odwzajemniam uścisk. Jakie to dziwne uczucie znowu mieć na sobie jego ramiona. Chciwie zapamiętuję tę chwilę. Chciałabym tam zostać, właśnie tak, i rozkoszować się jego bliskością. Przez chwilę pozwalam sobie marzyć, co by było gdyby. Gdyby Leo nigdy nie wyzdrowiał, gdybym mogła zachować go właśnie takim, jaki jest teraz – ciepłego, troskliwego, przyjaznego.

Ale pozwalam sobie myśleć o tym zaledwie przez sekundę. Delikatnie wyzwalam się z jego objęć. Delikatnie muskam ustami jego zarosnięty podbródek i wychodzę.

W drodze do domu dzwonię do Brada Northa. Od dawna odkładałam tę rozmowę, ale dłużej nie mogę z tym zwlekać. Podnoszę szybko oddzielającą mnie od szofera i wybieram jego numer drżącymi palcami.

– Molly? Co z Leo?

Niewiele osób jest Leo równie bliskich jak Brad; często razem podróżują, Brad robi zdjęcia, Leo pisze artykuły. W ciągu minionych lat bardzo się zbliżyli. Bardzo lubię też jego żonę, Penny; to jedna z nielicznych osób, które znam, a które rozumieją, co to znaczy mieć męża, wykonującego tak niebezpieczną pracę.

Nie rozmawiałam z Bradem od wypadku. Nie chciałam z nim rozmawiać, bo domyślałam się, że zapewne wie, jak się mają sprawy między nami. Nie mogłam znieść myśli, że będę musiała zmierzyć się z jego pogardą. Uwielbiam go, ale jest jednym z tych przyjaciół, którzy zawsze wybierają jedną ze stron. Wiem doskonale, po czyjej stronie stanie.

– Całkiem nieźle, Brad, naprawdę całkiem nieźle. Już prawie doszedł do siebie. Poza tym, że nie ma czucia w nogach i zupełnie o mnie zapomniał. – Śmieję się. – Doskonale, biorąc pod uwagę okoliczności, ale utrata pamięci wszystko skomplikowała.

– To na pewno.

– Nie wiem, ile ci powiedział przed wypadkiem... Wiem, że jesteście sobie bliscy – zaczynam niezdarnie. Nagle dochodzę do wniosku, że powinnam odbyć z nim tę rozmowę twarzą w twarz, żeby obserwować jego reakcję. Brad, jak można się było spodziewać, stara się ochronić Leo i niczego mi nie ułatwia.

– O czym? – pyta z napięciem w głosie.

Strzepuję wymaginowany pyłek ze spódnicy i jednocześnie zastanawiam się, co powiedzieć. Cisza się przeciąga. W końcu Brad łagodnieje.

– To oczywiste, że przechodzicie trudny okres. O to ci chodzi?

– Tak – szepczę. Trudny okres... Czyli Leo mu nie powiedział.

– Molly, znasz go lepiej niż ja. To nie jest jeden z tych facetów, którzy będą siedzieć i godzinami rozprawiać o uczuciach. Ale owszem, wiem, że między wami

nie było dobrze, bo... No cóż, było to nieszczęsne przyjęcie, na którym byliśmy z wami, zanim urodził się Quinn... Poza tym był rozdrażniony jak niedźwiedź wybudzony ze snu i bardzo roztargniony.

Roztargniony... Świetnie, teraz jeszcze dochodzę do wniosku, że wypadek to także moja wina.

– Naprawdę powinniśmy byli stamtąd uciekać zaraz po przyjeździe. Boże drogi, w ogóle nie powinniśmy byli tam jechać. Domyślam się, że błagałaś go, żeby nie jechał. Uparł się, żeby napisać coś sensownego, choć obaj wiedzieliśmy, że to zbyt niebezpieczne. Myślałem, że może chce ci coś udowodnić.

– Oczywiście, że nie chciałam, żeby jechał – mamroczę. – I ty też nie powinienesz być tego robić.

– Od zawsze planowałem, że to będzie mój ostatni wypad w strefę działań wojennych, zwłaszcza po tym jak został ranny. – Brad westchnął. – Mam już dosyć bawienia się w bohatera, rozumiesz? W każdym razie wszystko wskazuje na to, że także Leo musi się z tym pożegnać.

Nie odpowiadam. Najważniejsze, że Leo żyje i na razie nie ma pojęcia, że przechodziliśmy trudny okres. Nie wiem, czy postąpiłam słusznie, ale ma teraz tyle do nadrobienia, że nie chciałam go tym obciążać.

– Lekarze uważają, że odzyska pamięć?

– Już sobie przypomniał kilka drobiazgów. Są przekonani, że z czasem wszystko wróci.

– On to zrozumie, Molly. Zapewne doceni, że chroniłaś go przed tym, żeby mógł w pełni skoncentrować się na powrocie do zdrowia. Jak się nazywa to miejsce? Dlatego do mnie zadzwoniłaś? Nie chciałaś, żebym mu to powiedział?

– Proszę, nie rób tego. Jeszcze nie teraz.

– Dobrze.

– Odwiedzisz go jutro?

– Tak. Coś mu przynieść?

– A masz jakieś jego rzeczy?

– Nie było czasu, żeby zabierać cokolwiek z samochodu, ale przed wyjazdem wróciłem do obozowiska, więc mam to, co tam zostało.

– Świetnie. Masz jakieś zdjęcia, żeby mu pokazać?

– Czy mam zdjęcia? – Ben oburza się komicznie. – Oczywiście, że mam zdjęcia. Mam nawet zdjęcia twojego męża z roztrzaskaną głową, jeżeli zechce je obejrzeć.

– Wiesz, chyba będzie lepiej, jeśli akurat te na razie zostawisz w domu.

Dojeżdżamy do domu, więc kończę rozmowę. Tobias w ciągu dnia zrobił zakupy, dlatego w lodówce jest jedzenie, i przewietrzył dom. Zostawił też otwarte drzwi od kuchni – wiem to od razu, jeszcze zanim otworzę drzwi wejściowe, bo Lucien już czeka po drugiej stronie. Słyszę rytmiczne machanie ogonem, kiedy

uderza nim o deski podłogi. Uchylam drzwi. Na progu czeka na mnie kłębek jasnego futerka. Osuwam się na kolana. Skacze mi prosto w ramiona.

– Ja też za tobą tęskniłam. – Leo zawsze ze mnie drwi, że rozmawiam z psem, ale przyłapałam go na tym samym, kiedy wydawało mu się, że go nie słyszę. Pudel stara się polizać mnie po twarzy. Odchylam się. Jest zdecydowanie za duży, jak na psa kanapowego, ale to nigdy mu nie przeszkadzało. Choć jego ciężar i ciepło czasami są niewygodne, przynosi ulgę rozchwianym emocjonalnie. Przy nikim nie wylałam tyle łez, co przy nim. Potrafi mnie pocieszyć. Kładzie mi łapy na barkach, dotyka uchem głowy. Obejmuję go ramionami i szlocham.

Oczy mnie bolą z ulgi, którą odczuwam tylko dlatego, że wróciłam do tego domu, który już nie jest domem. Jednak odkąd wiedziałam, że wyjeżdżamy z Rzymu, właśnie tutaj chciałam się znaleźć. Wmawiałam sobie, że chodzi o Luciena i kiedy dotyka nosem mojego karku, niemal w to wierzę. Niemal.

Wchodzę na piętro i w pełni ubrana rzucam się na łóżko. Lucien układa się koło mnie. Wtulam twarz w poduszkę Leo, oddycham głęboko i myślę o mężu. Jestem w tej sytuacji jak w pułapce, przynajmniej na razie, i czuję, jak ogarnia mnie panika, kiedy wyobrażam sobie, jak będą wyglądały najbliższe tygodnie... oby nie miesiące. W moim życiu dzieje się tak wiele, mam tak dużo spraw do zaplanowania, a zarazem nie mam na nic czasu ani siły. Z drugiej strony nie mogłabym go zostawić, nie teraz, kiedy mnie naprawdę potrzebuje, ale czy jestem w stanie bez końca wędrować w przeszłość? Na samą myśl ogarnia mnie przerażenie. Na to jest zbyt wcześnie, to wszystko jest jeszcze zbyt bolesne. A ja nadal jestem na niego za bardzo zła i za bardzo wrażliwa. Co, jeśli nigdy nie odzyska pamięci?

Ta myśl jest jak kubek zimnej wody wylany na moje samoużalanie się. Oddycham głęboko. Fakt, jestem w kiepskiej sytuacji, ale on jest w o wiele gorszej. Choć to niewygodne i przerażające, wytrwanie u jego boku w tych chwilach to minimum tego, co mogę zrobić.

10. Leo

Luty 2011

Przez cały piątek tylko czekałem. Kiedy w końcu szedłem do Circular Quay na randkę z Molly, wydawało mi się, że to czekanie trwało wieki, choć minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny.

Usiadłem przy barze tak, żeby mieć oko na drzwi, sączyłem wodę i rozglądałem się po lokalu. Była to, jak się spodziewałem, kosmicznie droga restauracja, ale odosobnione stoliki, świece na stołach i zespół folkowy nadawały jej przytulnego charakteru; to miejsce stworzone na romantyczne kolacje. Byłem gotów wybaczyć pretensjonalność, biorąc pod uwagę jasny sygnał, jakim był z jej strony wybór właśnie tego lokalu.

Spojrzałem na drzwi w chwili, gdy stanęła w progu, widziałem, jak się rozgląda w poszukiwaniu mnie. Miała na sobie różową sukienkę z fałdami z przodu. Sięgała kolan, miała mały dekolt i rękawy do łokci. Nie było w niej nic uwodzicielskiego, ale też nie potrzebowała takich sztuczek – byłbym zachwycony, gdyby weszła w worku pokutnym i kaloszach.

– Dobry wieczór, pani Torrington. – Kelnerka podeszła do niej, zerknęła na mnie i wróciła do niej wzrokiem. – Stolik już czeka.

– Witaj, Molly – powiedziałem cicho.

– Witaj, Leo. – Uśmiechnęła się niemal nieśmiało. Szliśmy za kelnerką do stolika. Zajęła miejsce za stołem usiadłem naprzeciwko niej – chciałem zachować jasność myślenia. Poprzedniego wieczoru uderzyło mnie podczas naszego flirtu, że Molly odpowiadała na każde moje wyzwanie. Byłem pewien, że potrafię rozmawiać z kobietami – w ciągu minionych lat miałem dość okazji, by doskonalić sztukę uwodzenia – ale w Molly Torrington natknąłem się na równego przeciwnika. Fascynowała mnie także z tego powodu.

– Sporo o tobie myślałem – zacząłem, ledwie usiedliśmy. – A ty o mnie.

Nawet powieka jej nie drgnęła.

– Czyżby? – odparła z lekkim uśmiechem.

– Owszem. Gdyby było inaczej, nie założyłabyś tej sukienki.

– Dlaczego? Coś z nią nie tak? – Spojrzała na siebie i zmarszczyła brwi.

– Jest piękna. Jak ty.

– Więc o co ci chodzi?

– Idę o zakład, że kiedy ja wybierając, wyobrażałaś sobie moją minę, kiedy cię w niej zobaczę.

– Strasznie jesteś bezczelny, Leo. – Uniosła brew. – I wcale nie to sobie

wyobrażałam – dodała znacząco. Spojrzałam na nią pytająco. Pochyliła się nad stolikiem i dokończyła cicho: – Wyobrażałam sobie twoją minę, jeśli zdecyduję, że możesz ją ze mnie zdjąć.

Mój mózg odmówił posłuszeństwa wobec takiej wizji. Przez chwilę gapiłem się na nią bez słowa, aż w końcu odchrząknąłem i wychrypiałem:

– I kto tu jest bezczelny?

Molly wzruszyła ramionami i sięgnęła po kartę win, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

– Chciałam ci tylko przypomnieć, że to ty poruszyłeś ten temat. Białe czy czerwone?

Nadal usiłowałem zmusić mózg do pracy.

– Dama wybiera. Jak minął dzień?

– Dobrze. Owocnie. A tobie?

– Spokojnie – odparłem. – Przekonałem fizjoterapeutę, żeby pozwolił mi od poniedziałku wracać do pracy. Co prawda jeszcze nie mogę wrócić do Libii, ale przynajmniej napiszę o tym, co do tej pory widziałem.

– Gratulacje – powiedziała i odłożyła menu. – W takim razie zamawiam szampana, skoro oboje świętujemy.

Złożyliśmy zamówienie. Opowiadałem jej o artykule, który planowałem napisać o Libii, a ona o niedawno sfinalizowanej transakcji.

Fascynowała mnie do tego stopnia, że z zachwytem słuchałem nawet opowieści o przejęciach i fuzjach. Starłem się wyobrazić sobie, jakie to uczucie pracować tak ciężko jak ona, dążąc do celu, którego nie chciała.

Dla mnie praca była wszystkim, sensem życia. Molly harowała równie ciężko jak ja, jeśli nie bardziej, ale wszystko sprowadzało się do tego, że cały ten czas oddawała Laithowi. Zdziwiło mnie, że tak bardzo mi to przeszkadza. Wiedziałem, że to nie moja sprawa, przywykłem do tego, że uciekam od takich sytuacji, od cudzych problemów – to niezbędne w mojej branży. Ale tu chodziło o Molly i choć prawie jej nie znałem, czułem, że zasługuje na coś więcej.

– Gdzie nasze dania? – spytała nagle. – Ilekroć z tobą rozmawiam, tracę poczucie czasu – mruknęła pod nosem i rozejrzała się wokół. Kelnerka zaraz do nas podeszła. – Złożyliśmy zamówienie już prawie godzinę temu...

– Tak mi przykro, pani Torrington. Mamy mały problem w kuchni. Państwa dania już się robią, ale to potrwa jeszcze dziesięć, piętnaście minut. Zaraz podam butelkę wina na koszt firmy, w ramach przeprosin.

Odeszła, a Molly spojrzała na mnie i stwierdziła;

– Przychodzę tu dość często, więc wino na koszt firmy to nie zasługa mojego nazwiska i obaw, że jeśli mnie nie nakarmią, spadnie na nich zemsta wielkiego rodu Torringtonów.

– Czy taka knajpa nie traci uroku, jeśli bywasz w niej zbyt często? –

Zatoczyłem łuk ręką. – Nie masz jej dosyć?

– Nie, to jak z ulubionym członkiem rodziny czy meblem. Nie przeszkadza ci, że często ich widzisz, prawda?

Patrzyłem na nią z niedowierzaniem. Jak mogłem choć na moment zapomnieć, jak niewiarygodnie się różnimy?

– Czy naprawdę porównałaś restaurację odznaczoną gwiazdką Michelina do ulubionego mebla?

– Mieszkam minutę stąd. Jedzenie jest pyszne. Czemu miałabym tu nie zaglądać?

– Bo z czegoś wyjątkowego zrobiłaś coś przeciętnego.

– A może po prostu jestem w tej komfortowej sytuacji, że dla mnie to, co wyjątkowe, jest codziennością?

Zawahałem się. Zaintrygowało mnie coś w jej słowach.

– Mieszkasz minutę stąd... Nie powiesz mi, że mieszkasz w tosterze!

– Ten budynek nazywa się Bennelong Apartments. – Roześmiała się, słysząc określenie, którym mieszkańcy Sydney określali jeden z najbardziej ekskluzywnych adresów w mieście. Bo też naprawdę wyglądał jak wielki toster, wstawiony w sam środek najbardziej charakterystycznych budowli miasta. – Z twojego tonu wnioskuję, że nie jesteś jego zwolennikiem.

– Jest paskudny. – Skrzywiłem się. – Pamiętam czasy, kiedy z Circular Quay było widać cały port, aż do ogrodu botanicznego. Ten apartamentowiec całkowicie zmienił charakter tej części miasta.

– Kiedy tak mówisz, brzmisz jak stary dziad – stwierdziła z uśmiechem. – W latach dziewięćdziesiątych, kiedy powstawał, wiele osób uważało tak jak ty, ale od dawna nie słyszałam tych argumentów. Stoi tu już od tak dawna, że nikt nie zwraca na niego uwagi. I owszem, mieszkam w Bennelong Apartments. To fantastyczny adres.

– Ale czy jest tam coś choćby na kształt poczucia wspólnoty? Bo właśnie to najbardziej podoba mi się w Redfern – stwierdzam nagle. Molly skrzywiła się lekko – sprawiłem jej przykrość tymi słowami. Akurat w tej chwili wróciła kelnerka z drugą butelką wina. Otworzyła ją zwinnie i odeszła. Pytająco uniosłem brew. – Zdaje się, że chciałaś powiedzieć coś przykrego na temat Redfern?

– Ja po prostu... – Z satysfakcją obserwowałem, jak gorączkowo szuka odpowiednich słów, ale po chwili spojrzała na mnie i nonszalancko wzruszyła ramionami. – Nie jestem snobką, ale ta okolica nie cieszy się najlepszą reputacją, prawda?

Rozsiadłem się wygodnie. Nie odrywałem od niej oczu.

– Dorastałem tam. Chodziłem tam do państwowej szkoły, podstawowej i średniej, na długo zanim zaczęły się zmiany w tej dzielnicy.

– Wczoraj już o tym wspominałaś, choć nadal nie jestem przekonana, że

cokolwiek się tam zmienia – mruknęła. Westchnąłem głośno. – Przepraszam – szepnęła.

– Następnym razem spotkamy się na moim gruncie – zdecydowałem nagle.

– Nie czujesz się tam... zagrożony?

– Zagrożony? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

– No, bo jest tam tylu...

– Paskudnych biedaków? Czy może paskudnych czarnuchów? – Rozdrażniła mnie i w tych słowach było więcej złośliwości, niż zamierzałem.

– Nie, skądże, jak mogłeś, tylko że...

– Molly – przerwałem jej, bo nie zniósłbym dalszego brnięcia w niezręczność. – Zdajesz sobie sprawę, że przez ponad połowę pracy zawodowej piszę reportaże z ognisk zapalnych całego globu, prawda? I pytasz, czy czuję się zagrożony w Sydney? Redfern to cudowne miejsce, o bogatym dziedzictwie kulturowym. Moja osiemdziesięcioletnia sąsiadka do dziś mieszka w tym samym domu, w którym przyszła na świat. Klienci mojej siłowni co tydzień robią zrzutkę na zdrowe posiłki dla dzieciaków. Owszem, nie brakuje tam problemów, i owszem, mieszka tam wiele ubogich rodzin, ale nie one stanowią problem, nigdy.

Pochlebiała mi uwaga, z którą chłonęła moje gniewne słowa, ale kiedy w końcu się zamknąłem, przechyliła głowę i stwierdziła:

– Powinieneś zająć się polityką.

– Nie wytrzymałbym nawet pięciu minut kampanii.

– Fakt, twoje ekscentryczne, przestarzałe poglądy na temat tosterów zraziłyby wielu zamożnych wyborców – zażartowała.

Rozejrzałem się wokół. Kelnerka zerkała na nas co chwila, z pustymi rękami i wyraźnie zdenerwowana. Chyba obawiała się, że Molly zrobi scenę. Zaintrygowało mnie, czy Molly jest kapryśna i wymagająca, czy to reputacja jej rodziny wprawia kelnerkę w taką panikę.

Wróciłem wzrokiem do Molly i napotkałem jej spojrzenie. Patrzyliśmy sobie w oczy i chwila ciągnęła się w nieskończoność. Żadne z nas nie było w stanie tego przerwać. Świat istniał poza nami; wróciliśmy do rzeczywistości, gdy ktoś przeszedł obok naszego stolika.

Jeszcze nie zjedliśmy nawet przystawek, a już chciałem ją dotykać – wziąć za rękę, musnąć włosy i twarz. Poprawiła grzywkę. Znałem już ten gest, ale jeszcze nie wiedziałem, jak go interpretować.

– Czyli dorastałeś w Redfern – odezwała się. – Twoja mama nadal tam mieszka?

– Nie, teraz w Alexandrii, z moim ojczymem, choć nazywam go ojcem, zasłużył sobie na to – odparłem. – To fantastyczny człowiek.

– Masz rodzeństwo?

– Siostrę. Teresa mieszka ze swoim mężem, Paulem, w Cronulla. Drażni się

ze mną, że jest teraz ukochaną córeczką, bo urodzi rodzicom pierwszego wnuka. I pewnie ma rację.

– Jesteś starszy?

– Tak, Teresa jest ode mnie o wiele młodsza, ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Jest kosmetyczką, a jej mąż grafikiem komputerowym.

– O wiele młodsza – powtórzyła i parsknęła śmiechem. – Ma tyle samo lat co ja. A ty? Ile?

– Trzydzieści osiem – przyznałem.

– Boże drogi, istny z ciebie staruszek! – zawołała z udawanym przerażeniem. Roześmiałem się z trudem. – Powaga, masz trzydzieści osiem lat i jeszcze pracujesz? To chyba rekord świata – rzuciła lekko.

Rozsiałem się wygodnie, wbiłem wzrok w kieliszek i myślałem intensywnie. Nie była to aż tak znacząca różnica wieku, ale nigdy nie spotykałem się z kobietą o tyle ode mnie młodszą.

– Ale kogo obchodzi, czy jesteś seniorem!

– Przepraszam za opóźnienie. – Kelnerka wróciła, tym razem z naszymi talerzami. Miała łzy w oczach, stawiając nakrycie przed Molly. Ta już otwierała usta, żeby ją zganić, bo ciągle nie dostaliśmy przystawek. Pochyliłem się nad stołem i leciutko dotknąłem jej nadgarstka. Spojrzała na mnie zdziwiona, ale tylko podziękowała odchodzącej kelnerce.

– I bez tego ma koszmarny wieczór – szepnąłem, gdy zostaliśmy sami. – Daj jej spokój, biedaczka miała łzy w oczach.

Molly spojrzała na kelnerkę, która teraz użerała się z klientami przy innym stoliku, głośno utyskującymi na opóźnienie.

– Powinnam była to zauważyć – mruknęła, marszcząc brwi. – Nie chcę być niemila. Ale to, co znane, traci urok, prawda?

– Masz wyjątkowe życie – zauważyłem z uśmiechem. – Mało kto wybiera restauracje w tej okolicy na kolacyjkę po pracy. Ale muszę przyznać, że mimo opóźnienia jedzenie jest pyszne.

I naprawdę tak było, jedzenie było wyśmienite, nasze dania stanowiły arcydzieła sztuki kulinarnej. Po posiłku sięgnąłem po karafkę z wodą w tej samej chwili co Molly i nasze dłonie się zderzyły. Cofnąłem się odruchowo i niemal dopadły mnie wyrzuty sumienia, jakby ten kontakt fizyczny nastąpił wskutek mojej siły woli. Zauważyłem, że Molly zrobiła to samo. Spojrzałem na nią; spodziewałem się zmieszania czy wstydu, ale widziałem tylko to, co sam czułem – oczekiwanie. Nawet w mdłym świetle restauracji widziałem, że oczy jej pociemniały. Patrzyła na mnie z nieukrywanym pożądaniem.

Jej dłoń leżała na stole, z dala od karafki, obok sztućców. Powoli przesuwalem rękę po obrusie. Molly obserwowała każdy mój ruch, czułem, że wstrzymuje oddech. Zbliżałem się milimetr po milimetrze, aż w końcu musnąłem

palcem wskazującym jej palec, od paznokcia po kłykieć. Kiedy doszedłem do nadgarstka, zwinąłem palce tak, że dotykały się tylko nasze dłonie.

Dawałem jej szansę, mogła cofnąć rękę, ale wiedziałem, że tego nie zrobi – bo tak naprawdę przedłużałem cudowne napięcie i oczekiwanie, które tliło się między nami przez cały wieczór. To był niewielki gest, ale nie sposób było go nie zrozumieć. Znowu patrzyliśmy sobie w oczy i nagle byliśmy tylko my, tylko ta chwila – pierwszy z momentów brutalnej, niewypowiedzianej szczerości między nami.

Napięcie było niemal namacalne. Było silne, dziwne, cudownie odwzajemnione. Unosiła palce, jednocześnie przyciskając dłoń do stolika. Powtórzyłem jej ruch, a potem nasze palce splotły się, podobnie jak nasze ręce. Przełknąłem głośno ślinę, bo jej dotyk był cudowny.

Patrzyła na nasze palce, moje ciemne i jej jasne, i wróciła do mnie wzrokiem.

– Byłeś kiedyś w Bennelong Apartments? – zapytała cicho.

– Nie – odparłem i spojrzałem na nią ostro, gdy dotarła do mnie oczywista prawda. – Dlatego wybrałaś tę restaurację? Bo blisko z niej do ciebie?

Zacisnęła palce. Kąciki jej ust uniosły się w leciutkim uśmiechu. Jeśli ją na czymś przyłapałem, nie dała tego po sobie poznać.

– Lubię być przygotowana na wszystko – powiedziała tylko, ale jej wzrok zdradzał, że miałem rację. Spojrzałem na jej talerz. Był pusty.

– Masz ochotę na deser? – zapytałem.

– Och, tak – mruknęła. – Idziemy.

11. Molly

Lipiec 2015

Następnego dnia docieram do ośrodka rehabilitacyjnego wczesnym popołudniem. Chciałam wpaść do biura tylko na chwilę, ale wizyta przeciągnęła się do kilku godzin, a potem jeszcze czekała mnie długa jazda do chwilowego domu Leo. Kiedy wpadam do jego pokoju, jestem speszona i zmęczona.

Siedzi na wózku inwalidzkim i rozmawia z Teresą, która przycupnęła na kanapie przy jego poślaniu. Dobrze, że nie przywiozła dzieci, bo pokój nie jest dostosowany do ich obecności i chłopcy zostawiliby tu pobojuwisko.

Teresa ma czerwone oczy. W jednej dłoni ściska chusteczkę, w drugiej – telefon komórkowy. Jej związek z Leo sprowadza się do niekończących się wzajemnych obelg i przytyków, ale wiem, że pod tą szorstką warstwą jest autentyczne oddanie. Obejmuję ją serdecznie i siadam obok.

– Przepraszam za spóźnienie. – Krzywię się. – Miałam ciężki ranek. Wszystko w porządku?

– Ja też miałem pełne ręce roboty – zapewnia Leo. – Odkąd wyszłaś, przez mój pokój przewinęła się niekończąca się parada lekarzy i terapeutów.

– To dobrze. – Uśmiecham się. – Czyli się nie nudzisz. Lepiej się czujesz?

– Z każdą chwilą.

– Nie uważasz, że w nowej fryzurze bardzo mu do twarzy? Od lat powtarzałam, że powinien nosić krótsze włosy – mówi Teresa znacząco i dopiero po chwili zauważam, że Leo zdjęto bandaż. Pospieszne strzyżenie przed operacją jest teraz w pełni widoczne, podobnie jak wielka szrama ciągnąca się wzdłuż czaszki. Widzę ślady po zszywkach medycznych. Nie do wiary – włosy Leo rosną tak szybko, że blizna błyskawicznie zniknie pod ciemnymi kręconymi włosami.

– Wygląda fantastycznie – przyznaję. Aż trudno uwierzyć, że zaledwie kilka tygodni temu leżał w śpiączce, jeszcze trudniej – że kilka tygodni przed wypadkiem był na mnie tak wściekły, że zostawił obrączkę na obramowaniu umywalki.

– Teresa od mniej więcej godziny opowiada mi historię życia swoich dzieci, od dnia narodzin. – Leo wskazuje głową telefon w dłoni. – W tej chwili doszliśmy do mniej więcej piątej pieluchy Baxtera i drugiej butelki mleka. Mówć dalej?

– Będiesz tego żałował, kiedy wróci ci pamięć i przypomnisz sobie, jak bardzo ich kochasz – mówię.

– Zabiorę ich na przejażdżkę na wózku inwalidzkim – odpowiada. Stara się mówić lekko, ale obie z Teresą wychwytyjemy mroczne nuty w jego głosie.

– Ani się obejrzysz, będziesz ich ganiał i łaskotał – zapewniam. – Za duży z ciebie uparciuch, żebyś na zawsze został na wózku.

– Nie jestem pewny, czy akurat upór jest cechą decydującą o permanentnym uszkodzeniu mózgu, czy nie, ale dzięki za pokładaną we mnie wiarę – odpowiada Leo, podjeżdża do niej i burzy jej włosy, jakby była małą dziewczynką. Teresa opęda się ręką, wyraźnie zirytowana. Parskam śmiechem, bo cudownie jest widzieć ich razem.

– Skoro twoja wspaniała żona może dotrzymać ci towarzystwa, wracam do domu, żeby zwolnić Paula z opieki nad potworami. Niedługo przyjedziemy razem, kiedy tylko mama zgodzi się nimi zająć. Chyba że mamy ich też przywieźć? Chcesz ich poznać?

– Mogę w dowolnej chwili wyjść z ośrodka – zauważa Leo cicho. – I mam nadzieję, że wkrótce z tego skorzystam. Może lepiej to ja do was przyjadę?

– Tobiasz załatwił furgonetkę z miejscem na wózek – wtrącam. – Więc bez problemu powinno się udać.

– Super. Podziękuj ode mnie Tobiaszowi. Kimkolwiek jest.

Natychmiast reaguję irytacją na jego sarkazm. Poważnieję. Z łatwością mogłabym odpowiedzieć równie kąśliwie i zapewne zrobiłabym to, gdyby nie obecność Teresy. Jest boleśnie bezpośrednia i zawsze broni Leo jak lwica – wystarczy, żebym odrobinę podniosła głos, a zaraz skoczy mi do gardła. Choć ostatnie, czego nam teraz trzeba, to rodzinna awantura.

– Biedny Leo. – Krzywi się. – To wszystko cię pewnie przytłacza. Tobiasz to prawa ręka twojej superżony, jej asystent w fundacji.

– Aha, w fundacji. – Leo zerka na mnie. – Twojej?

Potwierdzam ruchem głowy. Teresa wstaje.

– Dasz znać, kiedy wpadniesz? Dla ciebie nawet pozbieram klocki Lego, żebyś nie wywalił się wózkiem już w progu. – Podchodzi do Leo, całuje go w policzek, idzie do drzwi. – Dzięki, że go przywiozłaś, Molly.

– Niczego nie mówiłaś o fundacji – zaczyna, kiedy zamykają się za nią drzwi.

– Wiem. Łatwiej będzie ci ją pokazać, dlatego prosiłam Tobiasza, żeby załatwił transport.

– Kiedy pojedziemy?

– To zależy od ciebie.

– Słuchaj, wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale mój kalendarz na razie świeci pustkami.

– Zaraz, zaraz, nie musisz od rana do nocy uczestniczyć w rehabilitacji?

Leo pochyla się po zalaminowaną kartkę ze stołu.

– Spójrzmy na plan dnia... Co rano rehabilitacja i tego nie chcę przegapić. W niektóre dni terapia zajęciowa, przy czym jeszcze nie bardzo wiem, o co w tym

chodzi, ale chyba może mi się przydać, a w pozostałe hydroterapia.

– Lubisz pływać – zauważam.

– Lubię, więc tego też nie chcę tracić. Ale potem jest lunch, a zaraz po nim coś, co się nazywa terapia grupowa.

Wydaje się przerażony, zaledwie czytając te słowa. Parskam śmiechem.

– O nie!

– Czyli między piętnastą a szesnastą trzydzieści – i to codziennie. – Leo patrzy na mnie. Nie sądzę, żeby tylko udawał przerażenie. Cały czas się śmieję, gdy znacząco unosi brew. – Nie wiem, Molly, czy to rozumiesz. Codziennie.

– Może taka dawka rozmów o uczuciach dobrze ci zrobi? – podsuwam. Odkłada rozkład zajęć na kolana i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

– Jeśli już muszę rozmawiać o uczuciach, wolałbym te przyjemne. Mogłabyś mnie zabrać w kilka miejsc? Może coś mi się przypomni. No i oczywiście chciałbym zobaczyć, gdzie pracujesz.

– Dobrze.

– Co powiesz na między piętnastą a szesnastą trzydzieści? Codziennie?

Nic, zważywszy, że od dwóch tygodni nie było mnie w pracy, a przyjazd tutaj zajmuje mi co najmniej dwie godziny w obie strony. Ale Leo uśmiecha się do mnie i jest to ten jego czarujący uśmiech, którym zmiękcza serca naburmuszonych sprzedawców przy okienku linii lotniczych, gdy chce kupić bilet na wybrany lot, i którym rozczuła urzędników w kolejnej ambasadzie, starając się o szybsze wydanie wizy. Odruchowo chcę odpowiedzieć tym samym, czuję, że cała łagodnieję, jakby rozpływał mi się kręgosłup.

– Brad już był? – pytam.

– Nie.

– Wcześniej czy później przyjdzie, więc lepiej tu dzisiaj zostać, a jutro pomyślimy o innych formach terapii.

– Super. Więc randka. – Urywa nagle, gdy dociera do niego, co powiedział.

– Chyba już to kiedyś mówiłem, prawda? Byliśmy w barze, w porcie Darling. Umawialiśmy się na kolację i chciałem się upewnić, że chodzi nam o to samo.

Błyskawicznie wracam myślami do tamtej chwili. Pamiętam, jak wysoki, silny Leo siedział koło mnie w barze, przypominam sobie, jak ciemność otulała nas szczerze, jak Leo wpatrywał się we mnie intensywnie. Tamtej nocy nie mogłam zasnąć, więc zamiast spać, planowałam. Ja, rozpieszczona, zepsuta manipularka, snułam plany aż do świtu, wymyślałam, dokąd pójdziemy, brałam pod uwagę atmosferę lokalu, w którym zjemy kolację, zdecydowałam już nawet, w co się ubiorę i jakimi perfumami spryskam.

Byłam jak rekin plujący na ofiarę.

– Przypomniałaś sobie całą noc?

– Pamiętam tamten moment i na razie to wszystko. Przypomniały mi się

tamte słowa, ale tylko słowa. Jakbym obejrzał scenę ze środka filmu – tłumaczy obrazowo. – No więc, dokąd poszliśmy?

– Circular Quay. Często tam chodziliśmy. I może jutro też powinniśmy się tam wybrać.

– Super. Dzięki, Molly. Przyniosłaś mi coś do ubrania?

Wskazuję torbę na posłaniu.

– Tak, ciuchy i czytnik, jak chciałeś. Przyniosłam też twój portfel i zapasową kartę kredytową, na wypadek gdybyś chciał coś kupić. Niestety, nigdzie nie znalazłam twojego telefonu. Bardzo mi przykro. Kupiłam ci nowy. Numer jest ten sam. W pamięci telefonu zapisałam PIN do karty.

– Naprawdę liczyłem, że uda mi się odzyskać mój stary telefon. Nie ma go w sejfie?

Kręcę przecząco głową. Okłamuję go, nawet nie zajrzałam do sejfu, choć telefon jest pewnie właśnie tam. Wmawiam sobie, że nie oddaję mu telefonu, żeby go chronić – gdyby dostał go w swoje ręce, musiałby natychmiast zmierzyć się z rzeczywistością naszej sytuacji. Wystarczy, żeby zerknął na nasze esemesy, a wiedziałby, że między nami już nie jest jak w bajce.

Ale jeśli mam być naprawdę do bólu szczerą wobec samej siebie, muszę przyznać, że to nie jest jedyny powód. Leo mnie intryguje, co dziwne, bo znam go lepiej niż samą siebie. Ale zapomniałam już, jak to jest być z nim tak jak dawniej, zanim osady goryczy pokryły nasz związek. Jestem na niego bardzo wyczulona, łatwo mu ulegam – ale zarazem myślałam, że umrze, a potem jednak nie umarł, a teraz znowu jest wobec mnie czarujący i... chyba nie jestem jeszcze gotowa, żeby wszystko było tak jak przed jego wypadkiem.

– A koło łóżka? – Leo nie daje za wygraną. Kręcę przecząco głową. Wzdycha ciężko. – Dziwne.

– Jeśli chcesz, będę dalej szukać, choć moim zdaniem po prostu zabrałeś go ze sobą.

– To trochę dziwne. Mówiłaś, że miałem też telefon satelitarny, prawda?

Potwierdzam ruchem głowy. Leo ściąga brwi.

– Po co mi dwa telefony na froncie?

Jestem na siebie wściekła, bo oczywiście ma rację – nigdy nie zabiera ze sobą dwóch telefonów.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam i modlę się, żeby nie zobaczył rumieńca na moich policzkach.

– Jak się porozumiewaliśmy?

Wcale, myślę, spanikowana. Nasza ostatnia komunikacja ograniczyła się do maila od Leo, w którym radził mi poszukać prawnika, i esemesa, w którym żądał, żebym zabrała moje rzeczy z jego domu. Na samą myśl o tych wiadomościach robi mi się słabo, nawet teraz po tylu tygodniach. To były pierwsze wersy mojego

nowego życia, zatytułowanego *Bez Leo*. Jednocześnie były bardzo konfrontacyjne i bardzo wymowne, także dlatego, że to, czego w nich nie było, paradoksalnie rzucało się w oczy. Byliśmy sobie obcy – jeszcze bardziej niż teraz, kiedy Leo w ogóle nie pamięta naszego wspólnego życia.

Jednak teraz nie chcę o tym myśleć. Nie chcę go okłamywać, a przede wszystkim nie chcę, żeby mnie na tym przyłapał. Muszę jak najszybciej skierować rozmowę na inne tory, zanim jednak zdołałam wymyślić przekonującą bajeczkę, Leo znowu zabiera głos.

– Straciłem wszystko, co zabrałem do Syrii?

– Brad ma twoją torbę, ale mówił, że przepadło to, co miałeś ze sobą w samochodzie, więc jeśli zabrałeś go ze sobą do Syrii, pewnie tam właśnie był.

Leo wzdycha ciężko, ale, tak jak na to liczyłam, wreszcie daje temu spokój.

– Myślałem po prostu, że dzięki temu przypomniabym sobie może, co ostatnio robiłem. Nie przepadam za pisaniem esemesów, ale może wtedy otworzyłyby się jakieś klapki w mojej pamięci.

– Jeśli chodzi o esemesy... – zaczynam. Patrzy na mnie zaintrygowany. – Dużo ich piszesz.

– Tak?

– To znaczy... Bo ja to robię. Chyba nie bardzo ci to odpowiadało, ale i tak przywykłeś.

– Naprawdę? Nie znoszę tej formy komunikacji.

– Wiem. Czyli poszedłeś na ustępstwo.

Zaskakuje mnie ta myśl. Czasami postrzegam Leo jako człowieka bezkompromisowego, a jednak zupełnie niechcący przypomniabł mi o jednym z małych ustępstw, które dla mnie zrobił. To drobiazg, ale z drugiej strony to ważna sprawa, bo esemesy naprawdę stanowiły ważny element naszej komunikacji podczas minionych lat.

– Teraz jeszcze bardziej mi żal zgubionego telefonu – wzdycha. – Mógłbym dzięki temu dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jacy byliśmy.

Nie masz zielonego pojęcia. Ciekawa jestem, jaka byłaby jego reakcja, gdybym pokazała mu kilka ostatnich wiadomości. Speszyłby się swoim chłodem? Coś mi mówi, że tak, tak samo jak ja wstydzę się niektórych rzeczy, które zrobiłam w minionych miesiącach. Kiedy wypala się namiętność taka jak nasza, człowiekowi trochę odbija, a kiedy emocje opadają i trzeba spojrzeć na zgliszczą, nie sposób na chłodno wytłumaczyć decyzji, które wydawały się całkowicie racjonalne, gdy emocje buzowały z pełną siłą.

– Przykro mi – mówię.

– Spokojnie, to nie twoja wina. – Uśmiecha się.

– Jak sobie tu radzisz?

– Wolałbym być w domu, ale wiem, że to na razie niemożliwe.

– To tylko przejściowa sytuacja – zapewniam.

– Wiem. A jak ty sobie radzisz? Sama?

Śmieję się, ale nie jest to przyjemny śmiech. Kiedy widzę, jak Leo się krzywi, gorycz ustępuje wyrzutom sumienia.

– Pewnie przywykłaś do samotności.

– Doskonale daję sobie radę sama – mówię sztywno. – W domu bez ciebie nie jest tak samo, ale nic mi nie będzie.

– Czy teraz mniej podróżuję?

Oddałabym wiele, żeby odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. Taki przecież był plan, kiedy się pobieraliśmy – nie więcej niż trzy tygodnie za jednym razem, nie więcej niż sześć wyjazdów w ciągu roku. Ale ułożyło się zupełnie inaczej.

– Nie, praca jest dla ciebie bardzo ważna, a w ciągu minionych lat na świecie wiele się działo, więc mogłeś przebierać w zleceniach. Opisałeś wiele historii, o których świat nie usłyszałby, gdyby nie ty. Chcesz jeszcze przez jakiś czas rozwijać się zawodowo.

Milknę na chwilę, staram się zrozumieć dziwne uczucie, które we mnie wzbiera – i nagle uświadamiam sobie, że moje rozdarcie wynika z faktu, iż staram się usprawiedliwić przed Leo powody, które de facto spowodowały rozpad naszego małżeństwa. Wcale nie chcę tego usprawiedliwiać. Kiedy się kłóciliśmy, Leo wymieniał dokładnie te same argumenty, co ja teraz, ale w jego ustach brzmiały bardzo logicznie, niepodważalnie. W odpowiedzi stawiałam swoje żądania – w skrócie, oczekiwałam, że poświęci mi choć odrobinę uwagi, na czym rozpaczliwie mi zależało. Kończyło się zawsze tak samo, przemocą, choć żadne z nas nigdy nie podniosło ręki na drugie, w związku słowa ranią tak samo jak ciosy.

Podczas niezliczonych kłótni na ten temat byliśmy równie silni, równie zdesperowani i po licznych starciach oboje opadaliśmy z sił.

Przez chwilę rozmyślałam o tym wszystkim – w tej chwili Leo jest bardzo wrażliwy, podatny na ciosy. Mogłabym to wykorzystać. Zamiast wymieniać powody, które w kółko od niego słyszałam, mogłabym spokojnie wyłuszczyć, jak bardzo niesprawiedliwie mnie traktował, jak okrutna była ta sytuacja z mojego punktu widzenia – czekałam w domu, kochałam go desperacko, a jednak zawsze byłam na drugim miejscu, za problemami całego świata.

Jednak od razu wiem, że nie mogę tego zrobić. Leo jest zbyt wrażliwy, bardziej nawet niż w najbardziej intymnych chwilach. I choćby dlatego nie mogę go wykorzystać – choć bardzo bym chciała.

– Nienawidzisz jej? – Wrywa mnie z zadumy. Marszczę brwi, słysząc powagę w jego głosie.

– Ale czego?

– Mojej pracy.

Przyglądam mu się zaskoczona. Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – kłóciliśmy się, tak, przekomarzaliśmy – ale nie rozmawialiśmy. Na początku nie zwracałam sobie tym głowy. Zakładałam, że to oczywiste, ale także, że oboje się z czasem zmienimy i osiągniemy kompromis. Ja zaakceptuję jego pracę, Leo przestanie poświęcać jej całego siebie.

– Jest ciężko – odpowiadam ostrożnie. Nie mogę dodać nic więcej, bo jeśli to zrobię, nie zdołam opanować gniewu. Już czuję, jak we mnie wzbiera. Wystarczy jedno nieostrożne pytanie, jeden fałszywy krok, a wybuchnę. Leo nie jest w stanie się ze mną kłócić. Podjeżdża do mnie na wózku i przykrywa moją dłoń swoją – i nagle tego już za wiele, bo oczekiwałam od niego właśnie takiej czułości, ale teraz już na nią za późno.

Wyrywam rękę i wstaję. Marszczy brwi, ale odsuwa się, żebym mogła przejść.

– Nie idź jeszcze – mówi, chyba sam tym zdziwiony. – Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

– Słuchaj, naprawdę muszę już iść. – Zarzucam torebkę na ramię i dodaję z fałszywą pogodą w głosie: – Szofer już czeka. Zobaczymy się jutro po południu?

– Molly, zdenerwowałem cię? – pyta cicho.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, po prostu na mnie już czas. Do jutra.

– Jutro porozmawiamy? – upewnia się. Marszczy brwi.

– Oczywiście – rzucam zwięźle. Wychodzę szybko i mam wrażenie, że uciekam. Wsiadam do samochodu. Gdy wracam do miasta, dopadają mnie wyrzuty sumienia. Zapewne moim zachowaniem tylko spotęgowałam zamęt w głowie Leo.

Pocieszam się, że wkrótce i tak odzyska pamięć, a to oznacza, że to już tylko kwestia czasu, zanim znowu przestanie mu zależeć.

Następnego dnia przyjeżdżam do ośrodka rehabilitacyjnego koło trzeciej po południu. Jestem w dziwnym, gniewnym nastroju. Cały czas dokuczają mi zmiany czasu, nie mogę spać i jestem boleśnie świadoma nawału czekającej mnie pracy. W sumie trochę żałuję niezręcznego finału naszej wczorajszej rozmowy – ale mimo tych wszystkich myśli nie pojmuję, co budzi mój niepokój.

Staję pod drzwiami Leo i staram się opanować irytację, żeby spędzić z nim spokojne popołudnie. I nagle już wiem, skąd się bierze mój niepokój. Odpowiedź staje mi przed oczami: jestem w pułapce. Utknęłam w tej sytuacji na Bóg jeden wie jak długo i na ten czas muszę zapomnieć o własnym życiu. Nie to miałam teraz robić. Nie powinnam pomagać Leo wracać do zdrowia; powinnam dochodzić do siebie po Leo. To miał być okres post-Leo – organizowanie nowego życia, uczenie się przeszłości bez niego.

A tymczasem jestem tutaj i tym samym muszę wraz z nim przeżywać raz jeszcze najpiękniejsze chwile naszego związku. Co za okrucieństwo kazać mi

wspominać to wszystko, co utraciłam, zamiast dać odbyć mi żałobę i żyć dalej. Teraz, kiedy już wiem, co mi doskwiera, wstydzę się swojego egoizmu i w myślach besztam się porządnie. Leo siedzi na wózku inwalidzkim, pochłonięty lekturą czegoś na czytniku. Cały on – kiedy czyta, świat może walić mu się na głowę, a on niczego nie zauważy.

Stoję w progu, upominam się, czemu tu dzisiaj przyszłam. Mam plan i chcę go zrealizować. Dzisiaj zabiorę go do redakcji, może tam coś mu się przypomni, w końcu praca jest dla niego bardzo ważna – ale te wspomnienia nie będą miały związku z nami.

W życiu Leo są sprawy o wiele ważniejsze niż ja i postanowiłam, że bezpieczniej dla nas obojga będzie, gdy to na nich skupi swoją uwagę.

– Cześć – zagajam. Prostuje się nagle, jakbym go zaskoczyła. – Gotowy?

– Miałaś rację! – Podnosi czytnik elektroniczny. – Fantastyczna sprawa! Wiesz, że odkąd go mam, przeczytałem ponad sześćset książek?

– Zawsze masz go pod ręką, więc wcale mnie to nie dziwi – odpowiadam. – Czy to znaczy, że będziesz je czytał od nowa? Czyli amnezja ma jednak swoje dobre strony.

– Nie. To w sumie dziwne, nie pamiętam czytania tych książek, ale doskonale pamiętam ich treść. Pytałem o to neurologa i podobno to kwestia tego, w jaki sposób nasz mózg gromadzi wspomnienia. Amnezja objęła pamięć epizodyczną, ale pamięć semantyczna jest nienaruszona. To fascynujące, choć jednocześnie wkurza mnie, że pamiętam szczegóły z dziewięciusetstronicowej biografii Margaret Thatcher, którą czytałem w dwa tysiące czternastym, ale nie mam pojęcia, jak wyglądał nasz ślub.

– Uwaga, spoiler – rzucam lekko. – Wyglądałam bosko!

Leo z uśmiechem odkłada Kindle'a na stolik.

– To jak, jedziemy dzisiaj na Circular Quay? – pyta.

– Właściwie pomyślałam sobie, że jeśli czujesz się na siłach, zabiorę cię gdzie indziej. Pewnie nie pamiętasz zmian w redakcji, więc może zaczniemy tam? Bo w Circular Quay byłeś tysiące razy. Tam nic się nie zmienia.

Leo powoli kręci przecząco głową.

– Tak, będę chciał zajrzeć do redakcji, ale w tej chwili moim priorytetem jest przypomnieć sobie nas razem, nasze początki.

Gapię się na niego. Zdaje się mówić szczerze, ale jego słowa nie mają sensu.

– Naprawdę?

– Tak. Bo wiesz, moja praca jest ciągle ta sama. A w tej chwili najważniejsze to odzyskać pamięć, prawda?

W pierwszej chwili nie wiem w ogóle, jak na to odpowiedzieć. Przypomnieć mu, że nigdy nie ukrywał, że praca jest dla niego o wiele ważniejsza niż nasz związek? Jak to zrobić, żeby nie wyjść na oziębłą, zgorzkniałą sukę, którą tak

naprawdę jestem? Serce mi się łamie, gdy słyszę, jak Leo zakłada, że skoro się ze mną ożenił, jestem dla niego ważniejsza niż praca.

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć mu prawdy tylko po to, żeby zobaczyć jego reakcję.

„Właściwie nie nasze wspomnienia są najważniejsze. Szczerze mówiąc, oceniam, że plasuję się gdzieś na dole listy – hen, za przygodą, adrenaliną, kompleksem bohatera, ba, nawet twoim pracodawcą”.

– Nasz związek musiał być dla mnie objawieniem – mówi powoli. – Bardzo chciałbym to sobie przypomnieć, Molly. Proszę cię, zabierz mnie we wszystkie te miejsca, w których się w sobie zakochaliśmy, żebym dowiedział się czegoś o nas.

Ścierpłam cała, nawet wargi mi zdrętwiały. Kiwam tylko głową, bo żadne słowa nie przejdą mi przez usta.

– Dobrze. – Uśmiecham się. – Więc chodźmy.

Wchodzę do pokoju, kładę dłonie na uchwytych wózka inwalidzkiego. Leo odsuwa się gwałtownie i kręci głową.

– Jezu, Molly, nie! Nie rób tego! Nie jestem dzieckiem w spacerówce, sam sobie poradzę!

– Och, przepraszam. – Czuję się niezręcznie, nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić. Iść obok niego? Zerkam na Leo, widzę jego irytację, co działa na mnie jak płachta na byka. – Musisz mi mówić, co wolno mi robić, a czego nie. To nowa sytuacja i nie wiem, jak się w niej odnaleźć.

– Ja też nie – odpowiada, marszcząc brwi. – Ale nie musisz mnie niańczyć. Nadal jestem tym samym facetem, co dawniej.

Aż za dobrze znam ten jego upór. Prycham zirytowana.

– Leo, przecież ja tylko chcę ci pomóc. Obawiałam się, że nadal jesteś osłabiony.

– Nie jestem osłabiony!

– Niby skąd mam to wiedzieć? Tydzień temu byłeś nieprzytomny!

– Gdyby nie bóle głowy, mógłbym zapomnieć, że mam problem z nogami, póki nie spróbuję wstać – wyznaje z westchnieniem, oddycha głęboko i wskazuje drzwi. – Idź przodem, przynajmniej na korytarz. A potem koło mnie, jakbyśmy szli obok siebie, tylko że ja, zamiast na nogach, poruszam się na wózku.

Wychodzę na korytarz. Leo jedzie za mną i mówi cicho:

– Wydaje mi się, że kluczową sprawą jest komunikacja. Czeka nas jeszcze mnóstwo sytuacji, w których nie będziemy umieli się odnaleźć. Musimy rozmawiać o wszystkim, co się dzieje, nawet o drobiazgach, żeby nie urosły do niebotycznych rozmiarów.

No, nie! Teraz chce rozmawiać? Czemu o tym nie pomyślał kilka miesięcy temu, kiedy rozpaczliwie tego potrzebowałam? Gdybyśmy wtedy rozmawiali o drobiazgach, jak dzisiaj wyglądałaby nasza sytuacja? Nie wiem, ale możliwe

odpowiedzi na to pytanie sprawiają, że robię się niespokojna, rozchwiana i jeszcze bardziej rozdrażniona.

– Coś takiego z ust faceta, który liczy, że żona pomoże mu urwać się z terapii grupowej? – warczę.

– Nie mam ochoty siedzieć w kółku z innymi pacjentami i zwierzać się z tego, że boli mnie głowa. I tak w porównaniu z większością z nich wyszedłem z opresji obronną ręką.

Czyżbym słyszała pokorę w jego głosie? Koncept tak zadziwiający, że zagryzam usta i czuję, jak mój gniew opada odrobinę.

– Nie uważam, że wyszedłeś z opresji obronną ręką, Leo.

– Słuchaj, wiem, kim jestem, mogę mówić, czytać i pisać – odpowiada. – Jasne, nie jestem zachwycony ani wózkami, ani amnezją, ale mogło być o wiele gorzej. Niektórzy pacjenci stracili wszystko. – Prostuje się gwałtownie. – Jest jeszcze coś, co chciałem ci powiedzieć à propos wczoraj.

Jesteśmy przy wyjściu. Samochód czeka na zewnątrz.

– O, jest nasz samochód – mówię, licząc, że odwrócę tym jego uwagę. Leo zatrzymuje wózek inwalidzki, bierze mnie za rękę, więc muszę się zatrzymać wraz z nim.

– Wczoraj chciałaś mi coś powiedzieć, ale nie zrobiłaś tego ze względu na moje obrażenia. Chciałem, żebyś mi powiedziała, co sądzisz o mojej pracy, i wtedy się wycofałaś.

Gapię się na samochód, liczę, że czas mnie uratuje, gorączkowo kombinuję, jak jeszcze mogę unikać jego wzroku. Leo czeka cierpliwie. W końcu się poddaję, wzdycham ciężko i patrzę mu w oczy. Zazwyczaj, kiedy stoimy, jest ode mnie tylko trochę wyższy, ale teraz on siedzi, a ja stoję, więc muszę opuścić głowę. Nie podoba mi się to i natychmiast zadaję sobie pytanie, jaki on ma do tego stosunek.

– Wycofałam się, bo to nie była ani odpowiednia pora, ani miejsce – odpowiadam spokojnie. – Pytałeś, czy nienawidzę twojej pracy. Szczerze mówiąc, boję się, że jeśli raz zacznę mówić, jak bardzo jej nienawidzę, nigdy nie skończę. Więc tymczasem skoncentrujmy się na twoim zdrowiu, a resztą zajmiemy się później.

– Czy jakaś częśćka ciebie liczy, że już nigdy nie wyjadę? – pyta cicho.

Energicznie kręcę głową.

– Nie.

– Żadna częśćeczka? – upewnia się z niedowierzaniem, choć tym razem akurat mówię prawdę.

– Nie.

– Ale dlaczego? – Wydaje się zaskoczony. Uśmiecham się.

– Bo twoja praca to część tego, kim jesteś, Leo. Nie znoszę też obserwować twoich sparingów podczas turniejów karate, a jednocześnie nie mogę się doczekać,

kiedy wrócisz na matę i dasz stłuc się na kwaśne jabłko.

Uśmiecha się pod nosem.

– Potraktuję to jako otuchę z podwójnym dnem, o ile coś takiego w ogóle istnieje.

– Jak najbardziej – zapewniam i ciągnę go za rękę. – Możemy już iść?

Wzdycha i mocno ściska moją dłoń. Najwyraźniej nie żartował, zapewniając, że odzyskuje siły.

– Chciałbym, żeby wszystko między nami było jasne, Molly. Nie znam cię i nie wiem, czy chcesz mnie chronić, czy po prostu nie masz ochoty mówić mi, co ci chodzi po głowie. Ale bardzo proszę o jedno: bądź ze mną szczerą, dobrze?

– Tak – odpowiadam, choć to jasne, że kłamię, bo przecież nadal nie jestem gotowa obarczyć go całym bałaganem naszej sytuacji. Muszę zaplanować, jak mu powiedzieć o naszej separacji, a zważywszy na to, jak ostatnio się przy nim czuję, to powinno się wydarzyć jak najszybciej.

Ale jeszcze nie jestem gotowa. Leo też nie.

12. Leo

Luty 2011

Wstaliśmy od stolika. Molly puściła moją dłoń. Zapłaciliśmy rachunek po połowie, staliśmy koło siebie przy barze, gdy spojrzała na mnie i powiedziała cichutko:

- Chciałabym nadal trzymać cię za rękę, naprawdę, ale paparazzi...
- Rozumiem. – Nie dałem jej dokończyć. – Nie musisz mi tego tłumaczyć.

Skinęła głową i uśmiechnęła się. Delikatnie położyłem dłoń na jej plecach i ruszyliśmy do drzwi. W milczeniu szliśmy w stronę jej mieszkania. Pokonaliśmy niewielką odległość. Odźwierny przytrzymał nam drzwi. Molly powitała go skinieniem głowy i uśmiechem.

Zrównałem krok z jej tempem. Żyłem chwilą, czułem, jak krew pulsuje mi w żyłach, czułem, jak narasta we mnie oczekiwanie na to, co być może wydarzy się między nami. Ale ledwie znaleźliśmy się w jasno oświetlonym holu, gwałtownie wróciłem na ziemię, jak po nocy picia. Wpatrywałem się w lśniące kafelki, wyściełane meble i nocnego portiera. Czyżbym w zeszłym tygodniu wpadł do króliczej nory i dopiero teraz wracał na ziemię?

Nie dałem się onieśmielić, przeciwnie, wyprostowałem się dumnie przy każdym kolejnym kroku. Spojrzałem w stronę Molly, zobaczyłem jej odbicie w lustrze i pomyślałem wtedy, że może ja tu nie pasuję, ale ona, ta zjawiskowo piękna kobieta w różowej sukience, czuje się tu jak w domu, i to dosłownie, i chce, żebym tu z nią był. Kiedy sobie to uświadomiłem, mężczyzna w lustrze wydał mi się silny i dumny.

Windziarz przywitał się z Molly przy drzwiach windy, wystukał kod na panelu i weszliśmy do środka. Drzwi zamknęły się niemal natychmiast. Ledwie zostaliśmy sami, objąłem Molly, jakbym czekał na nią całe życie. Zamknąłem jej twarz w dłoniach, odchyliła głowę do tyłu. Nasze oddechy splatały się chrapliwe, rwane, jakbyśmy biegiem pokonali drogę z restauracji. Chciałem rozkoszować się jej lśniącymi ustami i granatową burzą w jej oczach, kiedy na mnie patrzyła, ale wtedy objęła mnie za szyję i przyciągnęła do siebie. Pocałowała mnie mocno, niecierpliwie. Odpowiedziałem jej tym samym.

Później leżałem na jej łóżku wpatrzony w niewyraźne cienie na suficie. Molly leżała na plecach, z głową na mojej piersi, z nogą na moim udzie. Nasze splecione dłonie spoczywały na moim biodrze.

Nawet nie próbowałem uporać się z plątaniną uczuć w moim sercu. Nawet gdybym potrafił je nazwać, nie miałbym pojęcia, co z nimi zrobić. Wołałem

koncentrować się na Molly.

– O czym myślisz? – zapytałem. Przesuwałem dłońmi po jej plecach powolnymi, miękkimi ruchami. Oddychała leniwie.

– Zastanawiałam się właśnie, co byś zrobił, gdybym poprosiła, żebyś mi coś o sobie opowiedział. Coś, czego nikt inny nie wie.

– Już wiesz o mnie rzeczy, o których inni nie mają pojęcia.

– Tak?

– O stypendium. Nikomu o tym nie mówiłem – wyznałem. – I jeszcze... – Podniosłem rękę tak, żeby widziała tatuaże. Oderwała dłoń od mojego biodra, obrysowywała palcami każdy rysunek, wędrowała opuszkami po mojej skórze. – To znaczy oczywiście wszyscy widzą, że mam tatuaże, ale nikt nie wie, co oznaczają.

– Masz je na barkach i na plecach – szepnęła. – I każdy z nich symbolizuje śmierć? – Odwróciła się, żeby spojrzeć mi w oczy. Odwzajemniłem jej spojrzenie.

– Co najmniej jedną – odparłem. Sam słyszałem, jak bardzo stwardniał mi głos.

– A ten? – Obrysowała jeden z symboli koniuszkiem palca, a ja poczułem się zarazem obnażony i schwyty w pułapkę. Chciałem uciekać. Chciałem delikatnie wyzwolić się z jej objęć i wrócić do siebie, żeby zasnąć sam. Ale Molly czekała i stopniowo bolesny węzeł w żołądku się rozluźnił. Już nie chciałem uciekać, choć też nie chciałem z nią o tym rozmawiać. A potem już nie chciałem unikać tej rozmowy i zacząłem mówić – mało, tylko tyle, żeby zaspokoić jej ciekawość, bo to, jak sobie wmawiałem, całkiem naturalne. Ale kiedy zacząłem mówić, ze strumyka słów zrobił się wartki potok i tamy puściły.

– W 2005 roku byłem w Darfurze. Nie chciałem tego zlecenia, od kilku miesięcy pracowałem w Iraku, szykowałem się na urlop, ale Brad tam był, zadzwonił do mnie i chciał, żebym do niego dołączył. Mówił, że jest tam bardzo źle i że byłoby dobrze, gdyby sytuacją w Darfurze zainteresowało się więcej przedstawicieli mediów, i że musimy zrobić o tym materiał. Podczas tamtej podróży widzieliśmy wiele strasznych rzeczy, wiele naprawdę strasznych rzeczy.

Miałem w pamięci mnóstwo wspomnień, które najchętniej zatarłbym na zawsze, i w tym momencie zaczęły powracać przebitki z tamtego czasu. Obaj z Bradem bardzo świadomie koncentrowaliśmy się na najbardziej drastycznych przypadkach łamania praw człowieka, do jakich udało nam się dotrzeć. Byliśmy kronikarzami koszmaru, robiliśmy co w naszej mocy, by świat nie mógł usprawiedliwiać swojej indolencji niewiedzą.

Ale nie chciałem Molly o tym opowiadać – o masowych grobach i mrozących krew w żyłach przypadkach przemocy w obozach dla uchodźców. Już sama skala i rozmiar nieszczęścia były przytłaczające; czułem się jak na kartach makabrycznej antyutopii. Molly była pewna siebie, inteligentna i, o czym się

szybko przekonałem, odważna, ale była też niepoprawną optymistką i żyła pod kloszem. Wydawało mi się, że opowiadając jej o tych makabrach, w jakimś sensie kalam jej niewinność. I dlatego skracałem i łagodziłem – czego wymagał ode mnie redaktor prowadzący, ilekroć to, co napisałem, wydawało mu się zbyt brutalne dla czytelników.

– Ten tatuaż symbolizuje obóz dla uchodźców, który odwiedziłem.

– A ten długi, na barku? Czy to wąż?

– O, ten jest szczególny – przyznałem. Grzywka opadła jej na oczy. Odgarnąłem ją delikatnie. – To jeden z dwóch tatuaży, które nie dotyczą czegoś, o czym pisałem. Chciałem oddać hołd mojej kulturze.

– W sensie... – Zawahała się, ale po chwili dodała: – Kulturze Aborygenów?

– Tak. Czterdzieści tysięcy lat historii przekazywanej w ustnych podaniach, rytuałach i malowidłach, a w ciągu niecałych dwustu lat prawie wszystko przepadło. Chciałbym rozumieć, czego mi brak w związku ze śmiercią cywilizacji. To powinno być moje dziedzictwo. Rodzina mojej matki oderwała się od korzeni, a zatem i ja powinienem nie czuć z nimi więzi, ale wiem, że brakuje mi fundamentów, podstaw, żeby zrozumieć świat. Nigdy ich nie miałem. Musiałem je sobie sam zbudować.

Za dużo, powiedziałem za dużo. Molly cały czas patrzyła na mnie wielkimi oczami, wyraźnie przejęta, ale poczułem się nagi, obnażony, i nie miało to nic wspólnego z faktem, że naprawdę byłem bez ubrania. Odchrząknąłem.

– Widzisz, teraz już wiesz o mnie dwie rzeczy, o których nikt inny nie ma pojęcia.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że pokazałeś mi siebie.

Umilkłem. Teraz, kiedy już nie musiałem rozdrapywać starych ran, byłem w gruncie rzeczy zadowolony, że to zrobiłem. Widziałem, jak bardzo się ucieszyła, widząc ten wysiłek z mojej strony. Chciałem więcej – ale nie więcej zwierzeń, nie z mojej strony, jeszcze nie teraz. Ale ja też chciałem ją lepiej poznać.

– Teraz twoja kolej. Wisisz mi dwa sekrety.

– Nie mam żadnych tajemnic.

– Każdy je ma. – Urwałem. Spojrzałem na nią. – Często to robisz?

– To? – powtórzyła i spojrzała na mnie. – Chodzi ci o zabieranie do domu facetów, których prawie nie znam, na kilka kolejek ostrego, bardzo satysfakcjonującego seksu?

– Kilka kolejek? – powtórzyłem. Uśmiechnęła się.

– Cóż, noc jest młoda. A może cię przeceniam?

– Nie mam żadnych zastrzeżeń – zapewniłem pospiesznie.

– Przeszkadza ci moja bezpośredniość? – Nagle zmrużyła oczy.

Roześmiałem się i pokręciłem przecząco głową.

– Czy mi przeszkadza, że piękna, inteligentna, cudowna kobieta uwodziła mnie tak samo, jak ja chciałem uwodzić ją? Poczekaj, niech się zastanowię... Nie!

– Kiedy wiem, że czegoś chcę, nie mam ochoty na gierki, po prostu biorę to, na czym mi zależy. Wiem, że przez to wydaję się rozpuszczona, i może naprawdę taka jestem. Może niektórzy uważają, że kobieta nie powinna mówić takich rzeczy. Niektórzy... no wiesz, ludzie w twoim wieku. – Nutka rozbawienia w jej głosie zdradzała, że żartuje, więc odpowiedziałem tym samym.

– O tak, za moich czasów twój ojciec musiałby przekupić mnie stadem krów, zanim poszedłbym z tobą do łóżka.

Roześmiała się. Delikatnie dotknąłem jej policzka. Uśmiechała się z zadowoleniem.

– Leo, jestem kobietą nowoczesną. Nie wstydzę się tego, że lubię seks. Nie szukam księcia z bajki i nie wierzę w żyli długo i szczęśliwie, dzisiaj widziałam, że mnie pragniesz, ja ciebie też, i czułam, że nic ci nie będzie, jeśli pominę te wszystkie zabiegi i przedbiegi. I miałam rację.

– Owszem.

– Po prostu nie uważam, że każdy romans musi się skończyć ślubem, żeby nabrał znaczenia, rozumiesz? Ilekroć rozpada się kolejny związek, dziękuję losowi za dobre chwile z danym partnerem.

– Zgadza się w stu procentach. – Byłem podekscytowany, słysząc, że jej podejście do tych spraw tak idealnie pokrywa się z moim, bo to oznaczało, że bez względu na to, co się między nami wydarzy, szanse na to, że jedno z nas będzie cierpieć, są coraz mniejsze.

– Świetnie.

– Ale przypominam – zauważyłem powoli – że miałaś mi zdradzić dwie tajemnice, a nie sądzę, żeby za takową można było uznać twoje podejście do związków.

Molly odsunęła się. Leżała na boku i patrzyła na mnie. Po dłuższej chwili wyszeptała cichutko:

– Ja naprawdę bardzo chcę odejść z TM, Leo.

– To już wiem. Nie najlepiej to ukrywasz.

Westchnęła.

– Nie mogę sprawić ojcu zawodu, poza tym i tak nie wiem, co chciałabym robić w życiu. I nie mogłabym tak po prostu odejść z Torrington Media i siedzieć beczynnym. Tak się nie robi.

Chciałem mieć ją przy sobie, więc położyłem się na boku jak ona i dotknąłem dłonią jej policzka.

– Nienawidzisz swojej pracy. To jeden sekret. A drugi?

– Mam w sumie jeszcze tylko jeden.

– Słucham cię.

– To był naprawdę świetny pomysł.

Roześmiałem się cicho i pokręciłem przecząco głową.

– Tak łatwo się z tego nie wymigasz.

Uśmiechnęła się leciutko, tajemniczo, a potem przysunęła się do mnie i usiłowała pocałunkiem odwrócić moją uwagę. Pozwalałem jej na to przez dłuższą chwilę, a potem odsunąłem się i szepnąłem:

– Ta sztuczka też ci się nie uda, choć oczywiście możesz próbować dalej.

Molly zachichotała i opadła z powrotem na posłanie.

– No dobra – westchnęła. – Ale ja naprawdę nie mam innych tajemnic. Powiedz, co chciałbyś wiedzieć?

– Co jest najlepsze w byciu Molly Torrington?

Odwróciła się do mnie, oparła podbródek na mojej piersi, spojrzała mi w oczy.

– Najlepsze w byciu Molly Torrington jest to, że nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, jaka ze mnie szczęściara.

– A to dobrze?

– Do naszej rozmowy we wtorek nie miałam pojęcia, że istnieją ludzie, dla których przeszkodą w zdobyciu wykształcenia jest brak pieniędzy. Nie tutaj, w Australii. W moim świecie, jeśli się czegoś chce, to się to dostaje. Mówiłeś, że bieda jest jak mur nie do pokonania, najwyraźniej bogactwo także. Nie mam pojęcia, co jest za tym murem, do tego stopnia żyłam pod kloszem, i nigdy się nawet nad tym nie zastanawiałam do chwili, w której poczułam się jak rozpuszczona bogata idiotka podczas rozmowy z tobą.

– Pytałem, co w tym najlepszego, nie najgorszego – zażartowałem. Skrzywiła się.

– To jedno i drugie zarazem. Ale to jedna z rzeczy, których nigdy dotąd nikomu nie powiedziałam, więc jesteśmy kwita. – Wsparła się na łokciu, musnęła moje usta swoimi. – Zostaniesz na noc?

Już otwierałem usta, żeby powiedzieć, że muszę wracać do siebie, kiedy nagle do mnie dotarło, że mogłem zasnąć w jej łóżku. Chciałem tego – chciałem zamknąć ją w ramionach i spać z nią wtuloną we mnie. Chciałem się z nią obudzić. Owszem, może rano będzie niezręcznie, ale to oznaczało, że rano nadejdzie. Znowu ją zobaczę – kiedy tylko uniosę powieki. I nagle najbardziej na świecie chciałem zasnąć po to tylko, żeby móc się obudzić u jej boku.

– Bardzo chętnie – odparłem.

13. Molly

Lipiec 2015

Przy Circular Quay zawsze panuje duży ruch. Wokół nas przewijają się tłumy turystów w przystani promowej i miejscowych, rozkoszujących się popołudniowym słońcem.

– Dokąd najpierw? – pytam Leo. Uśmiecha się krzywo.

– To twoja opowieść, Molly. Od czego się zaczyna?

Rozglądam się po Circular Quay. Oto First Fleet Park, w którym powiedział mi prawdę o bracie. Oto kafejka, w której byliśmy na kawie i na kolacji i w której po raz pierwszy zafascynowana słuchałam, jak opowiada o swojej pracy. Tuż za zakrętem jest ogród botaniczny, w którym umawialiśmy się na niezliczone randki. A przed nami – na miłość boską, przed nami jest mój apartamentowiec, w którym wszystko robiliśmy po raz pierwszy.

– Na początku spędzaliśmy tu mnóstwo czasu. Tyle tu... – zaczynam i nie kończę, nagle niepewna. – Leo, nie mam pojęcia, co ci się przypomina, co wiesz.

– Nieważne, co wiem, a czego nie. Przypominam sobie poszczególne sceny z początku naszego związku, ale to wszystko jest jeszcze bardzo mgliste i nie wiem, które z tych wspomnień są prawdziwe. Może po prostu opowiesz mi twoje ulubione wspomnienie związane z tym miejscem?

To nieco zawęży obszar. Początkowe wspomnienia są piękne, ale tylko jedno sprawia, że do dzisiaj serce żywiej bije mi w piersi.

– Chodźmy do Circular – mówię i wskazuję restaurację na wschód od nas, przy gmachu Opery. Pokonujemy krótki odcinek, mijamy przystań promową i budynek, w którym znajduje się mój apartament. Wybieramy stolik przy jednym z wielkich okien wychodzących na port. Zamawiamy kawę, a Leo, za moją namową, też ciasto i znowu zostajemy sami. Przez chwilę wpatruję się w most. Kiedy wracam wzrokiem do Leo, widzę, że na mnie patrzy.

– Byliśmy tu na kolacji, prawda?

– Tak.

– Chyba coś pamiętam z tamtego wieczora. Miałaś na sobie sukienkę... – Leo ściąga brwi. – Różową?

– Tak, z różowego szyfonu. Nie mieści mi się w głowie, że to zapamiętałeś – odpowiadam.

– Nie mieści mi się w głowie, że mogłem w ogóle o tym zapomnieć, wyglądałaś niesamowicie.

Wzrusza mnie świadomość, że Leo w ogóle zapamiętał tak nieistotny

szczegół. Uśmiecham się pod nosem i pytam nieśmiało:

– I jak, nadal wydają ci się całkiem obca?

– Nie. Kiedy po raz pierwszy otworzyłem oczy, to wszystko wydawało mi się nierealne. Nie wyobrażałem sobie, jakim cudem my... Miałem wrażenie, że ktoś robi mi paskudny kawał. Szczegółowe wspomnienia wracają powoli, ale inaczej ma się sprawa z uczuciami, cały czas buzują tuż pod powierzchnią. Ilekroć rozmawiamy, przypominam sobie, że dobrze cię znam. Jakbym zapomniał cię tutaj – unosi dłoń do skroni i krzywi się boleśnie, jakby to wyznanie sporo go kosztowało – ale tutaj byłeś zawsze.

Zapiera mi dech w piersiach. Z przerażeniem uświadamiam sobie, że w Leo odżyło uczucie do mnie – to okrutne, że do tego dopuściłam, zważywszy, że właściwie jesteśmy w separacji, a to, co mu się przypomina, to już przeszłość. Kiedy powiedział, że chce separacji, odbyliśmy długą smutną rozmowę, w której zabrakło namiętności – żadne z nas nie miało siły, by walczyć o nasz związek. Tak się musiało skończyć. Wiem więc, że tak naprawdę Leo już nic do mnie nie czuje – gdyby było inaczej, nie odszedłby.

Jednocześnie czuję, że coś mnie do niego przyciąga nawet w tej chwili, gdy patrzymy sobie w oczy. Leo to czaruś, manipulator – wie, jak pracować z ludźmi, jak sprawić, że poczują się przy nim na tyle bezpiecznie, że zaczną mówić. Ale nie tak dobrze idzie mu rozmowa o uczuciach, zwłaszcza jego uczuciach i z natury nie jest romantykiem – większy z niego flirciarz niż uwodziciel. Ta deklaracja to, jak na niego, wielki dowód wrażliwości, choć chyba uważa, że może sobie na to pozwolić, bo jesteśmy małżeństwem.

Jestem zachwycona tym, jak na mnie patrzy, jakby pochłaniał mnie wzrokiem, jakby sam mój widok przyniósł mu otuchę. I nagle uświadamiam sobie, że tak jak w przypadku Leo, którego uczucia buzują tuż pod powierzchnią, podobnie może mieć się sytuacja ze mną. Ta myśl jest tak zaskakująca, tak szokująca, że staram się ją zatrzeć pospiesznym żartem:

– Wiesz oczywiście, że w życiu nie powiedziałeś nic równie banalnego?

Uśmiecha się ciepło, delikatnie.

– A jak myślisz, skąd u mnie ta mina? – Krzywi się z komicznym obrzydzeniem. Parskam śmiechem, śmiejemy się razem, nasze głosy zlewają się nagle, przez moment, stanowimy prawdziwą jedność, jakimś cudem za sprawą śmiechu znowu zlaliśmy się w jedno, jak dawniej. I nagle bardzo mi się to podoba i bardzo za tym tęsknię. Przestaję walczyć z uczuciami, na moment daję się im ponieść. Złe chwile powrócą, wiem o tym, ale napawam się choćby przelotnym powrotem jedności. Leo wyciąga rękę, swobodnie ujmuje moją dłoń, aż nasze palce się splatają.

– Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy trzymaliśmy się za ręce? – pytam. Leo patrzy na nasze dłonie. Widzę, jak znikają kurze łapki wokół oczu, gdy poważnieje.

Jego spojrzenie nabiera intensywności. Po chwili odnajduje mój wzrok.

– Pamiętam, że kompletnie się w tobie zatraciłem.

– A ja w tobie – odpowiadam i zapadam się w jego oczach. Nagle czuję to samo, co wtedy. – Wydawało mi się, że twoje dłonie są stworzone do trzymania moich i chciałam, żebyś cały czas trzymał mnie za rękę.

– I kto tu rzuca banalnymi tekstami? – mówi, ale to tylko szept. Cały czas pochłania mnie wzrokiem.

Śmieję się cicho i uciekam wzrokiem. Podchodzi kelner z kawami i ta cudowna chwila już pryska. Ściskam jego dłoń o wiele mocniej niż wtedy, za pierwszym razem, bo teraz wiem, jak to jest – utracić go.

– Dlaczego właśnie ja, Molly? – pyta nagle Leo.

Uśmiecham się do niego ze zdziwieniem.

– Ale o co ci chodzi?

– Mogłaś mieć każdego, kto wpadnie ci w oko.

– Słuchaj, nie znosisz, kiedy udaję przed tobą bogate biedactwo – zauważam miękko. Leo krzywi się, a ja parskam śmiechem, bo wiem, że nie musi odzyskiwać pamięci, by uwierzyć, że to prawda. Zaraz jednak poważnieję i zastanawiam się, jak odpowiedzieć na jego pytanie. – Bo tak naprawdę pokazałeś mi świat widziany zupełnie innymi oczami. Zakochałam się w tobie ze względu na to, kim jesteś, ale wyszłam za ciebie ze względu na to, kim się stałam, odkąd jesteśmy razem.

Uśmiecha się, unosi moją dłoń do ust, całuje lekko, czule i ponownie kładzie na stole. Odwracam wzrok od niego, patrzę na port i myślę o tym, co powiedziałam. To wszystko prawda, ale nagle do mnie dociera, że już wkrótce nie będę jego żoną i nie mam zielonego pojęcia, kim będzie ta nowa Molly Torrington-Stephens bez Leo u boku. Jest o wiele twardsza niż nieświadoma niczego trzpiotka, która wyszła za niego przed prawie trzema laty, ale też o wiele bardziej wrażliwa, świadoma różnic społecznych, bardziej hojna.

Czy będzie szczęśliwa? Przeraza mnie ta myśl. Zerkam na Leo i widzę, że na mnie patrzy. Nie widzi mnie, widzi Molly z czasów przed Leo, zupełnie inną osobę.

Była rozpuszczona, wyrachowana i samolubna – i mimo to się w niej zakochał.

14. Leo

Luty 2011

Następnego ranka obudziłem się, ledwie słońce zaświeciło w okna Molly. Leżała na ukos, z twarzą na mojej klatce piersiowej, obejmując mnie lekko. Choć drobna, zajmowała prawie całe posłanie, a ja leżałem na wąskim skrawku. Chrapała zadziwiająco głośno. Uśmiechnąłem się na myśl, jak bardzo by się speszyła, gdybym jej o tym powiedział.

Ostrożnie zmieniłem pozycję, żeby ją widzieć i przez dłuższą chwilę napawałem się widokiem. Po naszej szalonej nocy włosy sterczały jej na wszystkie strony, miała rozmazany makijaż. Analizowałem przyływ czułości, którego doświadczyłem w tej chwili; w moich oczach była piękna, nawet teraz. Co takiego mnie w niej pociągało? Pomyślałem o fantastycznej wspólnej nocy, ale już wtedy wiedziałem, że chemia to tylko część tej układanki. Być może kolejne stanowiły jej pewność siebie, wyzwanie, jakie stanowiła, może nawet jej zadziwiająco pozytywna energia.

Była równie skomplikowana jak moja nią fascynacja – zbyt złożona, by w takiej chwili to zrozumieć. Nie mogłem się doczekać, co przyniesie nowy dzień, byłem ciekaw, czy zdołam go wykorzystać – i poznać różne jej oblicza. Nagle ogarnęło mnie zniecierpliwienie. Chciałem ją obudzić, początkowo delikatnie, wiercąc się na łóżku, ale kiedy to zawiodło, sięgnąłem po bardziej drastyczne środki.

– Obudź się – szepnąłem. Leniwie uniosła jedną powiekę.
– Błagam, tylko mi nie mów, że jesteś rannym ptaszkiem.
– Zazwyczaj nie, ale też zazwyczaj nie budzę się z piękną kobietą w ramionach.

– Coś mi mówi, że mógłbyś się budzić z pięknymi kobietami w ramionach, kiedy tylko zechcesz – burknęła. – Która godzina?

– Nie mam pojęcia. Poświęcisz mi cały dzień?
– W soboty zazwyczaj pracuję – powiedziała, ale zaraz szerzej otworzyła oczy i zamrugała kilka razy.

– Misisz?

– Właściwie nie.

– A chcesz?

Odwróciła się na plecy, przeciągnęła i ziewnęła, a potem znowu oparła się o moją klatkę piersiową. Spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Skądże.

– Więc chodź ze mną na wagary.
– Co będziemy robić?
– Otworzymy się na nowe możliwości – odparłem, przypominając jej słowa sprzed dwóch dni. Pocałowała mnie.

– Brzmi cudownie – szepnęła z ustami na moich wargach. – Od czego chcesz zacząć?

Objąłem ją, przewróciłem na plecy. Pisnęła ze śmiechem i spojrzała mi w oczy.

– O tak, tych możliwości na pewno jeszcze nie zgłębiliśmy dostatecznie.
– Nie można takich rzeczy zostawiać niedokończonych – mruknąłem, pochylając się nad nią. – Więc miejmy to z głowy przed śniadaniem.

Kiedy w końcu wyszliśmy z łóżka, Molly zamówiła śniadanie i kawę, i przez dłuższy czas leniuchowaliśmy na balkonie. Oparłem nogi o niski stolik, a Molly leżała na szezlongu, z głową na moim udzie i nogami przewieszonymi przez oparcie.

To był leniwy, swobodny poranek, przepełniony dziwną czułością, którą do niej czułem, i jej śmiechem. Bawiła mnie dykteryjkami i komentarzami. Kiedy mówiła, pieściłem ją delikatnie albo niespodziewanie całowałem. Molly nie miała o tym pojęcia, ja jednak wiedziałem, że to nie jest zachowanie w moim stylu. Dawniej miałem wiele romansów, ale nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek chciał naprawdę poznać moją partnerkę.

A ją – tak. Chciałem rozłożyć ją na czynniki pierwsze, wiedzieć, czemu jest właśnie taka, a nie inna, znać ją tak dobrze, jak znałem samego siebie. Nie myślałem o przyszłości ani o przeszłości – żyłem teraźniejszością, wystarczała mi ta chwila i ona.

Ranek powoli mijał, pojawiły się wzmianki o lunchu. Wtedy do mnie dotarło, że nie mam normalnych ciuchów, tylko elegancki strój z wczoraj.

– Muszę się przebrać
– Nie chcę, żebyś szedł.

Spojrzałem na nią i napotkałem jej wzrok. Poczulem, jak się uśmiecham.

– Chodź z mną. Zjemy coś, a potem pójdziemy do mnie.
– Wezwać limuzynę?

Roześmiałem się.

– Nie. Idziemy do mnie, więc zrobimy to po mojemu.

Oddalaliśmy się od wieżowca Molly, wracaliśmy w stronę centrum. Miała na głowie czapkę baseballową i okulary na nosie, i pomyślałem, że to najprostsze przebranie pod słońcem.

– Porozmawiamy o zasadach zachowania w miejscach publicznych? – zapytałem cicho.

– Tak. Co prawda rzadko do tego dochodzi, ale zdarza się, że czyhają na

mnie paparazzi. Zazwyczaj, kiedy robię coś wstydlwego albo źle wyglądam, wycieram nos albo jestem w dresie.

– A jeśli dopadną cię dzisiaj?

– Nie miałabym nic przeciwko temu, ale tata... sam rozumiesz... więc po prostu mam nadzieję, że dzisiaj nikt nas nie zobaczy. To zresztą mało prawdopodobne, fotoreporterzy raczej za mną nie chodzą, raczej pstrykną mi jakąś fotkę, jeśli akurat niechcący znajdę się w pobliżu celebryty, na którego akurat polują. Czyli, mówiąc w skrócie, kiedy jesteśmy w miejscach publicznych, trzymaj ręce przy sobie.

– Ręce przy sobie – powtórzyłem i oboje się roześmialiśmy.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś inny widział nas razem, naprawdę. To nie tak.

– W porządku, Molly. To dotyczy też mnie. Pomyśl tylko, co by było, gdyby ktoś pomyślał, że z tobą sypiam! Jezu, co za wstyd!

Zachichotała. Beztroska w jej głosie udzieliła się i mnie. Rozluźniłem się i uśmiechnąłem. W moim życiu była pasja i cel, ale nie było w nim śmiechu. I może właśnie to pociągało mnie w niej najbardziej.

– Chyba nie idziemy daleko? – zapytała.

– Nie, a co? Buty cię obcierają? – zerknąłem na sportowe adidas, które założyła.

– Nie, ale jestem leniwa i bez formy. – Roześmiała się. – Bardzo chciałabym trenować, ale strasznie mnie to nudzi.

– Chyba dogadasz się z moim psem – mruknąłem. – Ilekroć idę biegać, wybiera się ze mną i czasami mknie jak strzała, a po powrocie do domu starcza mu jeszcze sił, żeby skakać jak wariat. Ale czasami po kilkudziesięciu metrach dochodzi do wniosku, że na dzisiaj dosyć, a jeśli Lucien podejmie decyzję, nie ma dyskusji.

– Jakiej rasy jest Lucien?

– To bezwzględny, brutalny psi macho... – Dramatycznie zawiesiłem głos i westchnąłem komicznie. – Cóż, to pudel.

– Akurat! – roześmiała się.

– Naprawdę. – Położyłem sobie rękę na sercu. – To rasowy pudel o sierści koloru kremowego.

– Nie wyglądasz mi na właściciela pudła.

– Bo tak naprawdę nie ja jestem jego właścicielem, tylko on moim.

– Jakim cudem radzisz sobie z opieką nad psem, skoro tyle wyjeżdżasz?

– Technicznie rzecz biorąc, należy do mojej sąsiadki, ale to starsza pani i nie dawała sobie rady z jego energią.

– Jeśli chcesz mi zaimponować dobrym sercem, nie bardzo ci się to udaje.

Parsknąłem śmiechem, ale zanim powiedziałem coś więcej, weszliśmy na

stację. Przerazenie na jej twarzy kazało mi zatrzymać się w pół kroku.

– Molly, jechałaś już kiedyś pociągiem?

– Oczywiście! – prychnęła, ale nie patrzyła mi w oczy, a po chwili przyznała: – No dobra, może nie. – Kurczowo przyciskała torebkę do piersi.

– Jak, twoim zdaniem, mieliśmy dotrzeć do mnie do domu?

– Myślałam, że idziemy na postój taksówek – szepnęła.

Roześmiałem się.

– Poczekaj, kupię ci bilet.

– Mam nadzieję, że się mną zaopiekujesz – mruknęła, przechodząc za mną przez bramki.

– Informuję, że mam czarny pas karate. Może dzięki temu poczujesz się lepiej – odparłem.

– Owszem, czuję się lepiej, naprawdę. Nic dziwnego, że uważasz, że w Redfern jest bezpiecznie; niewykluczone, że to ty jesteś jego najgroźniejszym mieszkańcem.

– Być może masz rację. – Jej ojciec był o tym przekonany.

Kiedy weszliśmy na peron, nadal kurczowo ścisnęła torebkę. Parsknąłem śmiechem.

– Molly, stąd nadal widać twój wieżowiec! – Delikatnie, ująłem ją za ramiona i odwróciłem, tak że przez okno widziała wyniosły budynek Bennelong Apartaments, zaledwie sto metrów od nas. Prychnęła i spojrzała na mnie.

– Odkąd umiem chodzić, mam szofera. Dziwnie się tu czuję. – Ale już nie ścisnęła torebki tak kurczowo. Byłem o krok, żeby zmienić zdanie i nie zabierać jej jeszcze do Redfern, ale z drugiej strony gratulowałem sobie genialnego pomysłu, żeby ją tam zabrać. Jeśli naprawdę chciała przeżyć decydującą chwilę, nie mogła na to raczej liczyć w centrum Sydney, gdzie dotąd koncentrowało się jej życie. Podszedłem do ławki i usiadłem. Po chwili wahania poszła w moje ślady. Tu akurat ją rozumiałem – ławka była obrzydliwie brudna.

– Ja ciebie też zabiorę gdzieś, gdzie poczujesz się jak ryba wyjęta z wody i zobaczymy, co wtedy powiesz – mruknęła.

– A jak myślisz, w Circular czułem się jak u siebie w domu?

– Fakt – przyznała po chwili namysłu. – No więc co mnie czeka w tej przygodzie?

– Totally Thai – odparłem. – Knajpa koło mojego domu.

– Dobra. – Uśmiechnęła się. – Nie myśl, że umknęło mojej uwadze, że kupiłeś mi bilet w jedną stronę. Powinno być zabrać kosmetyczkę?

– Wątpię, żebyś chciała u mnie nocować, ale uznałem, że będziesz wolała wezwać limuzynę niż drugi raz tłuc się pociągiem. – Roześmiałem się.

– Niby dlaczego nie chciałabym zostać u ciebie na noc?

– Mieszkam w szeregowcu. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam go, ale to

jednak nie to samo co Bennelong Apartaments – odparłem nieco sztywno.

Molly wzruszyła ramionami.

– Po prostu chciałabym zobaczyć, gdzie mieszkasz i poznać tego twojego rozpieszczonego psa.

Nie byłem przekonany.

– Może po postu zobaczymy, jak sprawy się potoczą?

– A skąd pomysł, że jeszcze chcę iść z tobą do łóżka? – zauważyła logicznie.

– Może wolę facetów, którzy nie budzą mnie o siódmej rano w sobotni rano.

Uśmiechnąłem się do niej.

– O ile pamiętam, niedługo narzekałaś. – Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy powróciły wspomnienia.

Pociąg dojeżdżał na miejsce. Jej oczy pociemniały. Wzięła mnie za rękę, wstała i zaraz puściła. Najchętniej splótłbym nasze palce. Rozumiałem jej potrzebę prywatności i chciałem ją uszanować, ale było to naprawdę frustrujące.

Kiedy pociąg wjeżdżał w tunel prowadzący do Redfern, obserwowałem odbicie Molly w szybie wagonu. Rozglądała się wokół, chciwie chłonęła wzrokiem plakaty na ścianach ozdobione fantazyjnymi graffiti i kawałkami gumy do żucia.

– Co, lepiej niż na Circular? – rzuciłem

Odnalazła mój wzrok w odbiciu.

– Chyba żartujesz.

Wydawało mi się, że już w pociągu zrobiła wielkie oczy, ale kiedy szliśmy uliczkami Redfern, były wielkie jak spodki. Trzymała się mnie bliżej niż w centrum, ale ilekroć ktoś nas mijał, odsuwała się instynktownie. Był to dziwnie poddańczy gest i zdradzał, jak bardzo nieswojo czuła się w tej okolicy.

Przecież nie zabierałem jej w strefę działań wojennych. W rzeczywistości Redfern przechodziło błyskawiczną gentryfikację, a profil mieszkańców zmieniał się dynamicznie. Modne kafejki pełne zamożnych mieszkańców dzielnicy w ciuchach z logo znanych projektantów wyrastały jak grzyby po deszczu – lokale, do których Molly weszłaby ochoczo, gdyby znajdowały się kilka kilometrów dalej na północ. Jednak w miarę jak zbliżaliśmy się do mojego domu, mijaliśmy pozamykane sklepy z żaluzjami pokrytymi graffiti i spalony samochód na chodniku, odgrodzony taśmą policyjną. Tuż przy restauracji stał wózek sklepowy pełen gnijących odpadków, a na ziemi obok niego poniewierała się strzykawka. Molly widziała to wszystko i szła w milczeniu.

– O czym myślisz? – zapytałem w końcu.

– Źle się czuję – odparła i nie dała mi dojść do słowa, gdy chciałem to skomentować. – I nie dlatego, że jestem snobką, tylko dlatego, że uprzedzałam cię, że nie mam kondycji, a mimo to każesz mi iść i iść do mitycznej restauracji, która zapewne wcale nie istnieje.

Roześmiałem się, położyłem jej dłoń u nasady pleców i popchnąłem

leciutko.

– Jesteśmy na miejscu.

Wróciła do mnie wzrokiem.

– Teraz już wiem na sto procent, że żartujesz.

Restauracja mieściła się za apteką, nie miała własnego frontu od ulicy i prowadził do niej wąski korytarzyk, często demolowany przez wandalów. Żarówka przy wejściu do korytarza zapalała się i gasła w nieregularnych odstępach czasu.

Wyglądało o wiele bardziej obskurnie, niż było naprawdę.

– Zaufaj mi! – Roześmiałem się i wszedłem o środka, ciągnąc ją za sobą. Westchnęła i ruszyła za mną. Ramię w ramię szliśmy korytarzem.

– Chyba celowo wybrałaś jedyną knajpę w mieście na końcu długiego, ciemnego korytarza, żeby coś mi udowodnić – mruknęła oskarżycielsko.

– Cały czas tu przychodzę. To miejsce jest niesamowite.

Ledwie weszliśmy do środka, właściciel przywitał nas entuzjastycznie. Kazał nam poczekać w ciasnym korytarzyku, póki nie znajdzie nam stolika.

Molly znowu umilkła. Rozglądała się po restauracji. Patrzyłem, jak przez jej twarz przewijają się najróżniejsze uczucia. Była na przemian zafascynowana, niespokojna, zbита z tropu. Wyprostowała się, podniosła rękę, żeby poprawić grzywkę zaczesaną na bok. Nagle zdałem sobie sprawę, że ten gest zdradza jej zdenerwowanie.

– Jedzenie jest tu naprawdę pyszne – zapewniłem.

W Totally Thai podawano autentyczne, smakowite jedzenie, za to wystrój wnętrza wołał o pomstę do nieba. Zbieranina różnych mebli, wśród których nie zabrakło nawet krzesełek i stolików ogrodowych, sztuczne nie od kompletu, niedobre obrusy. Pomyślałem, jak bardzo ta knajpa różni się od Circular i uświadomiłem sobie, że to idealny symbol różnic między nami. Chyba do tego stopnia przywykłem do tej knajpy, że nie zauważałem jej tandetności i tego, jaka przepaść dzieli ją od przepychu i wyrafinowania, do jakich przywykła Molly. Chciałem ją zaskoczyć pysznym jedzeniem i uprzejmą, serdeczną obsługą. Kiedy tak stałem i na nią patrzyłem, ogarnęły mnie wątpliwości, ale jednocześnie wzbierał we mnie upór i determinacja.

Właśnie taki jestem. Właśnie tu lubię przychodzić, właśnie tu czuję się u siebie. Nie zmienię jej reakcji na Totally Thai ani na mój dom, gdy do niego pójdziemy po lunchu. Molly albo zaakceptuje tę stronę mojego życia, albo nie. Chciałem, żeby spodobał się jej ten dzień, to okno do mojego świata. Ale nawet jeśli będzie inaczej, nie pożałuję, że jej to pokazałem. Byłem dumny z tego, kim jestem, byłem dumny, że pokazuję Molly inne oblicze Sydney. Żyła pod kloszem wystarczająco długo i sama o tym wiedziała.

– Nie szata zdoła człowieka, prawda? – Uśmiechnęła się bez przekonania.

– Nie wszystko w życiu, co wartościowe, jest pięknie opakowane. –

Nonszalancko wzruszyłem ramionami. Właścicielka skinieniem dała znak, że znalazła nam stolik. Wiedziałem, że w miejscach publicznych Molly chciała zachować dyskrecję, ale i tak objąłem ją ramieniem.

15. Molly

Lipiec 2015

Leo uważa, że nasza podróż szlakiem wspomnień idzie świetnie. Wypiliśmy kawę, poszliśmy na spacer w ogrodzie botanicznym, a kiedy z niego wychodziliśmy, przypomniał sobie wszystko, aż do finału tamtej nocy. Wiem, że pamięta, jak po kolacji poszliśmy do mnie, bo nagle zatrzymuje wózek inwalidzki i sapie:

– Och!

Aż za dobrze znam ten wyraz jego twarzy. Chichocze pod nosem, gdy z niedowierzaniem kręci głową i głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– Byłaś nieziemską tamtej nocy.

– Ty też całkiem niezły – odpowiadam.

– Czy tu jest gorąco, czy to tylko ja? – pyta. Śmieję się.

– Boże, Leo, jeśli tak reagujesz na wspomnienie tamtej nocy, co będzie, gdy sobie przypomnisz nasz miesiąc miodowy!

– Już nie mogę się tego doczekać.

Kiedy jedziemy do ośrodka rehabilitacyjnego, Leo bierze mnie za rękę i przyciska do swojego uda. Patrzy w okno, ale kciukiem gładzi wierzch mojej dłoni. Obserwuję jego ruchy, ukojona ich znajomą monotonią, a potem przesuwam wzrok na jego twarz i czuję, jak coś we mnie pęka. Jest pogrążony w myślach. Wędrówka drogą wspomnień jest dla mnie bardzo bolesna, a przypomina sobie wszystko w takim tempie, że wiem, że chwile bliskości wkrótce się skończą. Ale nagle dziękuję losowi nawet za te chwile. Chciwie chwytam każdy moment taki jak teraz. Będę pielęgnowała te wspomnienia jeszcze długo po tym, gdy znowu go stracę.

– O czym myślisz? – pyta nagle, odwracając się w moją stronę. Rumienię się. Nawet to pytanie jest tak dobrze znane i zarazem już utracone, że przyprawia mnie o fizyczny ból w sercu.

– Kiedyś w kółko mnie o to pytałeś – szepczę.

– Czemu przestałem?

Bo już nie chcesz słyszeć odpowiedzi.

– Chyba już nie musisz – odpowiadam. Leo uśmiecha się i ściska moją dłoń.

– Dziękuję za dzisiaj. Jakie plany na jutro? Jak myślisz, moglibyśmy pojechać do domu?

– Do domu? Ale nie wejdziesz na piętro.

– Intryguje mnie, jakim cudem udało ci się zmieścić tam zmywarke – mruczy pod nosem, a ja parskam śmiechem.

– Dobra, Leo, Pojedziemy tam. Lucien oszaleje na twój widok.

Po bliskości odnalezionej tego popołudnia, kiedy przychodzi czas rozstania, nie chcę się z nim żegnać. Na pewnym poziomie mam świadomość, że to nie jest tak naprawdę mój mąż, że to jego tymczasowa wersja, której nie ukształtowały minione lata, o których chwilowo zapomniał. Ale zarazem ta wersja Leo nadal mnie kocha – a ja kocham jego. Wkrótce zniknie – wrócą wspomnienia, a wraz z nimi prawdziwy Leo, co z kolei będzie oznaczało i we mnie przyływ złych emocji. Na razie jednak pod byle pretekstem zostaję z nim w ośrodku rehabilitacyjnym tak długo, jak to możliwe. Namawia pielęgniarkę, żeby mnie także przyniosła szpitalną kolację i urządzamy sobie romantyczny wieczór w jego pokoju.

– Super – mówię, siedząc z tacą na kolanach.

– Niestety, to nie Circular.

– Na razie mi wystarczy – zapewniam. – I tak lepsze niż to, co zamówiłabym w domu.

– Kiedy stąd wyjdę, upiekę ci suflet.

– Suflet?

– W przyszłym tygodniu będzie tu kurs gotowania. To część terapii zajęciowej, dla osób, które mają problemy z zapamiętaniem kolejności czy coś takiego, ale ja też pójdę. Nauczę się, a kiedy mnie stąd wypuszczą, upiekę ci najlepszy suflet na świecie, w podziękowaniu za to wszystko, co dla mnie teraz robisz.

– Wystarczy, jeśli wrócisz do domu.

– Ciekawe, czy zdążę na grudzień.

– Czemu akurat grudzień?

Kręci głową z udawanym rozczarowaniem.

– I kto tu nie pamięta o naszej rocznicy?

16. Leo

Luty 2011

Po lunchu pokonaliśmy kilka przecznic dzielących nas od mojego domu. W miarę jak zagłębialiśmy się w dzielnicę mieszkalną, ruch uliczny malał, aż doszliśmy do cienistych uliczek koło mojego domu.

– Jak ci się podobała restauracja? – zapytałem.

– Przede wszystkim podobało ci się moje cierpienie – prychnęła i uśmiechnęła się. Mocno uderzyła mnie w klatkę piersiową. – Ale jedzenie było dobre, a nawet wyśmienite. Więc teraz idziemy do ciebie?

– Tak. To już blisko.

Skęciliśmy w moją uliczkę i Molly odruchowo powędrowała wzrokiem w stronę wieżowca, w którym mieściły się mieszkania socjalne. Górował nad okolicą domków jednorodzinnych, przytłaczał ją dwudziestoma piętrami depresyjnie szarego betonu, w którym gnieździły się setki rodzin niezbyt zamożnych.

– Ale to nie tutaj Dec... – nie dokończyła.

– Nie. W mniejszym budynku, kilka przecznic dalej na południe. – Wbiegłem na schodki. – Jesteśmy na miejscu.

Otworzyłem drzwi wejściowe. Molly przesunęła dłonią po mojej piersi i objęła mnie w talii. Odchyliła głowę do tyłu, jakby chciała mnie pocałować, ale wtedy do pokoju wpadł Lucien. Puściła mnie natychmiast i kucnęła obok niego.

– Jaki ty jesteś piękny! – szepnęła.

Lucien podszedł do niej, obwąchał ją nieufnie. Pochyliła się, żeby go pogłaskać.

– Nie od razu akceptuje obcych – uprzedziłem, ale nieufność Luciena zniknęła, jak ręką odjął. Machał ogonem jak szalony. Minał ją, otarł się o moje nogi, a potem wrócił do niej i polizał jej dłoń. Wstała, rozejrzała się wokół.

– Ładnie tu. Oprowadzisz mnie?

Podszedłem do niej i wziąłem ją za rękę.

– Najpierw kuchnia. Wiem, że też masz coś takiego, ale w mojej naprawdę się gotuje.

– Cóż za dziwaczna koncepcja! – zaśmiała się.

– Jest mała – przyznałem. – Ale da się wytrzymać. Za tymi drzwiami jest pralnia i łazienka.

Puściła moją dłoń, oparła się o kuchenny blat i wyjrzała przez okno. Rozpromieniła się.

– Masz motocykl?

– Tak.

– Nigdy nie jechałam na motocyklu.

– Mam zapasowy kask – odparłem. Już niemal czułem jej piersi na plecach i ramiona w talii. – Może kiedyś wybierzemy się na przejażdżkę, ale na razie mój bark musi wrócić do formy.

W ślad za mną weszła na pierwsze piętro, do sypialni i dużej łazienki.

– Nie muszę tłumaczyć – mruknąłem.

Leniwie podeszła do okna, rozsunęła koronkowe firanki, które zostały po poprzednich lokatorach, i wyjrzała na malutki ganek.

– Kiedy kwitną krzewy, musi tu być cudownie.

– Tak, w lecie widok z werandy jest jak zdjęcie na pocztówce.

– A piętro wyżej?

– Mój gabinet. – Pokonałem kolejne schody, prowadzące do mojego ulubionego pomieszczenia w tym domu, ba, na całym świecie. Był to malutki pokój, o połowę mniejszy niż te na niższych kondygnacjach. Wykuszone okno wychodziło na wschód – i zarazem prosto na wierzchołek drzewa.

– Cudownie tu.

– Mnie tam się podoba.

– Coś mi mówi, że chyba lubisz czytać.

– Skąd ten pomysł? – zachnąłem się. Puściła mnie i weszła do pokoju.

Wzdłuż trzech ścian pięły się regały z książkami i wszystkie pękały w szwach. Pośrodku stało moje biurko, frontem do okna, a za nim – wygodny, acz mało elegancki fotel, który kupiłem w second-handzie podczas studiów. Molly wodziła palcami po grzbietach książek, podziwiała moją eklektyczną kolekcję powieści, przewodników turystycznych i autobiografii.

– Czasami sobie myślę, że rozsądniej byłoby zamienić miejscami sypialnię i gabinet. Chyba tak bardzo obciążylem tu podłogę, że pewnej nocy sufit runie mi na głowę.

– Coś takiego. Przez całe życie unikasz kul na polu bitwy, a potem giniesz we własnym domu śmiercią mola książkowego. – Roześmiała się i spojrzała na mnie. – Nie pojmuję, czego się obawiałeś. Masz bardzo fajny dom. Taki przytulny.

– Z powątpiewaniem uniosłem brew. – Właśnie że tak – upierała się. – Jest naprawdę fajniutki.

– Wracamy na dół? Poznasz lepiej mojego psa. Już czas na jego spacer.

– Żadnych spacerów! – jęknęła i pokręciła głową. – Nie ma mowy! Chodźmy. Zaparzysz kawy, a ja go pogłaszczę.

Dziwnie się czułem, mając Molly Torrington w moim salonie, kiedy tego wieczoru szykowałem kolację; jeszcze dziwniej widząc, jak od samego początku świetnie dogaduje się z Lucieniem. Namówiłem ją na spacer z nim w parku, ale ledwie wróciliśmy, zdjęła buty i usiadła z podkulonymi nogami na kanapie.

Sięgnęła po pilota.

– Co będziemy oglądać?

– Ja nie...

– Pytałam Luciena – odparła ze śmiechem. – Co do ciebie nie miałam złudzeń, widziałam warstwę kurzu na pilocie. W jaki sposób odpoczywasz?

– Cóż, na pewno nie oglądając bzdury w telewizji.

– Nie masz pojęcia, co tracisz. Dzisiaj jest *Kawaler do wzięcia* – obejrzysz ze mną?

– Co to jest: *Kawaler do wzięcia*? – Żartowałem, ale równie dobrze mogłem sobie darować, bo Molly i tak nie chwyciła moich żalonych dowcipów.

– Leo! Jak na takiego obieżyświata wiesz zadziwiająco mało o naprawdę ważnych rzeczach.

Obejrzeliśmy wiadomości. A potem rozległ się motyw muzyczny programu i Molly pisnęła jak mała dziewczynka.

– Uwielbiam ten program!

– Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś, zanim poszedłem z tobą do łóżka – westchnąłem i parsknęła śmiechem. Wtuliła się we mnie, a wtedy Lucien wskoczył na kanapę i ułożył się wygodnie z łbem na jej kolanach.

– Pozwalam ci tu siedzieć, żeby zaimponować Molly – poinformowałem go.

– Już mi zaimponowałeś – mruknęła i cmoknęła mnie w usta.

W pełni zdałem sobie sprawę, że zupełnie zawróciła mi w głowie, kiedy zgodziłem się przez bitą godzinę oglądać z nią reality show. Był to ogłupiający program; najbardziej emocjonujące były jej wyjaśnienia tego, co widziałem na ekranie.

– Jesteś wykształconą, światową kobietą – stwierdziłem podczas przerwy na reklamy.

– Tak.

– I nie oburza cię wizja kilkunastu kobiet walczących o zainteresowanie jednego mężczyzny? Nawet ja chcę tam jechać i coś z tym zrobić.

– To tylko zabawa.

– Poniżająca.

– To tylko zabawa, Leo – powtórzyła. – Te dziewczyny dostają dokładnie to, czego chciały, pięć minut sławy. Nikomu nie dzieje się krzywda. Wyluzuj, dobrze?

– Ale nie uważasz, że jako społeczeństwo...

– Leo, reklamy się kończą i musisz siedzieć cicho, bo zaraz ci wyjaśnię, o co chodzi z wręczaniem róż – ucięła. Roześmiałem się i usłyszałem, że zrobiła to samo. – Musisz oglądać to częściej, wtedy zrozumiesz, jestem tego pewna. – Kiedy na ekranie pojawiały się napisy końcowe, wyprostowała się i spojrzała na mnie pytająco. – I co ty na to? – zapytała.

Parsknąłem śmiechem.

– Cóż, bardziej niż program cieszyłem się faktem, że tu jesteś, więc uznajmy to za sukces, ale następnym razem chyba coś poczytam, kiedy będziesz to oglądać.

– Następnym razem – powtórzyła cicho, pochyliła się i pocałowała mnie przelotnie, zaraz jednak zrobiła się z tego gorąca, namiętna pieszczoła. Niecierpliwie mocowała się z połami mojej koszuli, szukała nagiej skóry na piersi.

– Naprawdę chcesz tu dzisiaj zostać?

– Spróbuj mnie teraz wyrzucić – mruknęła. Zadarła mi koszulę i patrzyła na moją klatkę piersiową i barki nagle pociemniałymi oczami. Ująłem jej twarz w dłonie i pocałowałem. Lucien zeskoczył z kanapy, łypnął na nas znacząco i potruchtał do tylnych drzwi.

– Chodźmy na górę – poleciła Molly. Szarpnęła mnie za rękę. Wstałem i poszedłem za nią. Na schodach uderzyło mnie, jak bardzo odpowiada mi jej obecność w moim domu. Zdawałem sobie sprawę, że tu nie pasuje, tak jak ja nie pasowałem do jej luksusowych wnętrz. Ale jakimś cudem to nie miało żadnego znaczenia.

W poniedziałek rano, kiedy musiała wracać, pocałowałem ją w progu. Oderwała się ode mnie, szła do samochodu, ale przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem jeszcze raz.

– Napiszesz do mnie? – szepnęła.

– A nie mogę zadzwonić?

– Dobrze, dziadku – zażartowała. – Może wolisz telegram? Albo gołębia pocztowego?

– Napiszę – obiecałem, pocałowałem po raz ostatni i odprowadzałem ją wzrokiem. Jeszcze nie zniknęła mi z oczu, a już za nią tęskniłem. Nie chciałem przeszkadzać jej w pracy, ani ona mnie, ale tego samego dnia wychodząc z redakcji, wiedziałem, że muszę się dowiedzieć, kiedy znowu się z nią zobaczę.

Minęły cztery cudowne tygodnie, zanim musiałem wracać do pracy. Gdyby nie Molly, odchodziłbym od zmysłów z nudy. Póki jednak nie mogłem pracować, to był nasz czas. Nie rozmawialiśmy o tym, co nas łączy – nie było takiej potrzeby. Po prostu się sobą cieszyliśmy. Tak było dobrze i to nam wystarczało.

W tamtym okresie nikt nie miał o nas pojęcia. Funkcjonowaliśmy w bańce wymuszonej dyskrecji, i to odosobnienie wymuszało jeszcze większą bliskość. Kiedy Molly skończyła pracę, kiedy wyszedłem z redakcji i odrobiłem ćwiczenie na siłowni, spotykaliśmy się i wtedy dopiero zaczynaliśmy żyć.

Im bliżsi się sobie stawaliśmy, tym bardziej uważaliśmy, żeby nie widziano nas razem. Czasami chciałem zaskoczyć ją romantyczną randką, ale moje zapędy ograniczały się do jedzenia na wynos i odosobnionych zakątków. Do tego dochodziły ograniczenia czasowe – Molly pracowała całymi dniami, od świtu do wieczora, dzień w dzień.

Porozumiewała się ze mną za pomocą wiadomości tekstowych,

naszpikowanych emotikonami, całusami i wykrzyknikami, których liczba zależała od jej nastroju danego dnia. Musiałem więc zgodzić się na mały kompromis, a potem ustępowałem coraz bardziej, aż koniec końców przez cały dzień wymienialiśmy esemesy. Co jakiś czas przeglądałem nasz czat i nie wierzyłem własnym oczom – nie mieściło mi się w głowie, że w końcu wygrała ze mną technologia, której tak długo stawiałem opór. I zarazem za każdym razem dziękowałem opatrności – te wirtualne rozmowy były dowodem jej obecności w moim życiu, ikonkami jej zaangażowania.

To niemała sprawa stanowić część związku tak satysfakcjonującego, że odczuwasz radość, ilekroć o tym myślisz. I dlatego chciałem starać się jeszcze bardziej, być jeszcze lepszym – chciałem, by każda chwila z Molly była najwyższej jakości.

Czasami traciłem z oczu cienką granicę między wspieraniem jej a poszanowaniem więzi łączącej ją z ojcem. Bez wątpienia była nieszczęśliwa, widząc, w jakim kierunku zmierza jej kariera zawodowa, ale ja widziałem, że podziwia Laitha i ma do niego żal. Widziałem także, że tak bardzo boi się utraty jego aprobaty, że nawet sama przed sobą się do tego nie przyznaje.

Tamtego dnia, gdy w końcu pozwolili mi wrócić do pracy, prosto od lekarza zadzwoniłem do Brada i jeszcze tego popołudnia zarezerwowaliśmy bilety do Libii. Wysłałem Molly wiadomość, że chciałbym to uczcić kolacją w Totally Thai. Później siedzieliśmy na moim balkonie z butelką wina.

W ciągu tego miesiąca razem spędziliśmy osobno tylko kilka nocy, ale w miarę jak zbliżała się data mojego wyjazdu, zacząłem niemal żałować, że pozwoliłem sobie tak często z nią spać. Tęsknota była mi obca i denerwowałem się na samą myśl. Molly natomiast zdawała się w ogóle nie przejmować zmianą w naszej sytuacji. Czekala już na chwilę przerwy od związku, w który skoczyliśmy na łeb, na szyję. A może nie rozumiała, co dla nas oznacza mój wyjazd?

Sam nie wiedziałem, co gorsze, więc odkładałem tę rozmowę aż do późnego niedzielnego popołudnia. Pakując walizkę, siliłem się na lekką, niezobowiązującą wymianę zdań.

- Mam telefon satelitarny, ale... – zacząłem ostrożnie.
- Wiem, nie będziesz do mnie dzwonił – dokończyła za mnie. Spojrzałem na nią. Wzruszyła ramionami. – Rozumiem.
- Może zadzwonię. Po prostu nie mogę tego obiecać.
- W porządku. Zresztą to tylko na kilka tygodni, prawda?
- Pewnie tak. Dam ci znać, gdyby coś się zmieniło.
- Czyli na esemesy nie mogę liczyć?
- Uśmiechnąłem się i wsadziłem do torby polarową bluzę.
- Na najbliższe tygodnie musisz sobie poszukać kogoś innego, jeśli chcesz dostawać po czterdzieści wiadomości dziennie.

– Czterdzieści dziennie! – powtórzyła, kładąc sobie rękę na piersi w komicznym oburzeniu. – Przesadzasz. Rzadko kiedy dochodzisz do trzydziestu pięciu.

– Możesz wysłać mi maila. Co kilka dni będę sprawdzał pocztę, odpowiem, kiedy tylko będzie to możliwe.

– A kiedy wrócisz?

– Kiedy wrócę?

– Jak będzie? Myślisz, że to początek częstych wyjazdów?

– Tak.

– Jak częstych?

– To zależy. Jeśli rozpęta się tam prawdziwa wojna domowa, będę tam wracał, póki sytuacja się nie ustabilizuje.

– O czym konkretnie mówimy? O pięciu wyjazdach rocznie? Dziesięciu?

Myślałem o tym, układając kamizelki kuloodporne koło bagażu. Po chwili wahania spojrzałem Molly w oczy.

– W zeszłym roku spędziłem za granicą dziewięć miesięcy.

Widziałem szok na jej twarzy i ponownie zająłem się pakowaniem. Czułem, że się rumienię. Ta rozmowa była konieczna, ale nie miałem na nią ochoty; chciałem udawać, że to tylko przelotny romans, że za kilka tygodni wrócę do Sydney i będzie jak teraz, lekko i łatwo. Wyjąłem z szafy kask i maskę gazową i chciałem włożyć je do torby, i wtedy zobaczyłem przerażenie na jej twarzy.

– Co to jest?

– Maski gazowa.

– To wiem. Po co ci?

– Na wszelki wypadek. – Wolałem nie tłumaczyć, że zabieram ją ze sobą, odkąd podczas pierwszego pobytu w Iraku patrol, któremu towarzyszyłem, trafił na pojemniki sarinu.

Molly przysunęła się bliżej i oglądała mój ekwipunek.

– Leo, zabierasz cztery zmiany odzieży, cała reszta to odzież ochronna.

– W strefie działań wojennych człowiek nie myśli o ubraniu... nikt nie zwraca na to uwagi.

Przeniosła wzrok z torby na apteczkę w moich rękach i zalała się łzami. Nigdy dotąd nie widziałem, by płakała, nawet kiedy powiedziałem jej o Declanie. Przysiadłem na łóżku i masowałem jej plecy.

– Nie rozumiem – wyznałem powoli. – Dlaczego to cię dziwi? Przecież sama pracujesz w tej branży.

– Sama nie wiem – odparła szeptem. – Po prostu nie pozwalałam sobie o tym myśleć.

– Wiedziałaś przecież, że wykonuję bardzo niebezpieczną pracę.

– Oczywiście. – Uniosła głowę. – Co nie znaczy, że mi się to podoba.

Tej nocy spaliśmy u niej, a rano się nie pożegnaliśmy. Kochaliśmy się, zasnęliśmy w swoich ramionach, a potem w środku nocy wstałem i pojechałem na lotnisko.

Kiedy o szóstej rano samolot wzbijał się w powietrze, patrzyłem na miasto pod nami i po raz pierwszy żałowałem, że wyjeżdżam.

17. Molly

Sierpień 2015

Jadę po Leo, zabieram go na zaplanowany wyjazd, kiedy dzwoni mój telefon. Patrzę na identyfikator i rozważam, czy go nie zignorować, ale w ostatniej sekundzie odbieram połączenie.

– Molly? Tu Melissa, recepcjonistka doktora Waltona. Zdaję sobie sprawę, że twój mąż był chory, ale opuściłaś już dwie wizyty. Nadal interesują cię konsultacje u doktora Waltona?

– Tak, tak, jestem... po prostu... Miałam pełne ręce roboty. Byliśmy za granicą. – Cały czas staram się wrócić do rzeczywistości. Może za dwa tygodnie?

Słyszę szelest papierów na drugim końcu.

– Na pewno dopiero wtedy? Nie przeszłaś żadnych testów z tych, które zalecił doktor Walton, a od ostatniego badania minęło już pięć tygodni.

Musiałam ostatnio podzielić moje życie na poszczególne kategorie, tylko po to, żeby zachować nad wszystkim kontrolę. I akurat ta kategoria musi jeszcze trochę poczekać.

Kiedy odkładałam słuchawkę, nie wpisuję żadnego terminu do kalendarza, co oznacza, wiem doskonale, że prawdopodobnie o tym zapomnę.

Musimy wejść na taras z uliczki, aby uniknąć cementowych stopni prowadzących do drzwi wejściowych. Naciskam klamkę i od razu słyszę stukot pazurków na kafelkach. Uśmiecham się do siebie, gdy otwieram bramę, a Lucien skacze przez otwór w ogrodzeniu pani Wilkins i biegnie prosto do Leo, tak szybko, że łapy mu się ślizgają. Chyba nigdy nie widziałam jego ogona poruszającego się w takim tempie.

Leo nic nie mówi, nawet gdy Lucien skacze na niego i oblizuje mu twarz, za co zazwyczaj czeka go bura. Lucien jest tak podekscytowany, że nie może usiedzieć nieruchomo. Po chwili uspakaja się na tyle, że daje się pogłaskać. Leo drapie go po uszach i pysku. Pochyla się tak, że niemal stykają się głowami. Słyszę zaskakująco poruszony głos męża, gdy szepcze:

– Dobrze cię widzieć, bracie.

Wtedy Lucien znów szaleje, wrywa się z objęć Leo, skacze na mnie, biega w kółko po małym podwórku, ścigając własny ogon. Leo śmieje się cicho, a potem, patrząc na mnie, mówi z niedowierzaniem:

– Po wszystkim, co przeszłaś przez ostatnie kilka tygodni, do łez doprowadza cię widok psa w moich ramionach?

– Nie tylko – mamrocę i wycieram łzy wierzchem dłoni. Z sąsiedniego

podwórza dobiega inny dźwięk, a potem pani Wilkins woła na całe gardło:

– Leo? Leo, to ty?

Najpierw w szczelnym ogrodzeniu pojawia się jej laska, później cała reszta pani Wilkins. Unosi dłoń do piersi na widok Leo i energicznie zmierza w naszą stronę.

– Dzień dobry, pani Wilkins.

– Witaj w domu, Leo! Cieszę się, że wszystko w porządku. Ależ napędziłeś nam stracha!

– Tym razem też się przestraszyłem – mówi Leo, a pani Wilkins pochyła się, aby pocałować go w policzek.

– Nie wiedziałam, że dziś wracasz. Ugotowałam coś dla ciebie.

– To tylko wizyta – mówię cicho. – Dam znać, kiedy naprawdę wróci do domu, więc zdąży pani przygotować ucztę powitalną.

Pani Wilkins uśmiecha się do mnie.

– Chodź, Lucien! Dajmy im chwilę prywatności.

Lucien nadal ugania się za własnym ogonem, dyszy, jakby miał zaraz paść na zawał, ale gdy tylko pani Wilkins daje znak, że ma iść za nią, po raz ostatni spogląda tęsknie na Leo i znika za ogrodzeniem.

Idę do tylnych drzwi, otwieram je i czekam, co Leo powie na efekt przebudowy.

– Molly – mówi nagle, ostrożnie Leo. – Gdzie jest mój motocykl?

– Sprzedałeś go.

– Niby dlaczego miałbym go sprzedać?

– Ponieważ twoja piękna nowa żona chciała rozbudować kuchnię. A to oznaczało, że nie ma gdzie go trzymać.

– Och. – W jego głosie słychać rozczarowanie.

– To był twój pomysł, wiesz – mówię, marszcząc brwi.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo kochałem ten motor.

– Najwyraźniej mnie kochałeś bardziej.

– Trudno w to uwierzyć – mruknął, a kiedy się wzdrygam, śmieje się ze mnie i pojednawczo rozkłada ręce. – Żartuję. Naprawdę.

– Cóż, sprzedałeś go z własnej woli... Ale widziałam, że ci go brakowało, a potem kochałeś mnie jeszcze bardziej, kiedy kupiłam ci nowy na pierwszą rocznicę ślubu. Trzymamy go w garażu w Surry Hills.

– Co to za motor?

Zatrzymuję się, koncentruję, próbując sobie przypomnieć.

– Chyba ducati, może pan... panimari? Coś w tym stylu.

– Panigale?

– Prawdopodobnie.

– Masz rację. Teraz Kocham cię jeszcze bardziej.

– Tak mało ci trzeba?

– Tak – śmieje się Leo, ale szybko przestaje i zastanawiam się, czy pyta teraz, czy jeszcze będzie mógł jeździć. Zmuszam się, by o tym nie myśleć. Rzadko jeździliśmy razem, ale to zawsze było niesamowite przeżycie, poczucie wolności. Uwielbiałam zdawać się na niego, zamykać czy, pozwalając, by świat przemykał obok nas.

Czułam się niezwyciężona na motorze Leo, bo i on sam wydawał mi się niezwyciężony. Na pewnym poziomie wciąż nie mogę do końca wierzyć, że właściwie jest na wózku inwalidzkim.

– Wejdz – mówię, otwierając drzwi. Już wcześniej zmierzyłam parter, więc wiem, że jego wózek inwalidzki się zmieści. Leo wjeżdża do środka. Włączam ekspres do kawy.

Odwraca się i chłonie wzrokiem zupełnie nową kuchnię. To był trudny projekt – remont trwał wiele miesięcy. Byłam dumna z wyniku końcowego i nowoczesnego efektu, który osiągnęliśmy. Marmurowe blaty, eleganckie fronty szafek... Wtedy, zanim zaczęliśmy remont, byłam właściwie przekonana, że Leo zgodził się na wszystko, ale teraz, patrząc na niego, zaczynam wątpić, czy naprawdę tak było. Widzę jego napięcie – mięśnie jego ramion są twarde jak postronki, na jego szyi pulsują żyły.

– Wiesz, kiedy przeprowadziliśmy ten remont, powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko temu. – Marszczę brwi. Leo odrywa wzrok od kuchni i przenosi na mnie.

– Nie chodzi o kuchnię. Próbuję zrozumieć to, co mi po prostu powiedziałaś o motocyklu.

– Mówiłam ci, potrzebowaliśmy miejsca...

– Nie rozumiałaś. Kupiłaś mi motocykl, o którym najwyraźniej marzyłem od lat, na naszą pierwszą rocznicę. A mnie nawet tu nie było?

– Nie – powiedziałam i odwróciłam się od niego do ekspresu do kawy.

– Byłaś wtedy wściekła, Molly?

– Nie za pierwszym razem. – Naprawdę nie byłam – smutna, oczywiście, ale nie zła – wiedziałam, że istnieje poważny powód jego nieobecności. Dopiero gdy przegapił naszą drugą rocznicę, przyszło mi do głowy, że to, co się wydawało jednorazową wpadką, było w rzeczywistości standardem.

– A drugi rok? Co to było?

Nie odpowiadam.

– Molly, na litość boską! – Jest wystarczająco sfrustrowany, żeby podnieść głos. Odwracam się do niego i marszczę brwi. – Nie rozumiesz, jakie to frustrujące, gdy tak skąpo wydzielasz mi informacje? Co się stało w drugim roku?

– Nie wróciłeś do domu. Nie zadzwoniłeś. Nawet nie wysłałeś maila. Ja... – Przypatruję mu się. Leo patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Co? Nie, nie zrobiłbym tego.

– Właśnie tak zrobiłeś. Więc wybacz, naprawdę nie chcę wspominać tamtego dnia.

– A.... przypominałaś? – pyta niepewnie. Dociera do mnie nagle, jak rzadko słyszałam w ustach Leo taki ton. Potrząsam głową. – Może po prostu zapomniałem?

– Owszem. Byłeś w Syrii, po prostu to ci umknęło.

W najbliższych dniach odbyliśmy wiele lodowatych rozmów telefonicznych, przy czym Leo był najwyraźniej zaskoczony i nie pojmował, czemu się wściekałam. Wiem, to głupie i niedojrzałe, ale nigdy mu nie przypominałam. Coś go chyba tknęło kilka dni później, ponieważ wysłał kwiaty. Rzuciłam je prosto do kosza.

Otwieram lodówkę, aby wyjąć mleko i automatycznie robię nam kawę. Leo nadal jest za mną. Po chwili spoglądam na niego.

– Co jeszcze straciłem, Molly? – pyta.

Wszystko. Za każdym razem cholernie cię potrzebowałam. Dla ciebie zrezygnowałam z rodziny, a ciebie nigdy tu nie ma.

– Dużo. – Zamykam drzwi lodówki i dźwięk niesie się po całym mieszkaniu. – Ale nie fair jest rozmawiać o tym z tobą, gdy niczego nie pamiętasz. Poza tym to tylko doprowadzi do kłótni, a teraz nie mam na to siły, więc proszę, odpuść. Kiedy wróci ci pamięć, będziemy rozmawiać przez cały dzień, jeśli będziesz chciał, o tym, jak czuję się podczas twoich podróży, ale na razie proszę, zostawmy ten temat w spokoju. Nie pojmuję, jak to wszystko pomoże ci odzyskać pamięć.

Leo milczy, a ja robię kawę, a potem niosę ją przez jadalnię, do salonu. Stawiam kubki na niskim stoliku, a potem przesuwam sofę, żeby Leo mógł dotrzeć do kubka. Jest za mną. Patrę, jak zatrzymuje się przy ścianie pełnej zdjęć, obok nowego stołu w jadalni. W milczeniu ogląda dwanaście dużych zdjęć. Chłonie wzrokiem szeregi identycznych czarnych ramek.

Pogodna fotografia Teresy i Paula na plaży, chłopcy, Brad i Penny i ich dzieci. Anne i Andrew w dniu naszego ślubu, i wreszcie Lucien ze Świętym Mikołajem, u weterynarza w Boże Narodzenie. Reszta to Leo i ja. Obserwuję jego twarz, kiedy je ogląda, ale nie mogę z niej niczego wyczytać. Myślę o portrecie małżeństwa, który wyłania się z tych fotografii. Uśmiechamy się na każdym, obejmujemy na większości z nich.

Wszystkie pochodzą albo z czasów przed ślubem, albo z pierwszego roku małżeństwa. Myślę o tym pokoju, o niezliczonych awanturach, które tu sobie urządaliśmy, o niezliczonych razach, kiedy byłam tu sama, boleśnie świadoma jego nieobecności. Więcej byłam tu sama niż z nim; zdjęcia kłamią.

Dotyka nowego stołu w jadalni i uśmiecha się do siebie, widząc jedwabne irysy w wazonie, a potem rusza do salonu, gdzie na niego czekam. Są tu nowe

kanapy – zwykle, beżowe, które rozjaśniłam barwnymi poduszkami.

Bardzo chciałam zostać w moim pięknym mieszkaniu niedaleko portu, ale Leo nie chciał słyszeć o wyprowadzce z tego domu. Z czasem zrozumiałam, że było to dla niego tak ważne, że muszę mu ulec, i zrobiłam to ochoczo, przekonana, że dzięki temu będzie mu wygodniej.

I tak, zamiast przemieszczać Leo w mój świat, przeniosłam się tutaj, w jego rzeczywistość – a potem zaczęliśmy zmieniać jego przestrzeń w naszą przestrzeń. Dzięki remontowi i wymianie mebli ponury kawalerski dom Leo stał się miejscem, w którym i ja czuję się jak w domu. Ale Leo nie pamięta wszystkich żmudnych negocjacji, które do tego doprowadziły.

Pojawia się nowe spojrzenie i nagle zaczynam się denerwować. Rozgląda się, dostrzega wszystko, i do tego stopnia nie daje po sobie poznać, co myśli, że wiem, że nie jest zadowolony.

– Przysięgam, Leo. Naprawdę zgadzałeś się na wszystko – zapewniam. – Nic nie działało się bez twojej zgody.

– Mojej zgody? – powtarza ze śmiechem. – Z tego, co o tobie pamiętam, trudno mi sobie wyobrazić, że jesteś bezbronną, zahukaną żoną.

Ja też się śmieję.

– Chodzi mi o to, że wspólnie nad tym pracowaliśmy. Pomogłeś mi wybrać odcień bieli na ściany.

– Są różne odcienie bieli?

– Setki do wyboru, kiedy chodzi o malowanie. To było nawet zabawne, każde z nas wybrało swoje ulubione pięć, a potem w następnym weekend malowałeś plamy na ścianach i w końcu wybraliśmy ten. Chyba nazywał się prawdziwa biel czy jakoś tak.

– Chcesz powiedzieć, że przez kilka tygodni nie mogliśmy się zdecydować, który biały, aż w końcu stanęło na białym?

– Cóż, kiedy tak na to spojrzeć...

– Mówiłem, że mi się podoba? Jeśli tak, kłamałem, bardzo mi przykro. To wszystko brzmi jak piekło na ziemi.

Rzuca to lekko i wiem, że to jeden z jego żartów, że nie mówi poważnie – ale sama myśl, że nie lubił tamtych weekendów, jest jak cios w żołądek. Ze zdumieniem uświadamiam sobie, że wybór farb to jedyny element remontu, w którym uczestniczył. O ile mnie pamięć nie myli, właśnie podczas malowania próbkami pokłóciliśmy się o odległości między nimi. Leo maznął mi wtedy farbą twarz, a kiedy krzyknęłam oburzona, roztarł ją policzkiem – i przy okazji umazał sobie brodę. Pamiętam, że wtedy kochaliśmy się na rozłożonej folii. Ale kiedy teraz o tym myślę, nie przypominam sobie, by brał udział w podejmowaniu ostatecznej decyzji.

– Czy dom ci się teraz podoba? – pytam nagle.

– Cóż, nie jest tak, że mi się nie podoba – odpowiada, choć niewiele mi z tego przychodzi. – To znaczy owszem, jest piękny. Pewnie ci mówiłem, jak bardzo oszczędzałem, żeby go kupić, a kiedy się tu wprowadziłem, czułem, że mi się udało. Choć kiedy patrzę, co tu zrobiłaś, widzę, że wtedy to była zaledwie rudera. W każdym razie na pewno się przyzwyczaję, tylko że teraz to nie jest mój dom. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Boże! A jeśli zawsze był tego zdania? Wydawało mi się, że kiedy zdecydowaliśmy, gdzie zamieszkamy, to ja byłam bohaterką, to ja godziłam się na kompromis, w imię pokoju. Po raz pierwszy zastanawiam się, czy nie zgodziłam się tylko na miejsce, a potem i tak narzuciłam mu mój styl.

A jeśli po remoncie nigdy nie czuł się tu jak w domu? Czy także dlatego nie chciał wracać? Ani tutaj, ani do mnie?

– Co chciałbyś zmienić? – pytam. Odrywa wzrok od nowego telewizora i patrzy na mnie.

– Nic, Molly – zapewnia. – Wszystko jest bardzo piękne. Przyzwyczaję się.

– Coś ci się przypomina? – rozpaczliwie czekam, że powie, że był zachwycony zmianami, które razem wprowadziliśmy. Rozczarowana patrzę, jak zaprzecza ruchem głowy.

– Myślałem, że dzisiaj będzie jak wczoraj na nabrzeżu, gdy wspomnienia wróciły same z siebie. Ale dzisiaj... może za bardzo się spinam. Nie pamiętam nawet, że byliśmy tu razem, a co dopiero remontu.

Coś w jego słowach przypomina mi, że przecież chciałam pilnować, żeby koncentrował się na całej reszcie swojego życia, nie tylko na mnie, ale zdaję sobie sprawę, że zawiodłam na całej linii. Wzdycham ciężko.

– Niczego sobie nie przypominasz? Sama nie wiem... tego, jak pracowałeś tu nad kolejnymi tekstami? Twój gabinet wygląda właściwie tak samo jak w dniu, gdy się tu wprowadziłeś, nie pozwoliłeś mi na żadne zmiany.

– Może gdybym mógł tam wejść...

– Już zamówiłam windę – zapewniam. – Kiedy tylko będziesz mógł o własnych siłach opuścić wózek, dostaniesz się na górę. W przyszłym tygodniu ją zainstalują.

– Dziękuję, to cudowne z twojej strony, ale jak dotrę od jednych schodów do drugich? Na każdym piętrze będę miał wózek?

– Och, nie, zrobią jedne schody na samą górę, sam zdecydujesz, gdzie się zatrzymasz. Złożysz wózek i zabierzesz go ze sobą.

Leo przechyla lekko głowę i uśmiecha się do mnie.

– Ty mnie naprawdę kochasz, prawda, Molly Torrington?

– Molly Stephens – oprawiam odruchowo, ale myślę intensywnie o jego słowach.

Naprawdę go kocham? Nadal? A jeśli tak?

Nawet jeśli nadal go kocham, nic z tego nie będzie, bo on nie odwzajemnia tego uczucia, a nawet jeśli, praca zawsze będzie na pierwszym miejscu. Gdybym nadal go kochała, wcześniej czy później odzyska pamięć, a wtedy znowu go stracę. Gdybym nadal go kochała, plany, by zacząć wszystko od nowa, byłyby z góry skazane na klęskę.

Więc nie mogę go kochać – muszę dopilnować, że go nie kocham.

Oczy zachodzą mi łzami i od razu wiem, że nie zdołam nad nimi zapanować. Odstawiam kubek z kawą na stolik, ale poruszam się za szybko, rozlewam sobie gorący płyn na uda i wtedy wpadam w panikę. Macham gorączkowo rękami, łzy przechodzą w szloch, a Leo obserwuje to wszystko ze zdumieniem i przerażeniem na twarzy. Chwyta mnie za rozedrgane ręce i pyta spokojnie:

– Poparzyłaś się? – Patrzę na niego, zawstydzona, załamana. – Co się stało? Powiedziałem coś nie tak?

– Daj mi chwilę – mówię, wrywam rękę z jego dłoni i uciekam do łazienki, w tylnej części domu, obok pralni. Zamykam za sobą drzwi, opieram się o umywalkę i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Obmywam twarz zimną wodą, raz za razem, ale nic to nie daje. Słyszę ciche pukanie do drzwi i zaraz głos Leo:

– Molly? Mogę wejść?

– Nie – chrypię.

– Daj spokój, Molly. Wyjdź stamtąd.

– Nie mogę.

– Ale dlaczego?

– Bo cały czas płaczę. – Fakt, że mówię o tym głośno, sprawia, że szlocham jeszcze bardziej. Jestem przerażona. Leo nie przypomniał sobie jeszcze tyle, żeby wiedzieć, że to jednorazowa sytuacja. Pomyśli, że jestem jedną z tych, które szlochają z byle powodu. Znienawidzi mnie. Właściwie już mnie nienawidzi, tylko tego nie pamięta. O Boże! To straszne.

Leo otwiera drzwi. Widok troski w jego oczach tylko wszystko pogarsza. Bierze mnie za rękę i delikatnie przyciąga do siebie, a gdy jestem blisko, sadza mnie sobie na kolanach. chcę mu się wyrwać.

– Zrobię ci krzywdę, jestem za ciężka – protestuję.

– Nie wygłupiaj się, jesteś leciutka jak piórko. – Przyciąga mnie do siebie, obejmuje i po dłuższej chwili rozluźniam się i wtulam w niego. – Płacz – mówi.

– Pewnie uważasz mnie za głupią histeryczkę – zauważam.

– W takiej chwili wiesz lepiej ode mnie, co myślę – rzuca zgryźliwie. – Co za jędza!

Udaje mi się roześmiać, słysząc jego słaby dowcip, a potem dochodzę do wniosku, że po prostu muszę to przetrzymać, a później uporać się ze skutkami. Wtulam więc twarz w jego szyję, wciągam jego zapach, czuję na sobie jego ramiona i przestaję nad sobą panować. Odczuwam ulgę, wstyd i rozpacz, wszystko

jednocześnie. Płacę i płacę, a on czeka cierpliwie, głaszcze mnie po plecach i co jakiś czas szepcze słowa pociechy w moje włosy.

Kiedy w końcu czuję, że burza przeszła, wyplątnę się z jego objęć i wstaję. Poprawiam na sobie sukienkę, idę do łazienki, myję twarz, wycieram ręcznikiem do rąk i dopiero wtedy odważam się spojrzeć mu w oczy.

– Przepraszam – mówię sztywno.

– Urządziłem ci piekło na ziemi – odpowiada cicho. – Nie musisz za nic przeproszać.

Wbijam wzrok w podłogę. Nie ma pojęcia, ile prawdy jest w jego pierwszym zdaniu. Ani jak nieprawdziwe jest drugie. Ja także ponoszę winę za to, co teraz czuję.

18. Leo

Marzec 2011

W końcu wyjechałem na sześć tygodni. Pisaliśmy do siebie, kilka razy do niej dzwoniłem, kiedy tęsknota stawała się nie do wytrzymania. Ograniczałem te rozmowy do minimum, chociaż, gdy z nią rozmawiałem, czułem, jak dźwięk jej głosu mnie przyciąga. Dzwoniłem, spodziewając się ulgi, rozłączałem się, spragniony powrotu do domu.

Wylądowałem na lotnisku w Sydney wczesnym rankiem. Wpatrywałem się w telefon, czekając na siedemnastą, żeby do niej zadzwonić. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Wróciłeś!
- Cześć. Tak, dziś rano.
- Och – powiedziała i usłyszałem rozczarowanie w jej głosie.
- Coś nie tak?
- Dlaczego dzwonisz dopiero teraz?
- Myślałem, że będziesz w pracy.
- Mam w nosie pracę, skoro wróciłeś. Możemy się zobaczyć?
- Tak, bardzo chętnie.

W ciągu dwudziestu minut zjawiała się na progu naszego domu. Ledwie otworzyłem drzwi, wpadła do środka i pchnęła mnie na ścianę. Całowała mnie namiętnie, chciwie. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że ma łzy na policzkach. Odsunąłem się od niej i patrzyłem na jej zarumienione policzki i zapuchnięte oczy.

- Tak bardzo tęskniłam – wyszeptała.
- Ja też – przyznałem.
- Martwiłam się o ciebie.
- Mówiłem, że wiem, co robię.
- Wiem. To nie tak, że ci nie ufam; obawiam się raczej rebeliantów i skorumpowanych rządów.
- Będę musiał tam wrócić. Ciągłe coś się dzieje.
- Nie mówmy o tym teraz – mruknęła Molly. – Pozwól mi udawać, że już po wszystkim. Przynajmniej na kilka dni.

Cierpiała przez moją nieobecność. Analizowałem to przez chwilę, a potem uświadomiłem sobie coś innego: ja także przez to cierpiałem. Dziwny lęk, jaki odczuwałem z dala od niej, to coś więcej niż zwykła tęsknota. Czułem ból i brak, które zniknęły, ledwie znalazła się w moich ramionach.

– Co to jest, Leo? – wyszeptała Molly.

– Ale co? – zapytałem cicho.

– My.

Wówczas po raz pierwszy raz nazwaliśmy nasz związek – po raz pierwszy musieliśmy to zrobić. Wciągnąłem głęboko powietrze i pokręciłem głową.

– Nie wiem. Myślałem, że to tylko mały romansik. – Mówiłem zarówno do niej, jak i do siebie. Być może to dowód kompletnego braku samoświadomości, gdy chodziło o Molly, ale dopiero teraz, gdy byliśmy znowu razem w tym samym pokoju, zdałem sobie sprawę, jak bardzo mi ulżyło, że znowu jest u mego boku. Spojrzałem jej w oczy. – Ale to nie jest romansik. – Wpatrywaliśmy się w siebie. – Naprawdę musimy to jakoś nazywać? – zapytałem. Po dłuższej chwili pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie.

– Mówmy po prostu o „nas”. Z czasem znajdziemy odpowiednie słowo.

– Dobrze – zgodziła się cicho. Pocałowałem ją ponownie.

Od tej chwili byliśmy nierozłączni. Nie zastanawiałem się, co przyniesie nam przyszłość, ale nie miałem cienia wątpliwości, że teraźniejszość jest fantastyczna. Moje życie było jaśniejsze i bardziej pogodne niż kiedykolwiek przedtem.

Zaledwie kilka tygodni po powrocie z pierwszej podróży zdaliśmy sobie sprawę, że w nadchodzącą sobotę znajdziemy się na tym samym branżowym przyjęciu. Nie rozmawialiśmy o tym, ale oboje wiedzieliśmy, że będziemy na tej samej imprezie – oddzielnie. Nie byłem zachwycony tą sytuacją, ale rozumiałem, dlaczego o to prosi, podobnie jak niechęć do publicznego okazywania uczuć.

Ceremonia odbywała się co roku w luksusowym ośrodku w porcie Darling Harbour. Było to eleganckie przyjęcie – obowiązywały stroje wieczorowe. Tej soboty wylegiwaliśmy się do południa, a później Molly spędziła kilka godzin w spa, u fryzjera i wizażystki.

Wyszedłem z jej mieszkania, na piechotę poszedłem do miasta, do fryzjera i barbera, co już dawno powinienem był zrobić, a po powrocie do domu wziąłem długi prysznic i założyłem wypożyczony smoking. Wpatrywałem się w swoje odbicie w idiotycznie wielkim lustrze w łazience Molly. Wyglądałem chyba nieźle, ale czułem się nieswojo. Smoking mnie kępował, ograniczał swobodę.

– O Boże! Ktoś włamał się do mojego mieszkania i zamienił Leo na przystojnego, ostrzyżonego człowieka! – Już od drzwi słyszałem lekko kpiący głos Molly. Odwróciłem się do niej. Miała na sobie obcisłą, czerwoną suknię, która już wcześniej leżała na naszym łóżku, z ciężką biżuterią, która, jak sobie wyobrażałem, była prawdopodobnie warta więcej niż mój motor. Omiotłem ją wzrokiem, zatrzymałem się na jej twarzy i powtarzałem sobie, że muszę pamiętać o oddychaniu.

– Wyglądasz niesamowicie.

– Chyba jak zawsze? – Okręciła się figlarnie, a potem podeszła bliżej i musnęła mnie ustami. Kiedy próbowałem pocałować ją naprawdę, zaśmiała się i odwróciła głowę.

– Nie, nie! Nie potrafię sama zrobić takiego makijażu, jeśli go zepsujesz, ale jeśli dziś wieczorem będziesz grzeczny, pozwolę ci zepsuć go później. – Pochyliła się nad umywalką i wpatrywała w moje odbicie w lustrze, a potem dodała niechętnie: – Leo... wiesz, że tata tam dzisiaj będzie, prawda? Zawsze tam jest. I będę musiała usiąść przy jego stoliku.

– Zakładałem, że usiądziesz z ważnymi ludźmi.

– Ty też jesteś ważny.

– Nie na tyle, żeby dorównać w tej kwestii Torringtonom. Dobra, mogę podziwiać cię z daleka.

– Możesz wrócić ze mną do domu, jeśli to pocieszenie.

– Wolałbym, żebyś to ty wróciła ze mną do domu.

Molly stanęła za mną i objęła mnie w talii. Oparła głowę o moje plecy i mruknęła:

– Dobra, dziś wieczorem u ciebie.

Kiedy przyjechałem, na przyjęciu były setki osób. Automatycznie przeczesywałem tłum wzrokiem, szukając Molly, i zobaczyłem, że stoi obok ojca, niedaleko podium. Prawdopodobnie w poprzednich latach bywaliśmy na tej imprezie w tym samym czasie, ale nigdy się z nią nawet nie przywitałem, więc wiedziałem, że nie mam żadnego pretekstu, by teraz do niej podejść. Zamiast tego znalazłem moje miejsce przy stole naszego pisma i wdałem się w rozmowę z kolegami z pracy. Obok mnie siedziała Penny, żona Brada. Wziąłem kieliszek wina z tacy przechodzącego kelnera i spojrzałem na nią.

– Pewnie się cieszysz, że masz Brada w domu – zagailem.

– Owszem, chociaż wiesz równie dobrze jak ja, że to nie potrwa długo – odparła. Nie musiałem pytać, co miała na myśli – to było wypisane na jej twarzy. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby obwiniła mnie o jego podejście do pracy.

– Chce już jechać? – odgałem. Nie byłem zaskoczony. To przekleństwo wojennego korespondenta – nigdy nigdzie nie byliśmy tak naprawdę, w stu procentach. W domu nasze oczy kierowały się na wielki świat, szukaliśmy kolejnej dawki adrenaliny. Na polu bitwy ciągle myśleliśmy o domu i o tym, że nasze prawdziwe życie to istny dar od losu. Po pewnym czasie czuliśmy się nieswojo i tu, i tu, bo ani w domu, ani na polu bitwy nie byliśmy w pełni u siebie.

– A tobie spiesz się z powrotem? – Oskarżyła mnie wzrokiem. – Brad twierdzi, że przez co najmniej dwa lata skoncentrujecie się na Syrii.

– Powiedzmy.

Penny westchnęła i sięgnęła po wino. Uniosła kieliszek do ust, chcąc upić

mały łyk, a potem zmieniła zdanie i wychyliła połowę zawartości jednym haustem.

– Mądrała z ciebie. – Znów skupiła się na mnie.

– Tak?

– Że jesteś sam. Inaczej to bardzo trudne.

Dawniej mówiła mi to wielokrotnie. Zwykle traktowałem to jako komplement – tej nocy było to niewygodne przypomnienie realiów, które wybrałem. Wzruszyłem ramionami i rozejrzałem się po sali.

– Gdzie Brad?

– Gdzieś tutaj. Tam, z Kisani.

Kisani Hughes to redaktor naczelna „News Monthly”. Stała w grupie innych pracowników. Brad był u jej boku, ze wzrokiem wbitym w podłogę, wyraźnie znudzony. Jakby poczuł nasze spojrzenia, nagle odwrócił się i ruszył do nas.

Penny westchnęła i stuknęła obrączką o nóżkę kieliszka.

– Musi tu wytrzymać do urodzin Imogen za kilka tygodni. Myślisz, że możesz pomóc go tu zatrzymać do tego czasu, Leo?

– Mam kilka spraw, którymi muszę się zająć, zanim w ogóle pomyślę o powrocie na front.

– Dobrze.

– Chryste! – Brad ciężko usiadł obok Penny i przetarł oczy. – Dlaczego promocja na wyższe stanowisko od razu robi z ludzi takich straszliwych nudziarzy?

– Taki już jest ten świat – powiedziałem.

– Hej, Leo – usłyszałem cichy głos Molly. Usiadła obok mnie – na miejscu przypisanym Kisani.

– Cześć – powiedziałem cicho, ale szybko zobaczyłem zdziwione wyrazy twarzy moich towarzyszy.

– Pomyślałam, że podejdę się przywitać.

– Molly, poznaj Brada i Penny Norse – powiedziałem, wskazując Penny po mojej lewej stronie. Molly uścisnęła im dłonie.

– Bardzo mi miło – powiedziała. – Wiele o was słyszałam.

– Słucham? – spytała Penny bez wyrazu.

– Znamy się z Molly od lat – odpowiedziałem płynnie. – Wspomniałem o naszych działaniach na polu bitwy, Brad.

– Działaniach? – powtórzył i spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Uparcie unikałem jego wzroku.

– Jak wieczór? – spytała cicho Molly.

– Na razie, nieźle – odparłem. – A ty? Jak się bawisz?

– Miałam miejsce między rodzicami, aż zamieniłam wizytówki. Jakby nie można mi było zaufać, zostawić bez opieki, i nawet organizatorzy o tym wiedzą. W każdym razie zachowuję się wzorowo.

Popatrzyła na swój stolik i widziałem, jak jej uśmiech znika w mgnieniu oka.

Podążyłem za jej wzrokiem i zrozumiałem – Laith Torrington wpatrywał się w nią czerwony z wściekłości. Danielle ciągnęła go za ramię, jakby chciała odwrócić jego uwagę.

– Lepiej pójdę – mruknęła Molly i zobaczyłem, że ona się zarumieniła. Kiedy wstawała, w jej wzroku zniecierpliwienie walczyło z frustracją. Sporo mnie kosztowało, by zostać na miejscu, jeszcze więcej, by nie złapać jej za rękę i prosić, by została koło mnie, gdzie mógłbym ją ochronić przed obrzydzeniem w oczach jej ojca.

– Porozmawiamy później – powiedziałem cicho. Wszyscy patrzyliśmy, jak odchodzi. Brad i Penny zaczęli w tym samym czasie.

– Co do cholery...

– Nie mówiłeś, że znasz...

– Ej – przerwałem im obojętnym uśmiechem. – Zapewne wspominałem w pewnym momencie, że studiowałem z Declanem Torringtonem.

– Owszem – przyznał Brad. – Zapomniałeś jednak wspomnieć, że chciałeś przelecieć jego siostrę.

– Leo – powiedziała Penny z szeroko otwartymi oczami – na pewno zauważyłaś, że ona dosłownie ślini się do ciebie?

– Nie pleć bzdur – mruknałem, ale byłem zachwycony słowami Penny.

Brad parsknął śmiechem.

– O Boże! Wyobrażasz to sobie? Opowiadacie sobie najstraszliwsze historie wojenne. Ona zwierzy ci się z traumy, jaką był brak złoconego papieru toaletowego w ich rezydencji, a ty opowiesz o tym, jak zbombardowano twój hotel w Egipcie. Macie tyle wspólnego!

– Jest bardzo normalna.

– To kompletne bzdury i wiesz o tym – zaśmiała się Penny.

– Zejdź na ziemię! Proszę cię! Prawdopodobnie ma kogoś, kto nawleka jej sznurowadła do butów.

– Ha, ha, ha. Ależ jesteście oboje zabawni.

– Obiecaj mi jedno, Leo – powiedziała nagle Penny bardzo poważnym tonem. Zwróciłem się ku niej wyczekująco. Wzięła głęboki oddech i spojrzała mi prosto w oczy. – Tylko upewnij się, zanim się z nią ożenisz, że podpisze intercyzę. Po prostu nie chcę, żeby była z tobą ze względu na twoje pieniądze.

Tym razem roześmiali się wszyscy przy stole. Przewróciłem oczami do Penny i spojrzałem przez całe pomieszczenie. Molly stała z rodzicami. Stała do mnie plecami, otoczona grupką menedżerów z Torrington Media. Słuchali tego, co mówiła. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Wziąłem się w garść.

Znacznie później usłyszałem pierwsze nieśmiałe szeptki o kłopotach przy stole Torringtonów. Kisani była w łazience, a kiedy wróciła na swoje miejsce, spojrzała na mnie pytająco.

– W damskim kiblu wszystkie mówią tylko o tobie.

– A to coś nowego? – Brad się roześmiał. Kisani pokręciła głową i wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Owszem, Brad. – Jej wzrok powrócił do mnie.

– Co ty zrobiłeś Laithowi Torringtonowi?

Czułem, jak mięśnie mojej klatki piersiowej napinają się w gotowości do... czegoś. Zmarszczyłem brwi.

– Nic. Co masz na myśli?

– Najwyraźniej Laith strasznie objechał Molly, doprowadził ją do łez. I to na oczach swoich pracowników.

– Co Leo ma z tym wspólnego? – spytała Penny.

– Żona kogoś z zarządu Torrington Media mówiła, że poszło właśnie o niego. – Kisani uśmiechnęła się pod nosem. – Więc powiedz, to ty zdenerwowałeś Laitha czy jednak Molly? Wiem, uważasz, że jesteś niezwykły, ale naprawdę powinieneś uważać i nie robić sobie wrogów akurat w tych kręgach.

– Doprowadził ją do płaczu? – powtórzyłem powoli. Nagle słyszałem własne tętno w uszach, a klatka piersiowa pulsowała gniewem. Napiałem ramiona, jakbym wchodził na ring.

– Najwyraźniej. Co się stało? – spytała Kisani.

– Była tu tylko na chwilę – wtrąciła Penny w mojej obronie. – Leo właściwie tylko się z nią przywitał. – Kiedy przez kolejne sekundy wszyscy milczeli, dodała, chcąc rozluźnić atmosferę: – To znaczy fakt, rozbierał ją wzrokiem, ale Laith był wtedy w przeciwnym końcu sali i nie mógł tego zobaczyć.

– Co dokładnie powiedział jej Laith? – zapytałem tak ponurym głosem, że Kisani zmrużyła oczy.

– Nie wiem, nie było mnie tam przecież.

– Ale Molly płakała?

– Leo, dokąd ty się niby wybierasz? – Brad mówił bardzo powoli. Wstał, a ja zdałem sobie sprawę, że zrobiłem to samo. Działąłem odruchowo, bez zastanowienia. Molly była zdenerwowana, więc musiałem do niej iść – koniec, kropka. Wszyscy goście przy moim stoliku przyglądali mi się uważnie.

– Zobaczyc, czy z nią wszystko w porządku.

– Och! To naprawdę zły pomysł – powiedziała Kisani, wstała, uniosła rękę, jakby chciała w ten sposób zablokować mi drogę. – Co cię ugryzło?

– Leo – powiedział cicho Brad. – Weź głęboki oddech i przemyśl to. Zaszło nieporozumienie, a jeśli tam pójdziesz, tylko wszystko skomplikujesz. Co Laitha w ogóle obchodzi, że przyszła się z tobą przywitać?

Strąciłem dłoń Brada z mojego łokcia i ruszyłem przez salę. W połowie drogi zauważyłem, że prezenter wszedł na podium, zaraz wygłosi przemówienie. Goście wracali na swoje miejsca.

Przyspieszyłem kroku i dotarłem do stołu zarządu Torrington Media w tej samej chwili, gdy mówca wszedł na podium.

Molly odwróciła się i od razu wiedziałem, że Kisani mówiła prawdę; miała jeszcze wciąż czerwone, zapuchnięte oczy. Ból w jej spojrzeniu palił mnie żywym ogniem – była zraniona, zakłopotana i oszołomiona.

Coś we mnie pękło jak złamana kość. Zapomniałem, że jestem jednym z dwóch osób stojących w sali pełnej biesiadników. Zapomniałem, że stoję obok stołu umieszczonego tuż przy podium. W ogóle nie widziałem zdumionego wzroku prezentera.

– Dobry wieczór – powiedziałem i byłem pod wrażeniem uprzejmości w moim głosie, choć w żyłach pulsowała mi wściekłość. – Laith, Danielle, co za miłe spotkanie. Przystawki są wspaniałe w tym roku, czyż nie?

Laith nie silił się na uprzejmości. Wpatrywał się we mnie zmrużonymi oczami. Patrzyłem, jak na jego policzki wypełza rumieniec wściekłości. W ciągu dziesięciu lat, od kiedy go ostatnio widziałem, zdążył się postarzeć – włosy i ciało były takie same, ale skóra na jego twarzy opadła, wykrzywiając usta i znacząc czoło wiecznym marsmem.

Zmarszczył brwi.

– Czego chcesz, Stephens?

Nikt się nie poruszał – panowała idealna cisza. Zastanawiałem się przez chwilę – czy naprawdę posunąłem się za daleko podchodząc do nich? Chwila może nieodpowiednia, fakt. Ale nie zrobiłem nic złego – jak dotąd.

Robiłem z siebie totalnego idiotę i wiedziałem, że później tego pożałuję, ale miałem też świadomość, że żałowałbym tego bardziej, gdybym do niej nie podszedł. Liczyło się dla mnie jedno – Laith doprowadził ją do płaczu.

Chciałem go zabić. Chciałem przemówić do niego językiem pięści i zmusić, by ją przeprosił. Chciałem nauczyć go szacunku dla osoby, którą była, a nie osoby, którą próbował z niej zrobić. Chciałem, aby zapłacił za wszystkie sposoby, na które ranił Molly i Declana – i za to, jak zawsze mnie traktował.

Mierzyliśmy się wzrokiem. W jego oczach widziałem nienawiść. Miałem nadzieję, że w moich dostrzega to samo. Zaciskałem dłonie w kieszeniach. Spojrzałem na Molly.

– Chciałem tylko zobaczyć, jak mija ci wieczór, Molly. I upewnić się, że wszystko w porządku.

– Nie – powiedziała spokojnie. – Nic nie jest w porządku. Chciałabym, żebyś zabrał mnie do domu, Leo. I to już, natychmiast.

Podniosła się powoli, odrobinę niepewnie – i przytrzymała się mnie.

Popatrzyłem na jej wyciągniętą dłoń, a potem wziąłem ją za rękę. Nasze palce splotły się w sposób, który nie pozostawiał cienia wątpliwości co do łączącej nas relacji. Uśmiechnąłem się do niej czule.

– To będzie dla mnie zaszczyt, Molly.

Uniosła się z krzesła, podniosła torebkę.

Danielle gapiała się na nas. Spojrzałem ostro na Laitha, na wypadek, gdyby jego uwadze umknął język naszych ciał.

– Miłego wieczoru – powiedziałem, kiwając spokojnie głową, a potem z uśmiechem spojrzałem na resztę gości, na resztę stołu, odwróciłem się od nich, aby stwierdzić, że cała sala patrzy na mnie – na nas. Uniosłem brodę i szybko poprowadziłem Molly w stronę wyjścia.

Na początku milczeliśmy. Telefon w mojej kieszeni wibrował ciągle – zerknąłem na wyświetlacz i zobaczyłem kilka nieodebranych rozmów od Brada, Penny, a nawet Kisani – ale oni wszyscy mogli poczekać. Kiedy wychodziliśmy na zewnątrz, Molly zaczęła płakać.

– Co się stało, do diabła? – szepnąłem, odwróciłem się i ująłem jej twarz w dłonie. Patrzyłem na nią w półmroku. Widok łez na jej policzkach wystarczył, bym zapragnął wrócić z powrotem na salę bankietową. – Przecież tylko się ze mną przywitałaś.

– Powiedział, że nie wolno mi z tobą rozmawiać, wyobrażasz sobie? Nie wolno – szepnęła. Uparcie zaciskała usta, ale jednocześnie widziałem rozpacz w jej oczach. – Odparłam, że nie ma prawa mówić mi, z kim mogę rozmawiać, a z kim nie. Mówił o tobie różne rzeczy. – Urwała, spuściła wzrok.

Pochyliłem się nad nią.

– Co o mnie mówił?

– Nawet nie chcę tego powtarzać, Leo. Byłoby ci przykro, gdybyś to słyszał.

– Spojrzała na mnie. – I wtedy mnie poniosło.

– Nie taką wersję słyszałem – powiedziałem łagodnie.

Molly roześmiała się lekko, zaraz jednak zrzędzła jej mina i znowu popłynęły łzy.

– Wtedy jego poniosło, a jest w tym o wiele lepszy niż ja.

– Boże, Molly! Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. Musiało do tego dojść wcześniej czy później.

– Dobrze zrobiłem, podchodząc do twojego stolika? Nie panowałem nad sobą. – Mój telefon znowu wibrował. Westchnąłem i wyjąłem go z kieszeni. Esmes od Brada: „Co się dzieje, do cholery?”

Nagle dotarło do mnie najbardziej oczywiste rozwiązanie.

– Jezu – jęknąłem. – Molly, powinienem wysłać ci wiadomość.

– Owszem – zaśmiała się. Zawtórowałem jej po chwili. – Byłbyś nieco mniej melodramatyczny.

– Słyszałem, że doprowadził cię do łez i wtedy szlag mnie trafił.

– Kto ci to powiedział? Nie płakałam!

– Oczywiście, że płakałaś – powiedziałem z wściekłością i przesunąłem

kciukiem po jej policzku.

– Cóż... mimo wszystko... jestem profesjonalistką, wiesz przecież, za wyjątkiem kłótni z ojcem na oczach jego pracowników. Płacz, jeśli w ogóle do niego doszło, miał miejsce w łazience. Boże, co za plotkarska branża!

– Czy właśnie nie o to chodzi?

– Założę się, że to ktoś z TM – mruknęła i nagle objęła mnie za szyję, tak energicznie, że aż zatoczyłem się w tył. – Nie obchodzi mnie, co on lub inni sobie pomyślą. Myślę, że się w tobie zakochuję, Leo Stephensie, i nie obchodzi mnie, kto o tym wie. A ty?

Zanim odpowiedziałem, szybko analizowałem w myślach jej słowa.

Miłość. Właśnie tak. Jakim cudem do tej pory nie zdałem sobie z tego sprawy? Do tego stopnia pochłonęło mnie rozkoszowanie się tym, co nas łączy, by spojrzeć na to z dystansu, ale teraz, kiedy to powiedziała, dostrzegałem sens jej słów.

– Myślę, że też cię kocham – szepnąłem, a Molly sapnęła.

– Nie powiedziałaś tego!

– Przecież ty powiedziałaś pierwsza – zaprotestowałem, zdezorientowany jej szokiem.

– Boże, Leo, ja to mówię sprzedawcy w piekarni, gdy wybierze mi ładne ciastko! To znaczy, tak, oczywiście, ale nie spodziewałam się, że odpowiesz tym samym. Myślałam, że będę na to czekała latami, mając nadzieję, że tak jest, nigdy tak naprawdę nie mając pewności...

Roześmiałem się i pokręciłem głową do niej.

– Czyli jednak nie cały wieczór jest stracony.

Całowaliśmy się powoli, rozkoszując się chwilą. Miłość. Zdumiony, raz za razem powtarzałem to słowo w myślach. Więc to jest miłość. Kocham ją. Jestem w niej zakochany. Nie wiedziałem jeszcze, dokąd nas to zaprowadzi, ale była dla mnie ważna – a ja dla niej.

To było pięknie proste i prosto głębokie.

Po chwili przerwałem pocałunek, żeby spojrzeć jej w oczy.

– W poniedziałek wracasz do pracy, Molly?

– Nie wiem – powiedziała, a potem zadrżała. – Boże, Leo! Nawet nie wiem, czy tata mi wybaczy. Przynieśliśmy mu wstyd, a zachowanie twarzy jest dla niego najważniejsze.

– Będzie dobrze – obiecałem. – Uporamy się razem ze wszystkim, cokolwiek się zdarzy.

19. Molly

Sierpień 2015

Po chwili słabości na tarasie cała jestem rozbita. Kurczowo czepiam się Leo. Jemu to chyba nie przeszkadza, ale robi mi się słabo na myśl, że panicznie boję się spuścić go z oczu.

Spędzamy na tarasie wiele godzin, i nawet gdy widzę, że jest już zmęczony, puszczam mimo uszu jego aluzje na temat powrotu do ośrodka, tylko zamawiam do domu jedzenie z Totally Thai. Siadamy do posiłku przy nowym stole. Leo pyta o nasze wspólne życie. Są to niewinne drobiazgi, chyba starannie wybrane, jak się domyślam, bo skrzętnie unika swoich podróży lub okresów naszego małżeństwa, kiedy mieszkaliśmy osobno.

Rozmawiamy o prostych sprawach. Staram się mówić o rzeczach, które powinny być znajome. Przypominam mu, że zawsze wybiera lewą stronę łóżka, i jak uparcie tłumaczył mi, że równie dobrze ja mogę opuścić deskę klozetową, zanim skorzystam z toalety, jak on ją opuścić, kiedy już jest po wszystkim. Śmieje się, kiedy opowiadam, jak szłam do łazienki w środku nocy, zapomniałam, że tam był i wpadałam do klozetu. Biję go żartobliwie za ten śmiech.

Pyta mnie o najpiękniejsze wspólne chwile razem. Opowiadam o tych cichych, spokojnych momentach, które naprawdę lubiłam najbardziej. Leo zmywający naczynia na początku naszego związku, żebym tylko nie zaczynała marudzić o zmywarce, i ja, tak przepełniona miłością do niego, że musiałam do niego podejść, objąć go w pasie, tylko po to, żeby być przy nim.

Leo, nagrywający dla mnie *Kawalera do wzięcia*, kiedy długo nie wracałam z pracy, choć go nie znosił i nabijał się ze mnie niemiłosiernie, że go oglądam.

Ranki, gdy obudziliśmy się obok siebie i nasz pierwszy kontakt w ciągu dnia to tylko zadowolony uśmiech.

Leo całujący mnie publicznie, co zawsze chętnie robił – był tak dumny, że jest ze mną, że to sprawiało, że i ja czułam dumę.

To, jak stawał przede mną, uśmiechał się, przesuwał dłońmi wzdłuż moich włosów, a potem delikatnie trzymał za ramiona, jakby dawał do zrozumienia, że kocha mnie całą, od stóp do głów.

Tacy byliśmy, zanim nasze drogi się rozeszły. I tak jak poprzedniego dnia w Circular Quay, przeżywanie tych wspomnień jest zarazem cholernie bolesne i cudowne. Najchętniej przez całą noc rozprawiałabym o tych ulotnych chwilach. Leo odnosi się do mnie tak troskliwie po wcześniejszym załamaniu, że zapewne by mi na to pozwolił. Zwalczam irracjonalny odruch, by błagać go, żeby tu ze mną

został. Nie proszę o to, choć bardzo tego chcę.

W końcu poruszam temat powrotu do ośrodka. Leo dzwoni po samochód.

– Proszę, pozwól mi jechać z tobą – mówię po raz czwarty lub piąty, kiedy furgonetka staje przy bramie, ale Leo smutno kręci głową.

– Molly, jesteś ledwo żywa. Wyśpij się porządnie. Obiecuj mi to. – Wciąż trzymam go za rękę. Unosi mój nadgarstek do ust i delikatnie całuje. – Dobranoc.

Uwalnia moje palce. Ale ja nie mogę się z nim jeszcze rozstać. Pochylam się i chociaż wiem, że to wielki błąd, całuję go czule. Leo odwzajemnia pieśczość z zaskakującym entuzjazmem i zanim się obejrzymy, siedzę mu na kolanach i obściskujemy się na podjeździe jak nastolatki w ciemnym zaułku, a szofer czeka cierpliwie w samochodzie obok.

W końcu odsuwam się od niego. Leo natychmiast otacza mnie ramionami i przyciąga blisko.

– Boże – szepcze. Czuję jego gorący oddech na szyi. – Jesteś niesamowita, Molly Stephens! – Nie tyle mówi te słowa, co wybuchają z jego ust, jakby nie mógł ich powstrzymać. Kiedy ostatnio powiedział mi komplement? Nie pamiętam, a wątpię, by podczas ostatnich koszmarnych miesięcy myślał o mnie ciepło. To wystarczy, by mi uświadomić, że ten wieczór musi dobiec końca, więc odwracam się i całuję go – krótko, ale namiętnie, a potem się żegnamy.

20. Leo

Marzec 2011

Mimo demonstracji odwagi na sobotniej imprezie, w niedzielę Molly obudziła się w fatalnym nastroju. Jeszcze nigdy jej w takim nie widziałem. Była cicha i blada, ospała, jakby coś jej dolegało. Sporo mnie kosztowało namówienie jej, żeby w ogóle wstała z łóżka. Ubrała się w końcu – założyła spodnie od dresu i bluzę z kapturem, ale w ogóle się nie umalowała. Za wszelką cenę usiłowałem ją rozbawić moimi beznadziejnymi żartami, ale za każdym razem reagowała tylko bladym uśmiechem.

Poszliśmy do kafejki niedaleko mojego domu – po raz pierwszy całą drogę trzymając się za ręce. Innego dnia krzyczałbym z radości, ale biorąc pod uwagę przygaszenie Molly, nie chciałem zwracać na to uwagi. W kafejce zamówiła tylko kawę i sączyła ją bez przekonania. Razem przeglądaliśmy gazetę. Szukałem jakiegokolwiek wzmianki o scenie, której pośrednio byłem przyczyną. Nie zdziwiło mnie, że moje nazwisko co prawda nie padło, ale we wszystkich relacjach z wczorajszej gali wspomniano kłótnię między Molly a jej ojcem.

„Wczoraj odbyła się ceremonia wręczenia nagród Australijskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Coraz głośniejszy słyhać plotki o rozdźwięku między prezesem Torrington Media, Laithem Torringtonem, a jego córką Molly – czego dowodem była kłótnia między nimi podczas wczorajszej gali w Porcie Darling. Rzecznik Torrington Media odmówił dzisiaj komentarza w tej sprawie”.

– Leo – powiedziała nagle. Podniosłem głowę znad gazety. Była blada jak ściana. – Muszę odejść z pracy.

– Pod warunkiem, że jesteś już na to gotowa – odparłem ostrożnie. – Przecież to jest tylko burza w szklance wody.

Pokręciła przecząco głową. Łzy spływały jej na policzki. Rozejrzałem się wokół, wypatrując paparazzi. Było to mało prawdopodobne, ale ostatnie, czego jej teraz trzeba, to fotografie, jak szłocha w kafejce.

– Nie, muszę to zrobić. Ojciec nigdy nie zaakceptuje... – Wskazała mnie ręką.

– Nie działaj pośpiesznie, proszę. – Nie dawałem za wygraną. – Poczekaj, jak rozwinie się sytuacja.

Owszem, chciałem, żeby odeszła – ale z własnej woli. Nie chciałem też, by miała do mnie pretensje, że to przeze mnie popsuły się jej stosunki z ojcem. Musiała być pewna swojej decyzji.

Tego dnia miałem wrażenie, że ktoś wyciszył jej osobowość. Uśmiechała się

blado – i to tylko jeśli miałem szczęście. Myślałem, że szybko jej to przejdzie, ale następnego dnia przy śniadaniu oznajmiła:

– Dzisiaj składam wypowiedzenie.

– Jesteś pewna?

– Tak – odparła i uśmiechnęła się blado. – Sama tego chcę, zawsze tego chciałam. Tu wcale nie chodzi o ciebie, ja po prostu potrzebowałam jakiegoś pretekstu. Nie staraj się mi tego wyperswadować. To nie jest decyzja podejmowana pod wpływem impulsu.

Pomogłem jej napisać wypowiedzenie.

„Tato, ze względu na dobro firmy, ale także moje, nie wrócę do Torrington Media. Zdaję sobie sprawę, że sprawiam Ci zawód, ale to coś, o czym myślałam już od dawna. Za kilka dni, kiedy opadnie pył, odezwę się do Ciebie. Kocham Cię. Molly”.

Tego dnia Laith nie zareagował. Następnego budziła mnie z telefonem w dłoni.

„Sprawiłaś głęboki zawód matce i mnie. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko odzyskasz zdrowy rozum”.

Z jednej strony czułem jej ból, z drugiej – nie rozumiałem go. Naprawdę chciałem, ale nie pojmowałem, jakim cudem jego dezaprobatą rani ją aż tak boleśnie. Można by pomyśleć, że straciła sens życia, a to przecież idiotyczne. Nadal miała tak wiele – nadal miała właściwie wszystko, poza pracą, której i tak nigdy nie lubiła.

O ile przed mailem od ojca była smutna, teraz była zrozpaczona. Przede mną rysował się kolejny wyjazd i nie bardzo wiedziałem, czy mogę ją zostawić w takim stanie. Martwiłem się. Wyciągałem ją z mieszkania na spacer w słońcu, zamawiałem jedzenie do domu, namawiałem, żeby jadła – mówiąc krótko, robiłem, co mogłem, żeby okazać jej cierpliwość i wsparcie. Ilekroć próbowałem z nią rozmawiać, powtarzała, że cieszy się, że w końcu zdobyła się na ten krok. Uldze w głosie zadawał kłam ból w oczach.

Chciałem być czuły i wspierający i chyba nawet byłem – na początku. Ale za dnia siedziałem po uszy w analizach pogarszającej się sytuacji w Syrii, a wieczorami opiekowałem się bajecznie bogatą dziewczyną, która opłakiwała pracę, której nie znosiła. Można było oszaleć.

Kiedy już dłużej nie mogłem odkładać wyjazdu, uznałem, że nadszedł czas na drastyczne kroki. Zadzwoiłem zaraz po wyjściu z redakcji.

– Ubierzesz się? – poprosiłem. – Wychodzimy.

– Po co? – rzuciła tym obojętnym tonem, który wyprawiał straszne rzeczy z moim sercem.

– Chyba już czas, żebyś zobaczyła moją siłownię – mruknąłem.

– Leo, nie mam nastroju na trening.

– Nie zabieram cię na trening – zapewniłem i westchnąłem. – Zabieram cię, żebyś zobaczyła rzeczy w odpowiednim świetle.

– Boże – jęknęła. – To też mi się nie podoba! Nie mogę jeszcze trochę potkwic w rozpacz?

– Załóż tenisówki i džinsy, przyjadę po ciebie za pół godziny.

21. Molly

Sierpień 2015

Zabiorę cię dziś w naprawdę pozytywne miejsce – mówię Leo, kiedy następnego dnia po południu wchodzę do jego pokoju.

– Ależ dzień wczorajszy też przyniósł mnóstwo pozytywnych doznań. – Leo puszcza do mnie oko, wyłączając swojego kindle'a. Wiem, że ma na myśli ten pocałunek, którego nie powinnam była prowokować i rumienię się.

– Pewnie tak. Ale raczej nie należał do nich moment, kiedy żona, której prawie nie pamiętasz, zupełnie bez powodu zalała się łzami – mamroczę pod nosem.

– Dzięki temu poczułem się jak mężczyzna, który wspiera swoją żonę, a nie jak bezużyteczny inwalida.

Próbuję wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, ale Leo mnie wyręcza:

– Wiesz, nie zawsze chodzi tylko o *ciebie* – drażni się ze mną. Muszę się uśmiechnąć. – W takim razie dokąd się dzisiaj wybieramy? – pyta.

– Myślę, że już najwyższy czas, żebyś zobaczył Fundację.

– Ach, tę sławną fundację, o której wiem właściwie tylko tyle, że Tobias tam pracuje. Tobias, o którym *również* niewiele wiem.

Znowu ten sarkazm. Nabieram tchu, liczę do pięciu i powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– Próbuję ci pomóc, Leo.

– Nie musisz się tłumaczyć! Tylko żartowałem – mówi to pozornie lekkim tonem, ale naprawdę z lekceważeniem, co dodatkowo podsyca moją irytację.

– Nie wydaje mi się, żeby był to temat, na jaki powinienes... – zaczynam ostro, ale on nagle bierze mnie za rękę. Tak mnie zaskakuje, że przerywam w pół słowa. Próbuję odsunąć rękę, ale on trzyma ją mocno.

– Molly – mówi łagodnie – próbuję śmiać się ze swojej sytuacji, choć wiem, że nie ma w niej nic zabawnego. Nienawidzę każdej chwili spędzonej na wózku, po prostu staram się to bagatelizować. Proszę, nie myśl, że nie doceniam tego wszystkiego, co dla mnie robisz.

Wzdycham i jeszcze raz próbuję uwolnić rękę. Leo wreszcie ją puszcza, ale uważnie mi się przygląda.

– Idziemy? – pytam.

– Jeszcze nie.

Podnosi rękę i nie spuszczając ze mnie wzroku, wskazuje swoje usta.

– Wkurzyłaś się na mnie. Przed wyjściem musimy się pocałować na zgodę.

Pochyłam się i obdarzam go chłodnym pocałunkiem.

– Jak sobie życzysz – mówię, ale on nie pozwala mi się odsunąć. Delikatnie bierze w ręce moją twarz, zanurza palce w moje włosy. Wcześniej *zawsze* mnie tak całował, przytulając mnie do siebie, jakby nie wystarczało mu, że nasze usta się dotykają.

– Wiem, że nadal lubisz mnie całować, pokazałaś mi to wczorajszej nocy. Pocałujmy się tak naprawdę – szepcze, zbliża usta do moich i czule mnie całuje. Sytuacja jest trochę niezręczna, bo muszę się pochylać, ale delikatne ruchy jego ust sprawiają, że resztki mojej irytacji rozplývają się jak poranna mgła. Nie wypuszcza mnie z objęć, jego ręka delikatnie podtrzymuje mój kark. Po chwili przerywa pocałunek i gładzi mnie kciukiem po policzku: – Zawieszenie broni?

– Tak... – szepczę słabo. Serce bije mi tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z klatki piersiowej. Ma rację – nadal lubię się z nim całować. Zawsze uwielbiałam to uczucie, kiedy jego usta dotykały moich. Kiedy jesteśmy blisko, jego zapach natychmiast sprawia, że czuję się bezpiecznie – to właśnie dlatego nie zmieniałam pościeli, kiedy wyjeżdżał. – Powinniśmy już iść – mówię oficjalnym tonem, bo nie chcę, żeby się domyślił, jakie wrażenie zrobił na mnie ten pocałunek. Ale i tak czuję, że moje policzki się zarumieniły, a kiedy się prostuję, lekko kręci mi się w głowie – to po prostu było zbyt intensywne.

Leo wskazuje głową na drzwi i mówi z westchnieniem:

– Prowadź, kochanie.

Sama nie wiem, dlaczego perspektywa pokazania Leo tego, czym się zajmuję od trzech lat, jest dla mnie stresująca. Nie robię tego dla niego – robię to, ponieważ chcę, żeby świat stał się lepszym miejscem. Jednak mam wrażenie, jakby to dawny Leo przeniósł się do przyszłości, żeby zobaczyć, czego dokonałam. A choć w ciągu ostatnich lat różnie między nami bywało, to tamta wersja Leo zmieniła moje życie. I chciałabym, żeby był ze mnie dumny.

Kiedy skręcamy za róg i ukazuje się nam Centrum Sportu i Rekreacji Redfern, uważnie się przyglądam Leo, czekając na jego reakcję. Najpierw marszczy brwi, a potem, kiedy zdaje sobie sprawę, co właśnie widzi, jego oczy gwałtownie się rozszerzają. Znajdująca się w opłakanym stanie salka, w której mieściła się siłownia Leo, oraz otaczające ją domy zniknęły. Na ich miejscu pojawił się kompleks budynków, w którym mieści się Redfern, a za nimi wznosi się supernowoczesny biurowiec, siedziba mojej fundacji.

Zatrzymujemy vana na miejscu dla niepełnosprawnych, tuż przed znakami pomagającymi odwiedzającym odnaleźć drogę w labiryncie nowoczesnych budynków.

Centrum Sportu i Rekreacji Redfern – sponsorowane przez Fundację Declana Torringtona.

– Cholera jasna... – szepcze Leo. Odwraca się w moją stronę i patrzy na

mnie szeroko otwartymi oczami. – Ty to zrobiłaś?

– Nie *ja* – odpowiadam automatycznie i się rumienię. – To znaczy to ja prowadzę fundację, ale pracuje dla mnie cały zespół ludzi. I *oni* to zrobili.

– Molly... – Leo zwraca wzrok na rozciągający się przed nami kompleks budynków, a potem znówu na mnie. Nigdy w życiu nie widziałam go w takim szoku! – Ale jak...? Dlaczego...?

– Pamiętasz ten wieczór, kiedy po raz pierwszy mnie tu zabrałeś? – pytam go. Leo marszczy czoło, próbując przywołać to wspomnienie, ale w końcu potrząsa głową. Tymczasem nasz kierowca wysiada i podchodzi do Leo, żeby pomóc mu wysiąść. – Wejźmy do środka i rozejrzyjmy się. Może widok znajomych miejsc przywoła wspomnienia.

Wchodzimy do środka, a ja uważnie przyglądam się Leo. Z namysłem rozgląda się dookoła, po czym podjeżdża do mieszczącego się tuż obok wejścia sekretariatu. Studiuje znajdującą się obok drzwi tablicę informacyjną, a jego twarz przybiera nieufny wyraz. Podążam za nim, też przyglądam się tablicy.

– Więc mówisz, że cię tu przyprowadziłem? – odzywa się po chwili.

– Tak. Właśnie odeszłam z TM i byłam dosyć rozbita z powodu kłopotów z rodzicami. Nie mogłam się pozbierać... Powiedziałeś, że potrzebuję spojrzeć na życie z innej perspektywy.

Leo nadal nie spuszcza wzroku z tablicy.

– Byłaś zmartwiona z powodu pracy.

– *Pracy?* Nie, byłam dobita, ponieważ od lat próbowałam uszczęśliwić ojca, a potem w jednej chwili musiałam zerwać kontakt zarówno z mamą, jak i z nim. Nagle zupełnie straciłam grunt pod nogami. Pamiętasz?

– Hm, zaczynam sobie przypominać, że byłaś w nie najlepszym stanie, ale chyba nie pamiętam, z jakiego powodu – mówi Leo. Jego głos jest cichy, ciągle przygląda się tablicy informującej, co dokładnie mieści się w Redfern.

– Może to moja wina. Nie chciałam ci dokładnie opowiadać o swoich problemach. Bałam się, że będziesz się czuł winny – wzdycham i wzruszam ramionami. – Tak czy siak, nieważne, jak do tego doszło, ale musiałam odejść. I dokonać wyboru między *tamtym* życiem, a życiem z tobą... – gwałtownie przerywam. Tak bardzo skupiłam się na obserwowaniu reakcji Leo, że pozwoliłam słowom po prostu płynąć. Teraz zdałam sobie sprawę, co właśnie powiedziałam, i czuję, że w gardle mam wielką gulę. Bo to prawda, byłam w stanie poświęcić w życiu wszystko dla Leo. Tylko dlaczego on nie czuł tego samego wobec mnie?

– Więc byłaś rozbita – mówi. – A ja przyprowadziłem cię tutaj, żebyś spojrzała na życie z innej perspektywy? Pamiętam, że to powiedziałem – mówi, po czym podnosi na mnie wzrok i puszcza do mnie oko. – Boże, Molly, przepraszam! Prawdziwy ze mnie dupek!

– Szczerze, to całkiem dobrze mi to zrobiło, jak się zaraz przekonasz –

odwracam się i idę w głąb lobby, a Leo z westchnieniem podąża za mną. Kiedy zbliżamy się do boiska do koszykówki, automatyczne drzwi bezszelestnie się przed nami rozsuwają. Leo wjeżdża za mną do środka i rozgląda się po ogromnym, pustym pomieszczeniu. – Tamtego wieczoru przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym poznała te dzieciaki i nagle wszystkie moje problemy wydały mi się żenująco błahe.

– Opowiedz mi o swojej pierwszej wizycie tutaj – mówi cicho Leo. Rozgląda się wokół ze zmarszczonym czołem. Widzę, że jego wzrok zatrzymuje się na elektronicznej tablicy wyników oraz na wielkim klimatyzatorze w suficie.

– Hm, tak właściwie to *tamten* wieczór nie miał aż takiego dużego znaczenia... Chodźmy dalej, Leo, mamy jeszcze dużo do zobaczenia.

– Molly, moje ostatnie wspomnienie związane z tym boiskiem do koszykówki jest takie, że stoję tutaj, ten budynek jest popadającym w ruinę starym magazynem, a nas nie stać na wymianę desek podtrzymujących kosze. Teraz mam przed sobą supernowoczesne centrum sportowe, a wszystko najwyraźniej zaczęło się od ciebie i od tamtej nocy – w jego głosie wyczuwam irytację, zwraca się do mnie chłodno, jakby był rozgniewany. – Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to że ty się dąsałaś, a ja czułem się bezradny, bo nie widziałem, jak ci mogę pomóc. Pomóż mi wypełnić te luki w pamięci, *proszę*.

– *Dąsałam się?* – to słowo podziałało na mnie jak czerwona płachta na byka. Jednocześnie prosi mnie, żeby mu pomóc odzyskać pamięć i obraża mnie. Mam ochotę zostawić go, żeby sam sobie wszystko przypomniał. – Co przed chwilą mówiłeś o byciu pozbawionym wrażliwości dupkiem?

– Użyłem tylko słowa „duppek” – przypomina, uśmiechając się przeprasząco. – Owszem, *dąsałaś się*. Może miałaś powód, tym niemniej dąsanie się pozostaje dąsaniem się.

– Byłam *zrozpaczona* – krzyżuję ramiona na piersiach i gniewnie mu się przyglądam.

– No dobrze, byłaś *zrozpaczona*. Przepraszam. Usiądź, porozmawiamy.

Nie czekając na moją odpowiedź, jedzie w kierunku trybun, a ja z westchnieniem podążam za nim. Podeszwy moich butów skrzypią na parkiecie. Siadam na końcu pierwszego rzędu, a Leo zatrzymuje wózek przede mną.

– Więc...? – pyta.

– Przyjechałeś po mnie na motocyklu. Wtedy pierwszy raz jechaliśmy razem.

Udaje mi się wywołać żywą reakcję. Odchyła się na wózku i uśmiecha do mnie.

– I jak ci się podobało?

– Na początku wcale mi się nie podobało – przyznaję. – Szczerze, to byłam na ciebie zła, bo powiedziałaś, żebym ubrała się w dżinsy i sportowe buty.

– Aaa... – jego twarz się rozjaśnia. – Tak, *to* brzmi znajomo! Pamiętam, że cię o to prosiłem, a ty powiedziałaś, że to zbrodnia przeciwko modzie.

– Bo to *była* zbrodnia przeciwko modzie – śmieję się miękko.

Leo tak bardzo próbuje się skupić, że aż mruży oczy.

– Ale ty i tak mnie nie posłuchałaś – mówi powoli. Zamyka oczy, a kiedy po chwili szeroko je otwiera, wygląda, jakby był czymś zaskoczony. – Kiedy po ciebie podjechałem, miałaś na sobie wysokie obcasy i spódniczkę.

– Hm, nie wiedziałam, że zabierzesz mnie na przejażdżkę motocyklem. Koniec końców musiałam się przebrać.

– O to też się dąsałaś – mówi Leo, po czym krzywi się, kiedy ponownie rzucam mu gniewne spojrzenie. – Przecież nie powiesz mi, że byłaś *zrozpaczona*, bo musiałaś włożyć bardziej praktyczne ciuchy!

Przewracam oczami.

– Wzięłaś mnie na przejażdżkę po mieście, a w końcu przywiozłaś mnie tutaj. Pamiętasz teraz?

– Mów dalej, chyba zaczynam sobie przypominać – mamrocze, po czym parska cichym śmiechem. – Pamiętam, jak zaczęłaś piszczeć, kiedy jechaliśmy ulicą Cleveland.

– Jechałeś jak wariat! – protestuję. – Myślałam, że spadnę.

– Podobało mi się, że tak mocno się do mnie przytulasz, kiedy przyspieszam – mruży. – Dalej razem jeździmy? Na nowym motorze?

Potrząsam głową i mówię z wahaniem:

– Nie... Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz wyprowadziłeś go z garażu.

Przez moment słucham Leo jednym uchem – sama pogrążam się we wspomnieniach. Co prawda nie straciłam pamięci, ale przez dłuższy czas leżały zakopane w jakimś odległym zakątku mojego umysłu, przytłoczone przez narastający chaos naszego wspólnego życia. Nagle przypominam sobie moment, kiedy przed siłownią ześlizgnęłam się z jego motocykla. Nogi mi się trzęsły, mięśnie mnie bolały, a Leo zdjął mi kask. Poprawił mi zniszczoną przez kask fryzurę, pocałował mnie i powiedział, że dobrze ponownie słyszeć mój śmiech. Miałam wrażenie, że nigdy dotąd nikomu tak na mnie nie zależało. To, w jaki sposób reagowaliśmy nawzajem na swoje uczucia, było wręcz mistyczne. Kiedy byłam smutna, Leo wydawał się spięty i zaniepokojony. Kiedy się uśmiechałam, był szczęśliwy – a mnie nawet bardziej zależało na tym, żeby był szczęśliwy, niż żebym sama była w dobrym humorze.

Jednak kiedy mnie przywiózł pod Centrum Sportu i Rekreacji, a ja spojrzałam na zrujnowany budynek, nie byłam pewna, czy chcę wchodzić do wewnątrz. Przed wejściem kręciła się grupa nastolatków z papierosami, umieszczone wysoko na ścianie okno było rozbite, a każdą odkrytą powierzchnię pokrywały kolejne warstwy graffiti. Nawet bezpiecznie ukryta w ramionach Leo

czułam się w tym momencie bardziej nie na miejscu, niż w jakimkolwiek innym momencie w życiu.

– O czym myślisz? – chce wiedzieć Leo.

Patrzę mu prosto w oczy.

– Od lat nie myślałam o tamtym wieczorze.

– Opowiedz mi o tym – prosi miękko.

– Najpierw tylko siedzieliśmy i oglądaliśmy mecz koszykówki. Twój tata sędziował.

– Czulaś się nieswojo, prawda?

– Tak – przyznaję. – Byłam onieśmielona.

Leo marszczy brwi.

– Jak pamiętam, byłaś zirytowana... zła...

– Tak, powiedziałam różne głupie rzeczy – wzdycham. Samej ciężko mi uwierzyć, jaka naiwna wtedy byłam. – Nie miałam pojęcia na temat różnych rzeczy. Już samo to, że tu byłam, wpędzało mnie w poczucie winy, że moje życie jest takie łatwe. Ledwo tu weszłam, a już miałam ochotę pouczać ciebie i Drew, jak pewne rzeczy powinny być robione.

– Czy właśnie *tak* to sobie wyobrażałaś? – pyta Leo, zataczając ręką szeroki łuk, obejmujący budynek, w którym jesteśmy.

Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Co masz na myśli?

– Te nowe budynki. Czy to się właśnie dzieje, kiedy Molly Torrington próbuje naprawić zdeprawowaną, czarną społeczność?

Z trudem łapię oddech. To zabolalo. Wpatruję się w niego, zaszokowana tym niespodziewanym atakiem.

– Nie masz prawa, Leo!

– Ale chyba mam prawo zadać ci *pytanie*, prawda? Próbujesz mi powiedzieć, że nie zainwestowałaś w to miejsce własnych pieniędzy tylko po to, żeby się poczuć lepiej?

Opieram się o trybuny i wpatruję się w niego. Myślę o tysiącach godzin, które poświęciłam tej społeczności w okresie, którego on nie pamięta. Stało się to moją pracą, pracą, dzięki której poprawił się byt setek ludzi, między innymi społeczności, którą Leo kocha. A wszystko to – każda minuta każdej godziny, każda przelana łza, kiedy coś mi nie wyszło, każda kropla potu – stało się dzięki Leo i dzięki brutalnemu przebudzeniu, którego doświadczyłam tamtego pierwszego wieczoru, kiedy mnie tu przyprowadził. Jestem taka rozwścieczona jego podejściem, że nie mogę wydusić z siebie słowa.

– Hm? – poganiam mnie.

– Jeśli masz zamiar być takim dupkiem, Leo, to wycieczkę dokończysz sam – rzucam ostro i wstaję. – Ja mam mnóstwo roboty. Wszystkie budynki są dostępne

dla osób na wózkach inwalidzkich. Zadzwoń, jak już wszystko obejrzysz.

– Musisz od razu się obrażać? Nie możemy o tym porozmawiać? Nie mówię, że nie zrobiłaś tutaj kawału dobrej roboty. Po prostu się zastanawiam *dłaczego?*

– A czego się spodziewałaś, Leo? Przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym spojrzała na życie z nowej perspektywy. Pamiętasz, jak to miejsce wtedy wyglądało? Każdego cholernego dnia Andrew i jego ludzie mieli do załatwienia kolejne niezbędne sprawy, na które jednak nie było ich stać.

– Więc *wytłumacz* mi to.

Złość trochę mi przechodzi, bo zadał to pytanie takim błagalnym głosem. Jednak nie siadam z powrotem, tylko wkładam ręce do kieszeni dżinsów, i znowu spoglądam mu w oczy.

– Co się stało? Nalegałaś, żebym się włączyła w pracę nad ulepszeniem tego miejsca. To nowe centrum ma sale do sztuk walki z odpowiednią podłogą, ale w tamtych czasach przestrzeń była mocno ograniczona, więc po treningu ściągaliśmy maty i sala zamieniała się w boisko do koszykówki. Maty były zaskakująco ciężkie i nieporęczne, byłam cała mokra, kiedy kończyliśmy to robić.

Tamten wieczór był punktem zwrotnym w moim życiu. Drew wspólnie z lokalnymi szkołami średnimi zorganizował program, który miał zniechęcić uczniów do wagarowania. Dzieciaki, które nie opuszczały szkoły, dostawały karnety na zajęcia sportowe, a po zajęciach – darmowy posiłek. Kiedy przyglądałam się zajęciom karate, Leo wyjaśnił mi, na czym polega ten program. Potem on pomagał prowadzić zajęcia, a ja poszłam do stołówki i pogadałam z uczniami zapisanymi na koszykówkę, którzy właśnie zjadali tam spaghetti.

Nawet jeśli dożyję stu lat, nigdy nie zapomnę rozmowy z tymi dzieciakami. Nie opowiadali mi o swoich mrocznych sekretach, ale nawet ta niezobowiązująca pogawędka dała mi jako takie pojęcie o ich życiu – naznaczonym walką i pełnym niesprawiedliwości. Teraz jestem mądrzejsza – rozumiem, że są to podstawowe aspekty ludzkiej egzystencji – ale na tamtym etapie nie miałam pojęcia o życiu innych ludzi oraz o wyzwaniach, którym muszą codziennie stawiać czoła. Nie było mowy, żebym po tym wieczorze po prostu powróciła do swojego starego życia. Zawsze mi się wydawało, że właśnie dlatego Leo mnie tam przyprowadził.

– Pomagałaś zorganizować zajęcia karate? – pyta Leo, ściągając mnie z powrotem do teraźniejszości.

Przytakuję.

– Zapytałam Drew, dlaczego po prostu nie wynajmie innej sali na zajęcia karate, tak żeby po treningu nie trzeba było ściągać mat. Cierpliwie mi wyjaśnił, że poza niewielką dotacją rządową to miejsce jest w całości finansowane przez lokalną społeczność i ma budżet, który ledwie starcza na czynsz i wypłaty dla pracowników. Moim zdaniem to było bez sensu, że Andrew marnował tyle czasu na próby wyciągnięcia pieniędzy od społeczności, która sama tak niewiele miała.

Od tego wszystko się zaczęło.

– Więc dałaś mu pieniądze? – zgaduje Leo, a ja krzywię się na wyraźny niesmak w jego głosie.

– Mówisz to tak, jakby to było coś *obrzydliwego*. A zresztą, nawet gdybym dała, to co w tym złego?

– Po prostu wiem, jak to działa. Ludzie tacy jak ty...

– Ludzie tacy jak *ja*? Czyżbyśmy wrócili do punktu wyjścia? – znów ze złości brakuje mi tchu, wyrzucam ręce w powietrze. – Nadal nie masz pojęcia, jakiego rodzaju człowiekiem jestem!

– Próbuję tylko zrozumieć, czy to, co tu oglądam, to dzieło bogatej, białej osoby, która przyszła do naszej wspólnoty i próbuje nam mówić, jak mamy żyć – mówi sucho Leo.

Mam już tego dość – rozczarowanie tak mocno ścisną moje serce, że chyba za chwilę pęknie. Myślałam, że oprowadzę Leo po nowym centrum. Że będę patrzeć, jak z radością i entuzjazmem je poznaje, a miłym dodatkiem do tego wszystkiego będzie podziw w jego oczach, kiedy będzie na mnie patrzył. Ani przez moment nie myślałam, że poczuje się *urazony*.

Nigdy nie dał mi do zrozumienia, że ma coś przeciwko mojej pracy na rzecz fundacji, jednak teraz się zastanawiam nad jego stosunkiem do tego wszystkiego w ciągu ostatnich kilku lat. Chwilami przepełniał go entuzjazm, szczególnie kiedy powstawała nowa siłownia. Ostatnio był bardziej zdecydowany, ale myślałam, że to z powodu *jego* pracy, nie mojej. Czy to możliwe, że przez cały czas był przeciwko?

Robię kilka kroków w kierunku wyjścia, ale jestem zbyt wzburzona, żeby tak po prostu wyjść. Obracam się na pięcie i ponownie mierzę go gniewnym spojrzeniem.

– Nie dałam Andrew ani centa ze swoich pieniędzy, Leo, choć gdybym nawet tak zrobiła, to w żadnej mierze nie byłby to twój zasrany interes. Stworzyłam fundację z akcji Declaris, a fundacja kupiła te budynki i sfinansowała remont. Fundacja działa w ten sposób: ludzie tacy jak twój ojciec rejestrują programy, a korporacje dają na nie pieniądze, które następnie mogą odpisać sobie od podatku. Nie mam pojęcia, jak doprowadzić do pozytywnej zmiany społecznej, ja tylko umożliwiam ludziom takim jak Drew, żeby robili swoje. Jeśli na pięć minut będziesz w stanie powstrzymać się przed zakładaniem, że wszystko wiesz, to wyjaśnię ci, że ten model działa, bo bogaci biali ludzie nie mają okazji mówić społeczności, czego potrzebuje.

Leo wpatruje się we mnie bez zmrużenia oka.

– Nie wyjaśniłaś mi tego wcześniej – mówi chłodno.

Zdaję sobie sprawę, że to *ta* wersja Leo, której nie widziałam od czasów wypadku – arogancka, wyniosła. Paskudne oblicze Leo, które poznałam dopiero w

późniejszym czasie naszego małżeństwa. *To* oblicze Leo, którego szczerze nienawidzę, choćby dlatego, że nie bardzo potrafię sobie z nim radzić.

– A w którym momencie naszej rozmowy dałeś mi możliwość wyjaśnienia ci tego?

– Przepraszam cię, Molly – mówi, ciężko wzdychając. – Ciężko mi to zaakceptować. To miejsce tyle dla mnie znaczyło, a teraz jest zupełnie inne, niż je pamiętam.

– A czy nie jest *lepsze*? – pytam osłupiała.

– Jest... przytłaczające.

Uchodzi ze mnie cała para, już nie chcę się kłócić.

– Może to nie był dobry pomysł...

– Nie! – mówi, ruszając w moją stronę. – Przepraszam cię. To miejsce jest wspaniałe, ty jesteś wspaniała, a ja jestem zwykłym idiotą. Pokażesz mi pozostałe sale? Gdzie ćwiczyacie sztuki walki?

– Jesteś pewien? Możemy już jechać do domu i wrócić tutaj jutro.

Potrząsa głową.

– Nie. Zróbmy to dzisiaj.

Pokazanie Leo całego obiektu zajmuje kilka godzin. Nie mówi wiele, ale wydaje się zainteresowany, a kiedy jesteśmy w siłowni oraz w sali do uprawiania sztuk walk – nawet podekscytowany.

– Nie mogę się doczekać, kiedy z powrotem stanę na nogi i będę tu mógł trochę przypakować! – mówi. – Klimatyzacja? Ogrzewanie! To genialne!

Właśnie takiej reakcji się spodziewałam, ale czuję się tak osłabiona i ogłupiała po naszej kłótni na boisku do koszykówki, że nie potrafię cieszyć się jego entuzjazmem tak bardzo, jakbym chciała.

Tymczasem jest już popołudnie i centrum powoli zapełnia się dziećmi, które już skończyły lekcje. Leo zostaje okrążony przez oddanych fanów, zawsze był czymś w rodzaju idola dla dzieciaków z centrum. Jego zdaniem zyskał sobie taki szacunek, prowadząc zajęcia z karate, ale ja wiem lepiej – Leo jest dla nich żywym przykładem, że biedne dzieciństwo nie musi ich ograniczać w dalszym życiu. Leo jest więcej niż przykładem – jest ucieleśnieniem ich najżywszych nadziei.

Wreszcie dołącza do nas Andrew. Rozmawiamy z tyłu sali, podczas gdy uczestnicy pierwszych tego dnia zajęć gromadzą się z przodu.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie zostanę, żeby zobaczyć, jak sobie radzą uczestnicy tego kursu. To zajęcia dla posiadaczy brązowego pasa – zwraca się do mnie Leo. – Nie pamiętam większości z tych dzieciaków i, oczywiście, nie mogę pomóc w prowadzeniu zajęć, ale...

– Jasne! – mówię i ruszam w kierunku miejsca dla publiczności. – Ja też zostanę. Już dawno nie byłam na zajęciach.

– Sensei Leo, czy mógłbyś poprowadzić dziś zajęcia? – woła do nas nagle młody instruktor. Wszystkie dzieciaki odwracają się w naszą stronę, a Leo gwałtownie mruga.

– Chwilowo nie mam możliwości, żeby to zrobić, Joe... Jeszcze nie.

– Ale *mógłbyś* po prostu nam mówić, co mamy robić. To zajęcia na poziomie brązowego pasa, więc wiemy, co mamy robić, pracujemy głównie nad sprawnością i techniką. Mógłbyś po prostu mówić, jakie ćwiczenia mamy robić, a jeśli trzeba będzie coś zademonstrować, chętnie to za ciebie zrobię.

– Często uczę tę grupę? – Leo cicho pyta Andrew.

– Tak naprawdę nie prowadziłeś często zajęć, szczególnie w ostatnim roku. Ale jeśli masz ochotę, to byłoby świetnie, gdybyś teraz się tym zajął.

Leo przez chwilę się waha, ale widzę, że prostuje się na wózku i rusza w stronę kursantów, po czym nakazuje twardym tonem:

– Trzy minuty skippingu w ramach rozgrzewki. Zaczynajcie!

– Dobrze wygląda – zauważa Andrew.

– Zdecydowanie, każdego dnia lepiej.

– A jak z jego pamięcią?

– Wydaje mi się, że szybko ją odzyskuje.

– A chodzenie? Wstawanie? *Cokolwiek?*

Potrząsam głową, a Andrew wzdycha.

– Zorientowałem się trochę w temacie. Są specjalne zajęcia karate dla osób na wózkach. Wydaje mi się, że moglibyśmy zamieścić ogłoszenie, znaleźć chętnych... Moglibyśmy utworzyć kilka grup, może pomogłoby mu to zaakceptować to, co się stało. Nie jestem tylko pewny, czy jeszcze nie za wcześnie, żeby mu to zaproponować.

– On nie musi tego akceptować, powinien się raczej skupić na powrocie do pełnej sprawności.

– Dobrze, kochanie. Ty wiesz najlepiej... – mówi cicho Andrew. – Leo ma szczęście, że przy nim jesteś.

– Leo poradziłby sobie w każdej sytuacji. Akurat ty wiesz najlepiej, jak ten człowiek sobie radzi w obliczu wyzwania.

– A co u *ciebie*? Spora część tego ciężaru spadła na ciebie i musisz sobie z tym radzić zupełnie sama.

– Jestem twarda.

– Nie, do cholery, *nie jesteś!* – miękko śmieje się Andrew. – Jesteś największym mięczakiem, jakiego znam.

– Jestem twarda, jeśli chodzi o sprawy związane z Leo – mówię. – Musiałam się tego nauczyć.

– To może być dla was dwojga początek zupełnie nowego rozdziału.

– Jeżeli zostanie na wózku? To masz na myśli? – mówię ostro do swojego

teścia, ale wyraz jego twarzy się nie zmienia. Na co dzień ma do czynienia z humorzastymi nastolatkami, więc mój atak nie robi na nim większego wrażenia.

– Odmawiam uznania kalectwa Leo za nieodwracalne. Jeśli nie będzie mógł pracować, nie poradzi sobie. Musimy go postawić z powrotem na nogi.

– Czasem coś, przeciwko czemu się buntujemy, okazuje się największym błogosławieństwem, Molly.

A co to ma niby znaczyć? Mam się cieszyć, że Leo może zostać inwalidą? Przecież to by go unieszczęśliwiło!

– Myślę, że oboje dobrze wiemy, że jeśli wróci do zdrowia i podejmie pracę, to pewnego dnia wróci do domu w trumnie. W ciągu ostatnich kilku lat zachowywał się nieracjonalnie i ciągle niepotrzebnie ryzykował. Tak jakby *nie potrafił* nad sobą zapanować. Może los postanowił przystopować go w inny sposób.

Nie jestem pewna, jak Leo by zareagował, gdyby się dowiedział, że zdaniem jego taty wyszłoby mu na dobre, gdyby został przykuty do wózka inwalidzkiego. Jednak ja jestem pewna, że nie byłoby to dla niego dobre. Andrew wzdycha i mnie obejmuje.

– Nigdy nie chciałem się wtrącać, kochanie, ale widziałem, jak nieszczęśliwa byłaś. To naprawdę mógłby dla was być nowy początek, prawda?

Jedziemy z Leo na rehabilitację do kliniki, a ja myślę o słowach Andrew. Czy w ogóle chciałabym zaczynać od nowa z Leo? Czy zdecydowałabym się na to w tych okolicznościach, kosztem tego, że jest do mnie przykuty nie z wyboru, ale ze względu na swoją niepełnosprawność? Coraz bardziej mięknę, kiedy jest wobec mnie taki czuły. Tyle że nasz związek nie był sielanką, było w nim pełno dramatycznych zakrętów, a aroganckie zachowanie Leo na boisku do koszykówki brutalnie mi przypomniało o tym aspekcie jego osobowości, który odkryłam dopiero po ślubie.

Są w nim rzeczy, których nienawidzę, ale są też takie, które zawsze będę kochać. Jednak koniec końców nasz związek to już przeszłość i czym szybciej wymyślę, jak o tym powiedzieć Leo, tym szybciej będę mogła przestać udawać, że wszystko jest w porządku.

Leo *musi* wrócić do zdrowia; *musi* odzyskać swoją pracę i swoje życie. W innym przypadku – co mu zostanie? Prawie nic, a tego mu nie życzę – tego nie mogłabym mu życzyć. Nabieram głęboko powietrza w płuca i odwracam się do niego. Zauważa mój ruch i zanim jestem w stanie otworzyć usta, mówi:

– Jeśli chodzi o to, co było wcześniej...

Ale ja dobrze wiem, do czego zmierza. Krzywię się.

– Po prostu o tym zapomnijmy.

– Nie – mówi. – Zachowałem się jak dupek i chciałem cię za to przeprosić. Moje życie teraz tak bardzo się różni od tego, które pamiętam! Wszystkie te

zmiany są dobre, ale... mam wrażenie, że to już nie jest moje życie. Nie chcę cię od siebie odpychać, Molly, wiem, że cię potrzebuję. Przebaczysz mi?

– Nie musisz tego mówić. – Moje słowa są ciężkie od poczucia winy. Mam wrażenie, że Leo czyta mi w myślach.

– Nie, naprawdę jest mi bardzo przykro – wzdycha Leo. – Naprawdę próbuję dotrzymać ci kroku, wybaczyć tę grę słów, ale to najtrudniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek przyszło mi stawić czoło i po prostu nie wiem, jak bym to wszystko bez ciebie przetrwał. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby cię tak gównianie traktować, bo jesteś najwspanialszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu. Obiecuję, że będę się bardziej starał.

Jeśli w ciągu ostatnich kilku lat otoczyłam swoje serce murem, to te proste zdania z łatwością ten mur zburzyły, a ja znów czuję łączącą nas więź. Dwie minuty temu byłam gotowa otrzepać ręce i – znowu – odejść, a wystarczyła odrobina pokory ze strony Leo, żebym znowu była zaangażowana. Nie dlatego, że jego słowa są magiczne – dlatego, że głęboko pod powierzchnią bólu moja miłość do niego jest żywa i ciągle ma się dobrze. Widzę to teraz z nagłą, trochę przerażającą jasnością. Byłam i *jestem* wściekła. Byłam i *jestem* posiniaczona. Byłam i *jestem* wykończona. Wszystko to jest nadal aktualne. Ale powodem mojego wyjazdu do Rzymu – powodem *zostania* w Rzymie – powodem urabiania sobie rąk po łokcie, żeby pomóc Leo odzyskać pamięć, nie jest poczucie obowiązku. Robię to, ponieważ tego *chcę*. Mimo całego cierpienia, którego przysporzył mi ten związek, chcę dla niego jak najlepiej. I jeżeli mielibyśmy szansę na cud, jakim byłoby rozpoczęcie wszystkiego od nowa, to oddałabym wszystko w moim życiu, żeby przyjąć ten dar z otwartymi ramionami.

– Teraz widzę, jak bardzo cię ranilem, Molly. Nie tylko dzisiaj. I naprawdę *nienawidzę* tego.

Teraz naprawdę nie wiem, co mu powiedzieć. Nie mogę zaprzeczyć, nie będę zaprzeczać. Pozwalam mu spleść palce z moimi palcami.

– Chcę wszystko naprawić. Nie wiem, czy wcześniej już ci to mówiłem i czy jeszcze mi wierzysz, ale obiecuję ci, że tym razem naprawdę dam z siebie wszystko. W porządku?

Bez słowa kiwam głową. Kiedy podnosi do ust moją dłoń, czuję w sobie słabość, jakby moje stanowcze postanowienie odchodziło w niepamięć, jakbym z każdym wspólnym oddechem ponownie się do niego zbliżała. Leo spogląda przez okno, ale ja wpatruję się w nasze splecione palce i zastanawiam się, czy dotrzyma słowa.

W tym momencie po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może Andrew ma rację. Czy to naprawdę może być dla nas nowy początek? Szansa na przeżycie wszystkiego od nowa – tym razem ze świadomością pułapek, w które nie warto wpadać.

Następnego dnia bierzemy Luciena na spacer do parku, żeby skorzystać z ciepłego popołudnia. Trzymam smycz, a Lucien grzecznie drepce po mojej lewej stronie, podczas gdy Leo jedzie na wózku po prawej.

W parku odpinam Lucienowi smycz, psiak natychmiast w podskokach odbiega, ale szybko zatrzymuje się, żeby zapolować na motyla. Leo i ja patrzymy, jak wykonuje serię szalonych akrobatycznych podskoków, próbując złapać go pyskiem.

– Jak tam dzisiejsza fizjoterapia?

– Tak samo – odpowiada lakonicznie Leo. Nie powiedział tego, ale ja wiem, że brak postępów zaczyna go martwić. – Rano przemknęła mi przez głowę pewna myśl. Pomyślałem, że to musi być jakieś wspomnienie.

– Opowiedz.

– Tak naprawdę to trochę głupie. Tost spadł mi na ziemię, a ja pomyślałem, że ciekawe, czy upadnie masłem na podłogę. I w tym momencie przyszedł mi do głowy ty, to było bardzo intensywne skojarzenie.

– Czy była to jakaś *konkretna* myśl związana ze mną? – nie mogę się powstrzymać, zaczynam chichotać i czuję, że na policzki wypływa mi rumieniec. Odchodzę o kilka kroków i siadam na ławce.

– Być może... Dlaczego pytasz?

Podjeżdża bliżej, z łatwością spychając wózek z dróżki. Jednak widzę, że poruszanie wózka po trawniku sprawia mu większą trudność. Ku mojemu zaskoczeniu, kiedy podjeżdża do ławki, podpira się na rękach i udaje mu się na niej usiąść. Przesuwa się po niej, aż znajduje się koło mnie. Obejmuje mnie ramieniem. Natychmiast się rozluźniam, to czysta rozkosz czuć koło siebie jego silne ciało. Nadal jest taki mocny i masywny. Zawsze działała na mnie muskulatura Leo.

– Właściwie to sama o tym zapomniałam, dopiero twoje słowa mi to przypomniały – mamroczę. – Kiedy zaczęliśmy się spotykać, graliśmy w taką naprawdę głupią grę... – przestaję się śmiać i muszę odchrząknąć. To trochę niezręczne. – To był taki nasz prywatny, głupiutki rytuał. Powiedzmy, że zamawialiśmy kawę w kawiarni, a ty mówiłeś coś w stylu: „Założę się, że na piance będzie jakiś wzorek”. A ja mówiłam: „Nie, zobaczysz, że tym razem nie będzie”.

– I...?

– I ten, kto przegrywał zakład, musiał... – łokciem wskazuję jego krocze. Rumienię się, co jest śmieszne, bo przecież to Leo, mój mąż, mężczyzna, z którym grałam w tę grę, ale nasza relacja wtedy była tak bardzo inna. – Powiedzmy, że była to gra, w której nie było przegranych.

Leo parska cichym śmiechem, ten dźwięk wibruje w jego klatce piersiowej. Wtulam się w niego jeszcze mocniej, a on przesuwając dłoń w górę i w dół po moim

przedramieniu.

– Cóż, powiem tylko, że dobrze to słyszeć – mruczy mi prosto do ucha. – Muszę przyznać, że trochę się zaniepokoiłem, kiedy na widok spadającego ze stołu tosta zareagowałem gwałtowną erekcją.

Śmieję się, ale potem przestaję. Faktycznie, w pewnym momencie mieliśmy zakład dotyczący tosta na podłodze. Wspomnienie powoli do mnie powraca. Był weekend, niespiesznie jedliśmy śniadanie w mojej jadalni. Nie pamiętam, komu upadł tost – może to byłam ja, a może był to Leo – jednak zanim zdołałam po niego sięgnąć, Leo złapał mnie za podbródek i zmusił do spojrzenia sobie w oczy. W jego oczach widziałam intensywne pożądanie, choć gra się nawet jeszcze nie rozpoczęła. „Stawiam, że wylądował posmarowaną stroną do dołu. Stawka ta, co zawsze?”. Spojrzałam pod stół i zobaczyłam, że tost leży na podłodze posmarowaną stroną do góry, ale podniosłam wzrok na Leo, uśmiechnęłam się i ześlizgnęłam się z krzesła na kolana.

– Przypominam sobie coraz więcej z tamtego okresu – mówi Leo, wrywając mnie z marzeń na jawie. Znowu chrząkam i powstrzymuję się przed powachlowaniem rozpalonych policzków dłonią.

– To dobrze. Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

– To nie tak... W głowie kłębią mi się fragmenty wspomnień, nie zawsze rozumiem ich znaczenie i nie zawsze potrafię je umiejscowić w konkretnym czasie. Tak jak ten tost. Wiedziałem, że coś jest na rzeczy, ale dopóki mi nie wyjaśniłaś, zupełnie nie rozumiałem co.

– A teraz...?

– Jestem całkiem pewny, że później... Zobaczyłem, że tost leżał posmarowaną stroną do góry – mówi. Ten niezwykle ciepły jak na tę porę roku dzień wydaje mi się w tym momencie wręcz upalny. Odsuwam się od niego i podnoszę na niego wzrok. Nasze spojrzenia się spotykają, chemia między nami jest wręcz wyczuwalna. Pochyla się i całuje mnie.

– Chyba za tobą tęsknię, Molly.

Ja za tobą bardziej.

– Od jak dawna my już nie...? – pyta mnie szeptem.

Taaaa...

Przełykam ślinę.

– Kilka miesięcy.

Ostatni raz robiliśmy to w Stambule, gdzie postanowiłam zrobić mu niespodziankę i pojawić się w trakcie jednej z jego podróży. To była jedna wielka katastrofa, natychmiast odsuwam od siebie te wspomnienia. Brakuje mi nawet nie tyle seksu, co bliskości.

– Miesiące? – powtarza Leo, po czym wzdycha. – Za często mnie nie było, prawda?

– Tak.

– Tak bardzo bym chciał po prostu wstać z tego wózka, pójść do domu i znowu być twoim mężem.

Zadziwiająco, jak temat naszej rozmowy niepostrzeżenie zmienił się z naszego ostatnio nieistniejącego życia seksualnego do wózka inwalidzkiego Leo. Marszczę brwi i mówię ostrożnie:

– Nie musisz *chodzić*, żeby być moim mężem, Leo.

Odwraca wzrok, przygląda się teraz hasającemu po parku Lucienowi.

– Jeśli będę przykuty do wózka – mówi wreszcie cicho – to nie będę mógł być mężczyzną, jakim chcę być.

– To nieprawda. Nadal jesteś tym samym mężczyzną, którym zawsze byłeś. A do wózka zbytnio się nie przywiązuj, bo już niedługo na nim pojeździsz. Wiem, że to frustrujące, ale *uda* ci się. Wiem, że tak będzie.

Spogląda, a mnie serce pęka na widok smutku w jego oczach.

– A jeśli nie?

– Nawet nie przyszło mi to do głowy – kłamię.

– Powinnaś pomyśleć o takiej ewentualności.

– Nie. I ty też o tym nie myśl. Skup się na odzyskaniu sprawności.

– Po prostu nie wiem, jak mam wrócić do pracy, jeśli nie będę chodził – mamrocze nieuważnie. Wyślizguję się z jego objęć i chcę wstać z ławki, ale on próbuje chwycić mnie za ramię, żeby mi to udaremnić. Z łatwością się mu wymykam.

– Nie odchodź, Molly.

– Lucien za daleko się zapędził – wskazuję na psa, który hasa gdzieś na drugim końcu parku, prawdopodobnie nadal goniąc motyla, na co wskazywałyby chaotyczne podskoki. Idę w jego stronę, następnie zaczynam truchtać, a w końcu na tyle zbliżam się do sprintu, na ile jest to w moim przypadku możliwe. Biegnę do psa – ale przede wszystkim uciekam od Leo.

W czasie tego biegu pozwalam samej sobie przez chwilę być całkowitą egoistką i wznoszę modlitwę do wszechświata, żeby Leo do końca życia pozostał na wózku, tak żebym mogła go dla siebie zatrzymać. Natychmiast czuję się winna, jestem na siebie wściekła i usiłuję wyrzucić tę myśl ze swojej głowy.

Kiedy zbliżam się do Luciena, pies leży płasko na brzuchu, a ja bezbłędnie wyczuwam, o co chodzi. Mruczę z niezadowoleniem, zapinając mu obrozę, a potem znowu, kiedy – zgodnie z moimi przewidywaniami – robię krok w kierunku ławki, ale pies nie chce się ruszyć.

– No dalej, Lucien – mamroczę. Rzucam smycz i biegnę do przodu, czasem daję się nabrać i biegnie za mną, ale dzisiaj tylko się na mnie gapi. Moje zniecierpliwienie rośnie, sięgam po smycz i delikatnie ciągnę: – Nie rób mi tego dzisiaj!

– Lucien, do nogi! – Leo woła psa, szybko podjeżdżając alejką. Lucien błyskawicznie się zrywa i biegnie do Leo, wyrывая smycz z mojej ręki. Dyszę ze złości i bezradnie przeczesuję palcami włosy. Lucien grzecznie siada koło Leo – wiem, że to tylko pies, ale przysięgam, że w tym momencie próbuje wyglądać na niewinnego.

– Jak ja nie cierpię, kiedy tak robi! – wykrzykuję. – Całe życie próbuję być dla niego dobra, a on jakby próbuje mnie za to *ukarać*!

Leo się pochyla, żeby podnieść smycz Luciena, a ja gniewnie wyrывam mu ją z rąk. Tym razem Lucien za mną idzie, gniewnie sapiąc, przechodzę koło Leo, który szybko mnie dogania.

– Czy on nie rozumie, że im częściej to robi, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że będę miała ochotę wychodzić z nim na spacer? Jaki ma sens mieć zwierzaka, jeśli tylko cię to frustruje?

– To tylko pies, Molly... Nie sądzę, żeby dogłębnie analizował swoje decyzje – mówi ostro Leo. – Po prostu jest leniwy, a całą swoją energię wykorzystał, ścigając motyla. Nie bierz tego do siebie.

– Hm, a mnie taki układ nie pasuje. Nie mam zamiaru dłużej tego tolerować. To powinno działać w obie strony – mówię ostro, a kiedy Lucien przystaje, zaaferowany jakimś śmieciem, który znalazł, ciągnę smycz. Nie szarpie, ale nie jestem też taka delikatna jak zwykle. Natychmiast budzi to we mnie poczucie winy, które pięknie się komponuje z kłębowskiem złych uczuć, które w tym momencie mnie przytłaczają.

– Molly – cicho mówi Leo. – Jesteś zła na mnie. Nie wyzywaj się na Lucienie.

– Nie *mów* mi, co mam *robić*! – rzucam ostro. Wiem, że jestem dziecinna i niegrzeczna, ale chwilę temu naprawdę poczułam między nami dawną więź, a Leo musiał wszystko zepsuć, wspominając o swojej pracy. To było jak policzek – głęboko rozczarowujące, bolesne przypomnienie, dlaczego jakakolwiek bliskość i czułość między nami jest kompletnie niemożliwa. – Myślę, że czas, żebyś wrócił do centrum rehabilitacji.

– Nie.

– Jak to, nie?

– Nie. Zostanę tu, dopóki się nie uspokoisz, a wtedy porozmawiamy o tym, co się tu właśnie wydarzyło.

Na te słowa gwałtownie przystaję, zahaczam smycz o uchwyt z tyłu wózka Leo, po czym z gniewną miną przed nim staję.

– Ja wracam do domu. Ty i Lucien możecie kontynuować spacer, ale ja mam na dzisiaj *dość*.

Ale Leo i Lucien idą za mną. Choć Leo jest na wózku, nadal jest tak szybki, jak ja i nawet to w tym momencie wydaje mi się frustrujące. Kiedy jesteśmy przy

domu, niechętnie przytrzymuję furtkę na podwórko, żeby Leo mógł przejechać, po czym czekam przy drzwiach, kiedy odpina Lucienowi smycz i daje mu lekkiego klapsa. Lucien bez chwili wahania pędzi do pani Wilkins, a Leo spogląda na mnie.

– Porozmawiajmy – proponuje cicho. Podjeżdża do kanapy i podciąga się na ramionach, żeby na niej usiąść, a ja go obserwuję z kuchni. Codziennie jest silniejszy, coraz lepiej sobie radzi ze swoją niepełnosprawnością. Siedzi teraz na kanapie, a ja myślę, że to mógłby być normalny element naszego zwyczajnego dnia. I choć nie czuję się z tym dobrze, prawda jest taka, że ta myśl bardzo mi się podoba. – Kochanie – mówi łagodnie. – Chodź do mnie.

Powoli do niego podchodzę. Siadam na kanapie, ale w pewnej odległości od niego.

– Co takiego powiedziałem, Molly? – pyta, a ja spoglądam na niego z niedowierzaniem. *Jak to możliwe, żeby tak inteligentny facet jednocześnie był aż tak głupi?* – Chodzi o wózek? To dla ciebie zbyt wiele?

– Leo! Nic mnie nie obchodzi, że jeździsz na wózku! To znaczy *obchodzi mnie*, ale tylko dlatego, że wiem, że tobie jest z tym ciężko. Nie chodzi o wózek.

– Więc o co?

– Będziesz znowu chodził. Wiem, że tak będzie – mówię, a kiedy widzę jego osłupiałe spojrzenie, dodaję szybko: – a wtedy wrócisz do pracy.

– Tak? – dalej nie rozumie.

– To bardzo proste, a jednocześnie niemożliwe do rozwiązania. Ty kochasz swoją pracę, a ja jej nienawidzę. Nie widzę możliwości kompromisu.

– W takim razie co z tym zrobimy? – Leo marszczy czoło. – Nie sugerujesz chyba, żebym nie wrócił do pracy?

– Nie.

– Więc... – patrzy na mnie, jakby sądził, że mam gotowe rozwiązanie, ale gdyby któreś z nas je miało, nie znajdowalibyśmy się teraz w tej sytuacji. Potrząsam głową.

– Nie wiem, Leo.

Nagle zaczyna rozumieć.

– Czyli stąd to napięcie między nami?

– W dużej mierze stąd – szepczę.

– Właśnie dlatego nigdy nie zamierzałem się ożenić – mruczy pod nosem, po czym ciężko wzdycha. – Tyle że tak bardzo się w tobie zakochałem, że mój rozum po prostu się wyłączył. – Uśmiecham się do niego słabo, a on pochyla się w moją stronę i bierze mnie za rękę. – Czy musimy znaleźć rozwiązanie już dzisiaj, Molly?

Potrząsam głową, a on mnie do siebie przyciąga. Pozwalam mu na to, przytula mnie coraz bardziej, aż jestem w niego mocno wtulona.

– Chcesz przez chwilę pooglądać telewizję? – pyta miękko, z twarzą ukrytą w moich włosach.

– Wariat...

Wiem, że nie można bez końca odciągać tej rozmowy. Wiem, że właśnie miałam szansę mu powiedzieć, że jesteśmy w separacji i o innych rzeczach, które się zdarzyły w ostatnim roku – i przepuściłam tę szansę. Ale żałuję tego tylko przez chwilę, bo gdybym mu wszystko powiedziała, nie spędziłabym popołudnia na kanapie, w jego mocnych objęciach. Wcześniej czy później będę musiała to zrobić, ale wygląda na to, że będę z tym zwlekać do ostatniego możliwego momentu.

Maj 2011

Wieczorem, po wyjściu z sali gimnastycznej, Molly wierciła się w łóżku i przewracała z boku na bok. Co jakiś czas zapadałem w sen, ale budziłem się po każdym jej ruchu.

Kiedy przyjechaliliśmy na miejsce, nalegałem, żeby pomogła mi przygotować salę, ale doprowadzała mnie do szału nawet tak prostą czynnością, jak rozkładanie mat: ruszała się ślamazarnie i wkładała w narzekanie tyle samo energii, co w działanie. Ale później zagadała się z dziećmiakami i nie miałem wątpliwości, że się angażuje. Doskonale wiedziałem, w którym miejscu aktualnie przebywa, bo dochodziły z niego wybuchy śmiechu. Wydawało się, że znów jest szczęśliwa, jakby duch dzieciaków przywrócił ją do życia, a na to właśnie liczyłem. Gdy wróciliśmy do mnie, milczała, ale wydawała się raczej zamyślona niż smutna... Jednak o drugiej nad ranem zdałem sobie sprawę, że jeszcze nie śpi.

Leżała na brzuchu i wpatrywała się we mnie w ciemności. Położyłem się tak samo jak ona i zacząłem ją głaskać po plecach.

– Wszystko dobrze?

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

– Co? – Od razu się zjeżyłem. – Po co?

– Dorastałeś tak, jak te dzieci, które poznaliśmy, prawda?

– Nie można generalizować. – Cofnąłem rękę. – Miałem czarną skórę? Tak. Byłem biedny? Tak. Ale to nie znaczy, że jestem jak oni, tak jak ty nie jesteś królową angielską, choć byłaś biała i miałaś wielki dom.

– Nie generalizuję. Chodziło mi o to, że miałeś takie same problemy. Ty poznałeś moje dzieciństwo. Masz nade mną przewagę, bo doskonale wiesz, co ze mnie zrobiło rozwydrzonego bachora.

Roześmiałem się, ale ona patrzyła poważnie.

– Proszę cię.

– Niewiele mam do powiedzenia. – Znów wyciągnąłem rękę i żeby nie patrzeć jej w oczy, przyglądałem się kolistym ruchom swojej dłoni na jej plecach. – Mama zaszła ze mną w ciążę, jak miała szesnaście lat. On miał na imię Mike. Jak byłem mały, prawie go nie widywałem, a mama nic nie umiała, więc nie mogła znaleźć pracy. Mieszkaliśmy w jednym z najgorszych bloków komunalnych. A Mike był dupkiem. I tyle.

– Leo, proszę. Jeśli to za trudne, nie musisz, ale jeśli dasz radę, chciałabym wiedzieć więcej.

Zmarszczyłem czoło i spojrzałem na nią. Oparła się na łokciu i wpatrywała się badawczo. Dostrzegłem w jej oczach podziw i wystraszyłem się. Kogo widziała, kiedy tak na mnie patrzyła? Naprawdę zasługiwałem na szacunek? Takie chwile traktowałem jak nagrodę, zwieńczenie lat ciężkiej pracy poświęconej budowaniu nowego życia. Ale jednocześnie prawie nie mogłem tego unieść, tak jak wtedy, gdy się dowiedzieliśmy z Bradem, że dostaliśmy Pulitzera i niemal wzmówiliśmy sobie, że to pomyłka.

Zacząłem szybciej oddychać i w piersi ścisnął mnie niepokój. Znała moje tajemnice, ale wciąż była obok. Chciałem jej powiedzieć. To znaczy nie chciałem mówić, ale zależało mi, żeby wiedziała. Tę samą bitwę toczyłem za każdym razem, gdy wchodziliśmy na nowy poziom intymności. Jak zawsze trochę odczekałem, mijaly minuty, a we mnie budziła się pewność, że bardziej, niż się schować, chcę jej pokazać, kim jestem.

– On bił mamę. Nienawidziłem go. Nadal nienawidzę. Zniknął gdzieś, nie mówił, kiedy wróci, nie zostawiał nam żadnych pieniędzy, nic. Bywały takie miesiące, kiedy pod koniec mama błagała w opiece społecznej o paczki żywnościowe, bo inaczej musielibyśmy się zdać na jej rodzinę, żeby w ogóle przetrwać. A on wracał, jak gdyby nigdy nic. Jak teraz o tym myślę, jestem pewien, że miał gdzieś drugą rodzinę.

Molly przysunęła się bliżej i położyła mi głowę na piersi. Objęła mnie mocno. Odruchowo ją do siebie przyciągnąłem, bo wspomnienia zaczęły atakować. Nigdy nie zapomnę tego wstydu, że nie mogę obronić mamy. Nie babrałem się w tamtych czasach, bo nie chciałem się stać ich ofiarą, ale to one mnie ukształtowały. Częściowo wyszło mi to na dobre, bo stałem się silny. Co do reszty – mogłem się tylko łudzić, że pogrzebałem to w sobie na tyle głęboko, że nie będzie wypływało. A przynajmniej nie nazbyt często.

– Ciebie też bił? – spytała szeptem.

Milczałem. Nie musiałem odpowiadać. Leżała tak blisko, że poczuła, jak się napiąłem. Czasem wciąż słyszałem te dźwięki. Skrzypienie drzwi i szuranie płaczących się nóg, oznaczające, że znów przepił wszystkie pieniądze. Był wściekły, że musiał wyjść z pubu i szukał ofiary, żeby się wyżyć. Słyszałem, jak mama próbuje mnie bronić, przerażenie w jej głosie stawało się coraz bardziej namacalne, jej desperacja rosła, ale na próżno, Mike i tak zbliżał się do mojego pokoju. Działałem na niego jak płachta na byka, chociaż nigdy do końca nie zrozumiałem dlaczego i byłem już nastolatkiem, gdy po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że na to nie zasługiwałem.

Czasem mama szlochała, słysząc obrzydliwy dźwięk pięści nacierających na moje ciało. Innym razem to ja nasłuchiwałem tego potwornego odgłosu, chrupnięcia kości, potem zawodzenia, a po chwili otwierały się drzwi i przychodziła moja kolej. Wydawał mi się wszechpotężny, a jego wściekłość,

agresja i ataki gniewu nie do powstrzymania.

Inne dzieciaki oglądały w telewizji filmy o superbohaterach, ale ja czułem, że nawet oni byliby bezradni wobec potęgi Mike'a. W każdym razie byłem bezradny i nie miałem nadziei na ratunek.

– W tamtych czasach ciągle się pakowałem w kłopoty – powiedziałem sztywno. – Trzymałem się z chłopakami z bloku. Włamaliśmy się do paru domów, ukradliśmy parę samochodów, a w miarę jak dorastałem, zacząłem sobie wmawiać, że jestem taki jak on. Tak myślałem.

– I co się zmieniło?

– Na początku liceum bardzo szybko urosłem. Jakoś w tym samym czasie Mike zniknął po raz kolejny, a jak wrócił, dotarło do mnie, że jestem dość duży, żeby mu się postawić. To było jeszcze lata przed programem przeciwdziałania wagarowaniu. Wtedy dopiero Andrew prowadził w sali gimnastycznej zajęcia ze sztuk walki. Słyszałem o tym od kolegów. Nie miałem kasy na opłacenie kursu, ale Andrew powiedział, że będę mógł przychodzić za darmo, jeśli przestanę wagarować i dwa razy w tygodniu będę uczęszczał na zajęcia wyrównujące, więc tak zrobiłem i szybko się okazało, że nie jestem debilem, jak zawsze myślałem. Im lepiej się uczyłem, tym częściej mogłem chodzić na jego lekcje i wkrótce zrozumiałem, że potrafię ciężko pracować. Trenowałem jak wariat, uczyłem się jak kujon i nagle wszystko się odwróciło. Kiedy następnym razem Mike próbował uderzyć mamę, stanąłem między nimi. Złamałem mu szczękę i od tamtej pory go nie widzieliśmy.

– Leo... – szepnęła. Usłyszałem w jej głosie ból i napiąłem się jeszcze bardziej.

– Przestań – poprosiłem. To słowo zabrzmiało ostrzej, niż chciałem, ale musiałem walczyć, żeby nie zamknąć się w sobie. Instynktownie chciałem skończyć tę rozmowę. Nie planowałem wejść w to tak głęboko, chciałem ogólnie zarysować sytuację i tyle. Mój ojciec był dupkiem, jakoś to przeżyłem, a życie toczy się dalej i już. – Nie lituj się nade mną. Nie potrzebuję. Tamtego wieczoru, gdy przywaliłem temu gnojowi, narodziłem się na nowo. Jak uciekał, zrozumiałem, że jestem lepszym człowiekiem niż on. Obudziłem się następnego dnia rano i czułem taką moc, jakbym rządził światem. Tego samego wieczoru zobaczyłem w gazecie artykuł o wojnie w Iraku. Postanowiłem pokierować swoim przeznaczeniem. Mogłem zostać kimś ważnym i dobrym. – Poczulem na piersi wilgoć i zdałem sobie sprawę, że Molly płacze. Znosiłem łzy, ale łzy z mojego powodu to zupełnie inna historia. – Nie płacz – szepnąłem i nagle musiałem się bardzo skupić, żeby też się nie rozpłakać. Było to wkurzające i strasznie upokarzające.

Zauważyła? Jezu, miałem nadzieję, że nie. Zacisnąłem szczęki i zacząłem się wpatrywać w sufit.

– Nic nie poradzę – szepnęła mi w skórę.

– Spróbuj. Proszę.

– Kocham cię – powiedziała nagle. – Kocham sposób, w jaki patrzysz na świat. I w jaki mi go pokazujesz. Kocham to, jak się o mnie troszczysz. Kocham mężczyznę, którym jesteś. Nie mogę tylko znieść myśli, przez co musiałeś przejść, żeby się tym mężczyzną stać.

Kocham cię... Lekko uniosłem jej ramiona, a ona podniosła głowę i spojrzała na mnie. W półmroku widziałem, że jej policzki lśnią.

– Ja też cię kocham. – Patrzyłem jej prosto w oczy, a wyznanie wypłynęło z moich ust z taką łatwością, jakby to były jakieś zwykłe słowa jakiegoś zwykłego dnia.

Ale ten dzień nie był zwyczajny... Bo wtedy zrozumiałem, że chcę z nią spędzić życie.

23. Molly

Sierpień 2015

Jest niedziela i pada deszcz – miarowa mżawka sprawia, że bardzo się cieszę, że nie muszę opuszczać ciepłego domu aż do późnego popołudnia – zjemy z Leo kolację w klinice rehabilitacyjnej.

Zanim zejść na dół, wyciągam nasz ślubny album z górnej półki szafy w sypialni i po drodze tulę go do piersi. Siadam na kanapie i kładę album na kolanach. Mam wrażenie, że para, która patrzy na mnie z okładki, to dawni przyjaciele, z którymi dawno straciłam kontakt. Ciekawe, jak im się potoczyło życie, mogłabym spytać, a Leo uśmiechnąłby się do mnie i odpowiedział pocieszająco: Byli tacy zakochani. Jestem pewny, że gdziekolwiek są, są szczęśliwi.

Zanim zdążę zobaczyć coś więcej, słyszę odgłos przy tylnych drzwiach. Wsuwam album na półkę pod ławą i zrywam się z kanapy, wygładzając grzywkę, kiedy biegnę do drzwi. Podejrzewam, że to pani Wilkins, ale ona zawsze krzyczy, żeby mnie nie przestraszyć.

– Kto tam? – odzywam się niepewnie, podchodząc.

– To ja – odpowiada Leo.

Otwieram drzwi, a on się do mnie uśmiecha. Obok niego stoi kierowca i trzyma mu parasol nad głową.

– Cześć, skarbie.

– Co ty tu robisz? – pytam, szukając na jego twarzy oznak złości albo bólu.

Odzyskał pamięć?

Uśmiecha się pytająco i wskazuje drzwi.

– Mogę wejść? – Szybko odsuwam się na bok. – Jakie masz plany? – pyta, kiedy już pożegnał się z kierowcą i siedzimy w kuchni.

– Właśnie wstałam. Miałam robić kawę, napijesz się?

– Chętnie.

– Myślałam, że ty też rano odpoczywasz? Mieliśmy zjeść razem kolację.

– Stęskniłem się za tobą – mówi, a ja zerkam na niego. Przygląda mi się badawczo. – Próbowałem sobie przypomnieć, ale cały czas natrafiałem na lukę, więc pomyślałem, że przyjadę cię zobaczyć.

– Co sobie przypominasz?

– Wydaje mi się, że dużo pamiętam z tych miesięcy, kiedy ze sobą chodziliśmy. Teraz przypomniało mi się, jak zakładałaś fundację i jak ciężko pracowałaś w pierwszych miesiącach. Pamiętam, że się o ciebie martwiłem.

– Martwiłeś się, że za ciężko pracuję? – Śmieję się lekko. – W takim razie dobrze, że nie znasz mojego męża. – Uśmiecha się, słysząc mój głupi żart. – A co usiłowałaś sobie przypomnieć? – drażę, parząc kawę.

– Nie pamiętam, jak od chodzenia ze sobą przeszliśmy do narzeczeństwa. Oświadczyłem ci się? Jak?

„Wyjdź za mnie” – wyszeptał wtedy. Lało jak z cebra, a uwielbienie w jego oczach i powaga, z jaką wypowiedział te słowa, przekonałyby mnie, nawet gdybym wcale nie była pewna. Wyglądam przez okno, strugi wody ściekają do ziemi. Nagle dociera do mnie, dlaczego Leo zjawia się tu bez zapowiedzi i dlaczego ja sięgnęłam po ślubny album tego ranka... Oświadczył mi się w dzień taki jak ten.

– Idź do jadalni – mówię cicho. – Pokażę ci zdjęcie.

Biorę naszą kawę i idę za Leo. Rozgląda się po ścianach ze zdjęciami.

– Wiesz, co to za zdjęcie? – pytam, stawiając przed nim kawę.

– Dzięki – mruczy i kręci głową, a na jego twarzy widać zmieszanie. Wskazuję zdjęcie w dolnym rogu. Oboje jesteśmy przemoknięci do suchej nitki, włosy mamy poprzyklejane do czoła, mój makijaż cały spłynął na brodę. Uśmiechamy się tak mocno, że boli mnie serce, gdy na to patrzę.

– Dlaczego jesteśmy mokrzy?

– Ja naprawdę bardzo ciężko pracowałam. – Siadam przy nim. – Ale ty mi nie powiedziałaś, że się o mnie martwisz. Fundacja dopiero co kupiła ziemię na ośrodek, a ja zatrudniłam Tobiasa i staraliśmy się razem opracować plany zabudowy, żebyśmy mogli zacząć się rozglądać za sponsorem. Zadzwoiłeś do mnie w któryś piątek po południu i powiedziałaś, że muszę wyjść wcześniej z pracy, ale nie powiedziałaś dlaczego.

– Jakie to tajemnicze i romantyczne z mojej strony.

– Rzeczywiście. Pojechaliśmy prosto na lotnisko, a ty miałaś wykupione dwa bilety w klasie ekonomicznej do Yulara. – Unosi brew, patrząc na mnie, a ja się śmieję. – Nigdy wcześniej nie leciałam klasą ekonomiczną. Nic ci wtedy nie powiedziałam, ale się umęczyłam.

– O ja biedny – protestuje Leo. – To był taki słodki gest. Zabrałem cię do Uluru?

– Rozmawialiśmy o tym kilka razy. Powiedziałaś mi, że to duchowe serce Australii i że to zaniedbanie z mojej strony, że nigdy tam nie byłam.

– Całkiem możliwe, że tak powiedziałem.

– Tak... Więc lecieliśmy w tych ciasnych fotelach do środkowej Australii i zatrzymaliśmy się tam w hotelu, a następnego dnia obudziłeś mnie o czwartej rano, żebyśmy zdążyli na wschód słońca ponad skałami. Coś ci świta?

– Jeszcze nie. Ale mów dalej.

– I ten wschód słońca... Zapierał dech w piersiach – mrużę. – To, jak skały zmieniały kolor, kiedy padały na nie promienie... To było niesamowite

doświadczenie. Później nadciągnęły chmury, ale zarezerwowaliśmy pieszą wycieczkę u podnóża, a ty się upierałeś, że lekki deszcz nas nie powstrzyma.

– Odłączyliśmy się od wycieczki, prawda?

Zerkam na niego i się uśmiecham.

– Tak, namówiłeś mnie, żebyśmy się odłączyli i spróbowali przejść cały szlak, zanim się rozpada.

– Usiłowałem cię odciągnąć, żeby ci się oświadczyć? Nie pamiętam.

– Chyba próbowałeś mnie zaciągnąć tak daleko na szlak, żebym nie mogła się upierać, żebyśmy wracali, jak zacznie padać. – Roześmiałam się.

– I...

– Wyruszyliśmy i było tak pięknie. Byłam taka szczęśliwa i zadowolona.

– Fakt. Było spokojnie, prawda?

– Bardzo. Aż...

– Huknęło – mówi powoli Leo. Nasze spojrzenia się spotykają i jest między nami takie napięcie jak nad ziemią tamtego dnia w czasie burzy.

– Widać było deszczowe chmury – wyszeptałam. – Ale nie wiedzieliśmy, że będzie burza. Zaczęło grzmieć, a potem błyskać i nie to, że zaczął siąpić deszczyk, zaczęło lać.

Przemokliśmy w kilka sekund – nie tylko od deszczu, ale od wodospadu, w jaki w jednej chwili zamieniły się zbocza Uluru. Woda atakowała nas z każdej strony, zerwał się też wiatr. Trudno było nawet mieć otwarte oczy. Leo chwycił mnie za rękę i zmusił do biegu. I tak biegliśmy szlakiem – czerwone błoto rozbryzgiwało mi się na łydkach – i drżeliśmy z zimna, ale śmiałyśmy się histerycznie – bo co nam jeszcze zostało?

– Chciałem cię schować w jaskini – mówi cicho Leo. – Pamiętałem ją z pierwszej wizyty.

– Ale nie wiedziałeś, że jest o wiele dalej, a po kilku minutach biegu ja zaczęłam stękać: Leo, to bez sensu! Czy ty w ogóle jesteś pewny, że ta jaskinia istnieje?

Byłam zdyszana od biegu w tempie Leo, a jednak się śmiałam. Radość z tej przygodny z nim była większa niż nieprzyjemne wrażenia z powodu deszczu; jeszcze bardziej pobudzające niż adrenalina, jaka wzbierała w moim ciele przy każdym huku boleśnie głośnego pioruna.

– Teraz sobie przypominam – odzywa się nagle Leo. – Zatrzymałem się, żeby wziąć cię w ramiona i spojrzałem na ciebie, a ty wyglądałaś jak przemoknięty kot. Ale nadal byłaś piękna.

– Oj, przestań! – Przewracam oczami. – Wyglądałam jak nieszczęście. Ale rzeczywiście mnie wzięłeś na ręce. I przestałeś biec, a potem, kiedy tak stałeś i kiedy zalewał nas deszcz, a nad głowami szalały pioruny, powiedziałeś po prostu...

– Wyjdź za mnie – szepcze tak, jak za pierwszym razem. Serce mi staje i

uświadamiam sobie, lekko wstrząśnięta, że nawet gdyby oświadczył się jeszcze raz w tej chwili – wiedząc, o całym bólu, jaki mnie czeka, mimo wszystko natychmiast powiedziałabym: tak.

– Nie usłyszałam, jak powiedziałeś to za pierwszym razem. Było głośno od deszczu.

– Tak naprawdę świetnie się złożyło – mówi cicho Leo i się śmieje. – Bo za pierwszym razem powiedziałem to bez namysłu. Więc kiedy krzyknęłaś: co?, zastanowiłem się i zadałem sobie pytanie, czy tego naprawdę chcę, i wszystko we mnie krzychało: tak! Więc spytałem cię znowu...

Wpatruję się w niego.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś. Domyślałam się, że to był impuls, ale nie wiedziałam, do jakiego stopnia!

– To były naprawdę beznadziejne oświadczenia. – Leo się krzywi, a ja się śmieję.

– Myślałam, że oszalałeś. – Uśmiecham się do niego. – Fakt, to chyba najgorsze oświadczenia w historii.

– To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, żebym myślał o tym, żeby poprosić cię o rękę – mówi i uśmiecha się do siebie, jakby ucieszyła go ta świadomość. – Nie myślałem o tym. To był czysty impuls, to po prostu wydawało mi się takie naturalne.

– A potem znaleźliśmy jaskinię i w końcu uciekliśmy z deszczu, a ty zrobiłeś to zdjęcie telefonem. – Wskazałam na ścianę. – Byłam zdziwiona, że telefon działa, bo był cały przemoczony. Wzięliśmy to za dobry znak.

– A potem go upuściłem, kiedy wracaliśmy do autobusu i rozbił mi się wyświetlacz – mówi Leo z jękiem. – Boże, co za katastrofa.

– Kiedy wracaliśmy po burzy, a ja stękałam, że mam mokre ciuchy i że jestem zmęczona, ty usiłowałeś mnie przekonać, że to romantyczne – drocę się z nim lekko.

– Zrobiłem coś bardziej romantycznego, żeby to wynagrodzić?

– Wtedy nie, ale zaskoczyłeś mnie pierścieniem twojej babci kilka dni później, i gdybym już wtedy nie była w tobie zakochana do szaleństwa, to by mnie przekonało.

Unoszę dłoń i wpatruję się w diament nad moją obrączką. Zjawił się któregoś wieczoru w moim mieszkaniu, uklęknął na jedno kolano i bez słowa wsunął mi na palec pierścienek. Później przyznał się, że podkradł jeden z moich pierścionków, żeby dopasować rozmiar i musiał dręczyć jubilera, żeby z dnia na dzień wymienił pęknięty kamień, bo czuł się tak źle z tym, że nie był przygotowany.

– I żyliśmy potem długo i szczęśliwie? – odzywa się Leo. Spoglądam na niego i przetykam ślinę.

– Niezupełnie długo i szczęśliwie. Nie jest przyjęte, że bohater w połowie historii traci pamięć.

– A jeżeli utrata pamięci przez bohatera jest początkiem naszej historii? – pyta bardzo cicho Leo. – Wiem tylko, że cię kocham. Jeżeli nasze wspólne życie cię rozczarowało, znajdę sposób, żeby to naprawić.

– Ja też cię kocham – mówię niepewnie. – Ale nie możesz mi składać takich obietnic.

– Mogę – odpowiada po prostu.

– Tyle się wydarzyło – szepczę i czuję, jak narasta we mnie panika, bo wiem, że muszę powiedzieć mu teraz i że to złamie mi serce. Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy i widzę miłość do mnie, tak realną, że właściwie mogłabym wyciągnąć rękę i jej dotknąć. – Między nami nie jest tak, jak zapamiętałeś, Leo.

– A jak, kochanie?

Nagle panika opada, a ja godzę się z losem. Ogarnia mnie spokój. Pora wreszcie raz na zawsze zakończyć tę drogę torem pamięci. Nie mogę dłużej zwlekać, odkładając to choćby przez kolejną godzinę, zadam nam obojgu zbyt wiele bólu. Leo czeka cierpliwie, gdy zbieram myśli, aż w końcu biorę głęboki oddech i szepczę:

– Leo, jestem w ciąży.

Część druga

24. Leo

Sierpień 2015

Jak tylko Molly wypowiada te słowa, wiem, że coś jest nie tak. Czuję to w ciele – dreszcz niepokoju, który zupełnie nie pasuje do słów, które wypowiada. Widać, że ona też jest niespokojna – widzę, że drży. W pierwszej chwili jestem zbyt zaskoczony nieprzyjemnym uczuciem, żeby w pełni dotarło do mnie znaczenie jej słów – wiem tylko, że z jakiegoś nieokreślonego powodu ta wiadomość mi się nie podoba.

– To dobrze? – pytam w końcu. Łza spływa po policzku Molly, a ja odruchowo przesuwam się przy stole i niezdarnie ją obejmuję. Przypominam sobie te pełne łez tygodnie od powrotu do Sydney. Ta emocjonalna Molly zupełnie nie pasuje do wspomnień, jakie odzyskałem, choć do tej pory się nad tym nie zastanawiałem... a może po prostu przypisałem to stresowi, w jakim żyje od mojego wypadku. Teraz jednak ciężowa burza hormonalna staje się zrozumiałym wyjaśnieniem, a ja pochylam się lekko, żeby przyjrzeć się jej kształtom pod piżamą. Figura Molly różni się od tego, jak ją zapamiętałem – przybrała trochę na wadze i jest o wiele krągłejsza.

– Dowiedzieliśmy się kilka tygodni przed twoim wypadkiem – szepcze.

Wydaje się niesamowicie spięta i widzę, że nadal nie chce ze mną o tym rozmawiać, chociaż nie wiem dlaczego.

– Nie miałam czasu nawet o tym pomyśleć. I nie wiedziałam, kiedy ci powiedzieć, nie chciałam wywierać na tobie presji...

Dziecko. Staram się zrozumieć, co to będzie dla mnie oznaczać: zostanę ojcem. W pewnym sensie zawsze chciałem mieć dzieci – nie spodziewałem się, że ustatkuję się na tyle, żeby je mieć. I to z Molly! Boże, jak mógłbym być rozczarowany – jest wyjątkowa. Więc dlaczego czuję się tak nieswojo?

– Nie cieszysz się z tego, Molly?

– Przez to wszystko, co się działo, musiałam z tym trochę poczekać. Ale tak dobrze sobie radzisz i chyba będę musiała mieć w tym tygodniu USG... Niedługo zaczniesz być widać i nie mogę dłużej tego odkładać.

Nieprzyjemny dreszcz się potęguje, nie ustępuje. Zastanawiam się nad tym z ciekawością, badam uczucie, jakby nie miało ze mną związku; jak zagadkę, którą muszę rozwiązać.

– Jak się z tym czujesz? – pytam ją łagodnie. Molly kręci głową. Przez minutę wydaje mi się, że nie odpowie na pytanie, ale w końcu się odzywa.

– Musiałam się z tym oswoić.

– Czy to był... – Mało nie wypowiadam słowa „wypadek”, ale uświadamiam sobie, jak negatywny ma wydźwięk, więc się poprawiam: – ...była niespodzianka? To chcesz powiedzieć?

Kiwa głową, ale odwraca się ode mnie i nie widzę jej twarzy, a wewnętrzna niepewność i rozczarowanie nie ustępują ani nie znikają. Zmuszam się, żeby przestać myśleć o ciąży, a skupić się na tym, co to właściwie oznacza: dziecko.

I nie podoba mi się, że jedną z pierwszych myśli jest ta, o ile trudniej będzie mi wyjeżdżać, kiedy będę musiał wrócić do pracy. Nie mam odwagi myśleć, co powiedziałaaby Molly, gdyby знаła moje myśli.

– Ile chcemy dzieci?

– Nie ustaliliśmy tego – odpowiada szeptem. – Ty chciałeś mnóstwo, kilkoro własnych i może kilkoro adoptowanych. Jesteś zły, że powiedziałam ci dopiero teraz?

– Cholera, gdybyś mi powiedziała tamtego pierwszego dnia, chyba od razu zapadłbym z powrotem w śpiączkę.

Nie śmieje się. Odwraca się z powrotem w moją stronę i spogląda mi prosto w oczy.

– Na pewno wszystko w porządku?

– To dlatego byłaś... – Siłę się, żeby ubrać w słowa zmartwienie, którego nie mogę się wyzbyć. Teraz już nas pamiętam – wszystko aż do zaręczyn, i teraz pamiętam niesamowitą bliskość z Molly, której nie czułem, odkąd zaczęła wracać mi pamięć.

Chyba przypomniałem jej o tym moim pytaniem. Jest lekko zgarbiona, pochyla się na stołem, jakby to wyznanie pozbawiło ją sił. Ale teraz się prostuje i odwraca do mnie przodem, a ja widzę w jej oczach zmaganie.

– To nie wszystko, Leo – mówi. – Tylko... nie wiem, jak ci powiedzieć resztę. Powinnam była to zrobić wcześniej, ale...

– Nie szkodzi, kochanie – mówię łagodnie, bo cierpi i chociaż jestem lekko zdenerwowany myślą, co też jeszcze mogę usłyszeć, w pierwszym odruchu chcę ją uspokoić. – Możesz mi powiedzieć teraz.

– Musisz mi obiecać, że postarasz się zrozumieć, Leo. Ukrywałam to przed tobą tylko dlatego, że nie wiedziałam, jak ci powiedzieć. Próbowałam ci powiedzieć kilka razy, ale...

– Molly – szepczę bardzo powoli, odgarniając jej grzywkę z oczu. Bardzo się staram zignorować narastający strach, kiedy ją uspokajam. – Cokolwiek to jest, poradzę sobie.

– Rozstaliśmy się, Leo... Złożyłeś pozew o rozwód – szepcze.

– Niemożliwe – mówię natychmiast i odsuwam się od niej, żeby na nią spojrzeć przenikliwym, pytającym wzrokiem, bo wygaduje jakieś bzdury. – Zwłaszcza, skoro było dziecko. Nie mogliśmy. – Molly ma teraz łzy w oczach, a ja jestem oszołomiony. Właśnie odzyskałem cudowne wspomnienie tego, jak przyjęła moje oświadczenia. Pięć minut temu mieliśmy świat u stóp, teraz chce mi powiedzieć, że pozwoliliśmy temu się wymknąć? To po prostu niemożliwe.

– Już nie jest tak. Leo.

– Co to w ogóle znaczy? – Robię się coraz bardziej zniecierpliwiony. Sfrustrowany jestem, odkąd się wybudziłem, ale to inny rodzaj frustracji. Bezgraniczne, przytłaczające wrażenie, jakbym znów był zupełnie zagubiony, w chwili gdy zaczynało mi się wydawać, że jestem w stanie zrozumieć moje życie, bo wiem z całkowitą pewnością, że jego główną treścią jest ona.

Nie mogę sobie wyobrazić scenariusza, w którym pozwoliłbym, żebyśmy się rozeszli. A ona powiedziała, że to ja wystąpiłem o rozwód? Nie mogę się z tym pogodzić, nie pogodzę się.

– Molly – odzywam się, zmuszając, żeby mówić powoli i wyraźnie. – O czym ty mówisz?

– Zeszły rok... był naprawdę ciężki – szepcze niepewnie. – Ciągłe się kłóciliśmy. Po prostu nam nie wychodziło, Leo.

– Nigdy nie przestałbym próbować, nigdy – mówię, prawie do siebie. Biorę głęboki oddech i wstrzymuję powietrze, jakbym zbierał siły do walki. – Cóż, jeżeli to prawda, to cieszę się, że miałem ten wypadek, bo jak widać, wcześniej mi odbiło.

Luki w mojej pamięci nadal są obszerne, ale mnie to nie zraża – nadal jestem pewien miłości, jaką do niej czuję. Cokolwiek się między nami wydarzyło, odpycham myśl, że nie mogę wierzyć w tę miłość.

Molly się we mnie wpatruje.

– Leo – odzywa się, marszcząc czoło. – Co mówisz?

– Jeżeli to prawda, musimy to naprawić.

– Raczej nie możesz wiedzieć, że tego chcesz.

– Wiem tylko, że cię kocham i wiem, że ty też mnie kochasz. Wszystko inne to tylko drobne przeszkody?

– Też mogłabym tak powiedzieć kiedyś – mruczy Molly. – Kiedy się oświadczyłeś, pamiętam, że pomyślałam, że życie może okazać się czasami trudne, ale że zawsze będziemy mieć siebie. Ale to nie takie proste.

– Obawiam się, że będziesz musiała mnie o tym przekonać, Molly – mówię, kręcąc głową, ale wtedy uderza mnie nowa myśl, jedyna rzecz, która może wszystko zmienić. Odsuwam się od niej lekko i pytam niepewnie: – Kochasz mnie jeszcze?

– Powiedziałaś ci, że tak, pięć minut temu. Zawsze będę cię kochać, Leo.

– Więc było aż tak źle, że chciałaś z nas zrezygnować?

– Zupełnie nic nie pamiętasz? – pyta ledwie słyszalnym szeptem. – Nic ci się nie przypomina?

Z pewnym trudem odrywam od niej wzrok i wbijam go w lakierowane klepki podłogowe. Skupiam się, jak tylko mogę, ale pojawia się jedynie ból głowy. Każde uderzenie mojego serca wyzwala ból wewnątrz czaszki i gdyby nie ten wielki mętlik, pewnie starałbym się przerwać rozmowę. Ale raczej nie byłbym w stanie odejść tak sobie od takich spraw i powrócić do nich na nowo po zażyciu tabletki przeciwbólowej.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabyś nie być dla mnie olśnieniem – mówię, kiedy moje wspomnienia uparcie pozostają pustką. Chyba najmniej odległym jest teraz wspomnienie oświadczyn. Sprzeczałyśmy się, kiedy ze sobą chodziliśmy, jak w każdym związku, ale dobrych chwil było zdecydowanie więcej niż złych. – Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak musiało być źle, żebym od ciebie odszedł.

– Ale ty odchodziłaś ode mnie, już kiedy ze sobą chodziliśmy – mówi, a w jej słowach słyhać ledwie powstrzymywaną złość. – Każdy twój wyjazd w teren, każda pikantna historia, którą leciałaś napisać, to był początek tego, w czym skończyliśmy.

– Chcesz mi powiedzieć, że to była w całości moja wina?

I chociaż mówię prawdę i nic z tego nie pamiętam, wiem, że się bronię. Nie pamiętam zdarzeń, ale czuję silną potrzebę, żeby na nią naskoczyć – musiałem to robić milion razy.

Czy tym się to skończyło – próbowała mnie zmusić, żebym zrezygnował z pracy, którą kocham, a ja wybrałem pracę, a nie ją? Trudno mi uwierzyć w to, że kazałyby mi wybierać – ale nie jestem też pewien, jakiego dokonałbym wyboru, gdyby mnie do tego zmusiła.

– Małżeństwo jest o wiele trudniejsze, niż nam się wydawało – mruczy Molly.

– Chcesz powiedzieć, że o wiele trudniej ci być moją żoną, niż ci się wydawało? – mówię. Naprawdę w tej chwili niczego nie chcę bardziej niż to, żeby to wyprostować i zasłużyć na nowo na błysk czułości w jej oczach, ale nadal się bronię, a kiedy do niej dociera, że rozumiem, oczy zachodzą jej mgłą.

– Oboje popełniliśmy błędy.

– Chcesz je naprawić?

– Nie wiem – przyznaje, a mnie staje serce. – Odkąd się wybudziłaś, miałam przebłyski tego, jak było dawniej. Gdyby mogło tak być... Jeżeli nadal tacy jesteśmy, to oczywiście, że tego chcę.

– Ale... – słyszę to słowo, chociaż go nie powiedziała.

– Ale, Leo. – Posyła mi błagalny, niewyraźny uśmiech, a potem kręci głową.

– Nie chcesz tego. Jak tylko wróci ci pamięć, jak tylko odzyskasz władzę w nogach, będziesz chciał tylko tego, żeby wrócić do pracy. A jak ruszysz w teren, wrócimy do punktu wyjścia.

– Kochanie, widzę, że problem, przynajmniej w części, polegał na tym, że dużo pracowałem. Wiadomo, że będę tutaj, w Sydney, i nie będę pracował... na pewno przez jakiś czas. Myślisz, że moglibyśmy skupić się na nas, dopóki będę dochodził do siebie? Chcę, żeby nam się udało, Molly. Możemy nad tym wspólnie popracować?

– A jak to ma wyglądać? – Unosi brwi, rzucając mi wzrokiem wyzwanie. – Na czym, według ciebie, ma polegać ta „praca”?

– Na rozmowie – mówię, a kiedy się krzywi, dodaję z wahaniem: – Twoim zdaniem to nie zadziała?

Uśmiecha się do mnie smutno.

– Nie mam pojęcia. Nigdy właściwie nie próbowaliśmy. Chyba od razu przechodziliśmy do krzyku.

Biorę głęboki oddech.

– Więc od dzisiaj będziemy robić inaczej, zamiast krzyczeć będziemy rozmawiać. – Wypuszczam powietrze i posyłam uśmiech, który, mam nadzieję, jest pokrzepiający. – Możemy to naprawić, wiem, że możemy.

– Jesteś taki niewinny bez wspomnień, Leo – szepcze. Wydaje się taka wyczerpana. Nie mogę tego znieść i nie mogę znieść świadomości, że to prawdopodobnie przeze mnie.

– To źle? – pytam. – Myślisz, że jestem naiwny?

– Nie – odpowiada. – Tylko... Naprawdę nie wiem, czy jestem w stanie przejść przez to wszystko od nowa, Leo, jeżeli mamy znów skończyć w tym samym miejscu.

– Nie skończymy, obiecuję. – Uwalniam ją ostrożnie, a potem przesuwam dłońmi po szczecinie na głowie i wypuszczam powietrze. – Boże, nie tego się spodziewałem, kiedy tu dziś przyjeżdżałem.

– Tak mi przykro, Leo. – Wzdycha.

Chwytam ją za rękę i ściskam mocno w mojej. Czuję jej miękką skórę pod palcami i płomień miłości. Może czeka nas ciężka praca, może mamy za sobą galimatias, którego jeszcze nie widzę, ale nie boję się walki – i jestem pewny, że jeżeli w moim życiu jest coś, o co warto walczyć, to właśnie Molly.

25. Molly

Grudzień 2011

Rano w dniu naszego ślubu obudziłam się w domu Leo. Wtedy był to też mój dom, przynajmniej w teorii. Przywieźliśmy ostatnią partię moich ubrań w poprzedni weekend, a moje mieszkanie zamierzaliśmy wynajmować jako luksusowy apartament wakacyjny. W mieszkaniu czułam się jeszcze obco, ale rozmawialiśmy o remoncie. Był to najmniejszy dom, w jakim mieszkałam, a trzeba było majątku, żeby przekształcić go w wygodną przestrzeń, ale wiedziałam, że będę tu wiodła szczęśliwe życie... dopóki Leo będzie szczęśliwy.

Leżał na boku obok mnie, na dobre rozbudzony; przyglądał mi się, jak śpię. Odwróciłam się do niego i spojrzałam na niego we wczesnym porannym świetle. Poprzedniego wieczoru był u fryzjera i poza zarysem ciemnego zarostu na policzkach i szyi był prawie świeżo ogolony. Pomiędzy strzyżeniami pozwalał włosom i brodzie rosnąć dziko, ale ja uwielbiałam jego cywilizowany wygląd, kiedy był świeżo ogolony.

– Cześć – wyszeptał.

– Patrzysz, jak śpię? – odpowiedziałam szeptem.

– Nie chciałem już zasypiać, żebym się nie obudził i nie zorientował, że to był tylko sen.

Uśmiechnęłam się lekko i dłonią dotknęłam jego policzka.

– Wiem, co czujesz.

– Denerwujesz się? – spytał.

Pokręciłam głową. Wcale nie denerwowałam się tym, że wychodzę za Leo ani samą ceremonią, ani nawet przyjęciem, które planowaliśmy – ale denerwowałam się tatą. Nawet nie zareagował na zaproszenie. Zadzwoiłam do mamy i powiedziała mi, że tata nie chce przyjechać, ale nad nim pracuje. Spytałam, czy przyjedzie sama, jeżeli on nie będzie chciał. Nie odpowiedziała.

Nie mogłam uwierzyć, że wkrótce poślubię miłość mojego życia, a moich rodziców przy tym nie będzie... Że ojciec nie poprowadzi mnie do ołtarza. Nie tak miało być.

– Tylko chciałabym, żeby tata przyjechał – powiedziałam.

– Ja też – wyszeptał Leo.

– Tak?

– Ze względu na ciebie.

– Może zrobią mi niespodziankę. Mama powiedziała, że nad nim pracuje.

– Przyjedzie bez niego, jeżeli on nie będzie chciał?

Przełknęłam z trudem ślinę.

– Nie mam pojęcia. – Staralam się panować nad głosem, ale mi się nie udało.
– Nie chcę iść dziś do ołtarza sama – wyszeptalam. – To jedyna część dzisiejszego dnia, która nie będzie taka, jak sobie wymarzyłam.

– Jestem taki zły, że nie mogą się cieszyć twoim szczęściem, Molly.

– Może gdybyśmy ich nie zawstydzili na kolacji po rozdaniu nagród... – powiedziałam.

Leo zagryzł zęby.

– Nie twierdzą, że zrobiłeś coś złego – dodaję pospiesznie. Chodzi mi tylko o to, że może gdybym była szczerą i powiedziała im od razu, może wtedy byłoby inaczej.

– Nie byłoby, bo to nie kolacja była problemem, skarbie. To ja jestem problemem i wiesz o tym.

– Nie jesteś problemem.

– Dla twojego taty jestem. Nie pasuję do jego świata, jestem pszczołą robotnicą, nie królową. Wychodzisz za mąż poniżej twoich możliwości.

Pożałowałam, że poruszyłam ten temat. Pchnęłam Leo na plecy i usiadłam na nim, a on spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Skoro muszę wyjść za mąż poniżej moich możliwości, to chcę wycisnąć z tego, ile się da – powiedziałam.

Sierpień 2015

Kiedy wchodzę do gabinetu ginekologa na wizytę Molly, uświadamiam sobie, że odzyskałem wspomnienia z pierwszego roku naszego małżeństwa. Czasami tak się dzieje – pojawia się wrażenie albo poczucie, że coś jest odlegle znajome i nagle znam chwilę, która kilka sekund wcześniej była dla mnie zupełnie obca. Dzisiejsze wspomnienie wyzwoliło poczucie zupełnej obcości. Rozglądałem się, podziwiając olbrzymie okna i zdjęcia znanych osobistości karmiących noworodki na ścianie w poczekalni. Zastanawiałem się, ile ta opieka medyczna będzie ją kosztowała – nas kosztowała, poprawiłem się – i nagle przypomniałem sobie te kłótnie w pierwszych dniach naszego małżeństwa o połączenie naszych środków.

Molly nalegała od samego początku, żebyśmy połączyli wszystko razem. Nie wydawało jej się to niczym wielkim, był to zwyczajny logiczny kolejny krok. Ja żyłem tak jak do tej pory – automatycznie sam płaciłem rachunki za dom. Dla mnie najlepszy scenariusz był taki, żebyśmy mieszkali u mnie i żebym ja opłacał rachunki za dom, a nasze prywatne wydatki prowadzili oddzielnie. Nie chciałem wiedzieć, jak wygląda jej sytuacja finansowa – fundusz powierniczy, udziały, majątek. Za wszelką cenę chciałem nadal udawać, że przepaść w naszych dochodach tak naprawdę nie istnieje. Zawsze czułem się bogaty, zanim poznałem Molly. Nie miałem długów i miałem mnóstwo oszczędności – miałem więcej pieniędzy, niż marzyłem, gdy byłem mały. A potem ożeniłem się z miłością mojego życia i nie mogłem uciec od faktu, że, w porównaniu z nią, jednak nadal byłem biedakiem. Zdziwiła mnie, dlaczego Molly tak się upierała, że powinienem mieć dostęp do jej pieniędzy, ale z czasem coraz trudniej było mi od tego uciekać.

– To głupie, że płacisz wszystkie rachunki i niepraktyczne, żebyśmy się nimi dzielili. Leo, moje pieniądze są twoimi pieniędzmi. Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy wszystko połączyli, żebyśmy nie musieli się martwić o pieniądze na remont. Mam drogi gust...

W końcu zrobiłem to, o ci prosiła, tylko dlatego, że widziałem, że denerwuje ją moja odmowa i nadal czułem się trochę winny, że nalegałem, żeby się do mnie przeprowadziła. Przenieśliśmy mój rachunek oszczędnościowy i pensję na jej fundusz powierniczy i Molly jakoś załatwiła, żeby wszystkie nasze rachunki trafiały do jej osobistego menedżera.

Nigdy więcej nie będę musiał płacić rachunków. Ta myśl była mniej

krzepiąca, niż można byłoby sobie wyobrazić. Czy formalnie byłem teraz „utrzymankiem”? Ta myśl ani trochę mi się nie podobała. Nie ożeniłem się z Molly dla pieniędzy, prawdę mówiąc, ożeniłem się z nią pomimo jej pieniędzy. Gdybym miał możliwość wziąć ją, ale zostawić jej fundusz powierniczy Laithowi, zrobiłbym to bez zastanowienia.

Niezmiernie mnie martwiło, że źródłem naszego bogactwa jest Laith Torrington. O ile gardziłem nim po spotkaniach z nim po śmierci Declana, o tyle dosłownie zniechęciłem go po tym, jak nie przyjechał na nasz ślub. Żałowałem, że nie przekonałem Molly, żeby przecięła rodzinne więzy i zaczęła ze mną prawdziwe życie.

Nie jestem zaskoczony tymi wspomnieniami, kiedy się pojawiają, ale teraz, gdy widzę ją w poczekalni, zastanawiam się, czy się z tym wszystkim pogodziłem. Naprawdę mam nadzieję, że tak i że nasze wcześniejsze spięcia nie są zapowiedzią tego, co ma być dalej. Patrzyła w telefon, ale zobaczyła, jak podchodzę i wyraźnie widać ulgę na jej twarzy.

– Nie myślałaś, że przyjdę? Mówiłem ci, że będę – mówię.

Pochyla się, a ja całuję ją w policzek.

– Wiem.

– Jak ci minął dzień?

– Pracowicie. A tobie?

– Jak zwykle. Nieudane ćwiczenia, frustrująca terapia zajęciowa, obiad, a potem uciekłem, żeby tu przyjechać.

W jej uśmiechu jest trochę za dużo współczucia i uświadamiam sobie, że pogardliwy w stosunku do siebie samego żart nie zabrzmiał tak, jak zamierzałem.

Brak postępów w odzyskiwaniu sprawności naprawdę mnie dobija. Byłem święcie przekonany, że do tego czasu będę już chodził.

– Żartowałem. Było nieźle. Co będzie dzisiaj?

– Nie wiem. Dostałam skierowanie na badania w tym tygodniu, ale nie pamiętam na jakie...

– Jesteś mniej więcej w dwunastym tygodniu, więc pewnie na badania przesiewowe i badanie krwi – mówię, wskazując korytarz. – Tu jest pracownia USG i widziałem punkt pobierania krwi, może uda nam się to załatwić jeszcze dzisiaj.

– Już o tym czytałeś, co? – mówi, unosząc brew, a potem mruży oczy.

Uśmiecham się do niej.

– Może.

Ma rację – szukałem wczoraj informacji do późnej nocy. Nadal mam mieszane uczucia co do ciąży, ale jednego jestem w stu procentach pewny i są to moje uczucia do Molly. Zostanę ekspertem we wszystkich kwestiach związanych z macierzyństwem, choćby tylko po to, żeby ją wspierać w naszej drodze.

W ciągu kilku kolejnych minut dowiaduję się, że Molly ma idealne ciśnienie, że właściwie uniknęła porannych mdłości poza tym, że trochę ją mdli, jak zgłodnieje i że cały czas czuje się wykończona. Kiedy to mówi, spoglądam na nią groźnie, bo chociaż zauważyłem jej zmęczenie, nie miałem pojęcia, jak jest silne. Unika mojego wzorku. Później idziemy na USG. Trzeba trochę manewrów, żeby postawić wózek przy łóżku, ale po chwili trzymam Molly za rękę, a lekarz zaczyna przesuwac głowicą po jej brzuchu, żeby odnaleźć moje dziecko.

Moje dziecko. Powtarzam sobie te słowa, starając się z nimi oswoić i stłumić całą moją dziwną niepewność w tej kwestii. To tak naprawdę plama o ludzkich kształtach – ale jest miarowe bicie serca, a kiedy głowica się porusza, pojawiają się cztery kończyny. Dziecko wykonuje nagłe salto, uciekając od głowicy i wszyscy cicho się śmiejemy.

– Tylko mi się wydaje, czy to dziecko jest wyjątkowo dobrze zbudowane? – pytam. – Zdecydowanie ma to po mnie.

Znów widzę kształt dziecka na monitorze i nagle wyobrażam sobie miny moich rodziców, kiedy im powiemy. Uśmiecham się do Molly.

– Możemy dostać wydruki? – pytam.

Śmieje się, zaskoczona.

– Spokojnie, Leo – mówi. – Najpierw zajmijmy się tym, co najważniejsze.

– Może pan dostać zdjęcia, panie Stephens – potwierdza lekarz. – Ale pana żona ma rację, najpierw musimy tu trochę popracować.

Moja żona. Moje dziecko.

– Oczywiście – mówię i ściskam Molly za rękę, a potem znów kieruję wzrok na monitor. Obserwujemy pobieranie wymiarów i uśmiechamy się do siebie, kiedy lekarz potwierdza, że wszystko jest w porządku. Widzę malutkie palce, które kiedyś zacisną się na moich i malutkie serce, w którego rytmie będzie biło moje. Jestem tak oczarowany i zakochany w tym dziecku, kiedy lekarz wychodzi, żeby wydrukować dla nas kilka zdjęć, że mało nie przytłacza mnie ta cała rewolucja. Molly jest o wiele spokojniejsza ode mnie. Obserwowała monitor tak jak ja, ale nie było po niej widać żadnej reakcji. Kiedy zostajemy sami, całuję ją w grzbiet dłoni.

– Masz tam w sobie zupełnie niesamowite dziecko.

– Leo. – Wzdycha. – Jest wielkości śliwki! Nie wiadomo, czy jest niesamowite.

– Wiadomo – zapewniam ją. – Znam jego matkę. Słynie z tego, że jest wspaniała.

– Przestań. – Wzdycha, ale teraz się lekko uśmiecha. Znów całuję ją w rękę.

– Teraz badanie krwi, a potem jeżeli będziesz w stanie, poświęcisz mi jeszcze kilka godzin?

– Hm.

– Wiem, że to duża prośba, ale chciałbym powiedzieć mamie i tacie

osobiście.

Molly kiwa głową.

– Jasne, Leo.

– A kiedy masz zamiar powiedzieć Laithowi i Danielle?

Wzrusza ramionami i siada, a potem zaczyna zapinać koszulę.

– Zastanowię się. Chyba wybiorę się do nich podziękować, że pozwolili mi skorzystać z samolotu, kiedy byłeś chory... Niedługo do nich pojadę.

– A ja się z nimi widuję?

– Nie – odpowiada beznamiętnie. Mowa jej ciała nie jest w tej chwili wcale subtelna, odsuwa się ode mnie, kiedy poprawia ubranie. Nawet nie możemy rozmawiać o jej rodzicach?

– Nic się nie poprawiło?

– Nie.

Molly podnosi się z łóżka. Obciąga koszulę do pasa i przygląda włosy.

– To wina Laitha czy moja?

– Nigdy nawet nie próbowałam was zebrać w jednym miejscu. Żaden z was zresztą nigdy tego nie chciał.

– A co będzie, jak urodzi się dziecko?

Zerka na mnie i kręci głową.

– Nadal się czasami z nimi widuję, zwłaszcza z mamą. Coś wymyślimy.

– A pierwsze urodziny? Nie zaprosimy ich? A jak będzie kończył studia albo osiemnaście lat?

– On?

Unoszę brwi.

– Tylko to wyłapałaś z tego zdania?

Molly wzdycha.

– Będziemy musieli coś z tym wszystkim zrobić. Będzie dobrze, tak czy siak. Wiele rodzin wyprawia dwie imprezy z okazji wyjątkowych wydarzeń w życiu dziecka.

– Wcale mi się ten pomysł nie podoba. – Krzywię się.

– Też coś – drwi i patrzy na mnie gniewnie, a ja zupełnie nie mam pojęcia dlaczego. – Naprawdę nie podoba ci się pomysł dwóch miłych urodzinowych przyjęć dla dziecka zamiast jednego pełnego napięć? Dość zabawne, że mówi to facet, który nie tak dawno poprosił mnie o rozwód.

– Naprawdę myślisz, że to w porządku wyrzucać mi to, kiedy wcale tego nie pamiętam? – mówię najłagodniej, jak umiem. Molly robi się czerwona jak burak, a ja nie wiem, czy ze złości, czy zawstydzenia, aż mruży oczy. Z całą pewnością jest zła, ale nie mam zamiaru przeproszać, chyba rozumie, co mam na myśli?

– Ty i tata nie odezwalicie się do siebie od tej cholernej kolacji i moim zdaniem lepiej, żeby tak zostało – mówi bezceremonialnie. Pochyla się, żeby

założyć buty, a kiedy się schyla, nagle wiem, że nie ma racji.

– Rozmawiałem z nim w dniu ślubu – mówię.

Molly wstaje i kręci głową.

– Nie.

– Rozmawiałem. Chyba dwa razy. – Nadal jestem zaskoczony tym wspomnieniem. I powoli w mojej pamięci pojawiają się szczegóły. Pamiętam, jak wziąłem jej telefon, kiedy była w łazience i przepisałem sobie jego numer do mojej komórki. Zadzwoiłem do Laitha po raz pierwszy z samochodu po drodze do taty, ale rozłączył się, jak tylko się przedstawiłem.

Miałem zamiar to tak zostawić, ale wydawało mi się, że za mało się wysiliłem – więc stojąc w sieni kościoła tuż przed pojawieniem się gości, zablokowałem mój numer i spróbowałem zadzwonić jeszcze raz. Rozmowę zacząłem, błagając o wybaczenie, a potem prosiłem, żeby przyjechał, kajając się tak, że było mi niedobrze.

„Tak cię przepraszam, Laith. Nie chodzi o mnie ani nawet o ciebie, chodzi o jedyną osobę, która nas łączy – o Molly. Proszę”.

Tamtego dnia byłem gotowy zostawić za sobą całą nienawiść do Laitha. Ona była taka krucha i taka zraniona, kiedy leżała rano w łóżku i mówiła, jak bardzo by chciała, żeby ojciec poprowadził ją do ołtarza. Nie rozumiałem jej potrzeby jego akceptacji czy błogosławieństwa i nie chciałem składać przysięgi z nieprzychylnym wzrokiem Laitha na plecach. Ale większe, poważniejsze i ważniejsze niż wszystko było to, żeby Molly czuła się szczęśliwa. Wiedziałem, że zawsze będę żałował, jeżeli nie spróbuję go tam ściągnąć. Nie chciałem widzieć rozczarowania na jej twarzy, kiedy będzie szła do mnie do ołtarza, żebyśmy zaczęli wspólne życie.

– Chyba się pomyliłeś, Leo – mówi. Na ramieniu ma torebkę, a drugą ręką otwiera drzwi. Odblokowuję hamulec wózka, ale się nie ruszam.

– Nie, na pewno się nie pomyliłem. Usiłowałem go namówić, żeby przyjechał na ślub. Oczywiście, nie udało mi się, ale dzwoniłem do niego. Dwa razy.

„Jeżeli myślisz, że przyjadę pobłogosławić największy błąd w życiu mojej córeczki, to się grubo mylisz, Stephens”.

„Proszę, Laith, to dużo dla niej znaczy. Nie rób tego dlatego, że ja cię proszę, zrób to dla Molly”.

„Nie martw się, będę przy niej, jak się będzie z tobą rozwodziła. Będę na to czekał”.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś – odzywa się Molly. – Nienawidzisz taty, Leo. Nie możesz znieść nawet tego, że nadal się z nimi widuję. Cały czas robisz mi z tego wyrzuty,

– Widocznie nadal czegoś nie wiem, musi być jakiś powód, dlaczego ci o tym nie powiedziałem. – Wzdycham. – Nie twierdzą, że nagle się stałem

wielbicielem twojego ojca, aż tak nie dostałem w głowę. Chyba chodzi mi o to, że gdybyś chciała, żebym wyciągnął do nich rękę, zanim urodzi się dziecko, jestem gotowy to zrobić. Zastanów się nad tym.

Patrzy na mnie od progu, a potem odzywa się bardzo cicho.

– Dziękuję.

– Na razie mi nie dziękuj. Może się okazać, że to katastrofa.

– Wiele dla mnie znaczy, że proponujesz coś takiego. Widzę, że naprawdę chcesz nad tym pracować.

– Powiedziałem ci wczoraj wieczorem.

– Wiem. Ale dzięki.

27. Molly

Grudzień 2011

Leo wyszedł po śniadaniu razem z Andrew do swoich rodziców, a Anne i Teresa przyjechały do jego mieszkania. Chichotały jak uczennice, jak tylko przekroczyły próg, a ja na chwilę zapomniałam o niepokoju z powodu rodziców.

– Nigdy nie myślałyśmy, że doczekamy tego dnia – powiedziała mi Anne więcej niż raz tego ranka. – On jest taki stary na ślub, nie sądzisz? Ale bardzo cię kocha, Molly. Nigdy nie myślałam, że zobaczę go tak szczęśliwego.

Sama myśl o tym, że uszczęśliwiłam Leo, przepełnia mnie lekkością – tego ranka z jego matką i siostrą unoszę się nad ziemią. Czuję się piękniejsza niż kiedykolwiek w życiu. Kazałam sobie uszyć suknię na ten dzień – miałam w głowie jej obraz i nie znalazłam nic gotowego, co by mi się podobało. Ślub miał być skromny i z powodu uporu Leo postanowiliśmy podzielić się wydatkami po połowie. Ale uparłam się, że suknią zajmę się sama i dobrze zrobiłam – była nieprawdopodobnie droga. Była z koronki w kolorze kości słoniowej, z syrenim dołem, z rękawkami i z koronką w nieco ciemniejszym odcieniu przewiązana w pasie w miejscu, gdzie na plecach kończył się głęboki dekol w kształcie litery V. Na głowie miałam toczek, którzy przytrzymywał woalkę, która zakrywała połowę mojej twarzy. Teresa i Anne czekały w salonie na dole, kiedy ubierałam się sama, a kiedy zesłam na dół, żeby się im pokazać, Anne wybuchnęła głośnym szlochem.

Wybraliśmy kościółek z piaskowca kilka przecznic od domu Leo. Nie było wesela, zaprosiliśmy tylko trzydzieści osób, a Anne i Teresa pojechały ze mną samochodem, żeby pomóc mi z suknią.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed drzwiami, matka i siostra Leo pomogły mi wysiąść, a ja spojrzałam na ulicę. Była to gęsto zaludniona okolica i ulica po obu stronach zastawiona była samochodami. Rozejrzałam się na wszystkie strony, szukając któregoś z czarnych samochodów z floty Torringtona.

Nagle poczułam całkowitą pewność, że tata przyjedzie. Nawet jeżeli nienawidzi Leo, nie mogłoby go zabraknąć – nie zrobiłby tego. Byłam jego jedynym żyjącym dzieckiem, Jego jedyną córką. Jego dziewczynką. Jeżeli mama i tata nie przyjadą, nie będzie nikogo z mojej rodziny, to nie będzie w porządku.

– Teresa – powiedziałam nagle. – Możesz wejść do środka i sprawdzić, czy są tam moi rodzice?

Uśmiechnęła się do mnie i znikła w kościele. Ja też wesłam do przedsionka, ale jak tylko znalazłam się w środku, ogarnął mnie niepokój i natychmiast zesłam po schodach na ścieżkę.

– Molly – powiedziała łagodnie Teresa ze schodów. Kiedy spojrzałam na nią w górę, pokręciła głową.

– Przyjadą – powiedziałam. – Dam im jeszcze kilka minut. Która godzina?

– Pięć po czwartej, Molly – powiedziała cicho Anne.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie przejście do ołtarza i Leo czekającego na końcu i rozpaczliwie chciałam do niego podejść i zacząć z nim wspólne życie. Ale myśl o tym, że mam wejść do tego kościoła sama i pogodzić się z nieobecnością rodziców, była nie do zniesienia.

– Nawet mamy nie ma? – wyszeptałam. Nie mogłam się rozplakać, nie miałam zamiaru się rozplakać.

– Bardzo mi przykro, Molly.

– Dam im jeszcze pięć minut – odezwałam się nagle i stałam na ścieżce, ściskając bukiet, i wyobrażałam sobie, jaką ulgę poczuję, jak ich samochód wjedzie na ulicę.

Usłyszałam ruch na schodach za mną, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Leo. Miał na sobie czarny garnitur, który razem wybraliśmy i krawat w kolorze kości słoniowej – w tym samym odcieniu, co moja suknia. Ponieważ on na ogół ubierał się swobodnie, zawsze robiło na mnie wrażenie to, jaki przystojny jest w garniturze.

– Nie powinienesz mnie widzieć – mówię oschle. Bierze mnie w ramiona, ale ja staram się trzymać twarz z daleka, żeby nie umazać go makijażem.

– Nie przyjadą, Molly.

– Ale... Nie ma tu nikogo z mojej rodziny – wyszeptałam i nagle poczułam panikę – jak to możliwe, że to mój ślub?

– Jest – powiedział stanowczo Leo. – Ty jesteś moją rodziną. A moja rodzina jest od tej chwili twoją. I... – Wypuszcza mnie, podciąga rękaw i pokazuje mi tatuaż, jaki zrobił na cześć Declana. – A twój brat jest z nami, skarbie. W jakiś sposób jest tu dzisiaj, patrzy na ciebie i cieszy się z nami.

– Wiem – mówię i zaciskam zęby.

Myśl o czymś miłym, mówiła mama. Uczucia trzymaj na wodzy, aż znajdziesz się na osobności.

– Powinni tu być, Leo.

– Tak mi przykro, kochanie.

– Tata powinien poprowadzić mnie do ołtarza.

– Molly – mówi Leo powoli, błagalnie. – Nie potrzebujesz, żeby Laith cię do mnie prowadził, kochanie. Nigdy nie byłeś jego, żeby miał cię oddawać.

Leo miał taką zmartwioną minę, a ja pomyślałam o tym, jaki podekscytowany był rano i że ta chwila napięcia nie powinna mieć miejsca w naszym wyjątkowym dniu. Wiedziałam ze stuprocentową pewnością, że dokonuję właściwego wyboru i wychodzę za właściwego mężczyznę. Wzięłam głęboki

oddech, żeby dodać sobie siły i zdusiłam płacz.

– Robimy to, Molly? – spytał łagodnie Leo.

– Tak – powiedziałam i po kilku głębokich oddechach uśmiechnęłam się do niego promiennie. – Jasne, że tak.

– Więc chodźmy – powiedział i podał mi łokieć.

– Ty mnie poprowadzisz do ołtarza?

Uśmiechnął się do mnie.

– To nasz dzień, więc zrobmy to po swojemu.

28. Leo

Sierpień 2015

Przyzwyczajam się stopniowo do rewelacji, jakimi zasypała mnie w zeszłym tygodniu Molly – druga fala wstrząsu po tym pierwszym, związanym z jej obecnością w moim życiu. Jest tyle podobieństw pomiędzy moją obecną sytuacją a tymi chwilami w Rzymie – z początku sceptycznie podchodziłem do tego, że byliśmy razem, ale szybko do mnie dotarło, że wiem, że to prawda.

Już czułem to samo w kwestii rozstania. Patrząc wstecz, widzę, że w ciągu tego całego miesiąca pojawiały się sygnały, że coś jest nie tak pomiędzy Molly i mną. Teraz, kiedy lepiej to rozumiem, mam zamiar coś z tym zrobić. Porażka nie wchodzi w rachubę – w tej chwili zmagam się tylko z tym, żeby uwierzyć, jak w ogóle mogłem brać pod uwagę, żeby zrezygnować z naszego wspólnego życia.

Dzień po USG piszę do Molly i proszę ją, żeby nie przychodziła jak co dzień po południu, ale żeby ubrała się ładnie i żebyśmy poszli na kolację, i żeby zabrała nasz ślubny album. Kiedy przyjeżdża bus na podjazd naszego domu, patrzę, jak idzie z dziedzińca na podjazd. Ma na sobie olśniewającą fioletową suknię i perły, i delikatny makijaż. Włosy ma ciasno skręcone i upięte na karku. Wygląda elegancko, jest zadbana i moja.

Wyobrażam sobie, jak do niej biegnę i ją obejmuję, a kiedy to robię, boleśnie uświadamiam sobie, że zdolności niezbędne do tej czynności są dla mnie w tej chwili taką samą tajemnicą jak zdolność latania.

Straciłem je, uświadamiam sobie, i ta świadomość jest jak cios w brzuch.

Możliwe, że nigdy więcej nie będę mógł stanąć, żeby ją pocałować albo – Boże, nawet położyć się na niej, kiedy się kochamy, ani pomóc jej wyciągnąć dżem z górnej półki spiżarni. Wszystko przepadło, przynajmniej na razie, i to moja wina. Wybrałem wyjazd do Syrii i, jak twierdzi Brad, planowałem tę misję i nawet przekonałem Kisani, żeby mi na to pozwoliła. A teraz nie mogę wziąć żony na ręce i rozpieszczać jej tak, jak lubi – i tak, jak na to zasługuje.

– Cześć – mówi. Próbuję na nowo zebrać myśli i skupić się na innym ważnym elemencie mojego życia, którego utratą jestem poważnie zagrożony: Molly.

– Pięknie wyglądasz – szepczę. Posyła mi zaskoczony uśmiech i dziękuje skromnie. – A gdzie jest album ślubny?

Waha się i ogląda na dom za nią.

– Już zamknęłam drzwi...

– Mogłabyś wrócić?

– Naprawdę, Leo, w drzwiach jest tyle zamków

Bardzo chciałem przejrzeć z nią zdjęcia przy kolacji, ale ona najwyraźniej nie ma zamiaru wrócić do domu, a ja nie mam zamiaru rozpocząć wieczoru, wyprowadzając ją z równowagi.

– Może wrócimy tu po kolacji i razem je obejrzymy?

– Jeżeli chcesz.

Molly zapina pas, kiedy kierowca podchodzi do drzwi obok niej, a ja podnoszę bukiet kwiatów, który odebrałem po drodze.

– Co to? – pyta podejrzliwie, a ja wręczam jej z największą nonszalancją, na jaką mnie stać, biorąc pod uwagę, że jestem dosłownie uwięziony na tyłku na wózku przymocowanym do podłogi.

– Piękne kwiaty dla mojej pięknej żony.

– W porządku – mówi, ale podejrzliwość znika z jej twarzy, dopiero kiedy przysuwa kwiaty do twarzy. Wdycha zapach, a kiedy znów je opuszcza, na jej twarzy widać blady uśmiech.

– Jest – mruczę.

– Kto?

– Molly, jaką pamiętam, taka, która rozjaśniała cały świat uśmiechem.

Przewraca oczami i kładzie kwiaty na siedzeniu obok siebie, a kiedy jest tym zajęta, ja biorę oddech i wypieram z umysłu wszystkie myśli o moich bezużytecznych nogach. Nie będę się nad sobą użalał, nie mam zamiaru zepsuć tego wieczoru, To zbyt ważne dla mnie, dla nas.

– To gdzie mnie zabierasz? I dopóki mogę pytać, powinnam się szybko upewnić, kim jesteś i co zrobiłeś z moim mężem?

– Naszym celem jest dziś... – teatralnie zawieszam głos i puszczam do niej oko. – Niespodzianka.

– To nie fair, Leo – narzeka, ale się śmieje.

– I w dodatku, tajemnica.

– No, jesteś pisarzem i przepraszam, że się tego czepiam, ale czy tajemnica i niespodzianka to właściwie nie to samo?

– Skąd. To niespodzianka, bo nie wiesz, dokąd jedziemy. A tajemnica, bo ja właściwie nie wiem dlaczego.

– Coś dzisiaj kręcisz. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co wymyśliłeś.

Przyglądam się jej twarzy, kiedy bus jedzie przez centrum Sydney. Wygląda przez okno, a ciepłe popołudniowe promienie tańczą na jej twarzy od czasu do czasu, kiedy uda im się przecisnąć pomiędzy coraz wyższymi budynkami, które zasłaniają słońce. Wydaje mi się, że mogę wskazać dokładną minutę, kiedy do niej dociera, dokąd jedziemy i cieszy mnie jej reakcja. Unosi brwi i kąciki warg.

– Zgadłaś? – pytam, a ona zerka na mnie.

– Możliwe.

– Co za wymijająca odpowiedź.

– Jestem prawie pewna, że wiem gdzie i dlaczego.

– Mam nadzieję – mówię drwiąco. Wybrałem bar, do którego, jak pamiętam, chodziliśmy, ale nie wiem, co tam robiliśmy. Wiem tylko, że kiedy tam byłem, poczułem, że Molly pociąga mnie bardziej niż cokolwiek do tej pory w życiu i że nigdy niczego takiego nie czułem. Domyślam się, że był to dla nas pewien milowy krok i nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć dlaczego.

– Więc powiedz mi, dlaczego wybrałeś to miejsce, do którego jedziemy? – drąży.

– Próbowałem wymyślić jakieś romantyczne miejsce, gdzie mogę cię zabrać i przyszło mi do głowy to. Nie pamiętam, dlaczego jest wyjątkowe, przepraszam, ale mam nadzieję, że ty i twój w pełni sprawny mózg będziecie w stanie wypełnić moje luki.

Bus się zatrzymuje, a Molly się pochyla i wygląda przez okno. Opiera się z powrotem i marszczy czoło.

– Leo, cholera, gdzie my jesteśmy?

– Myślałem, że zgadłaś?

– Nie, myślałam, że zabierasz nas do hotelu na następnej przecznicy, gdzie mieliśmy wesele. I spędziliśmy noc poślubną. A co to za miejsce? Wygląda na bar.

– Bo to jest bar. – Bardzo drogi bar i domyślam się, że dlatego mnie do niego zabrała. – Nie byliśmy tu kiedyś?

Molly marszczy czoło w skupieniu.

– Jestem raczej pewna, że nigdy wcześniej tu nie byłam. Na pewno jesteśmy we właściwym miejscu?

– Z całą pewnością. – Ja też marszczę czoło. – Wyraźnie czuję, że jest dla nas wyjątkowe.

Molly śmieje się cicho.

– To dziwne, Leo, ale nigdy mnie tu nie zabrałeś. Nigdy nie byłam tu nawet sama.

Słyszę, jak bierze gwałtowny oddech.

– Boże, Leo! – szepcze. – Mam nadzieję, że nie myślisz o kimś innym?

Niemal panikuję na tę myśl i po grymasie na twarzy Molly widzę, że też jest spanikowana. Próbuję się uspokoić z dwóch powodów. To wrażenie z całą pewnością ma związek z Molly, jestem o tym przekonany. I nie zdradziłbym jej, wiem to – nie jestem w stanie nawet o tym pomyśleć. Ale nie ma znaczenia, jak pewny jestem tych uczuć – nadal nie mam pojęcia, o czym myślałem, kiedy byłem tu ostatnio.

– To na pewno ma związek z tobą – mówię i jestem tak sfrustrowany tym, że nie mogę połączyć kropek, że wydaję z siebie jęk i pocieram skronie. – Jestem pewny, że wydarzyło się tu coś ważnego. Możemy wejść do środka?

– Trochę się denerwuję, ale pewnie. – Molly śmieje się lekko.

Zajmujemy miejsce przy jednym z niskich stołów w sali. Patrzę na listę drinków i wiem, że już kiedyś ją czytałem. Molly rozgląda się po sali.

– Już poznajesz? – dopytuję z nadzieją. Kręci głową i wzrusza ramionami ze zdziwieniem.

– Mogę powiedzieć z całkowitą pewnością, że nigdy w życiu tu nie byłam.

W tej chwili do mnie dociera, że ma rację. Nie byłem tu z nią – byłem tu bez niej. Nadal nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego znalazłem się w tym barze, ale rozumiem, że to miejsce przyszło mi do głowy dlatego, że ona była daleko, kiedy ja byłem tutaj. Tęskniłem za nią tak bardzo w czasie tej poprzedniej wizyty, że niemal czułem smak tej tęsknoty... ale ta tęsknota jest połączona z przytłaczającym poczuciem winy.

Po raz pierwszy wraca do mnie emocjonalna część wspomnienia tak mocno bez żadnego kontekstu, a sam ten dziwny fakt sugeruje, że może wolałem nie pamiętać szczegółów.

– Przypominasz sobie coś? – pyta Molly, a ja kręcę głową i kłamię.

– Jeszcze nie.

Widzę jej wahanie i teraz oboje znów się zastanawiamy, czy miałem romans. Nie wiem, co jej powiedzieć. Nadal czuję, że nie mógłbym jej zdradzić – wydaje mi się, że to byłoby bezsensowne. Ale nie jestem w stanie wyprzeć silnego poczucia winy, które gniecie mnie jak kamień w żołądku. Nie jestem pewien tego, co się stało w tym barze, i nie jestem z tego dumny.

Wzdycham i wyciągam do niej rękę.

– Cóż, żałosna pierwsza randka.

– Pierwsza randka?

– No, tak. Zamierzałem cię uwieść.

– Znowu zapomniałeś, że jesteśmy małżeństwem? – droczy się.

Jestem niespokojny z powodu rzeczy, których nie wiem, ale uwielbiam błysk w jej oku. Unoszę jej dłoń do moich ust i całuję ją delikatnie.

– Nie tym razem – mówię. – Ale naprawdę chciałbym, żebyśmy pozostali małżeństwem i pomyślałem, że powinienem się trochę wysilić.

Uśmiech Molly lekko słabnie, ale nie cofa ręki z mojej.

– Wiesz, co mi to przypomina? – pyta mnie Molly, gdy kończymy posiłek. Zerkam na nią ostrożnie, a ona zaskakuje mnie uśmiechem zadowolenia. – Na początku małżeństwa, w pierwszym roku, nie podróżowałeś dużo. Jestem taką beznadziejną kucharką, że kiedy wypadała moja kolej gotowania kolacji, na ogół namawiałam cię, żebyśmy gdzieś poszli i siedzieliśmy w rozmaitych restauracjach i rozmawialiśmy o głupotach. I to było magiczne.

– I proste – mówię. Jeszcze nie pamiętam tych wszystkich wieczorów, o których wspomina, ale wyobrażam sobie zwykłą radość, jaką nam sprawiały.

– I proste – powtarza jak echo. – Jak teraz. Więc ci dziękuję.

– Jakie są twoje ulubione wspomnienia naszego małżeństwa, Molly? Ten pierwszy rok był dobry, prawda?

– O, tak – mówi i zawiesza się na głoskę „k” trochę za długo, jakby nie chciała pozwolić uciec tej myśli. – Ten pierwszy rok był jak sen, byliśmy tacy szczęśliwi.

– Jakie były najlepsze chwile?

– Te najprostsze. Takie jak długie leniwe kolacje poza domem albo kiedy siedzieliśmy długo w nocy na balkonie sypialni, piliśmy wino przy kwitnących żakarandach. I kiedy zmywałeś ręcznie, zanim wsadziłeś naczynia do zmywarki, a ja podchodziłam do ciebie...

– I obejmowałaś mnie w pasie, i wtulałaś policzek w moje plecy – mruczę, a ona kiwa głową i sięga ręką nad stołem, żeby położyć dłoń na mojej. Uśmiechamy się do siebie i w jednej chwili po uszy się w niej zakochuję, na nowo. Jest ideałem – moim ideałem.

Nie mogę sobie wyobrazić, że w ogóle mógłbym chcieć kogoś innego. Nie ma żadnego sensu, żebym przyprowadzał inną kobietę do tego baru. Staram się pocieszyć, bo narasta we mnie poczucie winy. Gdybym miał jakiś niepojęty powód, żeby spotykać się tu z inną kobietą, niemożliwe, żebym gdzieś z nią potem poszedł.

– Uwielbiałam, kiedy oglądaliśmy razem telewizję – ciągnie Molly z uśmiechem. – Uwielbiałam, jak byłeś pochłonięty swoją książką na tyle, że chyba zupełnie nie zwracałeś uwagi na program, aż działo się coś głupiego i ty nagle rzucałeś wnikliwą uwagę na temat programu i docierało do mnie, że oglądałeś go całkiem uważnie.

– A ja uwielbiałem, jak chrapałaś – mówię, a ona głośno protestuje.

– Wybacz, Leo. Ja nie chrapię.

– Chrapiesz – zapewniłem z uśmiechem. – Zawsze chrapałaś, to było słodkie, ta elegancka, piękna kobieta w moim łóżku chrapie jak parowóz, jak tylko zaśnie. A wczoraj wieczorem wyczytałem w książce o dzieciach, że kobiety w ciąży mają tendencje do głośniejszego chrapania. Pewnie teraz z tym zapaleniem zatok chrapiasz jak smok.

– Zapłacisz mi za to – zapewniam.

– Tak?

– Owszem. Dosłownie. Możesz zapłacić za kolację.

Chichoczę, kiwam głową i idę do baru. Gdy wracam do Molly, ogarnia mnie nagła chęć, żeby pójść z nią na spacer. Bardzo bym chciał spleść palce z jej palcami i pójść razem, wymachując lekko dłońmi. Zerkam na moje uda, płaskie i bezużyteczne na wózku inwalidzkim. Zaczynają tracić masę mięśniową i się kurczyć.

– Co się stało, Leo? – dopytuje delikatnie. Jestem zaskoczony, że w ogóle zauważyła moje zmieszanie, ale przypominam sobie, jak dobrze mnie zna.

– Największym minusem tego, że jest się przykutym do wózka, jest to, że nie mogę cię trzymać za rękę, jak idziemy – mówię.

Wstaje i przewiesza sobie torebkę przez ramię.

– To naprawdę największy minus?

Śmieję się powściągliwie.

– Słuszna uwaga – mówię. – Największym minusem tego, że jest się przykutym do wózka inwalidzkiego, jest to, że jest się do niego przykutym.

– Miejmy nadzieję, że już niedługo – mówi Molly, a ja zerkam na nią.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Pewnie.

– Mimo że nie robię żadnych postępów?

Wzrusza ramionami.

– Jestem pewna, że w końcu będziesz chodził.

– A jeżeli nie?

– Powiedziałam ci tamtego wieczoru, nie będę o tym myśleć i ty też nie powinieneś – mówi i się uśmiecha. Jej cicha wiara we mnie jest pocieszająca i krzepiąca. – Wracajmy do domu pooglądać zdjęcia.

Z ulgą wychodzę z baru. Nie wiem, jaki skrywa sekret i nie wiem, czy któreś z nas jest gotowe go poznać.

29. Molly

Grudzień 2012

Na początku życie małżeńskie wydawało się cudowne – takie, jak sobie wyobrażałam. Kiedy Leo był w domu, wszystko w moim świecie było jak należy, a kiedy wyjeżdżał, robił to z wyraźną niechęcią. W tych pierwszych miesiącach czułam się bardziej dorosła niż w całym moim dotychczasowym życiu. Byłam żoną, miałam wspaniałego męża, dom do remontu, działalność charytatywną i pranie – tylko na mojej głowie. Skończyło się rzucanie brudnych ubrań na podłogę ze świadomością, że gosposia je za mnie sprzątnie, jak mnie nie będzie. W końcu – z opóźnieniem – dorosłam.

W niektóre wieczory siedzieliśmy z Leo do późna i rozmawialiśmy o przyszłości. Wiedziałam, że jest ambitny, ale w małżeństwie obserwowałam, jak jego determinacja w karierze zawodowej osiąga nowy poziom. Bez przerwy mówił o następnym temacie.

– To naprawdę może mi pomóc w karierze, Molly – mówił.

– Twoja kariera chyba całkiem nieźle się rozwija – zapewniałam go, ale w duchu byłam skołowana. Odnosił już sukces. Był znany w branży słowa, odkąd zdobył Pulitzera – co więcej mógł osiągnąć po takim sukcesie?

– Chodzi o to, żeby wyrobić sobie nazwisko – mówił, jakby tego wyjaśnienia mi brakowało.

Rozmawialiśmy o tym na tyle często, że zaczęłam się zastanawiać, czy Leo nie próbuje przede mną usprawiedliwiać w ten sposób częstych podróży albo poświęcenia dla pracy. Byliśmy nowożeńcami i wiedziałam, że muszę się wiele nauczyć, zanim naprawdę zrozumie męża – był to jeden z uroków stania ręką w rękę i patrzenia wspólnie na życie. Mieliśmy przed sobą całe lata, żeby uporządkować te drobiazgi. Ja nadal szukałam własnej ścieżki w fundacji i jestem pewna, że on też był zaskoczony niektórymi pomysłami w mojej pracy. Czasami, szczególnie w naszej ciemnej sypialni, późno w nocy rozmawialiśmy szeptem o rodzinie, którą pewnego dnia stworzymy. Wiele mówiło o naszym narzeczeństwie to, że o dzieciach zaczęliśmy rozmawiać dopiero w pierwszych miesiącach małżeństwa. Założyłam, że zgadzamy się w tej kwestii i prawie tak było.

– Nie wciśniemy tu dziecka – ostrzegłam Leo, kiedy pierwszy raz o tym rozmawialiśmy.

– Nie. – Westchnął. – Pewnie nie. Chociaż wydaje mi się, że dałoby się wcisnąć dziecinne łóżeczko obok łazienki?

– Leo!

- Dobra, dobra! Ale możemy pomyśleć o tym później?
- Przeprowadziłbyś się do mojego mieszkania?

Westchnął i wzruszył ramionami, ale ja już wiedziałam, że nie czuje się dobrze z tą myślą. Chciałam zrozumieć, dlaczego tak bardzo nie cierpi mojego mieszkania. Bennelong Apartaments było jednym z najbardziej pożądanym miejsc w kraju.

– Moglibyśmy kupić coś nowego – zaproponowałam. – To znaczy, coś starego jak to, wiem, że wolisz ten styl. Ale większego. Z jeszcze jedną sypialnią.

– Więc tylko jedno dziecko?

– A ile byś chciał?

– Nie wiem. Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem... Nie spodziewałem się, że znajdę się w sytuacji, żeby mieć taką możliwość. Może kilkoro? Może moglibyśmy mieć mieszaną rodzinę? Kilkoro własnych dzieci i może parę adoptowanych?

– Chybabyśmy mogli. – Uśmiecham się na tę myśl. Leo będzie wspaniałym ojcem.

– To może kiedyś znajdziemy jakiś stary dom z mnóstwem sypialni. Wystarczy nam wtedy miejsca bez względu na to, jak będzie.

Tyłu rzeczy musieliśmy się o sobie dowiedzieć i pójść na tyle kompromisów, ale mimo wszystko mój świat z Leo był bliski magii. W tym pierwszym roku każdego ranka budziłam się z zachwytem i każdej nocy – nawet jeżeli Leo gdzieś na końcu świata chował się przed kulami – dostawałam od niego jakiś sygnał, choćby wiadomość albo liścik, który zostawił przed wyjazdem na poduszce. Pomiędzy wyjazdami w domu był zawsze dłużej niż poza domem i rzadko wyjeżdżał na tydzień czy dwa.

Jeżeli ten pierwszy rok miał być przedsmakiem tego, co czeka nas dalej w życiu, wiedziałam, że będę najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Sierpień 2015

Herbaty? – proponuję Molly, kiedy wchodzimy do domu po kolacji.

– Oj, tak – mówi, zrzuca buty i porusza palcami u nóg. – Byłoby cudownie. Czy to będzie potwornie nieromantyczne z mojej strony, jeżeli się przebiorę, kiedy będziesz ją robił? Nie wiem, czy to przez dziecko, czy zbyt dużą ilość węglowodanów w Rzymie, ale ta sukienka zdecydowanie uwiera mnie w pasie.

– Idź – mówię, a ona znika na schodach. Przysuwam się do blatu – i w jednej chwili czuję się jak skończony idiota, bo za późno do mnie dociera, że nie jestem w stanie dosięgnąć torebek z herbatą ani czajnika. Nawet gdybym mógł, nie dałbym rady przenieść nigdzie filiżanek, manewrując kołami wózka.

Jeżeli w dorosłym życiu miałem kiedyś ochotę histeryzować, to właśnie teraz. Jęczę, ale biorę kilka głębokich oddechów, wyciągam kubki z szafki i stawiam je na ławce obok czajnika. Wpatruję się w kubki, a potem próbuję podciągnąć się na blacie. Jeżeli w czajniku jest woda, może uda mi się go włączyć. Udaje mi się jakoś unieść, ale potrzebuję do tego obu rąk i z wielkim wysiłkiem utrzymuję równowagę – udaje mi się to tylko przez kilka sekund, a potem kuchnia zaczyna się przechylać. Przy trzeciej próbie mało nie spadam z wózka i dociera do mnie, że muszę przestać, bo wyląduję na podłodze i Molly będzie musiała pomagać mi się podnieść.

Na to nie pozwolę.

Molly po cichu dołącza do mnie w kuchni kilka minut później. Prostuję się na wózku i wskazuję czajnik.

– Nie dosięgam – mówię, niepotrzebnie, bo po jej zszokowanej minie widzę, że do niej też dopiero to dotarło.

– Nic się nie stało – mówi. – Ja to zrobię.

– Chciałem ci tylko zaparzyć herbaty – mówię. Słowa wypowiadam z trudem, są zduszone z powodu frustracji i złości.

– Leo – mówi spokojnie Molly. – Nic nie szkodzi, przyzwyczajamy się.

Ale nie czuję się dobrze. Czuję zalew potwornej wściekłości i mam ochotę uciec i się przed nią schować. Boże, skoro już miała się ze mną rozwieść, jakie mam szanse, żeby zatrzymać ją teraz? Podjeżdżam do kanapy i przeskakuję na nią, ale muszę ułożyć uda dłońmi i tak mnie to złości, że chcę wszystko odpuścić i zwinąć się w kłębek na podłodze. Widzę, jak moja żona podchodzi i otrząsam się w myślach. Weź się w garść, Leo. Bądź ponad to, przynajmniej ze względu na Molly.

– Wszystko w porządku? – zagaduje Molly, stawiając dwa kubki na ławie i

siada obok mnie.

– Tak – odpowiadam.

Sięga pod ławę i wyciąga album ze zdjęciami i ostrożnie kładzie mi go na kolanach. Okładka nie jest zakurzona, są tylko odciski palców przy brzegach – i dociera do mnie, że niedawno go oglądała. Wpatruję się w zdjęcie przede mną i po chwili się odzywam.

– Boże, Molly. – Biorę oddech. – Jak pięknie wyglądasz! Cholera, jak mogłem zapomnieć o takiej chwili? – Przesuwam palcami po kartce i pozwalam im się zatrzymać koło jej twarzy. Na zdjęciu się obejmujemy, stoimy gdzieś w parku, a za nami zachodzi słońce. Ona patrzy w obiektyw i uśmiecha się promiennie. Jej oczy błyszczą z miłości i szczęścia.

– To był miły dzień – mruczy. Nie patrzy na album.

– A co podobało ci się najbardziej? – pytam.

Wzrusza ramionami i przelotnie zerka na okładkę, ale widzę, że nie zatrzymuje na niej wzorku. Między oczami znów ma zmarszczkę, a kiedy się odzywa, znów jest dla mnie nieco obcesowa.

– Ceremonia była piękna. Przyjęcie bardzo udane.

– Gdzie pojechaliśmy na noc poślubną? – pytam.

– Zostaliśmy w apartamencie w centrum, niedaleko miejsca, gdzie dziś byliśmy. Wydawało się to trochę głupim pomysłem, bo do domu mieliśmy tylko dziesięć minut, ale było miło.

– Czy my...?

– Co: czy my? – pyta celowo, a kiedy uśmiecham się do niej, ona parska śmiechem. – Dalej, powiedz to!

– Czy my...? – Poruszam brwiami w odpowiedzi, a potem mówię najbardziej dwuznacznie jak umiem: – Zamówiliśmy kolację do pokoju?

Śmieje się, a jej zmarszczki znikają.

– Zamówiliśmy kolację do pokoju. A jak już zjedliśmy, od razu zasnęliśmy. – Znów się uśmiecha. Te wspomnienia ją bawią. – Mieliśmy takie wzniosłe plany na tę noc. Wydałam fortunę na bieliznę, która nawet nie opuściła walizki, aż do wyjazdu w podróż poślubną. Ale kiedy w końcu porozpinałeś wszystkie guziczki mojej sukni, zostało ci siły tylko na to, żeby położyć się do łóżka i zasnąć. Ale odbiliśmy to sobie w podróży poślubnej, nie martw się.

– Polecieliśmy na Malediwy. – Przypominam sobie, kiedy to mówię, a ona kiwa głową z entuzjazmem.

– Pamiętasz?

– Chyba zaczynam sobie przypominać – mruczę. – Pamiętam, że przez kilka dni prawie nie wychodziliśmy z hotelowego pokoju.

Znów się śmieje.

– Fakt. Nie wychodziliśmy z willi przez cztery pierwsze dni. Prawie też nie

trzeźwieliśmy. Z tego, co pamiętam, jak trochę ochłonęliśmy, kaca leczylimy przez kilka dni, a dodatkowy rachunek był wyższy niż opłata za pokój.

Spoglądam znów na album i otwieram na pierwszej stronie, a potem powoli zaczynam przeglądać kolejne zdjęcia. Cały album wygląda jak lśniące czasopismo – eksplozja kolorów i nieskazitelnej cery na każdym idealnie obramowanym zdjęciu.

– Pamiętam to spojrzenie – mówię cicho, a ona podąża za moim wzrokiem.

To zdjęcie, na którym patrzymy sobie w oczy. Przez chwilę razem spoglądamy na zdjęcie, a ja wracam do wspomnienia z taką łatwością, jakbym go nigdy nie utracił. Pamiętam zapach skoszonej trawy i eukaliptusa w parku wokół nas – dotyk jej miękkiej skóry w moich ramionach, nawet smak mięty na jej wargach, gdy ją pocałowałem. Była tak podekscytowana, że nie mogła zjeść obiadu, powiedziała, ale po ceremonii umierała z głodu i pochłonęła jedyną jadalną rzecz, jaką miała w torebce – pudełeczko miętówek. Pamiętam zalew uczucia miłości, dumy i zaskoczenie – i chwile zwykłego onieśmienia. Czekam, zastanawiając się, skąd się wzięła ta ostatnia myśl i to też powoli się klaruje. Molly wyglądała tego dnia idealnie, jak żywy obraz: patrzyła na mnie jak na bohatera, a ja byłem zachwycony i przerażony oczekiwaniami i nadzieją w jej oczach. Była największym błogosławieństwem, jakie mnie w życiu spotkało, ale jej szczęście spoczywało teraz w moich dłoniach, a zadanie, żeby być godnym tej odpowiedzialności oszałamiało mnie.

Rozmawiamy przez długą chwilę, aż w końcu zdobywam się na to, żeby zadać Molly pytanie, które mam na końcu języka. Kiedy w rozmowie zapada chwila ciszy, pytam ją bardzo łagodnie:

– Kiedy zaczęło się psuć, Molly?

W czasie rozmowy powoli się do mnie przysuwała, aż wyciągnęła się na kanapie i teraz leży z głową na moich udach. Ta pozycja jest znajoma; pamiętam, że leżała tak ze mną już w pierwszych naszych wspólnych dniach.

Spogląda na mnie w górę, kiedy narzucam zmianę tematu i uśmiech znika z jej twarzy. Później patrzy poza mnie, na sufit, a potem znów niepewnie spogląda mi w oczy.

– Obiecuj, że nie zaczniesz się denerwować – szepcze.

– Mogę obiecać, że się postaram – odpowiadam szeptem.

– Właściwie wydaje mi się, że zaczęło się od tego, że zapomniałeś o pierwszej rocznicy. Miałeś powód, żeby zostać, ale od tej chwili zaczęło się między nami zmieniać.

Opowiedziała mi o rocznicy, opowiadając o motocyklu. Ale nadal tego nie pamiętam i waham się, czy ją spytać, ale nadszedł czas na te bolesne rozmowy. Tak jak przy paskudnych ranach na froncie czasami potrzebne jest bolesne oczyszczenie, żeby wszystko mogło się zagoić.

– Powiesz mi, co się stało?

Porusza się, a ja patrzę, jak kładzie ręce na brzuchu, jakby chroniła nasze dziecko, żeby nie słyszało tej rozmowy. Bardzo mi się to podoba i w jednej chwili urzeka mnie myśl, jak fantastyczną matką będzie moja żona. Nie na długo odwracam uwagę, bo kiedy Molly zaczyna mówić, jej głos jest znów spięty. Czuję, że z tym walczy, stara się być dla mnie ciepła i otwarta.

Wyciągam rękę, żeby pogłaskać ją delikatnie po głowie, a ona znów patrzy mi w oczy.

– Miałeś przyjechać do domu. Miałeś wrócić dzień wcześniej. Zarezerwowałam dom w Blue Mountains i myślałam, że będziemy mogli tam pojechać na nowym motorze.

– Zadzwoń do ciebie przynajmniej powiedzieć, że mnie nie będzie? – pytam.

– Dałeś mi znać, ale w ostatniej chwili. To znaczy, Boże, rozmawialiśmy dzień wcześniej wieczorem przed twoim planowanym powrotem i nie pisałeś słowem, że zostajesz dłużej.

W ogóle tego nie pamiętam – czuję się tak, jakby opowiadała mi o zachowaniu jakiegoś szaleńca, którym z pewnością musiał być facet, który z własnej woli przegapia taką okazję z tą kobietą. Moje wspomnienia nadal nie chcą się pokazać. Wiem, że nie mogę wydobyć ich siłą – długo tego próbowałem zaraz po wybudzeniu, a całe skupienie kończyło się tylko bólem głowy. Molly jest moją furtką do tych wspomnień. Staram się skupić tylko na niej.

– Więc nie powiedziałem ci przez telefon, że nie wracam?

– Nie. Tu było już bardzo późno i leżałam w łóżku, kiedy z tobą rozmawiałam. Przypadkiem ci powiedziałam o domku w górach, a ty wyśmiałeś mnie, że tak się wydałam z niespodzianką. Powiedziałeś, że nie możesz się doczekać, żeby mnie zobaczyć. Zasnęłam, obudziłam się i dostałam od ciebie mail, że nie dasz rady wrócić.

Ale znam tę historię tylko na tyle, żeby wiedzieć, że Molly pomija coś istotnego. Nie znam jej na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co to takiego. Trzymam dłoń w jej włosach, okręcam sobie na palcach jej jedwabiste loki i patrzę na długie orzechowe kosmyki w mojej dłoni. Aż nagle przypominam sobie domek w górach i w jednej chwili historia przestaje być niedorzeczna i doskonale ją rozumiem.

W pierwszym odruchu na zalew powracających wspomnień chcę leżeć i udawać, że nadal nic nie wiem – nie chcę jej mówić, dlaczego nie przyjechałem do domu. Prawda wyjawiałaby moją niepewność, do której chyba nigdy nie będę w stanie się głośno przyznać, nawet Molly. Prawie się wije pod wpływem pojawiających się wspomnień, bo ciężko się przyznać, że pozwoliłem na to, żeby moja słabość zraniła moją żonę w tak brutalny sposób. Wyobrażam sobie, jak się budzi dzień przed naszą rocznicą i się uśmiecha, może sprawdza pocztę w

telefonie, leżąc w łóżku i trafia na mój żalony krótki tekst. To też teraz pamiętam, To było coś w stylu: *przepraszam, Molly, coś mi wypadło. Możesz przełożyć wypad?* Jakby chodziło o wspólne wyjście do sklepu, a ja musiałbym zostać dłużej w biurze.

Pamiętam też poczucie winy jak cios w brzuch, kiedy już wróciłem do domu, a ona pokazała mi motocykl i automatyczną, podłą gorycz, którą poczułem na jego widok. Zawsze chciałem mieć taki motor, ale to był nieprawdopodobnie wielki wydatek, a Molly była w stanie to załatwić jednym telefonem, wiele się nad tym nie zastanawiając. Zamiast szczęścia poczułem złość i bezradność, bo tak wyglądała rzeczywistość – ona była bogata, ja nie, i nic nie mogłem na to poradzić. Wiedziałem o tym, kiedy się z nią żeniłem. Nie musiała mi tego wygarniać w twarz przy każdej rocznicy – a jednak, gdybym cokolwiek powiedział, wyszedłbym na bydlaka. Te rzeczy są we mnie straszne i się ich wstydzę, i chcę się też bronić. Nie miałem wtedy ważnego powodu, żeby zostać dłużej w Iraku; protesty przeciwko irackiemu premierowi zaczynały wtedy przybierać na sile i nawet teraz, kiedy patrzę na moją piękną, cierpiącą żonę, chcę się skupić na tym, bo wtedy wydawałbym się szlachetny. Ale nie dlatego zostałem. I jeżeli naprawdę chcę naprawić związek z Molly, muszę zrobić to, co jej obiecałem i unikać zdenerwowania, które jest moją odruchową reakcją w czasie tych trudnych rozmów.

– Molly – mówię. – Pamiętam ten dzień.

Ból w jej oczach łamie mi serce i jaskrawie kontrastuje z beztróskim śmiechem i radością sprzed kilku minut. Uświadamiam sobie, że to ja jestem w pełni odpowiedzialny za tę zmianę i czuję się źle.

– To drobiazg w całokształcie – mówi, wyraźnie próbując mnie pocieszyć, co tylko pogarsza sprawę. – To znaczy, wiem, że miałeś ważny powód, żeby zostać i czuję się źle... Prawdę mówiąc, czułam się bardzo źle przez to, że robiłam ci z tego powodu wymówki. Napisałeś kilka świetnych artykułów z tej wyprawy, ale...

Ale nie mogę tego słuchać ani chwili dłużej. Kręcę głową, a lekki ból wewnątrz czaszki być może jest odpowiednią karą za to, co mam powiedzieć.

– Muszę ci coś powiedzieć, chociaż naprawdę ciężko mi się do tego przyznać... Ale mam nadzieję, że docenisz to, jak się staram naprawić nasz związek. Dobrze?

Za dużo gadam, przeciągam sprawę, zwlekam z tym, co mam powiedzieć, bo strasznie się tego wstydzę. Cierpliwa akceptacja, jaką widzę w oczach żony, wcale nie dodaje mi odwagi. Unoszę brodę i spoglądam na telewizor na ścianie nad kominkiem. Jest wielki i nie pasuje do mojego domu, pasuje do jej domu. To nasz dom i dzięki temu jest moim domem. Każdy aspekt tej chwili mnie drażni i mam wrażenie, jakbym miał wewnątrz węzeł, który coraz bardziej się zaciska, kiedy bawię się z myślami zamiast wyznać Molly prawdę.

– Ja też zaplanowałem dla nas wycieczkę, Molly – mówię w końcu. – Też chciałem ci zrobić niespodziankę.

– Tak? – Zerkam na nią tylko na tyle przelotnie, żeby dostrzec szok w jej szeroko otwartych oczach.

– Wynająłem mały bungalow na południowym wybrzeżu. Nie mogłem się doczekać, żeby cię zobaczyć – przyznaję. – Tak strasznie za tobą tęskniłem, nawet rozmowa przez telefon była dla mnie bolesna. Przyszło mi do głowy romantyczne gniazdko w spokojnej wiosce, którą znalazłem w internecie. Wpisałem w Google coś żałosnego w stylu: Najbardziej romantyczne wypady w odległości jazdy samochodem od Sydney. To było zwyczajne spokojne miejsce na odludziu, żadne wielkie halo, tylko duże łóżko i balkon z widokiem na morze. Wynająłem nawet samochód, żebyśmy mogli zabrać ze sobą Luciena.

– Powinieneś był mi powiedzieć, to takie słodkie... – mówi, ale potem kręci głową, ocierając ją o moje udo. – Pomysł był słodki, ale to nie zmienia nic w kwestii tego, że nie wróciłeś do domu.

– Powiedziałaś mi nazwę ośrodka, który znalazłaś, kiedy rozmawialiśmy przez telefon i też wyszukałem go w Google.

Pamiętam uczucie porażki, kiedy o nim czytałem i docierało do mnie, jakie miejsce dla nas wynalazła. Ja wyobrażałem sobie nasz weekendowy wypad podobny do tego do Uluru – nocleg w wygodnym, ale skromnym miejscu, takim, na które byłoby mnie stać. Nie brałem pod uwagę tego, że liczy się położenie, dopóki nie zobaczyłem tego, co zaplanowała ona. Myślałem, że chodzi głównie o spędzony wspólnie czas.

– I...?

– Nazwałaś to „domkiem” – mówię łagodnie. – Ale to nie był domek, Molly. To był ekskluzywny ośrodek, najbardziej podstawowy pokój kosztował tysiące dolarów za noc, a wiedziałem, że nie zarezerwowałaś pokoju w podstawowym standardzie.

– To prawda. Chciałam ci zrobić niespodziankę, wiedziałam, jak ci ciężko w Iraku – wyszeptała i znów pokręciła głową. – Nie rozumiem, Leo. Przecież nas na to stać.

– Ja zaplanowałem skromny, zwyczajny weekendowy wypad. Byłabyś rozczarowana, gdybym zrealizował plany. Żadnego wykwińskiego jedzenia, prywatnego tarasu ze spa ani masażystki w zasięgu wzroku. Poza tym wiedziałem, że czułbym się bardzo niezręcznie w tym miejscu, które wynajęłaś, ale ty w ten sposób wyobrażałaś sobie weekendowy relaks. Ja nawet nie wiedziałem o takich miejscach, nie mówiąc o tym, że miałbym je dla nas zarezerwować.

– Chcesz powiedzieć, że nie przyjechałeś do domu dlatego, że nie chciałeś jechać do mojego ośrodka?

Słychać, że jest zła, i nic dziwnego. Waham się chwilę.

– Nie, sprawa była o wiele bardziej złożona. Miałem ważne powody, żeby zostać. Narastały niepokoje, pojawiały się dobre tematy... – Zdobywam się na odwagę, żeby znów na nią spojrzeć i widzę, że jej oczy toną we łzach. Jestem bez tchu. – Nie. Tak. Dobra, Molly, będę z tobą brutalnie szczery. Zostałem w terenie, bo tam czułem się silny i mocny. A kiedy spojrzałem na twoje plany z okazji naszej pierwszej rocznicy, poczułem się zupełnie nie na miejscu. – Zmuszam się, żeby mówić dalej, otwieram się z wysiłkiem, przedzieram przez ból, bo możliwe, że to jest właściwa droga, a musimy odnaleźć drogę, ale słowa, które wypowiadam, wydobywają się z takiej głębi, że mógłbym je tam skrywać do końca życia i nikt by się nigdy nie dowiedział. – Chyba nigdy nie czułem się tak nie na miejscu jak tamtego dnia.

Roztrzęsiona Molly bierze oddech i jedna łza spływa po jej twarzy. Oddycham ciężko, bo to wyznanie było dla mnie sporym wysiłkiem i czuję się teraz nagi i niepewny, czy w ogóle było warto. Drżącym palcem wycieram mokrą strużkę od jej oka do włosów i nagle chcę ją przytulić. Muszę ją objąć i obiecać jej, że się poprawię.

Nie ruszam się, bo wcale nie jestem pewien, czy zasługuję na to, żeby spełnić to pragnienie.

– Gdybyś mi tylko o tym powiedział... – mówi niepewnie.

– Na pewno rozumiesz, że nie mogłem.

– A dlaczego mówisz mi teraz?

– Powiedziałem ci – szepczę. – Zrobię wszystko, żeby naprawić nasz związek. Może przede wszystkim zabrakło takich rozmów, choć są bolesne. Jak sądzisz?

Molly siada i zarzuca mi ręce na szyję i wtula w nią twarz.

– Tak cię przepraszam, Leo.

– Nie – szepczę cicho. – To ja cię przepraszam.

– Rozumiem. – Siedzimy w milczeniu przez minutę czy dwie, aż w końcu

Molly szepcze gorączkowo: – Leo, przypomniałeś już sobie, co się stało w barze?

Kręcę głową.

– Nie sądzę, żebyś mnie zdradzał – mówi cichym głosem. – I nie chcę cię atakować, ale tak często nie było cię w kraju przez ostatnie lata. Gdybyś mnie zdradzał, mogłeś to robić całymi miesiącami w całkowitym spokoju w jakimś hotelu za granicą. Nie sądzę, żebyś czekał z tym na powrót do Sydney.

– Nie wyobrażam sobie, że kiedykolwiek mógłbym choć spojrzeć na inną kobietę – mrużę. – Musiało chodzić o coś innego. Na pewno.

Siedzimy w milczeniu przez minutę. Molly się odwraca, ale opiera się o mnie i kładzie głowę we wgłębieniu przy moim ramieniu. Obejmuję ją i opieram brodę o jej głowę.

– Muszę cię o coś poprosić – mówi cicho.

- O co tylko chcesz, skarbie.
- To wielka prośba.
- Dobrze. Mów.
- Możesz się wypisać z kliniki i wrócić do domu?

To ostatnia rzecz, jakiej się po niej spodziewam. Odsuwam ją od siebie delikatnie, a ona spogląda mi w oczy. Jej oczy zdążyły już wyschnąć, ale na jej twarzy widać determinację, której nie rozumiem.

- Tutaj? – mówię. – Ale jak? To znaczy...
- Nie, pewnie nie tutaj – mówi niechętnie. – Byłeś za bardzo wkurzony przez tę herbatę i pewnie nie zauważyłeś, ale kazałam zamontować windę i...

Spoglądam na schody.

- Jej – mówię. – Cóż...
- Chodzi o to, że tu nie ma miejsca na sprzęt – przerywa mi Molly. – A jak już zaczniesz korzystać z tej windy, zobaczysz, jaka jest powolna. Owszem, wwiezie na górę i zwiezie, ale powoli.

– A co masz na myśli?

- Wiem, że nie spodoba ci się ten pomysł, ale moje mieszkanie w Bennelong wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Jest tam basen, z którego możesz korzystać i nieograniczone miejsce na sprzęt, i nie ma schodów, tylko winda. Mogę zainstalować poręczę w łazienkach i wszystko, co będzie potrzebne, na pewno się uda obniżyć blaty w kuchni, ale nawet jeśli nie, będziesz mógł zawołać konsjerża i przyniesie ci herbatę.

Mówi szybko, chyba stara się wypowiedzieć wszystkie słowa, zanim jej przerwę. Czeka, aż skończy, a potem zakładam jej kosmyk włosów za ucho i dotykam czołem jej czoła. Niesamowicie jest być tak blisko niej. Nawet ta delikatna rozmowa w pewnej chwili przestała być bolesna i stała się największą nagrodą.

– Naprawdę tego chcesz?

- Tak. Bardzo. Widzę, że naprawdę ci zależy, że naprawdę chcesz wszystko naprawić. Zaczynam myśleć, że może ja też tego chcę. A nie sądzę, żeby nam się to udało, jeżeli nie będziemy starać się razem.

Pamiętam, kiedy pierwszy raz próbowaliśmy podjąć decyzję, gdzie będziemy mieszkać. Rozmawialiśmy o tym bez przerwy całymi tygodniami – ona się upierała, że chce zostać w Bennelong, dla mnie była to najgorsza możliwość, i nic się nie zmieniło, nadal nie cierpię tego mieszkania.

To sterylne, sztuczne mieszkanie w sterylnym, sztucznym świetle pełnym bogatych ludzi, którzy patrzą na mnie z góry i pławią się w swoim luksusie. Nie ma tam duszy ani poczucia wspólnoty – nie ma wesołego pana Wilkinsa po sąsiedzku ani pięknej żakarandy za oknem. Ale będzie tam Molly. Znów mógłbym się budzić obok niej każdego ranka. Patrzy na mnie błagalnie. Naprawdę tego chce, może

nawet potrzebuje. Tam mógłbym się opiekować nią i dzieckiem.

– Dobrze – mówię.

– Dobrze, to znaczy, że się nad tym zastanowisz? – pyta z wahaniem.

– Nie. – Uśmiecham się do niej. – Dobrze to znaczy, że się zgadzam. Kiedy zaczynamy?

31. Molly

Grudzień 2012

Rano, w dniu naszej pierwszej rocznicy ślubu, przekręciłam się na bok po to tylko, żeby zobaczyć śpiącego przy mnie Luciena. Obróciłam się więc w drugą stronę, do telefonu. Liczyłam na esemes od Leo, ale kiedy przeczytałam jego maila, załapała mnie fala rozczarowania. Myślałam, jak mi brakuje jego obecności i jak puste jest moje życie, gdy wyjeżdża. Wtedy, zupełnie znikąd, pojawił się pomysł. Znów sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do mamy.

Nie rozmawiałam z nią od roku, od ślubu.

– Molly? – spytała niepewnie i niewiele brakowało, żebym się na dźwięk jej głosu całkiem załamała.

– Cześć, mamó. – Staralam się brzmieć nonszalancko, ale byłam tak przybita, że mówiłam piskliwie.

– Skarbie, wszystko dobrze?

– Tęsknię za tobą. I za tatą – wyznałam szczerze. Czułam się już nie tyle samotna, co po prostu sama. Mama chwilę milczała. Potem odezwała się szeptem:

– Kochanie, tata nigdy nie zaakceptuje tego mężczyzny. Po prostu nie. Zbyt wiele się wydarzyło.

– Wiem. Ale może zaakceptuje mnie? Jak myślisz? A ty? Leo tak często wyjeżdża. Może moglibyśmy kiedyś zjeść razem lunch?

– Myśleliśmy, że w tych okolicznościach nie będziesz chciała się z nami widywać – odparła sztywno.

– Jesteście moimi rodzicami. Kocham was. Nie znoszę tej rozłąki. Ty nie? Możemy się spotkać, jeśli nie będziemy o nim rozmawiać?

Tego popołudnia wypiliśmy z mamą kawę. Atmosfera była bardzo oficjalna, ale uznałam, że to dobry początek. Dwa dni później, kiedy według planów mieliśmy wracać do Sydney na nowym motorze Leo, poszłam do rodziców na brunch, do ich posiadłości w Point Piper.

Tata mnie uściskał, ale nie wspomniał nic o tym, że odeszłam z TM. O Leo też nie mówił. Automatycznie wzięłam na siebie wypełnianie niezręcznej ciszy i przy jajkach po benedyktyńsku i kawie opowiadałam o nowej pracy. Nie zareagowali na to, że nazwałam fundację na cześć Declana, ale przez kilka godzin rozmawialiśmy o tym, co robię. Wydawali się szczerze zainteresowani, a mnie to dodało skrzydeł.

Kiedy wyszłam, wiedziałam, że rodzice są ze mnie dumni i to w dużym stopniu ukoilo ból wywołany nieobecnością Leo. Chciałam mu powiedzieć o

spotkaniu, ale wiedziałam, że nie będzie zadowolony. Ilekroć wypływała kwestia moich rodziców, zamykał się w sobie i sztywniał, a potem zmieniał temat, jakby nie mógł znieść choćby słuchania o nich. Postanowiłam więc, że będę się z nimi co jakiś czas spotykać, tylko w czasie jego nieobecności i głównie po to, żeby wiedzieli, co się dzieje w fundacji nazwanej na cześć ich syna.

 Nie rozumiałam wówczas, że jeszcze bardziej komplikuję nasze sprawy i oddalam nas od siebie, jakby sytuacja nie była już dość skomplikowana, a my wystarczająco dalecy.

Sierpień 2015 r.

Po rozmowie o rocznicy czuję się lepiej. Wydaje mi się, że teraz nasze popołudniowe spotkania staną się w mniejszym stopniu obowiązkiem, a bardziej sposobem na zbliżenie się do siebie. Mniej wychodzimy, więcej się dotykamy. Znowu okazuje mi czułość jak na początku, a ponieważ nie mogę jej trzymać za rękę, gdy idziemy, robię to zawsze, gdy siedzimy obok siebie.

Podejrzewam, że w Bennelong dzieją się cuda. Nic nie wiem, bo to ma być niespodzianka, ale obiecała, że kiedy skończy, poczuję się tam jak w domu. Biorąc pod uwagę, jak żywiołowo się niegdyś przeciwko temu buntowałem, jestem zadziwiająco nieporuszony perspektywą zamieszkania pod jednym z najdroższych adresów w Sydney. Zresztą, zaczynam podejrzewać, że „domem” nazwę każdy budynek, w którym będę się mógł budzić obok niej.

O ile jednak robię postępy w życiu i z pamięcią, w kwestii rehabilitacji postępów brak. Nie mogę nawet samodzielnie stać. Czasem udaje mi się to przez kilka sekund, ale rano, kiedy jeszcze nie jestem zmęczony, jeśli ktoś mnie podtrzyma w pozycji pionowej, bo sam nie potrafię utrzymać równowagi oraz kiedy mam się na czym oprzeć. Pracuję po kilka godzin dziennie, a efektów w zasadzie nie ma.

To żałosne i frustrujące, a moi fizjoterapeuci zaczynają okazywać zniechęcenie. Stopniowo przestają się skupiać na postawieniu mnie do pionu i koncentrują się na przyzwyczajeniu mnie do życia na siedząco.

– Świetnie ci idzie, mało kto czuje się na wózku tak swobodnie – chwali mnie terapeuta, a kiedy powtarza to przez kilka dni z rzędu w końcu nie wytrzymuję.

– Chce mi pan powiedzieć, że muszę się do tego przyzwycząić?

– No cóż... Przynajmniej tymczasowo lepiej byłoby się pogodzić z sytuacją i szukać sposobów na uporanie się z nią niż skupiać się na zmianie.

Żądam nowego terapeuty, ale drugi jest niewiele lepszy – jego ćwiczenia nie prowadzą do spionizowania mnie, tylko do opanowania wózka na tyle, żebym w ogóle nie musiał wstawać. Nastroje w klinice ulegają zmianie i kamień spada mi z serca, gdy Molly oznajmia, że mogę się już wprowadzać do Bennelong.

Któregoś popołudnia odwiedzam ją w biurze i rozmawiamy z kilkorgiem terapeutów. Chcemy kogoś zatrudnić na pełny etat w naszym nowym domu. Z szóstki, którą wybrali Molly i Tobias, wyróżnia się jedna osoba.

– Tracy wydaje się najlepsza – oznajmiam, a Molly unosi brew.

– Przyszło czterech facetów, nieatrakcyjna kobieta w średnim wieku i zniewalająca blondynka. Naprawdę musiałeś wybrać blondynkę?

– Wykazała największy optymizm! – bronię się. Molly wzdycha.

– To prawda.

– Inni mówili o „pogodzeniu się z sytuacją”, jak ci idioci w klinice. Ona wspomniała o agresywnej terapii, która postawi mnie na nogi.

– Wiem. Po prostu... – Zerka na mnie i wzrusza ramionami.

– Poza tym zachowywała się naprawdę profesjonalnie. Nie jej wina, że wygląda, jak wygląda.

– Fakt.

– Ty też jesteś zjawiskowa, a nigdy nie przekraczałaś granicy między pracą a życiem prywatnym.

– Bardzo dobrze ci idzie ten wywód.

– Ale jeśli nie będziesz się czuła pewnie, wezmę któregoś z tych facetów.

– Nie, zatrudnimy seksowną blondynkę. Naprawdę wyglądało na to, że tylko ona wierzy w sukces. – Molly wzdycha, a potem dodaje pod nosem: – Ale wiedz, że jeśli będziemy potrzebowali niani, w ramach zemsty wybiorę jakiegoś obłądnego młodzieńca z kaloryferem na brzuchu.

– Na pewno będzie miał inne zalety. Przynajmniej ukończone studia pedagogiczne.

– Zobaczmy, kto się zgłosi. Jeśli w grę wchodzi kaloryfer, na wiele jestem w stanie przymknąć oko.

– Co to ja mówiłem o twoim nieprzekraczaniu granic...?

Uśmiecha się i daje mi buziaka.

– Zadzwońię do Tracy i zaproponuję jej posadę.

Moja niesamowita żona wszystko zorganizowała. Błaty w kuchni i łazience zostały obniżone, żebym miał do nich swobodny dostęp, a jej kącik do czytania jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienił się w salę rehabilitacyjną. Będę mógł ćwiczyć, patrząc przez panoramiczne okna na most Sydney Harbour. Znalazła też wyprowadzacza psów, który będzie kilka razy w tygodniu przychodził do nas z Lucieniem. Pomyślała o wszystkim. W dniu, w którym ostatnia ekipa remontowa pakuje swoje manele, biorę rzeczy i jadę do mojego nowego domu. Molly czeka na progu. Gdy otwierają się drzwi windy, patrzymy na siebie.

– Witaj w domu – mówi. Zbliżam się, zestawiam torbę z kolan i biorę Molly za rękę.

– Wspaniale tu być – oświadczam całkiem szczerze. Oprawadza mnie, a ja z zachwytem oglądam udogodnienia, jakie wprowadziła.

– I co myślisz? – dopytuje trochę nerwowo, gdy kończymy obchód.

– Co myślę? – powtarzam, a potem łapię ją za rękę i ciągnę na kolana. – Pocałuj mnie. Kocham cię. Oto, co myślę!

Chichocze, całuje mnie delikatnie, ale kusząco, a następnie się oswobadza i idzie do kuchni.

– Lepiej tu chodź, Stephens. Obiecałeś mi suflet, jak już się wprowadzisz!

– Strasznie się namęczyłaś, żeby go dostać.

– Ciężarne kobiety robią czasem szalone rzeczy, żeby zrealizować zachcianki. Myślałam, że już o tym wiesz.

Później, po jedzeniu na telefon i suflecie, Kochamy się w jej łóżku, w tym, w którym robiliśmy to po raz pierwszy. Echo tamtej nocy rozbrzmiewa wokół, ale wszystko wygląda inaczej.

Siłą rzeczy jestem znacznie bardziej bierny. Szukamy sposobów na obejście tej niedogodności, a Molly jest świetna w odwracaniu mojej uwagi od tego, czego już nie mogę i skupianiu się na cudzie tego, co nadal jest nam dane. Udaje się, a komunikacja i współpraca, jakiej to wymaga, owocuje poziomem intymności, o jakim nie miałem pojęcia.

Po wszystkim ona leży z głową na mojej piersi, a ja przytulam ją tak mocno, że drżą mi ręce. Jestem wzruszony, że znów mogę z nią być. Całuję ją we włosy i szepczę:

– Kocham cię bardzo. – I ściskam jeszcze mocniej. – To zawsze były moje ulubione chwile.

– Co ty powiesz? – pyta sceptycznie, a ja się cicho śmieję i znów ją całuję.

– Naprawdę. Właśnie to odróżnia kochanie się od uprawiania seksu.

Zasypiamy przytuleni na łyżeczkę, a ja przywieram do niej całym ciałem. Rękę kładę na jej brzuchu, tam, gdzie rośnie nasze dziecko, i czuję się zupełnie spokojny i szczęśliwy, że jest, jak jest. Myśli o pracy i niesprawnych nogach odfrunęły gdzieś bardzo daleko.

Odkąd mieszkam u Molly, czuję się jak na wakacjach, nie licząc oczywiście codziennej fizjoterapii. Wstaję wcześniej, pływam, a potem jemy razem śniadanie. Czytamy gazety, jedząc tosty i popijając świeżo zaparzoną kawę, a następnie szykujemy się do pracy. Tyle że moją pracą są teraz ćwiczenia. Praca Molly czeka na nią w budynku fundacji, w Redfern.

Po południu jestem już po rehabilitacji i odpoczywam, a Molly wraca do domu. Obiecaliśmy sobie, że będziemy spędzać popołudnia razem, choćby miało to polegać tylko na leżeniu obok siebie na kanapie i czytaniu. Czasem spotykamy się z Bradem i Penny lub z moją rodziną. Albo wychodzimy na kawę czy kolację. Najczęściej jednak spacerujemy po ogrodzie botanicznym niedaleko domu i rozmawiamy.

– Opowiesz mi o czasach, kiedy wyjeżdżałem, ale to było w porządku? – pytam któregoś popołudnia. Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– W porządku? – powtarza. Wzruszam ramionami.

– Przecież musiałaś się jakoś przyzwyczaić. Jeździłem na wojnę od samego

początku i to ci nie przeszkadzało.

– Nigdy nie było tak, że mi nie przeszkadzało. I nigdy się nie przyzwyczaiłam.

Łaknę odrobiny optymizmu, więc jej stanowczość mnie frustruje.

– Trochę przesadzasz, nie wydaje ci się?

– Chyba właśnie ta maniera sprawiła, że w końcu odpuściłam nasze małżeństwo.

– Jaka maniera? – Jestem zdumiony, bo nie miałem pojęcia, że robię coś nie tak. Powtarzam w głowie swoje słowa, ale tajemnica zostaje rozwiązana już po chwili, gdy Molly się zatrzymuje i chłodno tłumaczy:

– Chodzi mi o ten lekceważący, arogancki ton, którego używasz jedynie, gdy rozmawiamy o twojej pracy.

Wzdycham i uśmiecham się przepraszająco.

– Próbuję nie dać tej rozmowie rozwinąć się w złym kierunku.

– Nieprawda. Próbujesz wygrać. Dla ciebie optymalnym rozwiązaniem tych pogawędek jest sytuacja, w której ja doznaję objawienia, że w zasadzie było w porządku, ty odzyskujesz władzę w nogach i wszystko wraca do normy. Nie namówisz mnie. Ja nie straciłam pamięci, wiem, jak było. Stale się o ciebie martwiłam. A im bardziej ci to okazywałam, tym bardziej mnie lekceważyłeś. Im rzadziej dawałeś znać, co z tobą, tym bardziej się denerwowałam i czułam się coraz bardziej wyobcowana. Nie było chwili, żebym się obudziła w łóżku sama, przypomniała sobie, że jesteś na wojnie i pomyślała: Ale super!

– No dobrze, ale nie zdarzało się, że byłeś z mojej pracy bardziej dumna niż nią wykończona?

– Cały czas jestem bardzo dumna z twojej pracy, a teraz, kiedy sama pracuję i sprawia mi to przyjemność, nawet rozumiem, dlaczego robisz to, co robisz.

– Czyli były sytuacje, w których mnie wspierałaś?

– Zawsze się starałam cię wspierać. Ale ja cię kocham. Chciałam z tobą dzielić życie, a nie widywać cię co parę miesięcy przez kilka dni, a potem znów tracić. Zwłaszcza... Zwłaszcza teraz nie ma o tym mowy. – Dotyka lekko zaokrąglonego brzucha, a ja kiwam głową, ale nic nie mówię. Dyskusja pozostaje nierozstrzygnięta, ale ja sobie powtarzam, że dojdziemy do tego, znajdziemy kompromis i będę mógł pracować, nie tracąc Molly.

Im bardziej u siebie czuję się w Bennelong, tym bardziej desperacko chcę wrócić do pracy. Nie chodzi o to, że próbuję uciec od Molly, ale po prostu kocham moją pracę i dni bez niej wydają mi się zmarnowane.

Stopniowo przedzieram się przez artykuły, które pisałem w zapomnianych latach. Wszystkie są mi jakoś tam bliskie, ale czasem wracają do mnie chwile na polu walki. To słodko-gorzkie momenty, bo desperacko pragnę się znów tam znaleźć, a życie zdaje się toczyć gdzieś bardzo daleko ode mnie. Czytanie traktuję

trochę jak medytację, bo wspominając tamte dni, uświadamiam sobie, jaki sens miało moje życie.

Któregoś dnia docieram do artykułu pisanego na początku wojny w Syrii i przyglądam się zdjęciu zrobionemu przez Brada. Przedstawia starszą parę siedzącą wśród gruzów domu. Przypominam sobie związane z nim uczucie niechęci do Molly, więc pokazuję jej fotografię, jak tylko wraca.

– Ach, to... – wzdycha i uśmiecha się smutno. – Pokłóciliśmy się o to zdjęcie.

Ja też wzdycham.

– Boże, to się nigdy nie skończy. Jak mogliśmy się pokłócić o zdjęcie?

– Pokazałeś mi je po powrocie, a ja powiedziałam, że ci ludzie są do siebie podobni. Myślałam, że to rodzeństwo.

– Pewnie tak jest.

– Ty twierdziłeś, że to kwestia wspólnego życia: uprawiali razem ziemię, doświadczali tego samego, to samo jedli, razem się śmiali i płakali, więc zestarzelili się tak samo. W wieku osiemdziesięciu lat, czy ile lat mieli, wyglądali bardzo podobnie. Ja chyba powiedziałam coś w stylu, że nas to nie spotka, bo biorąc pod uwagę ryzyko, na jakie się stale narażasz, na tym etapie już dawno będziesz martwy. – W jej głosie niemal nie słychać emocji. – Na to ty odparłeś, że cię nie wspieram i że to nie będzie trwało wiecznie i bla, bla, bla. Skończyło się na tym, że Lucien uciekł do pani Wilkins i wrócił, dopiero jak przestaliśmy wrzeszczeć.

Uderza mnie jedno zdanie.

– Uważałaś, że za bardzo ryzykuję?

– Tak. Zresztą wszyscy tak uważali. Może z wyjątkiem Kisani, która się cieszyła wzrostem popularności magazynu za każdym razem, gdy w walce o newsa zostawała ranny. – Wzdycha. – Nie powinnam tak mówić. Po twoim wypadku była zdruzgotana i przepraszała mnie, że zgodziła się na to. Wtedy już nawet ona wiedziała, że to był błąd.

– A był? – pytam ostrożnie. – Żeby zdobyć ważny materiał, czasem trzeba podjąć ryzyko. Poza tym zostałem ranny w wypadku samochodowym. To samo mogło mi się zdarzyć tu, w Sydney, w drodze na piknik.

Molly unosi brew.

– Ale się nie zdarzyło tu, tylko w Syrii, kiedy uciekałeś przed bojówką, która chciała cię wysadzić w powietrze. Naprawdę zamierzasz siedzieć na wózku inwalidzkim i wmawiać mi, że pogoń za newsem, w wyniku którego doznałeś urazu mózgu, to nie był błąd?

– Na wojnie jest niebezpiecznie. W spokojnych miejscach nie ma ważnych tematów. – Molly się podrywa. – Nie, proszę cię! – Łapię ją za rękę. – Zostań, porozmawiajmy

– Nie rozumiesz, jak strasznie trudno się cię słucha? Myślałam, że

umrzesz! Zastanawiałam się, czy dam radę lecieć samolotem, w którym będą twoje zwłoki – cedzi i odrzaca moją dłoń. – Jeszcze nie zacząłeś znowu chodzić, a już urabiasz grunt pod kolejne ryzykowne zlecenie. Nie wiem, czemu wciąż musisz przekraczać granice.

– Któregoś dnia wrócę do pracy. Wiesz, że to moje powołanie – stwierdzam, a ona jęczy i odrzuca głowę.

– No więc ty też się czegoś dowiedz: kiedy następnym razem będziesz leżał w śpiączce gdzieś za granicą, to nie do mnie zadzwonią, żebyśmy się tym zajęła. Ja w tym czasie będę tutaj, z naszym dzieckiem, żyjąc swoim życiem.

Wychodzi i trzaska drzwiami, a ja wzdycham i wracam do artykułu. Widzę na końcu swoje nazwisko i czekam na nieodzowny dreszcz dumy oraz na nagłą niecierpliwość, która, odkąd tkwię tu uziemiony, pchała mnie do wzmożonej rehabilitacji i powrotu do pracy.

Ale nie zjawia się ani jedno, ani drugie. Przeciwnie, mogę myśleć tylko o Molly. Zamykam magazyn i idę za nią. Jest w łazience, odkręciła prysznic. Przyglądam się jej, gdy ściąga ubranie i wściekle rzuca na podłogę.

– Tak wyglądały nasze kłótnie? – pytam, a ona łypie wściekle i wchodzi pod strumień wody.

– To nie kłótnia – śmieje się gorzko. Woda spływa jej na twarz, a potem na włosy. – Według naszych standardów to była przyjacielska pogawędka, ale masz już jako taki pogląd na sprawę i chociaż ostatnio układa się nam cudownie, widzę, że problemy nie zniknęły, a rozwiązania wciąż nie ma.

– Tak... – mrużę. – Musimy znaleźć kompromis.

– Nie ma kompromisu.

– Będę mniej wyjeżdżał.

– Już raz to obiecałeś. Nie wytrzymałeś długo.

– A ty masz jakieś rozwiązanie?

– Tak.

– Jakie?

Wylewa szampon na dłoń, potem spienia włosy i spłukuje. Strumienie wody spływają po jej lśniącem nagim ciele i śledzę ich bieg. Na chwilę zapominam o całym świecie.

– Leo! – przywołuje mnie do porządku. Kiedy patrzę jej z powrotem w oczy, marszczy czoło.

– Przepraszam – szepczę. – Może powinnaś cały czas chodzić nago. Wtedy nie mógłbym się z tobą kłócić.

– Nawet moje nagie ciało nie wystarczy, żeby cię powstrzymać przed wskoczeniem do samolotu w sekundzie, gdy uruchomisz nogi.

– Więc jakie jest twoje rozwiązanie? Mam przestać pracować? – Czuję, że zaczyna mi drgać mięsień w szczęce, więc go rozmasowuję. Molly bez słowa

nakłada na włosy odżywkę. – Naprawdę wolałabyś, żebym tu szczeł?

– Nie panujesz nad sobą. Tamten świat tak cię pochłania, że zapominasz o tym. Tak, według mnie rozwiązaniem jest to, żebyś przestał jeździć na wojnę. Możesz wciąż pisać, nadal być dziennikarzem, nawet zostać korespondentem gdzieś za granicą, ja i dziecko się z tobą przeprowadzimy. Ale nie będziesz już zbierał materiałów w strefach walk, przynajmniej nie osobiście, bo twoje uzależnienie od wystrzału adrenaliny nas wykończy.

Zakręca wodę i wychodzi z kabiny, a ja podaję jej ręcznik. Owija się, żeby wyschnąć, ale łapię za rąbek i ściągam. Patrzę na jej ciało. Jej brzuch powoli, ale stanowczo się uwypukla, a ona promienieje matczynym blaskiem, który jest dla mnie niesamowicie pociągający. Powoli przenoszę wzrok na jej twarz i widzę, jak ze sobą walczy.

– W końcu będziemy musieli odbyć tę rozmowę – szepcze. I od razu smutnieje. – Wszystko od tego zależy.

– Wiem. – Przełykam ślinę. – Ale mamy czas. Nie musimy podejmować żadnej decyzji w tej chwili. Ani... – Znów opuszczam wzrok, a gdy wracam na górę, ośmielam się wyzywająco uśmiechnąć – W ciągu najbliższej półgodziny.

Wzdycha i mija mnie.

– Gdzie idziesz? – wołam za nią, a ona odwraca się przez ramię.

– Do sypialni, a gdzie? Nie spóźnij się!

33. Molly

Grudzień 2013

Leo obiecał, że wróci na Boże Narodzenie. To był bardzo trudny rok, spędzony w dużej mierze osobno i nie mogłam się wprost doczekać spotkania. Nie przyjeżdżał od tak dawna, że zaczęłam zapominać, jak pachnie. Co jakiś czas wtulałam twarz w jego ubrania w garderobie, żeby sobie przypomnieć.

– Święta – powtarzał, ilekroć mówiłam, że tęsknię albo narzekałam, gdy po raz kolejny przesuwiał datę powrotu. – Wynagrodzę ci to w święta, obiecuję.

Kilka dni wcześniej pisał w mailu, że przylatuje w Boże Narodzenie o szóstej rano i spytał, czy mogłabym przyjechać po niego na lotnisko, choć nigdy tego nie robiłam. Wszystko zaczynało się układać. Wspólne święta, pierwsze takie całkiem nasze.

Wyobrażałam sobie leniwy dzień i przytulanki w łóżku, więc w ogóle się nie przejmowałam, że w Wigilię nie mogłam zasnąć. Myślałam nawet, żeby w ogóle się nie kłaść, ale w końcu odpłynęłam w lekki sen. Telefon zadzwonił w Boże Narodzenie o czwartej rano.

Dźwięk komórki leżącej na poduszce obok wywołał taki wstrząs, że zanim zdołałam przyłożyć słuchawkę do ucha, cała się trzęsłam. Próbowałam zgadnąć, jaką informację usłyszę: katastrofa samolotu? Wypadek samochodowy w drodze na lotnisko? Zbłąkana kula? Był martwy czy tylko ranny?

– Leo?

– Molly, kochanie, bardzo cię przepraszam. Nic się nie stało. Wybacz, że dzwonię tak wcześnie, ale potem może nie być okazji. Która jest u ciebie godzina?

– U mnie? Jak to? Nie jesteś w samolocie?

Milczenie wystarczyło za odpowiedź. Już sama nie wiedziałam, czy to sen, z którego się obudziłam, był koszmarem, czy może rzeczywistość.

– Nie mogłem wyjechać. Oglądałaś wiadomości? Wybuchły zamieszki, tysiące ludzi protestują...

– Czyli nie chcesz przyjechać?

– Nie mogę.

Jego frustracja była wręcz namacalna, a ja ocknęłam się na tyle, żeby słyszeć, jak kiepska była jakoś połączenia. Wiedziałam, że rozmowa długo nie potrwa. Miałam ochotę na niego nawrzeszczyć, a przynajmniej dać mu do zrozumienia, jak bardzo mnie skrzywdził. Ale tylko usiadłam i odgarnęłam włosy z twarzy. Zaspany Lucien uniósł głowę, a potem wstał, przydreptał do mnie i ciężko opadł mi na kolana. Wolną ręką pogłaskałam miękkie futro i poczułam, jak jego

ciepło przynosi mi ukojenie.

Nienawidziłam w tej chwili całego świata, nawet tego, że nasz pies był już tak przyzwyczajony do mojej rozpaczy, że rozpoznawał pierwsze oznaki i oferował wsparcie. Samotność zawsze jest beznadziejna, ale w Boże Narodzenie to już ostateczny upadek. Mogłabym pojechać do jego rodziny, ale przecież wszyscy wiedzieli, jak się niesamowicie cieszę na dzień spędzony z Leo. Wstydziłam się na samą myśl, że miałabym się tam pojawić i oznajmić, że jednak nie przyjedzie.

– Więc kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

Nie odpowiedziałam. Co miałam powiedzieć? Pomyślałam o kanapkach z jego ulubioną pastą, które wycięłam na kształt choinek. Głupota, dziecinny gest, ale czułam się tak rozkosznie lekko, kiedy niezdarnie wycinałam nożem misterny kształt. Czekały na niego w lodówce. Pomyślałam, trochę histerycznie, że ich nie zje, a ja może będę musiała je podać na stypie. Wiedziałam, że namawianie go do zmiany zdania nie ma najmniejszego sensu, on już podjął decyzję. Zadzwoił, żebym nie czekała na lotnisku, gdy wyląduje samolot bez niego na pokładzie.

– Kocham cię – powiedział. A przynajmniej tak mi się zdawało, bo na linii były straszne zakłócenia. Miałam ochotę nie odpowiadać, żeby zobaczył, jaki ból mi sprawił, ale za bardzo się bałam, że w ogóle nie wróci, a ja będę żyć ze świadomością, że moje ostatnie słowa skierowane do niego były oskarżeniem. W tym zawsze tkwił problem. Jeśli próbowałam go zmusić do powrotu, stawiałam na drodze jego pracy. A ona nawet dla mnie była zbyt ważna, żeby ją uniemożliwić. Wyglądało na to, że w Boże Narodzenie także.

– Ja też cię kocham – szepnęłam. Płakałam, a Lucien wstał i lizał mnie po twarzy. Nawet pies był poruszony bólem, którego Leo nigdy nie widywał. Był zajęty cierpieniem innych ludzi. Mieli większe problemy niż ja, bardziej godne uwagi.

– Wrócę za tydzień albo dwa, obiecuję. Wtedy urządzimy sobie święta, dobrze?

Wiedziałam, że nie wróci za tydzień albo dwa, dla niego czas nie miał znaczenia. Na ołtarzu pracy złożymy także sylwestra i moje urodziny. Wymruczałam coś sugerującego, że mu wierzę i się rozłączyłam. Przestałam płakać, położyłam się na plecach i pozwoliłam Lucienowi umościć się na poduszce Leo. W końcu zasnęłam i obudziłam się dopiero o jedenastej. Od razu przeczytałam esemesa od mamy.

„Wesołych Świąt, Molly! Na pewno jesteś dzisiaj zajęta, ale jeśli uda Ci się wymknąć, daj znać. Mamy dla Ciebie prezent i chcielibyśmy się z Tobą zobaczyć!”.

Jeszcze się dobrze nie obudziłam, a już oddzwaniałam.

– Molly, skarbie!

– Mamo! Mogę przyjść na lunch?
– Na lunch? Dzisiaj?
– No tak.
– Z... To znaczy...
– Nie, Leo jest za granicą. Przyjdę sama.
– Och, skarbie, w takim razie oczywiście! Tata będzie zachwycony! Co za wspaniałe święta!

Zapukałam do mieszkania obok, żeby dać pani Wilkins audiobooki, które dla niej kupiłam, a ona zaczęła mnie przytulać. Najpierw z wdzięcznością, a potem ze współczuciem, gdy jej powiedziałam, że Leo nie wraca. Kupiła nam prezenty, ale nie miała czasu zapakować. Leo dostał brązowy sweter robiony na drutach, a ja śliczny purpurowy dywanik. Biedny wykastrowany Lucien został obdarowany koszmarną różową obróżką z diamentkami. Wysłałam, gdy po panią Wilkins przyjechał jej syn, żeby ją zabrać na lunch.

Nie miałam prezentów dla rodziców. To nie miałyby sensu, mogli sobie kupić wszystko. Gdy weszłam do jadalni i zobaczyłam na ich twarzach szczęście, zrozumiałam, że moja nieoczekiwana wizyta jest najlepszym prezentem, jaki mogli sobie wymarzyć. Cały czas mnie rozpieszczali i zachowywali się, jakbym znów była dzieckiem. Czułam się trochę winna, bo uczestniczyłam w ich radości tylko połowicznie: tęsknota wypełniała mnie i z trudem ją znosiłam. Raz czy dwa wymknęło mi się imię Leo, który zajmował moje myśli. Dotąd nie zrobiłam tego ani razu i natychmiast się przekonałam, że jego imię działa na moich rodziców tak, jak Declana: tata robi się czerwony i wściekły, a mama zamiera i zaczyna płakać. Gdybym w to brnęła, wątpy most, jaki między nami wyrósł, runąłby bezpowrotnie, więc przez następnie kilka godzin bardzo się pilnowałam, żeby unikać wzmianek o nim, jakbym się go wstydziła.

Po lunchu siedzieliśmy na tarasie i piliśmy szampana, a mama podała mi kopertę. Promienieli z tatą, a ja niemal spadłam z krzesła, gdy zobaczyłam, co jest w środku.

– Wesołych świąt, skarbie – szepnęła mama. Wzięli się z tatą za ręce, a ja spojrzałam na czek, a potem znów na nich.

Przekazali mi niewyobrażalną sumę, większą nawet niż mój fundusz powierniczy. Wiedziałam, że dla nich to nic wielkiego, ale ja będę mogła znacząco rozszerzyć działalność fundacji.

– To... – szepnęłam, ale więcej nie mogłam wydusić. Podniosłam wzrok. Mama się we mnie wpatrywała rozpromienionym wzrokiem, ale tata zacisnął zęby i gapił się w podłogę.

– Uzналиśmy, że nie będziesz chciała niczego dla siebie – stwierdził zwięźle.
– A to i tak zwrot podatku.

– Nawet nie wiecie, ile to dla mnie znaczy!

– Wiemy, skarbie. – Mama uśmiechnęła się spokojnie i z dumą, a potem bez ostrzeżenia wybuchnęła płaczem i rzuciła mi się na szyję. Na tyle cicho, żeby tata nie słyszał, szepnęła mi do ucha: – Nie śmiałybym marzyć o tak pięknym uczczeniu pamięci Declana. Dziękuję.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat słyszałam, jak wypowiada imię mojego brata i chociaż płakała, wiedziałam, że to łyzy szczęścia. Moja praca przyniosła ukojenie i jej. Zastanawiałam się, czy ten hojny datek pojawiłby się, gdyby fundacja zajęła się także współpracą z uzależnionymi od narkotyków lub badaniami nad uzależnieniem, co planowałam na nieokreśloną przyszłość, ale tak czy inaczej takiego gestu nie mogłam odrzucić. Miałam też nadzieję, że mogę go postrzegać jako akceptację dla tego, kim teraz jestem.

Wciąż byłam wściekła na Leo, ale jak tylko wróciłam do domu, zrobiłam zdjęcie czeku i wkleiłam do maila. „Mam nadzieję, że jeszcze żyjesz i zdołasz to przeczytać. Widzisz zdjęcie? Dostałam od rodziców na gwiazdkę. Cudownie, prawda? O fundacji robi się głośno i jestem pewna, że pieniądze zaczną spływać także od ludzi z ich otoczenia”. Już miałam wysłać, ale przeczytałam złośliwy wstęp i zrobiło mi się głupio. Raz jeszcze położyłam palce na klawiaturze i dopisałam: „Bądź ostrożny, Kochany. Nie mogłabym żyć bez Ciebie. Wracaj szybko”.

Wrzesień 2015

Budzę się w środku nocy i myślę o kłótni. Czy też, jak to ujęła Molly, o przyjacielskiej pogawędce. Po jakimś czasie stwierdzam, że i tak już nie zasnę.

W kuchni robię herbatę, mocuję kubek w uchwycie przy wózku i otwieram drzwi na balkon. Są w nich szyny, przez które nie mógłbym wyjechać, ale Molly zainstalowała na nich rampy. W mieszkaniu nie ma miejsca, w które nie mógłbym się dostać i każdą rzecz mogę zrobić sam, pomyślała o wszystkim. Zależy jej, żebym tu był szczęśliwy.

Patrzę na lśniący łuk mostu, a wiatr wywiewa mi z głowy resztki snu. Jest ciemno i jestem sam z myślami. Jak dotąd nie zakładałem, że walka o życie z Molly mogłaby się nie udać, nie biorę tego w ogóle pod uwagę. Nie zastanawiałem się też, jak by wyglądała moja codzienność, gdybym nie mógł wrócić do pracy. Siedzę na balkonie, piję herbatę i obracam w głowie obie ewentualności. Molly nie postawiła mi ultimatum. Chociaż wiem, że nienawidzi mojej pracy, rozumie też, jaka jest dla mnie ważna.

Rozmowa w łazience pokazała, że oczekuje ode mnie poważnej zmiany. Czy właśnie to doprowadziło do naszego rozstania? Muszę w końcu spytać, ale cały czas to odwlekam. To będzie bolesna rozmowa i zanim do niej dojdzie, musimy odbudować intymność i zaufanie.

Ten moment się zbliża i wkrótce zadam to pytanie, ale nadal nie wiem, co odpowiem, jeśli każe mi wybrać. Wyobrażam sobie, że wracam do pracy. W miejscu, które widzę oczami wyobraźni, czuję, że naprawdę żyję. W powietrzu unosi się zapach prochu, kurzu i krwi. Z oddali słyszę eksplozje, niedaleko wystrzały z karabinu maszynowego, a Brad jest obok i jak zwykle każe mi się wycofać.

W żyłach dudni mi adrenalina i triumfuję, bo zrozumiałem, co się tu dzieje w sposób, w jaki nikt dotąd tego nie pojął. Widzę się przy komputerze w obskurnym pokoju hotelowym, a słowa same ze mnie wypływają. Przypominam sobie satysfakcję, z jaką brałem do ręki numer magazynu, świadomość, że to ja zinterpretowałem toczący się konflikt i ja pokazałem go światu. Wpłynąłem na to, jak ten moment zapisze się w dziejach.

W takich chwilach czuję się najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Pokonałem strach. Ale nie chodzi tylko o to. Jestem jedynym, który go pokonał. Dałem głos skazanym na milczenie.

Kocham te chwile miłością pełną pasji, mocy i ognia.

Zerkam na swoje nogi, oświetlane tylko przez lampę, którą zostawiłem zapaloną w kuchni. Już chudną, mięśnie zanikają mimo godzin spędzanych na ćwiczeniach. Myślę o bólach głowy, które zdarzają się niemal codziennie, o pulsowaniu zaczynającym się w okolicy pęknięcia i promieniującym na całą czaszkę. O zmęczeniu psychicznym i chwilach zagubienia, które dopadają mnie z nienacką.

Nie zgadzam się na to, jakby wypieranie prawdy mogło mi pomóc, ale to niczego nie zmienia i są dni, kiedy niemożliwe staje się nawet takie życie, jakie prowadzę teraz, z Molly w Sydney. Zwykle staram się wytrzymać, a kiedy ona do mnie dołącza, spędzamy spokojne, odprężające chwile we dwoje. Ale bywa, że muszę się położyć spać, żeby w ogóle dotrzeć do południa. W takie dni nie wytrzymałbym żadnej pracy, nawet gdyby polegała na siedzeniu za biurkiem i wklepywaniu czegoś do komputera.

Neurolog mówił, że to normalne objawy po urazie mózgu i mogą nie minąć nigdy, choćbym odzyskał władzę w nogach i pamięć. Byłoby to trudne do zniesienia, nawet gdyby ten wypadek był po prostu nieszczęśliwym zrzędzeniem losu, ale tak przecież nie jest.

Wpatruję się w wodę i przelękam ślinę. Przyznaję to z trudem, nawet w myślach, ale Molly ma rację: do tego wypadku doszło, bo znajdowałem się w niebezpiecznym miejscu, wykonując ryzykowną pracę. Można go było uniknąć. Możliwe, że do końca życia będę ponosił konsekwencje nieszczęścia, które sam na siebie ściągnąłem.

Ale chociaż o tym wiem, pragnienie powrotu na linię frontu nie mija i raz za razem powtarzam sobie, że przecież warto. Mam niezwykłą pracę, która mnie definiuje, dzięki niej jestem sobą. Siedzę na wózku inwalidzkim, dręczy mnie ból głowy, wiem, że sam się w to wpakowałem, a jednak nie mogę się doczekać powrotu do pracy.

Zmuszam się do zwizualizowania, jak wyglądałoby moje życie, gdyby Molly postawiła mi ultimatum, a ja wybrałbym pracę, którą kocham. Wracam do pustego domu w szeregowcu... Bardzo się staram, ale nie mogę sobie tego wyobrazić. Próbuję sobie wmówić, że wszystko wróciłoby po prostu do stanu sprzed Molly, ale to kłamstwo jest tak nieprzekonujące, że nie mogę nawet udawać, że w to wierzę.

Po prostu nie wyobrażam sobie życia bez niej. Kocham moją pracę, spełniam się w niej, ale czy gdybym nie miał nic więcej, moje życie nie byłoby tak naprawdę puste?

No i dziecko... Jak Molly wychowa je sama? Oczywiście dałaby radę, nie mam wątpliwości, ale zastanawiam się, jak by to wyglądało. Mieliśmy różne dzieciństwa i mamy odmienne podejście do życia. W idealnej wersji nasze dziecko czerpałoby z naszych najmocniejszych stron i zrównoważyło te najsłabsze. Chyba

nawet Molly zdaje sobie sprawę, że była rozpuszczona dorastaniem w bogatym domu, tak jak ja wiem, że niedostatek, w którym się wychowałem, mnie skrzywił.

Czy umiałyby zapewnić dziecku pełną edukację? Nie tylko najlepsze szkoły, ale jak najwięcej doświadczeń. Czy nie zmuszałaby go do zdobywania wykształcenia, tak, jak jej rodzice zmuszali Declana? Pokazywałaby mu aspekty życia, których sama nie zaznała? Zadbaby, żeby ceniło to, co ma, rozumiało wartość pracy i pieniądza, nie zachłystywało się stanem posiadania, a osiągnięciami?

Przyszłoby jej w ogóle do głowy, jakie wyzwania stoją przed czarnym dzieckiem, zwłaszcza jeśli chodzi do szkoły z bogatymi, białymi dziećmi? Nie, nie ma siły, żeby poznać złożoność życia, to dziecko mnie potrzebuje.

Molly będzie je kochała, dbała o nie i zapewni mu wszystko, co trzeba, ale jest miękka i rozpuści je, nie mam wątpliwości, bo to samo zrobiła ze mną. Będzie wydawać ekstrawaganckie przyjęcia urodzinowe i kupować wystrzałowe prezenty. Będziemy się o to kłócić, uświadamiam sobie. Ścisła mnie w żołądku. Nawet jeśli uda nam się wskrzesić to małżeństwo, czeka nas poszukiwanie sposobu – zdrowego sposobu – na odnalezienie się wśród tych znaczących i niekończących się różnic. Trzeba będzie zwalczyć odruch mówienia głośniej i ostrzej oraz nauczyć się kompromisu, nawet bolesnego. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że jeśli zrealizuje się najgorszy scenariusz i nie uda nam się pogodzić, czeka nas rozstrzygnięcie kwestii prawa do opieki.

Za gardło chwytą mnie strach tak namacalny, jak ten na polu walki. Jeśli się rozstaniemy, jeśli nie rozwiążemy problemu, jakim jest moja praca, prawdopodobnie stanę do walki o prawo do opieki z kobietą, której majątek jest nie do ogarnięcia rozumem.

Wiem, że nigdy nie zabroniłaby mi widywać się z dzieckiem. Ale wiem też, że będzie je bardzo kochała i rozstanie z nim okaże się dla niej potwornie trudne. Czy skończy się tak, że zobaczę dziecko, jeśli będzie to pasować Molly? Jak to ma wyglądać? Parę godzin w sobotę po południu? W co drugi weekend? Dzień tu, dzień tam, między moimi wyjazdami?

Jeśli do tego dojdzie, czy będę miał coś do powiedzenia w kwestiach wychowawczych? Robię się wściekły na samą myśl o sytuacji, w której całkowicie tracę kontrolę nad moim życiem rodzinnym. Będę dobrym ojcem i nie pozwolę Molly sobie tego odebrać. Tak czy inaczej, ale będę obecny w życiu mojego dziecka. Kiedy uświadamiam sobie swoją bezkresną bezradność, ogarnia mnie taka wściekłość, że mam ochotę się spakować i wrócić do siebie. Gwałtowność tych emocji działa jak otrzeźwiający policzek i widzę, jak daleko się zapędziłem. Przecież Molly wciąż próbuje to wszystko poukładać tak jak ja. Nie chcemy się stracić. Mój rozszalały puls się uspokaja i prawie wracam do równowagi, gdy za moimi plecami rozsuwają się drzwi.

– Leo? – słyszę cichy głos.

Odwracam się i w jej pięknych niebieskich oczach widzę niepokój. Ulatują resztki gniewu. Ona kocha nasze dziecko, ale mnie kochała najpierw. Mimo bólu, na jaki ją naraziłem, wciąż walczy. Biorę ją za rękę, a ona wychodzi na balkon. Wiatr rozwiewa jej włosy.

– Musi nam się udać – szepczę.

– Wiem – odpowiada cicho i uśmiecha się. – Chodź do łóżka. Smutno mi bez ciebie.

Wracam za nią do środka, a w łóżku biorę ją w ramiona. Zасыpia i chrapie mi cichutko do ucha, ale ja jeszcze długo leżę i zastanawiam się nad możliwościami, które mamy przed sobą.

Nazajutrz Molly uprzedza, że przyjdzie później. Umówiła się na kawę z rodzicami, żeby powiedzieć im o dziecku.

– Myślałaś, w jaki sposób i ja mógłbym się z nimi pogodzić? – pytam.

– Tak – odpowiada swobodnie. – Dzisiaj spróbuję podsunąć ten temat tacie.

Wraca kilka godzin później, jest przybita, ale odtrąca moje próby pocieszenia. Idzie pod prysznic, a kiedy wychodzi, informuje:

– Nie będę się już spotykać z rodzicami.

– Ale... Dlaczego?

Kładzie mi dłoń na udzie i lekko ściska.

– Zdałam sobie sprawę, jakie to było nie fair z mojej strony. Zrobiłam to, bo za nimi tęskniłam i byłam samotna.

– Ale to naturalne, że potrzebujesz obecności rodziców, zwłaszcza teraz.

Kręci głową.

– Podjęłam decyzję. Jeśli nie akceptują ciebie, to tak, jakby nie akceptowali mnie. Powinam im to powiedzieć dwa lata temu. Powrót do ich życia tak, jak to zrobiłam, był zdradą. Nie nalegałam, żeby odnosili się do ciebie z szacunkiem. A to nie jest w porządku. Nie zrobiłeś nic złego.

– Rozmawialiśmy o tym. O Decu. Rozumiem, czemu mnie obwiniają.

– Nie – odpowiada stanowczo. Wróciła z wizyty u nich tak zmarnowana, że determinacja w jej głosie mnie zadziwia. – Nie zamierzam brać w tym udziału. Stoję po twojej stronie, tym razem stuprocentowo. Mówię poważnie. Możesz mi zaufać, daję ci słowo.

– Ale co się stało, kochanie?

– Spytałam tatę, co powie na napicie się kawy z nami obojgiem. Myślałam, że może teraz, przy okazji dziecka, będzie już dobrze. Ale on potrafi być okrutny. Chyba łatwiej mu obwiniać ciebie niż pogodzić się ze świadomością, że to był tak naprawdę problem Declana. Tak czy inaczej, powiedziałam, że ty i ja występujemy w pakiecie i nie będzie tak, że ciebie traktują podle, a mają mnie i wnuka.

Kończy tę opowieść szeptem i prawie we łzach. Potem nagle się podrywa i

otrząsa ze złością. Ociera oczy rękawem i cedzi:

– Nie znoszę być mazgajową mamuszką.

– Wiem, co może pomóc – oznajmiam, a ona z zaciekawieniem unosi brwi. –

Lody. Z ogórkami kiszonymi albo bez, decyduj.

– Bez.

– Pójdę po lody, a potem obejrzymy *Kawalera do wzięcia*. – Rozpromienia się tak bardzo, że czuję się w obowiązku zastrzec: – To jednorazowa oferta.

– Dzięki.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

35. Molly

Styczeń 2014

W dniu moich trzydziestych urodzin obudziłam się sama. Nawet Lucien mnie porzucił i pewnie był już w ogrodzie albo poszedł na śniadanie do pani Wilkins. Przez jakiś czas leżałam z otwartymi oczami i gapiłam się na zdobiony sufit.

Czułam się, jakby coś ciążyło mi na piersi. Nawet kiedy już zwlokłam się z łóżka i ruszyłam do łazienki. Oparłam się o blat i zagapiłam w lustro. Wpatrywałam się w swoje zapuchnięte oczy i coraz bardziej pomarszczoną twarz. Może przydałby mi się dzień w spa. Po dokładnym zlustrowaniu włosów stwierdziłam, że gdzie jak gdzie, ale do fryzjera muszę iść. Nosiłam teraz kolor tylko o kilka tonów jaśniejszy od naturalnego, ale odrosty były widoczne.

I wtedy to zobaczyłam – smugę srebra, tuż nad prawą skronią, o szerokości centymetra czy dwóch, tak wąską, że nikt inny by nie zauważył. Odgarnęłam włosy i wpatrywałam się w nią, przekrzywiałam głowę to w jedną, to w drugą stronę i sprawdzałam, czy smuga zniknie. Ale nie zniknęła. Nie było wątpliwości, siwieję. Miałam trzydzieści lat i zaczynałam siwieć. To ze zmartwienia? Czy po prostu siwiałam przedwcześnie jak mama? A może to zupełnie normalne, w końcu miałam już trzydzieści lat.

W pracy czekały na mnie balony i kwiaty, a mama zabrała mnie na lunch, ale i tak przez cały czas czułam się odtrącona. Nie tak miało być. Leo powinien wrócić i mnie rozpieszczać, a tymczasem tylko przysłał maila z obietnicą, że zadzwoni wieczorem.

Poszłam na kolację do Penny i narzekałyśmy na nieobecnych mężów, a dzieci odrywały nas od rozmowy pokazami cudownie nieporadnych sztuczek, które szlifowały, odkąd na Gwiazdkę dostały zestaw małego magika. W końcu Penny miała dość ostentacyjnego ziewania i po prostu powiedziała, że idzie spać. Wkrótce po moim powrocie do domu zadzwonił Leo i ze znużeniem wysłuchałam opowieści o niesamowitych wywiadach, które przeprowadził oraz nieudolnego bagatelizowania niebezpieczeństwa, w którym się znalazł, uciekając przed oddziałami buntowników.

Następnie weszłam po schodach do sypialni, położyłam się do łóżka i znów zaczęłam się gapić w sufit. Dom wydawał się potwornie pusty, a ja myślałam o domu Penny pełnym życia, kolorów i dźwięków. A także o moich siwych włosach. Starzałam się z każdym dniem.

Wówczas podjęłam decyzję, że jeśli Leo znów zostawi mnie na osiem

miesiący, zacznę budować swoje życie bez niego, aż będzie gotowy do ustatkowania się. Moje trzydzieste urodziny zbliżały się do końca. Na skroni miałam smugę siwych włosów, ale w sercu kiełkowało nowe marzenie.

Chciałam mieć dziecko.

Wrzesień 2015

No dobrze, spróbujemy postawić cię na nogi. Gotowy?

Skupiam się tak mocno, że pot przesiąka mi przez ubranie i zbiera się nad pośladkami. Kiwam głową i stękając, dźwigam się do pozycji stojącej.

– Raz... Dwa... Trzy... Cztery...

Nogi odmawiają posłuszeństwa. Tracy uruchamia wyciąg, który mnie asekuje. Jest dumna.

– Udało się! Prawie pięć sekund, zanim musiałam ci pomóc. Zrobiłeś wielkie postępy!

Pomaga mi usiąść na wózku, a ja nie mogę złapać tchu. Koncentruję się na opanowaniu oddechu. Tracy, moja fizjoterapeutka, jest ładną młodą kobietą, ale i tyranką, więc wreszcie są efekty. Wiem, że cztery i pół sekundy w pozycji stojącej nie wydaje się sukcesem, ale dla mnie to naprawdę coś i chociaż postępy nie są szybkie, przynajmniej wszystko zmierza w dobrą stronę.

– Jeszcze raz? – pyta, gdy dochodzę do siebie.

Zaciskam dłonie na poręczach pionizatora i daję sobie chwilę na koncentrację. Zamykam oczy i wyobrażam sobie siebie, jak chodzę, biegnę, dumnie stoję na macie do karate, uchylam się przed pociskami na polu walki, gonię roześmianego malucha w przedpokoju i wstaję, żeby pocałować Molly.

– Tak – stwierdzam cicho.

Tracy nastawia wyciąg w odpowiedniej pozycji i oznajmia:

– Jak będziesz gotowy, startuj.

Nie mówiłem Molly o tych mikroskopijnych postępach, które robię, gdy jest w pracy. Nie dlatego, że chcę coś przed nią ukryć. Chodzi o to, że któregoś dnia zrobię jej niespodziankę. Gdy będę już miał dość siły, przywitam ją na stojąco.

– Tak zmotywowanego pacjenta jeszcze nie miałam – chwali mnie Tracy, zbierając się do wyjścia, a ja kiwam głową.

– Mam dużo do stracenia i dużo do zyskania.

– Im więcej będziemy ćwiczyć, tym będzie łatwiej. Zobaczymy, czy jutro uda nam się przekroczyć granicę pięciu sekund. A jak ustoisz dziesięć, zaczniemy pracować nad pierwszym krokiem, zgoda?

Po jej wyjściu biorę prysznic i jadę do gabinetu. Czytam swoje teksty, zaczynając od najstarszych i jestem już przy tych z drugiego roku małżeństwa. To ciekawe ćwiczenie i stopniowo odzyskuję dostęp do moich myśli z tamtego okresu.

Słyszę, że Molly wróciła, więc wołam, żeby wiedziała, gdzie jestem.

Wchodzi do gabinetu i opiera się o framugę. Widzę, że na widok stosu magazynów na ułamek sekundy sznurują usta.

– Jak dzisiaj rehabilitacja? – pyta cicho.

– Dobrze – odpowiadam, a ona wskazuje głową na artykuły.

– Nowe wspomnienia?

– Dopiero zacząłem. Tracy została dziś trochę dłużej.

– To numery z dwa tysiące czternastego?

– Tak.

– Dwa lata po ślubie. – Kiwam głową, a ona siada na biurku, tuż obok stosu gazet. Bierze pierwszą z wierzchu i przerzuca strony. – Pamiętasz już, co się stało w tym roku?

– Trochę... – mrużę. – Kiedy czytam, najlepiej pamiętam tęsknotę za tobą.

– Oddalaliśmy się od siebie. Musiałam kupować „News Monthly”, żeby w ogóle wiedzieć, co się z tobą dzieje. Nigdy mi nie mówiłeś. Nie tak naprawdę. – Zamyka pismo i kładzie sobie na kolanach. – Wiesz, jak to jest, kiedy usiłujesz przenieść wodę w stulonych dłoniach, ale chociaż bardzo mocno łączysz palce, ona i tak się przesącza? Tak się wtedy czułam. Nasze małżeństwo coraz bardziej wyslizgiwało mi się z rąk.

– Też tak czułem – mówię, a ona zerka zaskoczona i marszczy czoło.

– Ale to ty się oddalałeś! Skoro wiedziałeś o spustoszeniu, jakie robisz, czemu nie przestałeś?

– Pamiętam, jak wychodziłem na lotnisko i zatrzymywałem się w progu. Jakiej siły woli wymagało przekroczenie go, zwłaszcza gdy między nami zaczęło się robić ciężko.

Magazyn wysuwa jej się z rąk i ląduje na podłodze. Schodzi z biurka i przykuca, żeby go podnieść, i widzę, jak niezdarnie się porusza, żeby tylko nie zgiąć się w pasie. Cięży jeszcze nie widać, ale lekkie zaokrąglenie brzucha jest wyraźne.

– Ale jakoś wyjeżdżałeś – burczy i odkłada pismo na stosik. – A z biegiem czasu dzwoniłeś coraz rzadziej i rzadziej.

– Pamiętam takie chwile, kiedy mogłem, ale nie dzwoniłem. Wiedziałem, że nie zniosę twojego głosu – wyznaję, a ponieważ stoi tuż obok mnie, lekko przyciskam dłoń do jej brzucha. – Kiedyś miałem kilka naprawdę ciężkich dni i zadzwoniłem, a gdy tylko odebrałaś, zaczęliśmy się kłócić o to, że nie dzwoniłem przez tydzień. Pamiętasz?

– Było tak co najmniej kilka razy – szepcze i nakrywa dłońmi moje ręce.

– Nie wiem, ja na razie pamiętam jeden. Pamiętam, że byłaś na mnie wściekła, a ja wiedziałem dlaczego, ale tego popołudnia widzieliśmy z Bradem, jak transporter opancerzony wjechał na minę i...

Milknę, bo wraca okrucieństwo tamtej sceny. Ilu ludzi wtedy zginęło? Osiem

osób, przypominam sobie, bo przywołuję tatuaż z pająkiem, który zrobiłem z tyłu na lewym ramieniu.

– Nigdy nie mówiłeś, że stało się coś złego. Żadnych szczegółów. Pierwszy raz słyszę o minie wybuchającej ci pod nosem. – Marszczy czoło.

– To było potworne. Nie chciałem, żebyś się martwiła jeszcze bardziej.

– Przecież i tak się martwiłam! – woła. – Nigdy nie wiedziałam, kiedy jesteś bezpieczny, a kiedy nie, więc zakładałam, że śmiertelne niebezpieczeństwo grozi ci w każdej sekundzie.

– Zadzwoń, bo tęskniłem i potrzebowałem ukojenia. Ale gdy tylko odebrałaś, zaczęliśmy się kłócić, a ja nie chciałem się kłócić. Poza tym... No wiesz, brakowało mi twojego głosu, ale kiedy go usłyszałem, zacząłem tęsknić jeszcze bardziej. Więc czasem nie odzywałem się po prostu dlatego, że niedzwonienie było jedynym sposobem na zniesienie rozłąki.

– Jakaś bzdura!

– Może i tak.

– Ilekroć teraz rozmawiamy, dociera do mnie, jak łatwo mogliśmy wszystko naprawić. Gdybyś tylko się przede mną otworzył...

– Gadamy o tych telefonach, o kłótniach, a ty pewnie myślisz: Gdyby tylko Leo dzwonił do mnie częściej i był bardziej otwarty, nie doprowadzilibyśmy do takiej sytuacji.

– No?

– A ja myślę: Gdyby tylko Molly bardziej mnie rozumiała w kwestiach zawodowych, może bym dzwonił częściej i nie oddalilibyśmy się tak od siebie.

Sztywnieje i odsuwa się.

– Rozumiałam cię! – rzuca, a potem dodaje, głośno, krótko: – Wiesz, ile kobiet tolerowałyby takie życie?!

– Molly – przerywam łagodnie, żeby nie doprowadzić do większej awantury.
– Wiem, że byłem głupi i samolubny. Teraz nie mogę uwierzyć, jakim byłem idiotą, ale wtedy widziałem co innego. Mówię ci tylko, jak mi się wtedy wydawało. Tkwiłem w ślepym zaułku. Ty chyba też.

Patrzy na mnie, marszczy czoło, ale potem wzdycha i kiwa głową.

– Masz rację.

– Teraz rozmawiamy. Jesteśmy szczerzy. Dlatego tym razem będzie inaczej.

Zgadza się i zmieszana przyznaje:

– Umieram z głodu i dlatego świruję.

Patrzemy na siebie z uśmiechem.

– Zjedzmy lunch. Przebierz się, a ja tylko dokończę.

Idzie do sypialni, więc sięgam po magazyn. Otwieram na artykule, który czytałem i znów pogrążam się we wspomnieniu o powrocie do domu. Wiecznie planowałem, że zrobię sobie kilka miesięcy wolnego, żeby naprawić nasze relacje,

ale potem wypadło coś pilniejszego, jakiś większy materiał albo bardziej ekscytująca szansa na wyjazd na wojnę, której po prostu nie mogłem przegapić. Wiara w naszą miłość sprawiała, że byłem ślepy na to, jaka jest krucha. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Myślałem, że zawsze się odnajdziemy na nowo, nieważne, jak bardzo się od siebie oddalimy, kiedy już znajdzie drogę do domu. Teraz widzę, jakie to było egoistyczne. Mam ochotę cofnąć się w czasie i przywalić sobie w pysk. Wzdycham i odkładam pismo.

Po każdym powrocie brałem ją w ramiona i wydawało mi się, że jest tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżał. Ale przecież wyjeżdżałem, a ona musiała tu żyć beze mnie.

37. Molly

Luty 2014

Leo wrócił do domu w walentynki, po prawie trzech miesiącach. Nasza najdłuższa rozłąka. Był wykończony podróżą i bardzo schudł, ale jak tylko go zobaczyłam, od nowa się w nim zakochałam. Miesiące niepokoju, strachu, a nawet złości wyparowały. Objął mnie, a ja poczułam, że wybaczam mu wszystko.

Wzięłam wolne, ale on był zmęczony i cierpiał z powodu jet lagu, więc spędziliśmy cały dzień w łóżku. Leżałam z głową na jego piersi, gdy spał, i słuchałam bicia serca, tuż pod moim uchem. Czułam, jak włoski na jego piersi laskoczą mnie w policzek. Trwałam w tej pozycji, aż rozboleła mnie szyja, ale bałam się zabrać rękę, którą go obejmowałam, jakbym jakimś cudem kotwiczyła go przy sobie i pilnowała, żeby był bezpieczny.

Miłość do Leo wciąż była najniezwyklejszym uczuciem, jakiego doświadczyłam. Zadziwiło mnie, że trwa, mimo rozłąki i strachu. Miałam nadzieję, że z tej miłości powstanie dziecko, które w cudownie namacalny sposób uosobi to, co nas łączy. Tamtego dnia niemal czułam pod sercem ruchy nieistniejącego dziecka. Widziałam je oczami wyobraźni, jakbym już je znała. Wyobrażałam sobie radość Leo, gdy będzie wracał do nas, do domu, i jego ból, gdy będzie musiał nas zostawić. Już widziałam, jak stosunek „poza domem” do „w domu” zaczyna się powoli odwracać. Może ja nie byłam wystarczającą konkurencją dla pracy, ale dziecko z pewnością nią będzie.

To byłby dla nas krok naprzód, nie miałam wątpliwości. Wiedziałam, że muszę uważnie wybrać moment, w którym poruszę ten temat, ale czułam już, że Leo wkrótce wyjedzie, a tę rozmowę chciałam przeprowadzić nie przez telefon. Sprawę komplikowało jednak podniecenie myślą o dziecku, czułam je od bardzo dawna, a teraz było na pewno zbyt dojmujące, żeby opracować sensowną strategię. Kochaliśmy się rano, drugiego dnia po jego powrocie do Sydney. W rozkosznych chwilach tuż po, gdy serce dopiero zaczęło się uspokajać, nieoczekiwanie powiedziałam:

- Chcę mieć dziecko.
- Co? – Leo aż podskoczył.
- Myślę, że jestem gotowa. Młodsza już nie będę i...
- Molly...
- Proszę cię, przynajmniej o tym pomyśl.
- Skarbie, to naprawdę nie jest dobry moment – zaczął łagodnie. – Ten rok będzie dla mnie ciężki, wiesz o tym.

– A co ze mną? Jaki ten rok będzie dla mnie? – Gdybym wszystko lepiej zaplanowała, może udałoby mi się zachować ten jęczący, żalony ton na później, ale byłam teraz wcieleniem zdesperowanej, osamotnionej kobiety, terroryzowanej przez jajniki.

Leo odsunął się, a potem usiadł. Widziałam tylko jego plecy.

– Teraz nie dam rady się tym zająć.

– A kiedy dasz? Na ile przyjechałeś?

– Molly! – krzyknął nieoczekiwanie, a ja aż się skuliłam, bo takiej irytacji się nie spodziewałam. – Jestem w domu od dwudziestu czterech godzin. Pozwól, że najpierw się ogolę, wykąpię i coś zjem, a dopiero potem na mnie naskoczysz, że pracuję za ciężko i nie spełniam twoich oczekiwań, dobrze?

Wstał i poszedł do łazienki, trzaskając za sobą drzwiami.

Potem przeprosił. Wrócił do łóżka, przytulił mnie i obiecał, że o tym pomyśli. Stało na tym, że kiedy następnym razem przyjedzie do domu, pójdziemy do lekarza spytać, jakie badania powinniśmy zrobić, zanim zaczniemy się starać o dziecko.

– Jak tylko wrócę, naprawdę – obiecał. Uśmiechnęłam się, przytuliłam do niego i po raz pierwszy od miesiąca widziałam naszą przyszłość w jasnych barwach.

Wyjechał na pięć tygodni, do lekarza poszłam więc sama. Zaczęłam brać specjalne witaminy dla kobiet planujących macierzyństwo. I zastanawiałam się, czy naprawdę zaczął dzwonić coraz rzadziej i na coraz krócej, czy tylko mi się wydawało.

Podczas jego nieobecności nie wspominałam o dziecku, a kiedy przyjechał, ze wszystkich sił starałam się opanować i dać mu czas na odpoczynek. W efekcie wyszło tak, że nawet nie musiałam po raz drugi zaczynać tematu. Kilka dni później ubieraliśmy się razem w łazience, a on przypadkiem zobaczył moje witaminy.

– Co to jest? – spytał i wyciągnął rękę ze słoiczkiem.

– Rozmawialiśmy o tym ostatnio, pamiętasz? Byłam u lekarza i mówił, że powinnam zacząć to łykać jak najwcześniej.

Leo odstawił witaminy z powrotem do szafki z lekami i zamknął drzwiczki. Nic nie powiedział, ale jego zmarszczone czoło mówiło samo za siebie.

– Leo... Też chcesz mieć dziecko, prawda?

Westchnął i dalej wycierał włosy, patrząc na mnie w lustrze.

– Ale nie w tym roku.

– Nie możemy tego odkładać bez końca. Naprawdę myślisz, że przyszły rok będzie spokojniejszy?

Odwiesił ręcznik i odwrócił się.

– Daj mi jeszcze rok – poprosił.

– Rok? – powtórzyłam. Serce miałam w gardle. – Ale...

– Nie jestem gotowy. Kiedy się zdecydujemy, chcę to zrobić porządnie. Być tu przy tobie i z tobą. Wrócimy do tego w przyszłym roku, dobrze?

Pocałował mnie przelotnie w policzek, ale nie czekał na reakcję, poszedł prosto na górę, do gabinetu.

– Leo! – krzyknęłam i pobiegłam za nim.

– Rozmawiam – szepnął, gdy weszłam, a potem, już głośniej, odezwał się do słuchawki: – Cześć, Brad! Jak tam poprawki?

Nie zamierzałam mu tak łatwo odpuścić. Stałam za nim przez kilka minut, a ponieważ nadal mnie ignorował, podeszłam do biurka i odsunęłam stos papierów, żeby usiąść. Zmarszczył czoło.

– Zaczekaj chwilę – rzucił do rozmówcy.

– Nie możesz w ten sposób kończyć rozmowy.

– A ty nie możesz mnie zmuszać do niczego, skoro mówię, że nie jestem gotowy – odparł stanowczo. – Rozmawiam przez telefon. Wrócimy do tego. Ale nie w tej chwili.

– A kiedy?

Westchnął zirytowany, odwrócił się do mnie tyłem i podjął przerwana rozmowę.

– Hej, już jestem. Nie, nic. To tylko Molly.

Wmówiłam sobie, że przestajemy się dogadywać, bo jesteśmy parą z coraz większym stażem, i w ciągu następnych miesięcy postanowiłam starać się i częściej wychodzić z inicjatywą.

Jeśli się nie odzywał przez cały dzień, wysyłałam maila, choćby jedno czy dwa zdania z pytaniem, co u niego i kilkoma słowami o tym, jak mi minął dzień. Czasem odpisywał, czasem nie, ale czułam się lepiej, wiedząc, że nie odpuściłam. Któregoś wieczoru zadzwonił, spytałam więc:

– Mógłbyś do mnie dzwonić częściej?

– Skarbie, przecież wiesz, jak jest. To nie takie łatwe. Cały czas jestem w drodze, czasem w kiepskich warunkach...

– A ja mogę dzwonić do ciebie? – Rzadko dzwoniłam na telefon satelitarny, bo czułam, że powinnam oszczędzać tę nachalną metodę na naprawdę szczególne okoliczności. Westchnął, a ja odruchowo zaczęłam się bronić: – Nie wdychaj! Miałeś wyjeżdżać najwyżej na trzy tygodnie, pamiętasz? Sześć podróży rocznie, tak postanowiłeś. A teraz nie ma cię cały czas! Wspieram cię i jestem cierpliwa, mógłbyś się więc choć trochę wysilić.

– Molly, na litość boską, ja tu pracuję!

– Brad też. Ale dzwoni do Penny i dzieci codziennie.

Na drugim końcu linii zapadła cisza, myślałam, że się rozłączył. Zakląłam i już miałam przerwać połączenie, kiedy nagle się odezwał:

– Będę się bardziej starał. Przepraszam.

– Nie chcę zrzędzić. Po prostu strasznie za tobą tęsknię.

– Wiem, skarbie. Postaram się. Będzie lepiej.

Przez jakiś tydzień dzwonił częściej, ale wkrótce przestał i w czerwcu zaczęłam odznaczać rozmowy w kalendarzu, żeby wiedzieć, kiedy się ostatnio odezwał. Wydawało mi się niemożliwe, że oddali się jeszcze bardziej, ale gdy pod koniec miesiąca zerknęłam na zapiski, zaczęłam się naprawdę niepokoić. Zapytałam mailowo, kiedy wraca. Odpisał szybko, że jeszcze trochę mu to zajmie. Było mi smutno, zadzwoniłam więc do Penny.

– Przepraszam, ale nie mogę rozmawiać. Zabieramy z Bradem Zane'a do kina.

– Brad jest w domu?! – zawołałam, a potem tak mnie zatkało, jakby mnie walnęła w żołądek.

– Nie wiedziałaś? Wpadł na kilka dni. Myślałam, że Leo też wraca.

– Nie – odparłam. – Przepraszam, już nie przeszkadzam.

Leo zadzwonił dwa dni później, ale nie odebrałam. Nie pisałam do niego, odkąd się dowiedziałam, że Brad jest w domu, w końcu jednak usiadłam to komputera i wypaliłam z grubej rury:

Jeśli Brad jest w stanie przyjechać do domu, z pewnością Ty możesz przynajmniej podać datę powrotu. Mam tego dość. Rozumiesz, jakie to dla mnie trudne? Musisz znaleźć sposób na wprowadzenie jakiejś równowagi do naszego życia, bo ja już tak dłużej nie mogę.

Odpowiedź czekała na mnie następnego dnia rano.

Wiedziałaś, jaką mam pracę, kiedy braliśmy ślub. Wiesz, jakie to dla mnie ważne, co tutaj robię. Ta wojna jest koszmarna, dramatyczna. Jeśli przyjadę do domu, żeby poprawić Ci humor, kto zostanie? Robię to także dla nas. Wiesz, że muszę budować swoją markę. Rozumiem, że czujesz się porzucona i postaram się to zmienić, ale nie wrócę do domu, bo akurat masz zły humor. Mam jeszcze dużo do zrobienia, a praca jest na liście moich priorytetów wyżej niż Twoje fochy.

Wieczorem zadzwonił, ale się rozłączyłam i wyłączyłam telefon. Nie odpisałam na tego maila, a on już więcej nie dzwonił. Do tej pory ilekroć się kłóciliśmy, tylekroć szybko wyciągałam rękę i przepraszałam na wypadek, gdyby został ranny albo zginął, zanim zdążymy się pogodzić, ale nie tym razem. Mijały dni, a ja czułam, że w środku noszę kamień. Byłam coraz bardziej zdesperowana. Z każdym upływającym wieczorem rósł mój żal i rozgoryczenie. Przychodziły mi go głowy dziecinne myśli, na przykład, że się wyprowadzę, kiedy go nie będzie. Ciekawe, kiedy zauważy, że mnie nie ma. Albo jak następnym razem przyjedzie do domu, wsiądę w samolot i polecę w najbardziej niebezpieczne i targane wojną miejsce, jakie mi przyjdzie do głowy. Zostanę przez tydzień w hotelu, żeby zobaczyć, jak to jest.

Niczego więcej nie chciałam, tylko jego. Potrzebowałam mężczyzny, jakim

był, i miłości, która nas połączyła. Nie zamierzałam go zmieniać, chodziło mi tylko o więź. Zgodziłam się na życie z nim, nie na tę niekończącą się serię przerw.

Zachorowałam na grypę. Przyczyniły się do tego chyba dwie rzeczy, które zbiegły się w czasie: ogromny stres wywołany naszą sytuacją oraz paskudny wirus, który krążył wśród pracowników fundacji, odkąd zrobiło się zimno. Leżałam na kanapie pod kocem z Lucieniem na kolanach. Oglądałam łzawe filmy, a wszędzie dookoła leżały porozwalane chusteczki.

Krzyknęłam, kiedy drzwi się otworzyły, więc Leo też krzyknął, bo nie spodziewał się, że będę w domu w czwartek o czternastej. Doszliśmy do siebie po początkowym szoku i przez następną godzinę przeproszaliśmy się wzajemnie. Byliśmy już małżeństwem dość długo, by zaliczyć kilka poważnych awantur, ale nigdy nie dopuściliśmy do takiego kryzysu i miałam nadzieję, że to będzie dzwonek alarmowy.

– Jesteś dla mnie najważniejsza – mówił. – Wiem, że ci ciężko, ale czasem o tym zapominam. Muszę jeszcze przez jakiś czas skupić się na pracy. Kiedy sytuacja w Syrii się uspokoi, wezmę urlop i wszystko naprawimy.

Ten jego pobyt w domu był z wielu powodów inny. Po raz pierwszy – i jedyny – opuścił pole walki, bo martwił się o mnie. Było to wydarzenie tak bezprecedensowe, że pełna wiary w przełom ośmieliłam się po raz kolejny poruszyć temat dziecka. Oboje się staraliśmy, obdarzaliśmy się uwagą i czułością, cieszyliśmy się wspólnym czasem. Wydawało mi się, że to odpowiednia chwila.

Zagałam któregoś ranka przy śniadaniu. Leo czytał coś w kindle'u, a ja kilka razy odchrząknęłam znacząco. W końcu popatrzył.

– Ciągłe źle się czujesz?

– Nie. Chciałam zwrócić twoją uwagę. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, jak byłeś poprzednio w domu? Wiem, że prosiłeś o rok, ale pomyślałam, że moglibyśmy pomyśleć o tym teraz.

Odłożył czytnik.

– To nie jest dobry moment. Chcę tu być z tobą i dzieckiem, kiedy nadejdzie czas.

Odetchnęłam głęboko. Przygotowałam się do dyskusji lepiej niż wtedy.

– Czasem to trwa kilka lat, zanim kobieta zajdzie w ciążę, a ponieważ rzadko przebywamy razem, może to potrwać jeszcze dłużej. Zresztą, nawet jeśli jakimś cudem zaszłabym w ciążę od razu, to przecież ciąża potrwa kilka miesięcy. Nie musisz tu być przez cały czas.

– Molly... – zaczął prosząco.

Położyłam rękę na stole i czekałam, aż jej dotknie, ale nie zrobił tego i z jakiegoś powodu bardzo mnie to zabolalo. Uniosłam dumnie głowę.

– Bycie twoją żoną jest pod wieloma względami do chrzanu – zaczęłam cicho. – Prawie cały rok jestem sama i nienawidzę tego. Cały czas się o ciebie boję.

Nie możesz prosić, żebym i na to czekała wiecznie. Nie stracę szansy na macierzyństwo, bo ty za bardzo kochasz swoją pracę, żeby mi na to pozwolić.

W czasie rozmowy zawsze wiedziałam, kiedy posuwam się za daleko. Jego uniki były fizyczne, a nawet jeśli nie wstawał i nie odchodził, po minie widziałam, jak zamyka się w sobie.

– Pomyślę o tym – odparł, ale wiedziałam, że tego nie zrobi. Grał na zwłokę. Miałam stuprocentową pewność, że gdybym nie wróciła do tematu, sam by go nie zaczął.

– Już nie chcesz mieć dzieci?

– Przecież wiesz, że chcę.

– No to nie rozumiem. Nie rozumiem, czemu nie możemy o tym teraz porozmawiać.

– Bo nie jestem gotowy. Nie jęcz. Albo jestem gotowy, albo nie.

– Bądź tak miły i przynajmniej mi to wyjaśnij.

– Wiesz, ile dla mnie znaczy praca.

– To nie ma nic wspólnego z pracą...

– Serio, chcesz mi wmówić, że to nie jest sposób na wpędzenie mnie w poczucie winy, żebym nie wyjeżdżał? Czy ty w ogóle chcesz mieć to dziecko?

– Oczywiście, że tak! – wykrzyknęłam. – Najbardziej na świecie.

– Bardziej niż mieć nas?

– Co to miało znaczyć?

– Że nie wiem, jak długo zniosę to dręczenie. Musisz uszanować moją decyzję.

Wstałam i z hukiem odepchnęłam krzesło, a potem ruszyłam na górę, tupiąc jak dziecko. Nie poszedł za mną, zresztą nawet na to nie liczyłam.

W ciągu następnych miesięcy napięcie narastało, ale i tak się cieszyłam, gdy wracał do domu. Byłam tak szczęśliwa, kiedy stawał w progu, że nie zawsze udawało mi się poskromić entuzjazm, chociaż on słaniał się na nogach i śmierdzał, jak się śmierdzi po tygodniach spędzonych na wojnie. Nie kładłam się spać i czekałam albo budziłam się wcześniej, żeby go przywitać, ale kiedy przekraczał próg, musiałam się wycofać, żeby mógł spokojnie zrobić tost z pastą kanapkową i odtajać.

W końcu jednak przysiadł się do mnie na kanapie, przytulał mocno, chował twarz w moich włosach i mówił, że bardzo za mną tęsknił, że pięknie wyglądam i jak ciężko mu było samemu. Dla tych chwil żyłam. Dni pomiędzy nimi oznaczały napięcie.

Okłamywałam się, żeby jakoś znieść rzeczywistość. Prawie udawało mi się uwierzyć, że naprawdę jest pochłonięty pracą. Stale kursował między Syrią, Irakiem i Turcją. Cieszył się, że „News Monthly” poprosił go o konsultacje w sprawie Bliskiego Wschodu. Coraz częściej przyjmował zaproszenia do stacji

telewizyjnych, udzielał wywiadów, komentował i wyjaśniał szerokiej publiczności przyczyny kryzysów militarnych.

Jego kariera kwitła, ale kiedy dzwonił, czasem przez cały czas kłóciliśmy się.

– Nie dzwoniłeś przez sześć dni, nawet nie przysłałeś maila. Miałam z tobą w tym tygodniu kontakt tylko raz, gdy widziałam cię w telewizji.

– Molly, przecież wiesz, że jestem zajęty...

– Ja też jestem zajęta! – przerwałam. – Moja praca jest ważna! Ale nie pytasz o nią, nic już o niej nie wiesz. Moja asystentka wie więcej o moim życiu niż ty!

– Gdybyś się przypadkiem zastanawiała, czemu do ciebie nie dzwonię, to właśnie dlatego! Każda rozmowa się tak kończy. Co mam twoim zdaniem z tym zrobić? Rzucić pracę?

Potem zaczynaliśmy się przekrzykiwać i trąkotać jak nakręceni, żeby upchnąć więcej słów, zanim druga strona przerwie. Pozory komunikacji znikają.

– Kończę! Stoję pośrodku strefy wojennej, na litość boską, rozumiesz to? Tutaj się rozpadają rodziny, pomyśl trochę o innych!

– Chcę się z tobą zobaczyć. Rozumiesz? Zależy mi, żebyśmy byli rodziną i...

– Mówiłem ci, że o tym myślę.

– Tak, mówiłeś. Wiele razy! Ile może trwać podjęcie decyzji? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, że czas nie zatrzymuje się tylko dlatego, że ciebie tu nie ma?

– Kończę.

– Dobrze. Pieprz się!

Wiedziałałam, że dręcę go o to założenie rodziny. Ale moje pragnienie – więcej, moja obsesja na punkcie dziecka – wymknęła się spod kontroli rozumu. Myślałam o tym bez przerwy, co noc śniło mi się, jakby to było być w ciąży z dzieckiem Leo. Wydawało mi się, że każda znajoma kobieta albo jest w ciąży, albo planowała macierzyństwo – Teresa dopiero co urodziła River, w pracy też miałam kilka ciężarnych, ale najtrudniej było mi znieść ciążę Penny. Wyglądała zjawiskowo, promieniała szczęściem i miłością, i zazdrościłam jej tego ponad wszystko. Ostatnio zbliżyłyśmy się do siebie, ale zaczęłam ją odwiedzać jeszcze częściej, żeby popatrzeć na jej uroczy ciążowy brzuszek i poczuć ruchy dziecka.

Penny zawsze chętnie umawiała się ze mną na kolację albo kawę, nawet jeśli widziałyśmy się zaledwie kilka dni wcześniej. A im więcej się z nią widywałam, tym wyraźniej widziałam różnicę między naszymi mężami. Brad dzwonił co najmniej raz dziennie i czekał na linii albo na czacie, żeby porozmawiać z Penny i z obojgiem dzieci. Jakimś cudem ona zawsze doskonale znała jego plany wyjazdowe i to, nad czym obecnie pracuje.

A ja wiedziałam tylko, że Leo jest w niebezpieczeństwie. A datę jego powrotu do domu znałam dlatego, że kiedy byłam u Penny i akurat zadzwonił

Brad, Leo krzyczał zza jego pleców: „Powiedz Molly, że wracam w czwartek wieczorem!”.

Wtedy zobaczyłam w jej oczach litość.

W czwartek czekałam na Leo na kanapie, jak zawsze. Drzwi się otworzyły i wszedł do mieszkania.

– Cześć – powiedział cicho.

– Cześć.

Rzucił torby na podłogę i poszedł do kuchni. Zrobił sobie ten tost co zawsze, a ja czekałam. Każda sekunda była torturą. Nie mogłam się doczekać, aż przyjdzie, usiądzie obok i obejmie mnie ramionami. To jedyna chwila w tym koszmarnym cyklu wyjazdów i powrotów, kiedy wszystko wydawało się w porządku.

Zjadł kanapkę i wrócił do salonu. Podniosłam się, niecierpliwie wyczekując swojej chwili. Ale on wszedł na schody i ruszył w stronę sypialni. Wtedy zdałam sobie sprawę, że mamy kłopoty. Dotychczas ilekroć rozważałam naszą sytuację, walczyły we mnie dwa sprzeczne głosy. Natarczywy i roszczeniowy przekonywał, że jedynym rozwiązaniem problemów, z jakimi się mierzymy, jest dziecko. Na pewno nas do siebie zbliży, sprawi, że on znów zacznie się mną przejmować, a to nam umożliwi rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Nasza miłość stanie się taka, jak była, a może nawet lepsza.

Ten głos przypominał mi też o wszystkich wadach Leo, o tym, jak mnie krzywdził, stawiając pracę ponad mną i o poczuciu winy, w jakie mnie wpędzał, gdy ośmieliłam się narzekać. Bo jak moje potrzeby emocjonalne mogły się równać z jego misją?

Gorycz zapuściła korzenie w moim sercu i pięła się w górę, gdy roszczeniowy głos przypominał o obietnicach z dnia ślubu, a także o tym, że Leo gotów był bez walki pogodzić się z zerwaniem łączącej nas więzi. Gorycz rodziła pogardę, a to bardzo brzydki i toksyczny element związku. Przeciwnieństwo szacunku. Nie mogą razem współistnieć.

Pogarda sprawiała, że byłam uszczypliwa i okrutna. A skoro mnie lekceważył, czułam, że mam do tego prawo. Zapominałam o wszystkim, co w nim dobre, ignorowałam zalety mężczyzny, w którym się zakochałam. Kiedy pogarda przejmowała stery, chciałam widzieć wyłącznie zło.

Ale był też drugi głos, głos miłości. Cichszy i łagodniejszy. On się martwił o Leo. Leo zawsze kochał swoją pracę, ale ostatnio zaczął ją otaczać obsesyjną czcią, której nie rozumiałam. Rozważny głos przypominał mi wówczas, że ja i Leo prawie się z sobą nie porozumiewamy, a ten samotny, pełen napięcia dom nie jest miejscem, do którego można sprowadzić dziecko. Zwracał uwagę, że ratunkiem jest nie maleństwo, ale ciężka praca nad odratowaniem naszej więzi i uporaniem się z problemami.

Doradzał mi także rozpoczęcie terapii. Za to głos roszczeniowy nakazywał,

żebym przez wszystkie sesje z bardzo cierpliwą terapeutką odgrywała rolę ofiary, skupiała się na winach Leo i zapominała, że był mężczyzną, którego kochałam z całego serca. Sesje nie polegały na szukaniu rozwiązania naszych problemów, nie, ja przekonywałam terapeutkę, że zasługuję na jej współczucie. Cierpiałam i nie panowałam nad sobą.

Po każdej kłótni z Leo rozważny głos stawał się coraz cichszy i słabł. Tak, Leo skupił się na swojej karierze, ale przecież moja obsesja na punkcie dziecka także stawała się coraz bardziej irracjonalna. Długo po tym, jak tego wieczoru poszedł się położyć i miałam już pewność, że się z nim nie spotkam, poszłam na górę do łazienki i sięgnęłam po witaminy dla planujących ciążę, które brałam codziennie od ponad roku. Przy okazji zagapiłam się na blister pigułek antykoncepcyjnych leżący z tyłu na tej samej półce.

Nie przestałam ich brać. Wydawało mi się to naganne – wręcz nikczemne – i niesprawiedliwe. Ale coraz częściej zapominałam o ich łykaniu i nieregularnie podziurawiony listek z tego miesiąca stanowił żywy dowód moich kłopotów z pamięcią.

Leo był w domu już tydzień. Mimo wszystkich naszych wzlotów i upadków, tak źle jeszcze nie było. Nawet gdy przebywaliśmy w tym samym pomieszczeniu, wydawał się być bardzo daleko, a gdy na mnie patrzył, oczy miał zimne i niemal wrogie. W ciągu tych siedmiu dni ani razu mnie nie dotknął, nawet przypadkiem. Spróbowałam to przełamać, gdy wysiedliśmy z samochodu i szliśmy do domu Brada i Penny. Chciałam go wziąć za rękę, ale uchylił się i wsadził ją do kieszeni.

– Co to ma być?! – spytałam ostro, bo aż mnie wbiło w ziemię.

– Co? – Odwrócił się do mnie, ale widziałam w jego oczach poczucie winy.

– Chciałam cię wziąć za rękę, a ty się odsunąłeś!

Zmarszczył brwi, pokręcił głową i mocno zapukał do drzwi. Nie zdążyłam przycisnąć go mocniej, bo otworzył nam rozentuzjasmowany Zake, syn Brada i Penny.

Nie dało się przeoczyć kontrastu między Leo i mną a Bradem i Penny. Penny była już w zaawansowanej ciąży, a Brad najwidoczniej nie mógł utrzymać rąk z dala od niej, bo cały czas rzucał żarciki z podtekstem seksualnym, a ona wznosiła oczy do góry. Co jakiś czas przyłapywałam ich na uśmiechaniu się do siebie.

Leo prawie w ogóle się do mnie nie odzywał. A kiedy raz pokusiłam się o żart, żeby rozładować ciężką atmosferę, wypadło fatalnie.

– ...zgodziłam się, żeby Brad wrócił w przyszłym tygodniu do Syrii, ale jeśli tam utknie i będzie przy cesarce za pośrednictwem Skype'a, wykastruję go, gdy tylko postawi stopę na ojczyściej ziemi – oznajmiła Penny. – Uczciwa umowa, nie sądzicie?

– To zabawne – rzuciłam – bo Leo dla odmiany postanowił, że my za pośrednictwem Skype'a pocznimy dziecko. Prawda, kochanie?

Leo popatrzył na mnie beznamiętnie, a potem przeprosił i poszedł do toalety, zostawiając mnie na pastwę niezręcznej ciszy, która nastąpiła po tym nieudanym żarcie. Brad wymruczał nieprzekonująco, że zajrzy do Imogen, córki, która już od dłuższego czasu spała. Penny naląła mi wina i przesunęła kieliszek po blacie stołu.

– Wypij za nas obie. Przykro mi, jak na was patrzę.

Sięgnęłam po wino i wypić je jednym haustem.

– Nie wiem, co robić – szepnęłam, odstawiając kieliszek.

– Wróćcie do domu, włóż seksowną bieliznę i udawaj, że ostatnich sześciu miesięcy nie było – podpowiedziała cicho.

– On nawet nie chce mnie wziąć za rękę.

Wtedy nachyliła się i szepnęła:

– Więc musisz z nim porozmawiać. Wyjaśnijcie sobie wszystko, to nie może tak trwać.

W tym momencie wrócił Leo, ale już nie usiadł.

– Zadzwoń na taksówkę – oznajmił. – Mam dzisiaj jeszcze trochę pracy, więc musimy się zbierać.

Pożegnaliśmy się drętwo i w milczeniu wróciliśmy do domu. Gdy tylko weszliśmy do środka, Leo skierował się ku schodom.

– Nie! – powiedziałam stanowczo. – Musimy porozmawiać.

– Nie mam dzisiaj siły na kłótnie.

– Nie chcę się kłócić, naprawdę.

Usiedliśmy przy jadalnianym stole, stojącym pod ścianą z naszymi zdjęciami. Siedziałam tak niefortunnie, że ilekroć podniosłam wzrok, widziałam szczęśliwą siebie. Wydawało mi się, że te zdjęcia zostały zrobione w poprzednim życiu, a może i w równoległym wszechświecie.

– Leo, co się dzieje?

Czekałam na odpowiedź i słuchałam tykania kuchennego zegara. Przez chwilę wpatrywał się w stół, ale potem podniósł na mnie wzrok.

– Nie układam nam się. Chcemy od życia różnych rzeczy.

– Nie mów tak. To nieprawda.

– Nie? Ty chcesz mieć dziecko, a ja chcę się skupić na pracy. Nie chcę się czuć zobowiązany do wracania do Sydney co pięć minut.

– Zobowiązany?! – powtórzyłam i cały mój dotychczasowy spokój szlag trafił. Powiedział to tak, jakby to był dla niego przykry obowiązek. Podniosłam głos i wiedziałam już, że niepotrzebnie złożyłam obietnicę. – Byłam bardzo cierpliwa!

– Nie do końca – odparł zwięźle. – Nie do końca.

– Przeżyłam dwa i pół roku w tym małżeństwie z doskoku. Jeśli to nie jest dowód cierpliwości, to nie wiem, co nim jest. – Ogarnęła mnie taka wściekłość, że głos trząśł mi się tak samo, jak ręce.

Leo westchnął ciężko, jakbym mówiła od rzeczy, a potem położył dłonie na stole.

– Nie jesteśmy już nawet przyjaciółmi.

– Nie musi tak być! – zaprotestowałam. – Jeśli ci się nie podoba, zmień to!

– Jak? – spytał i uniósł brwi. – No powiedz, co mamy zrobić, żebym ja mógł podróżować tyle, ile muszę, a ty żebyś nie siedziała tutaj z poczuciem krzywdy?

– Podróżuj mniej! – krzyknęłam. – Czy to naprawdę aż taki problem, przez połowę roku wybierać żonę, nie pracę?

Westchnął ciężko.

– Tak nie będzie. W każdym razie nie w najbliższym czasie.

– Nie widzisz, co się z nami dzieje? Ze mną? – wyrzuciłam z siebie, a on niecierpliwie bębnił palcami w stół i patrzył na mnie z nieskrywaną frustracją.

– Oczywiście, że widzę. Myślisz, że lubię cię rozczarowywać? – warknął, a potem znów westchnął i przeczesał włosy. Czuł się tak nieswojo i był tak zły, że prawie go nie poznawałam. – Słuchaj, nie wiem, jak to powiedzieć, ale myślę, że już czas, żebyśmy... – przerwał i popatrzył na mnie znacząco. Chyba liczył, że sama dokończę zdanie, ale nie miałam pojęcia, co chce powiedzieć.

– No co? – wrzasnęłam wściekle. – Czas, żebyśmy co?!

– Molly – zaczął oficjalnie. – Zastanów się spokojnie i poważnie, czy naprawdę chcesz trwać w tym małżeństwie. Ja w najbliższym czasie nie przystopuję w pracy.

Wypowiedział te słowa i poczułam, że cała wola walki uleciała ze mnie razem z powietrzem. Osunęłam się na krzesło. Nagle najgłośniejszym dźwiękiem w domu stało się tykanie zegara.

– Chcesz rozwodu? – wykrztusiłam. W szoku, to mało powiedziane. Nawet nie oszołomiona. Znokautował mnie.

– Tego nie powiedziałem. Nie wiem, czego chcę. Nie wiem, co dalej. Wiem tylko, że żadne z nas nie jest szczęśliwe i dłużej tak nie może być. Jutro rano wyjeżdżam.

Na te słowa ocknęłam się.

– Uciekasz.

– Nie. Oboje potrzebujemy oddechu. Musimy stwierdzić, czego chcemy i czy nasze życiowe cele mają choć jeden wspólny punkt. Wrócę z Bradem, gdy przyleci na poród.

Wstał i odwrócił się do schodów, a wtedy ja straciłam resztkę kontroli nad emocjami. Zacisnęłam dłonie i zaczęłam wrzeszczeć tak głośno, że mój głos odbijał się echem po całym mieszkaniu. Wiedziałam, że pani Wilkins i studenci wszystko słyszą, ale miałam to gdzieś.

– Jak śmiesz mówić mi coś takiego i wyjeżdżać?! Nie wiedziałam, że jesteś aż takim tchórzem!

– To może opowiedz o tym rodzicom? – rzucił przez ramię z połowy schodów. Mówił tak spokojnie, jakbyśmy nie prowadzili właśnie najstraszniejszej rozmowy w naszym małżeństwie. – Na pewno będą wdzięcznymi słuchaczami, gdy zaczniesz opowiadać, jaki jestem podły.

– Ty dupku! – wycedziłam i poderwałam się tak szybko, że krzesło, na którym siedziałam, huknęło o drewnianą podłogę.

– Zachowujesz się jak rozwydrzony bachor! – Leo popatrzył na mnie chłodno z piętra. – Spakuję się i pójdę spać do gabinetu. Mam lot o szóstej.

Nie chciałam, żeby szedł. Marzyłam, żeby zbiegł na dół, porwał mnie w ramiona i całował, aż nie będę mogła oddychać. Pragnęłam znaleźć sposób na naprawienie wszystkiego, bo wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki tak się nie stanie.

Ale znów byłam sama i dygotałam z wściekłości. Zawsze wierzyłam, że zwalczymy kryzys i życie znów stanie się cudowne. Aż do tego wieczora nie przeszło mi przez myśl, że jeśli zmuszę go do dokonania wyboru między pracą a małżeństwem, przegram.

Minęły trzy tygodnie. Kazał mi się zastanowić, czego chcę, więc posłuchałam. W zasadzie nie robiłam nic innego. Odliczałam w kalendarzu dni do narodzin dziecka Penny, bo wiedziałam, że Brad i Leo wrócą do Sydney kilka dni wcześniej.

Gdy przysłała mi esemesa z informacją, że Brad przyjeżdża, zapytałam Leo mailowo, o której ląduje. Oddzwonił kilka godzin później.

– Nie wracam do domu – oświadczył bez żadnego wstępu. Ból, który mnie wypełniał, stał się niemal nieznośny. Chciałam się odgryźć, ale nie miałam siły. Powinnam wszystko między nami naprawić, a jeśli miało mi się udać, musiałam zachować spokój.

– Leo, proszę cię. Wróć.

– Ustaliliśmy, że potrzebujemy oddechu – odparł jakoś nerwowo. – Mam problem ze zorganizowaniem źródeł do projektu. Lecę do Stambułu, może tam się uda.

– Mieliśmy już oddech – zaprotestowałam. – Teraz musimy porozmawiać.

– Muszę znaleźć tłumacza, bo cały projekt szlag trafi, a pracowaliśmy nad tym od miesiący. Brad i tak wypada z gry na sześć tygodni po narodzinach dziecka. Postaram się wrócić w tym czasie. Tyle mogę ci zaoferować.

Odłożyłam słuchawkę i poczułam, jak w skomplikowanym równaniu naszego małżeństwa pojawia się całkiem nowe doznanie. Załamanie, strach i tęsknotę już znałam, były i tak wystarczająco okropne, ale teraz, po raz pierwszy, do gry weszła panika.

W czasie tej rozmowy uświadomiłam sobie, że Leo nie tylko się odsuwa. On odrywał ostatnie nici, jakimi był ze mną związany. Naprawdę go traciłam.

Cóż, jeśli myślał, że poddam się bez walki, to się mylił. Podeszłam do komputera i zaczęłam szukać lotu.

Wrzesień 2015

Mijają tygodnie, a brzuch Molly staje się widoczny. To mała, idealnie okrągła piłeczka, od której nie mogę oderwać ani wzroku, ani rąk. Zachwyca mnie myśl, że inni ludzie już widzą, że jest w ciąży.

Któregoś piątkowego poranka jadę z nią na kontrolę do lekarza i przez moment widzimy dziecko na monitorze USG. Tym razem macha do nas maleńką ręką, a oczy Molly zasnuwają się mgłą.

– Chyba nie zamierzasz płakać w miejscu publicznym? – dokuczam jej żartobliwie, a ona żartobliwie uderza mnie w rękę i każe mi się zamknąć. Śmiejemy się z lekarzem, a ona wywraca oczami.

– Na następnym badaniu będziemy już chyba widzieli płęć – stwierdza lekarz, a Molly zerka na mnie zaskoczona.

– Nawet o tym nie rozmawialiśmy. Chcemy wiedzieć?

– Ja tak – przyznaję, a ona się szeroko uśmiecha.

– Czyli chcemy.

W samochodzie, w drodze powrotnej do domu, kładę rękę na jej brzuchu i myślę o dziecku ruszającym się pod skórą. Nie mogę się doczekać, aż zacznę czuć pod dłonią kopnięcia.

– Wolisz chłopca czy dziewczynkę? – pyta cicho Molly.

– Obojętnie.

– A co z imionami?

– Dla chłopca podoba mi się Henry – mówię, a potem dodaję: – Henry Andrew?

– Tak! – Uśmiecha się zaskoczona. – Bardzo mi się podoba. A dla dziewczynki?

– Ty wybierz.

– Zawsze podobało mi się imię Juliette. Juliette Stephens. Ładnie brzmi, prawda?

– Super!

– Łatwo poszło! – śmieje się.

– Czuję, że to dziecko po prostu musiało powstać, a ty?

Jest wyraźnie zachwycona, że to mówię. Wstydliwie wzrusza ramionami i chichocze.

– Też mi się tak zdaje – wyznaje w końcu.

– Bezproblemowo znosisz ciążę. Prawie nie miałaś porannych mdłości i

wyglądasz fantastycznie! – Uśmiecha się szeroko, a ja spoglądam na swoją dłoń leżącą na jej brzuchu. – I tak szybko wybraliśmy imiona. Nie mówiąc już o tym, jaki to cud, że w ogóle zostało poczęte. Przecież łykałaś pigułki, prawda?

Milczy przez moment, ale dość długi, żebym przeniósł wzrok z jej brzucha na twarz. Kiwa szybko głową, ale unika mojego spojrzenia. Marszczę czoło.

– Molly?

– łykałam – odpowiada, ale za szybko, a zaraz potem spogląda w okno.

– Właściwie o tym nie rozmawialiśmy... Skąd się wzięło to dziecko – myślę na głos i nadal marszczę czoło.

– Trochę odpuściłam te pigułki – przyznaje cichutko.

– Najpierw zapuściłaś, a potem odpuściłaś? – żartuję, ale nagle wracają wspomnienia: Molly bez przerwy dręczy mnie o dziecko, temat pojawia się coraz częściej, a wreszcie niemal nie znika.

Niektóre z kłótni wracają i teraz, kiedy już je sobie przypomniałem, nie mogę ich zapomnieć.

Pamiętam, jak nieraz brałem do ręki telefon, żeby do niej zadzwonić, a potem odkładałem, bo nie chciałem po raz kolejny rozmawiać na ten temat. Początkowo nie miałem nic przeciwko dziecku. Sporo o tym myślałem w czasie wyjazdów. Ale entuzjazm szybko się rozmył, gdy racjonalna prośba Molly zmieniła się w niekończące się nagabywanie, z którym nie umiałem sobie radzić. Udało jej się wpleść ten temat do każdej rozmowy, a im bardziej naciskała, tym mniejszą miałem na to ochotę.

– Nie szkodzi – mówię ostrożnie. – Nie musisz odpowiadać. Już pamiętam. – Wpatruje się w swoje kolana, a ja ciężko wzdycham i przeczesuję włosy palcami.

– Czasem pomijałam jakąś pigułkę, od dłuższego czasu – szepcze. – Prawda jest taka, że trochę zwariowałam. River dopiero się urodziła, Penny zaszła w ciążę i wydawało mi się, że wszyscy wokoło mają dzieci. Nie mogłam myśleć o niczym innym. Początkowo wydawałeś się dobrze usposobiony, ale potem zmieniłeś zdanie i ja... Postąpiłam egoistycznie i głupio.

– Tak, nie da się ukryć – stwierdzam cicho. Jestem zły, ale byłoby gorzej, gdybym się dowiedział, zanim przywiązałem się do myśli o dziecku. Czynnikiem łagodzącym jest fakt, że już je kocham.

Fakt, że Molly podjęła decyzję za mnie i zdradziła moje zaufanie, było podłą manipulacją zasługującą na potępienie. Zachowała się jak rozpuszczone dziecko, przyzwyczajone, że zawsze wszystko dzieje się, jak ono chce. Ale nieważne, na ile sposobów skomentuję jej postępowanie, nie potrafię wściec się tak, jak powinienem. Może złość przyjdzie później, kiedy wszystko do mnie dotrze. A może wyczerpałem zapas energii na dzisiejszy dzień i obudzę się wściekły jutro.

Wiem tylko, że nie jestem specjalnie zaskoczony. Może dlatego, że znam wady Molly równie dobrze, jak zalety. Zastanawiam się, czy podświadomie nie

czułem tego od początku.

– No więc... – mruczy. – To już wszystko.

– Wszystko? – powtarzam i zerkam na nią z ukosa.

– To, co zrobiłam, doprowadziło nas do końca.

– Chyba dam radę z tym żyć – stwierdzam. – Na pewno nie to spowodowało separację.

– Było ważnym czynnikiem.

– Czyli... dowiedziałaś się, że jesteś w ciąży i postanowiliśmy się rozstać?

Przecież to niemożliwe!

Patrzy na brzuch i głaszcze go.

– Spytałeś, czy chcę z tobą być, a potem prawie w ogóle nie rozmawialiśmy.

Miałeś wrócić z Bradem na poród. W ostatniej chwili zadzwoniłeś, że nie wracasz do domu, a ja się załamalam. Poleciałam do Stambułu, żeby spędzić z tobą kilka dni i wszystko naprawić.

Gdy mówi, otwierają mi się klapki w pamięci. Pamiętam, że stoję w pokoju hotelowym. Ubrałem się właśnie w strój do ćwiczeń. Miałem fatalny nastrój i liczyłem, że po ostrym treningu jakoś się otrząsnę. W jednej ręce trzymałem butelkę z wodą, a w zębach klucz. Otworzyłem drzwi, na progu stała Molly z walizką. Nie spodziewałem się jej tak bardzo, że jej widok wyrwał mnie z transu, w którym trwałem. „Co ty tu robisz, do cholery?”. Mój nieprzyjemny ton zdumiał mnie w równym stopniu, co jej widok i pamiętam, jak zrzędała jej mina. „Spędziłam cały dzień w drodze, żeby się z tobą zobaczyć, a ty mnie tak witasz?”.

– Nie ucieszyłeś się na mój widok – mówi cicho. – Nie powinnam była przyjeżdżać. To tylko wszystko pogorszyło.

– Boże! – wołam nagle. Patrzę na nią przerażony, bo przypomina mi się, co jej powiedziałem potem. – Kazałem ci wracać do domu.

– Tak... Weszliśmy do twojego pokoju w tym gównianym hotelu, w którym się zatrzymałeś. Cuchnęło brudnymi dywanami, z łóżka sterczały sprężyny i było koszmarne.

– To pierwszy lepszy hotel, jaki znalazłem. Nie chciałem, żebyś ze mną została, nie tam.

– Zaproponowałam, że znajdę coś lepszego, żebyśmy spędzili razem kilka dni, ale powiedziałeś, że bym się nie kłopotowała.

Wspomnienia są szokujące, po głowie nadal krążą fragmenty układanki i nie umiem z nich złożyć sensownej całości. Byłem wściekły, że przyjechała – zachowałem się okropnie – wpadłem w panikę. A co najgorsze, na jej widok poczułem straszliwą rozpacz, co nawet wówczas wydawało mi się absurdalną reakcją.

Gdy otworzyłem drzwi, nie rozumiałem, co tu robi, czemu stoi na korytarzu i patrzy tak błagalnie. Było mi wstyd, bo wiedziałem, że każda nowa zmarszczka na

jej twarzy powstała przeze mnie.

– Nigdy wcześniej nie przyjeżdżałaś – mówię teraz, a ona kręci głową.

– No wiesz, nie przemaszerałam przez linię frontu, żeby się z tobą spotkać – wzdycha. – W Stambule było dość bezpiecznie. Ale nigdy nie przyjeżdżałam bez zapowiedzi, to na pewno. Na początku kilka razy spotykaliśmy się w Europie, ale z czasem miałaś na to coraz mniejszą ochotę.

Szaleńczo przeszukuję wspomnienia, bo chcę wiedzieć, jak się to spotkanie skończyło. Nie znajduję jednak nic oprócz sceny, w której oboje siedzimy na łóżku w obleśnym pokoju hotelowym, a ja jestem zażenowany stanem tego pomieszczenia. Ona też czuła się nieswojo, była bezbrzeżnie smutna i zagubiona.

– Nie pamiętam, czemu zostałaś – marszczę brwi. – Nalegałaś? Przyjechałaś tylko po to, żeby... Wiedziałaś, że jeśli wtedy...

– Nie! – protestuje i patrzy na mnie z taką miną, jakbym ją obraził.

Mrugam i wskazuję na jej brzuch.

– No wiesz... Przestałaś łykać pigułki. Nie zdziwiłbym się, gdybyś chciała się ze mną zobaczyć tylko po to, żeby doprowadzić sprawę do końca.

– To nie było tak – odpowiada i marszczy czoło. – Opuszczałam niektóre dni, ale nie przestałam łykać.

– A jest różnica?

Wzdycha, opada z powrotem na oparcie i kręci głową.

– Wiem, że to i tak straszne. Ale przyrzekam, nie zdawałam sobie sprawy, że omijałam ich aż tyle, żeby przestały działać.

– Więc jak to się stało, że zostałaś, kochanie?

– Wściekałaś się, ale potem do ciebie dotarło, że zachowujesz się jak dupek i przeprosiłaś. Wtedy postanowiliśmy, że zostanę – tłumaczy. – Znalazłam lepszy hotel i przenieśliśmy się na drugą stronę miasta, ale i tak spędzaliśmy razem tylko wieczory, bo całe dni byłeś zajęty.

Przechodzi mi przez myśl, że może specjalnie nie wracałem, bo byłem zły, że przyjechała bez zapowiedzi. Nie podoba mi się wizja mnie, która wyłania się z tych przemyśleń. Zastanawiam się przez chwilę i kolejna część układanki wpada na swoje miejsce.

Czułem się jak w potrzasku. Znalazłem się w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia. Żadne nie chroniło przed bólem. Próbuję to zrozumieć, ale się niecierpliwię i wkurzam, a mój mózg nie dostarcza danych.

– Skoro nie przyjechałaś, żeby załatwić sobie dziecko, to po co się wybrałaś w tę podróż?

Uśmiecha się do mnie smutno, kładzie rękę na mojej, spoczywającej na jej brzuchu, i ściska moje palce.

– Chciałam wszystko naprawić.

– Zdaje się, że w końcu się udało – stwierdzam i znów wskazuję na jej

brzuch.

– Nie do końca – zaprzecza smutno. – To znaczy tak, znów pojawiła się między nami intymność, ale nie taka, jakiej potrzebowaliśmy. Rozmawialiśmy, ale ty chciałeś mówić o pracy, a ja nie chciałam, żebyś to robił, więc się znów kłóciliśmy. Co swoją drogą pokazuje, jaki to dla nas problem. Pojechałam tam, bo byłam przekonana, że potrzeba nam po prostu czasu sam na sam, ale pod koniec tego tygodnia... – odchrząkuje – nie mogłam się doczekać, aż wrócę do domu.

– Wtedy podjęliśmy decyzję o separacji?

– Właściwie nie. Przyjechałeś kilka tygodni później, skończyło się kolejną wielką awanturą o dziecko i zrobiło się obrzydliwie... Wtedy już oboje wiedzieliśmy, że to koniec.

– Ale to nie był koniec – stwierdzam. – I nigdy nie będzie.

– Tego jeszcze nie wiemy – szepcze po chwili milczenia. Patrzy na moje nogi, a potem podnosi wzrok na twarz. – Chyba, że nagle cię olśniło, że chciałbyś zostać księgowym?

Resztę drogi spędzamy w milczeniu. Przypominają mi się urywki tamtego tygodnia w Stambule. Wiem, że raz czy dwa kochaliśmy się.

Pamiętam, jak za nią tęskniłem, nawet kiedy była obok, ale doskonale rozumiałem, co miała na myśli, mówiąc, że nie może się doczekać powrotu do domu. Kiedyś odliczałem dni, aż znów ją zobaczę, ale teraz wyczekiwałem jej wyjazdu.

Nie mogę uwierzyć, że doprowadziliśmy się do takiego stanu, ale pamiętam, jak na mnie wtedy patrzyła. Spoglądała z rozpaczą i pogardą, a ilekroć próbowałem dzielić się z nią szczegółami mojego nowego projektu, widziałem, jak emocje przygasają, a jej piękne niebieskie oczy stają się martwe.

Myślałem, że nikt na świecie nie umie mnie skrzywdzić tak jak Molly. Raniła do głębi pogardliwą uwagą, że nie chce rozmawiać o mojej pracy albo wznoszeniem oczu do góry, kiedy znów próbowałem mówić na ten temat. Wiedziałem, że nie robiła tego specjalnie i że ja też ją krzywdziłem, a nią powodowało cierpienie, ale tak czy inaczej spędziliśmy okropny tydzień dziwnych rozmów i prób wskrzeszenia czegoś, w czym tliło się już za mało życia. Gdy w końcu wyjechała, poczułem ulgę.

Pełen rozpaczony związek, który zaczynam sobie przypominać, nie ma nic wspólnego z tym, co tworzymy teraz. Mamy za sobą tygodnie miłości i bliskości, mimo wyzwania, jakim musieliśmy stawić czoło. Jak to możliwe, że jest tak cudownie, a za pierwszym razem pozwoliliśmy, żeby z biegiem czasu uczucie całkiem się wypaliło?

Myślę o tym, ale co chwilę odpływam pamięcią do dzisiejszego poranka, gdy zdołałem ustać dziesięć sekund, a Tracy wypowiedziała magiczne słowa:

– Jutro zrobimy pierwszy krok.

39. Molly

Maj 2015

Pustka tego koszmarnego tygodnia okazała się dzwonkiem alarmowym, którego potrzebowałam. Musiałam się pogodzić z faktem, że moje małżeństwo się rozpadło.

Wyprawa do Stambułu była aktem rozpacz, dokonany przez zdesperowaną kobietę, a kiedy okazała się większą klęską, niż zakładałam, dotarło do mnie, że on miał rację. Nadal nie potrafiłam zrozumieć dlaczego, ale nie miałam już wątpliwości, że praca jest dla niego najważniejsza. Ważniejsza nawet niż przyszłość ze mną i własne bezpieczeństwo.

Po jego powrocie mijaliśmy się jak sublokatorzy, a nie para. Schodziliśmy sobie z drogi, a jeśli już rozmawialiśmy, to ze sztuczną uprzejmością. Zresztą, nie licząc rzeczy czysto praktycznych, nie rozmawialiśmy w ogóle. Nie chciałam pierwsza poruszać kwestii separacji – w każdym razie jeszcze nie – ale postanowiłam, że jeśli Leo coś o tym powie, spokojnie się zgodzę. Zadzwoiłam nawet do zarządcy budynku, w którym kiedyś mieszkałam, i poprosiłam o niewynajmowanie go oraz przywiezienie z magazynu kilku rzeczy, żeby znów było gotowe do zamieszkania. Poza tym niczego nie planowałam.

Przez kilka tygodni tkwiliśmy w tym grzecznym, acz pozbawionym emocji impasie. Ale później zaczął mi się spóźniać okres i rozpętało się piekło.

Wrzesień 2015

Przyszedł czas na niespodziankę dla Molly. Proszę Tracy, żeby tego dnia była później niż zwykle. Nie pływałem, żeby cały ranek zbierać siły. Zjawia się tuż przed powrotem Molly.

– Mam nadzieję, że nie zemdleje – rzuca i zapina uprząż. – W końcu jest w ciąży. Może trzeba było ją uprzedzić.

– To niespodzianka.

– Na pewno będzie – chichocze Tracy. Po chwili słyszymy trzask drzwi do windy, a Molly woła:

– Cześć! Gdzie jesteś?

– Tutaj! – odkrzykuję, a Molly idzie za moim głosem do salonu, gdzie ćwiczę. Na widok Tracy szerzej otwiera oczy i patrzy na nas oboje z zaciekawionym uśmiechem.

– Co to?

– Niespodzianka.

– Och – stwierdza i widzę, że nie wie, co się dzieje. Zerkam na Tracy.

– Gotowa?

Kiwa głową, a ja opieram ręce na balkoniku, głęboko wciągam powietrze i wstaję. Kiedyś, dawno temu, potrafiłem przebiec dziesięć kilometrów i zmęczyć się mniej niż teraz, stawiając te dwa kroki, ale robię to. Podnoszę lewą stopę, przesuwam naprzód, a pod nosem szepczę: „pięta”. Powoli opuszczam i podpowiadam sobie: „palce”. Ręce mi się trzęsą, gdy przestawiam balkonik i powtarzam manewr z drugą stopą.

Po dwóch krokach jestem całkowicie wyczerpany i Tracy podstawia wózek, na który opadam. Zmęczenie tym prostym manewrem wydaje mi się absurdalne, ale zrobiłem to, a teraz unoszę oczy na Molly z nadzieją, że zobaczę na jej twarzy podniecenie, dumę i radość.

Ale widzę rozczarowanie i strach, których nie potrafi ukryć. To nie są niuanse, które mógłbym źle zinterpretować, tylko mina mówiąca mi wprost, co myśli o moich postępach.

Fala triumfu, na której się unosiłem, wyparowuje, gdy spoglądamy sobie w oczy. Znam to rozczarowanie. Powtarzało się, ilekroć coś wspaniałego wydarzyło się w mojej pracy, a ona nawet nie chciała o tym rozmawiać. Coś ścisną mnie w piersi.

– Chyba... Lepiej już pójdę – mówi niepewnie Tracy. Kiwam głową, więc

się schyla, żeby rozpiąć uprząż.

– Zostaw – warczę, a ona ucieka, jakby energia emanująca ze mnie i z Molly mogła jej zrobić krzywdę. Nie odrywam oczu od mojej żony, nawet na sekundę. Jestem na nią potwornie wściekły i okazuje się, że to też znajome uczucie.

Oto kawałek układanki przedstawiającej nasze życie, którego brakowało, odkąd się obudziłem ze śpiączki. Ten ze środka. Bez niego inne wisiały w powietrzu. Mówiła, że nasz związek się rozpadł, bo za dużo pracowałem, ale teraz dociera do mnie, że stało się tak, ponieważ Molly uparcie i egoistycznie nie chciała mnie wspierać. To bolesne rozczarowanie czułem nieraz, słysząc jej beznamiętny ton, gdy dzwoniłem, żeby opowiedzieć o materiale, nad którym pracowałem. Albo gdy niemal znudzonym głosem pytała za każdym pieprzonym razem, czy naprawdę muszę tam jechać.

Nie mogę uwierzyć, że po wszystkim, przez co przeszliśmy, stanąłem przed nią na własnych nogach, mimo wszelkich przeciwności i po morderczej rehabilitacji, a ona nie jest w stanie wykrzesać choćby okruchu radości.

– Powiesz coś? – zaczynam.

W jednej chwili wbija wzrok w podłogę, ale zaraz butnie go podnosi.

– Wiem, że powinnam się cieszyć – mówi sztywno. – I wiem, że wychodzę na potwora, bo się nie cieszę. Ale dla ciebie to są dwa kroki, a ja wiem, że to dwa pierwsze kroki, które na nowo cię ode mnie oddalają.

– I to jest ten problem. Zawsze był. – Ból niemal mnie oślepia, a poczucie zdrady odbiera oddech. – Nigdy mnie nie wspierałaś, Molly. Chciałaś mnie mieć jak jakieś przekłete zwierzątko, które możesz trzymać w domu i bawić się z nim. Ten wózek to dla ciebie dar z niebios, bo zatrzyma mnie przy tobie? – Unosi brodę i wpatruje się we mnie. Narasta w niej furia, która wkrótce zderzy się z moją, ale gdy po kilku sekundach nic nie mówi, próbuję wydusić z niej reakcję, żeby nieunikniony wniosek jak najszybciej ubrał się w słowa. – Nigdy nie chciałaś, żebym znów chodził. Wolałaś, żebym tu utknął.

– Mówiłam ci przecież. Wiedziałam, że znów będziesz chodził. Nie pozwolisz, żeby cię to powstrzymało. I uprzedzałam, że w końcu wrócimy do punktu wyjścia, do problemu, który nie ma rozwiązania. A skoro moja nadzieja, że twój wypadek cię tutaj zatrzyma, żebyś był bezpieczny i żebyśmy mogli być szczęśliwi, czyni mnie najgorszym pieprzonym człowiekiem świata, to niech ci będzie.

– Jak możesz w ogóle tak mówić? – warczę i wściekłymi, gwałtownymi ruchami szarpię za uprząż, w której tkwię, ale nie mogę rozpiąć klamry w pasie, zostawiam ją więc, jak jest. – Praca jest dla mnie wszystkim, a to, że całe twoje wsparcie było nieszczerze, dowodzi, jak bardzo mnie nie rozumiesz.

Podjeżdżam do miejsca, gdzie stoi, obok wejścia do kuchni, i zatrzymuję się o jakiś metr od niej. Wpatrujemy się w siebie, a w ciszy słychać nasze urywane

oddechy.

– Czemu tak strasznie chcesz zginąć dla tej pieprzonej pracy?

Nie krzyczy, ale te słowa i tak mają śmiertelną moc. Nie musiała nawet podnosić głosu. Jestem rozsierdzony jej egoistyczną złością, chociaż czuję, że moja złość zaraz dorówna jej. Gorąca jak ogień furia wzbiera mi w piersi, robię się czerwony. Ponad wszystko chcę na nią nawrzeszczyć. Trzasnąć drzwiami, wypaść z budynku, iść na siłownię i walić w bokerską gruszkę, aż zaczną mi krwawić kostki palców.

Ale nie mogę. Nie mogę nic zrobić. Zresztą, nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym. Wpatruję się w nią z takim napięciem, że zaczynają mi łzawić oczy. Nie rozumiem, jakim cudem pomija tak ważny aspekt kłótni o moją pracę.

Nigdy nie rozumiałem jej poglądu na ten temat, ale nie pojmowałem też, dlaczego w ogóle chce ze mną być i jak może pozostawać ślepa na siłę, która mnie gna.

– Bo muszę – odpowiadam. Głos mi się łamie i nie wiem, co to znaczy, ale jestem zbyt wściekły, żeby się nad tym zastanawiać. – Nie rozumiesz?

– Ale dlaczego? – szepcze, a na dźwięk rozbrzmiewającej w jej głosie rozpaczony coś we mnie pęka.

– Dla ciebie! Dla ciebie, dla twojego pieprzonego ojca i wszystkich ludzi w naszym otoczeniu, którzy wiedzą, że nie jestem dla ciebie dość dobry! Wiesz równie dobrze, jak ja, że bez tej pracy jestem nikim.

Musiałem niechcący wcisnąć guzik z napisem „stop”, bo nagle żadne z nas nie wie, co powiedzieć. Czuję się, jakbym stał nago przed oddziałami wroga.

– Leo! – odzywa się Molly. Jest całkiem spokojna i to powinno uspokajać i mnie, ale tak się nie dzieje. Serce wali mi coraz szybciej. Pocę się. Muszę wyjść z tego mieszkania, uciec od kłótni, zanim stracę resztki dumy.

– Daj spokój. – Mijam ją i kieruję się korytarzem do windy.

– Nie! – słyszę jej głos za plecami. Łapie za rączki wózka i odwraca mnie do siebie. Wówczas mój głos wybucha z nową siłą, bo mówiłem jej, żeby tego nie robiła, kurwa, jak ja nienawidzę tej bezradności! Może bym to wykrzyczał, ale nie mogę. Nie mogę mówić ani nawet oddychać. Ucisk w piersi jest coraz mocniejszy i tak bardzo skupiam się na utrzymaniu neutralnego wyrazu twarzy, że nie mogę się skoncentrować na niczym innym. A już na pewno nie mogę na nią patrzeć. Nie chcę widzieć jej bólu, bo przygasi mój gniew. I nie chcę patrzeć na jej litość, chyba że będzie mi już wszystko jedno.

Pada na kolana, bierze mnie za ręce i przyciska grzbiet moich dłoni do policzków, które w jednej chwili pokryły się łzami. Odchylam głowę i nadal na nią nie patrzę, nie mogę.

– Nie powstrzymam cię od tych wyjazdów – mówi zrezygnowana. – Nigdy tego nie zrobię, ale zanim wyjedziesz, musisz coś zrozumieć.

Czeka, aż spojrzę jej w oczy, ale ja nie wiem, czy zdołam, nie pokazując przy tym, jak bardzo mnie skrzywdziła i jak strasznie jestem wściekły. Mijają sekundy i zdaję sobie sprawę, że jedyny sposób, żeby się stąd wydostać, to pozwolić jej powiedzieć, co chce. Patrzę więc i jeśli wydawało mi się, że dotąd cierpiełem, na widok bólu w jej oczach czuję, że umieram.

– Posłuchaj, Leo – szepcze, a potem uśmiecha się przez łzy, niemal błagalnie. – Nie musisz zostawać bohaterem, żeby być bohaterem dla mnie.

Patrzę gdzieś w bok i czuję, jak drga mi mięsień w szczęce. Powiedziała to dziwnie łagodnie, ale jej słowa atakują mnie jak sztylety. A i tak jeszcze nie skończyła. Wzdycha ciężko i cicho dodaje:

– Obiecałeś, że tak się nie skończy. Dałeś słowo, że istnieje kompromis, rozwiązanie. Skoro tak... – Wstaje i cofa się o kilka kroków. Patrzę wyczekująco, a ona unosi brwi, jakby rzucała mi wyzwanie. – To znajdź je, żebyśmy mogli być rodziną.

Proszę kierowcę vana, żeby odwiózł mnie do domu. Przez chwilę bawię się z Lucienem w tym, co zostało z mojego ogrodu, a potem pani Wilkins przynosi filiżankę herbaty i swoje słynne bułeczki. Jemy wspólnie przy stole w jadalni. Zwykle popołudnie z czasów przed Molly, w moim dawnym życiu, z tą różnicą, że mój dom wygląda jak sesja z magazynu „Home Beautiful”.

Potem pani Wilkins wychodzi, a ja wpatruję się w podnośnik zamontowany przy schodach. Dopiero po chwili przenoszę się na siedzisko. Chwilę zajmuje mi zorientowanie się, jak to działa, ale w końcu przypinam wózek do bocznej strony siedziska i włączam maszynę.

Molly nie żartowała, kiedy mówiła, że się wlecze. Wjechanie z parteru do sypialni zajmuje niemal minutę. A kolejną trwa pokonanie schodków do mojego gabinetu. Ale warto było się męczyć. Na jego widok śmieję się z ulgą.

Przez chwilę patrzę na książki, a potem podjeżdżam do biurka. Laptop jest zamknięty. Przyciągam go do siebie i zamierzam otworzyć, ale spod niego wysuwa się list i pochłania całą moją uwagę. Biorę go do ręki i czuję, jak w moim umyśle następuje gwałtowna zmiana. Zwykle wspomnienia powracają powoli, jak zdjęcia ładujące się piksel po pikselu z powodu wolnego połączenia z Internetem. Tym razem to raczej coś w stylu wiadra lodowatej wody, nieoczekiwanie wylanego mi na głowę. Wpatruję się w tę kartkę, czytam adres nadawcy i ostatnie elementy układanki trafiają na swoje miejsce.

To pismo z kancelarii notarialnej Brokeshaw Solicitors, tuż obok baru, w którym – jak sądziłem – wydarzyło się między mną a Molly coś wyjątkowego. Już po przeczytaniu nagłówka wszystko staje się okropne. Zamykam oczy i łudzę się, że w ten sposób powstrzymam zalew wspomnień, ale to nie pomaga.

Przyjechałem na spotkanie w kancelarii punktualnie o szesnastej. Z redakcji „News Monthly” przyszedłem na piechotę, żeby pomyśleć. Założyłem, że gdy

dotrę na miejsce, będę już gotowy, ale kiedy miałem już wchodzić na górę, nogi wrosły mi w ziemię. Na polu walki uchylałem się przed kulami i czułem tylko ekstazę, a teraz utknąłem na zwykłej klatce schodowej pośrodku bardzo bezpiecznego miasta i po raz pierwszy w życiu poczułem panikę.

Nie mogłem tego zrobić, po prostu nie mogłem tam wejść. Wyjąłem z kieszeni telefon, zadzwoniłem do kancelarii i skłamałem, że muszę zostać dłużej na spotkaniu i spóźnię się o co najmniej pół godziny. Następnie odwróciłem się na pięcie i pomaszerowałem do baru. Zamówiłem szkocką i gapiłem się na kostki lodu unoszące się na powierzchni.

Molly. Tego dnia myślałem tylko o niej. Gdy zamykałem oczy, widziałem ją w wyobraźni, zbitkę naszych najbardziej ekstremalnych wspólnych chwil: wściekłe wrzaski, histeryczny płacz, łagodne uśmiechy i świetlistą miłość.

Zdradziła zaufanie, jakim ją obdarzyłem, skrzywdziła mnie, byłem zdruzgotany brakiem wsparcia z jej strony. Jedyne, czego w życiu chciałem, to być jej wart. Zasłużyć na jej miłość. Ale im bardziej się starałem być mężczyzną zasługującym na taką kobietę jak ona, tym bardziej ją zawodziłem. To był pat, bo jedyna rzecz, która sprawiała, że na nią w moim mniemaniu zasługiwałem, była jednocześnie tą, która niszczyła nasz związek.

Tego dnia w barze chciałem wszystko naprawić. Tak bardzo chciałem z nią być, że rozłąka fizycznie bolała. Tęskniłem za nią, całe moje życie za nią tęskniło, ale czułem się przytłoczony ogromem porażki i poczucia winy, jakbym zniszczył dar, który dostaje się tylko raz.

Jak mogłem zmarnować najlepsze, co mi się przydarzyło?

W końcu pozbierałem się, wróciłem do kancelarii, wszedłem do środka i porozmawiałem z notariuszem. Nie podałem szczegółów, nie potrzebował ich. Po prostu uruchomiłem maszynę, wmawiając sobie, że robię, co trzeba.

Otworzyłem oczy. Okulary spadły mi na biurko, wilgotne od wewnątrz. Podniosłem je, a wtedy tekst na kartce nabrał ostrości.

Szanowny Panie,

zgodnie z ustaleniami poczynionymi w czasie spotkania, jako datę rozpoczynającą Pańską separację z Panią Molly Torrington-Stephens ustaliliśmy czwartek, 4 lipca 2015 roku. Jak Pan wie, zgodnie z australijskim prawem przed złożeniem pozwu o rozwód separacja musi trwać dwanaście miesięcy. W związku z powyższym prosimy o skontaktowanie się z nami ponownie w czwartek 4 lipca 2016 roku, abyśmy mogli kontynuować działania.

Potwierdzamy przyjęcie do wiadomości Pana oświadczenia dotyczącego kwestii finansowych: ubiega się Pan o zatrzymanie jedynie tych dóbr, które posiadał Pan w momencie zawarcia związku małżeńskiego. Sugerujemy jednak rozważenie tej decyzji: ponieważ nie zawarto intercyzy, przysługuje Panu prawo do znaczącej części majątku Pani Torrington-Stephens.

Potwierdzamy także odnotowanie Pana zaleceń w kwestii ustanowienia opieki nad dzieckiem: rozmowy na ten temat połączone będą z procesem rozwodowym, a więcej szczegółów przekaże Pan, gdy dziecko przyjdzie na świat.

Odkładam list i raz jeszcze myślę o mężczyźnie, który tamtego dnia siedział w barze.

Dobrze wiedział, czego pragnie. Nie miał tylko pojęcia, jak to zdobyć. A może miał, tylko brakowało mu odwagi, żeby zrobić to, co należało.

Ocieram oczy rękawem i wracam na schody.

41. Molly

Czerwiec 2015

W tym roku mnóstwo czasu spędziłam na wyobrażaniu sobie, jak by to było zobaczyć na teście ciężowym drugą kreskę. Ćwiczyłam nawet przed lustrem radosny, pełen matczynej łagodności uśmiech, który przybioreę, przekazując Leo nowinę. Tyle razy sobie wyobrażałam jego równie entuzjastyczną reakcję, aż zaczęło mi się wydawać, że już ją widziałam.

W rzeczywistości chwila ta nie miała nic wspólnego z moimi fantazjami. Gdy wchodziłam do łazienki, Leo spał na fotelu w swoim gabinecie i nie obudził się, kiedy patrzyłam, jak materializuje się druga kreska.

Wyrzuciłam test do kosza i wzięłam Luciena na spacer do miasta. Trzymał się blisko mnie, co zazwyczaj oznaczało brak ochoty do biegania, ale tego dnia wiedziałam, że odbiera napięte jak struna emocje, która w sobie niosłam.

Nie mogłam myśleć o dziecku, nie chciałam sobie pozwolić na radość, że to się stało. Myślałam jedynie o kłopotach, w jakie się wpakowałam i dodatkowym chaosie, który stworzyłam.

Wydawało mi się, że jeśli spacer będzie wystarczająco długi, wymyślę, co zrobić, żeby wszystko naprawić, ale w efekcie doszłam tylko do wniosku, że nie ma na to sposobu. Gdy Lucien nie mógł już iść, wezwałam taksówkę i wróciłam do domu.

Leo siedział przy stole w jadalni, jadł tost i czytał gazetę. Zerknął na mnie, gdy weszłam, a potem bez słowa wrócił do czytania. Stałam naprzeciwko niego, nie chciałam siadać.

– Jestem w ciąży – oznajmiłam. Nie tłumaczyłam się ani nie wypierałam, że sama do tego doprowadziłam. Nie zamierzałam obrażać jego inteligencji. W jego minie nie widziałam gniewu, ale mieszankę różnych, pełnych bólu emocji: poczucie krzywdy, zagubienie, nagłą świadomość, a następnie lodowatą i potworną nienawiść. Wstał, wziął portfel z ławki w kuchni i wyszedł, trzaskając drzwiami. Huk odbijał się po pustym domu echem jeszcze długo po jego wyjściu. Wiedziałam, że to odpowiednik żałobnego dzwonu, obwieszczającego śmierć mojego małżeństwa.

Wrócił wiele godzin później, zlany potem i wykończony. Wiedziałam, że poszedł na siłownię. Coś czułam, że gruszka bokserska albo jakiś inny sprzęt nadaje się do wymiany.

Nie mogłam na niego patrzeć. Przyszedł i usiadł na drugim końcu kanapy.

– Poradzimy sobie z tym? – spytałam ochrypłym głosem.

– Nie wiem – przyznał i w końcu na mnie popatrzył.
– Mogę coś zrobić?
– Po prostu... daj mi złapać oddech.
– Dobrze – szepnęłam, ale byłam tak wściekła, że brakowało mi słów. Leo zawsze to mówił. Daj mi złapać oddech. Gdybym nie była tak zdruzgotana, ostrzegłabym, żeby się przypadkiem nie zapowietrzył.

Po jednym czy dwóch dniach zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie dobrze. Zapanował zaskakujący spokój. Przestrzeń między nami wydawała się krucha, ale nie tak napięta jak ostatnio, gdy groziła rozsypaniem się w drobny mak przy najlżejszym dotknięciu. Teraz stała się czymś delikatnym, czym musieliśmy się czule opiekować. Nie rozmawialiśmy o dziecku ani o tym, co zrobiłam, ale Leo wrócił do wspólnego łóżka, a kilka razy obudziłam się z jego dłonią na moim brzuchu.

A potem któregoś dnia przy kolacji oświadczył, że zarezerwował lot do Syrii i że wreszcie dopięli z Bradem na ostatni guzik plan, nad którym pracowali. Próbował mi powiedzieć w Stambule, ale na tym etapie nie mogłam już tego znieść i przerywałam mu za każdym razem, gdy chciał wyjaśniać szczegóły.

Mój mąż zamierzał spędzić najbliższe trzy tygodnie w grupie dżihadystów.

Poinformował mnie o tym bardzo spokojnie. Gdybym słuchała jego tonu, a nie słów, pomyślałabym, że opowiada o czymś nudnym i przegapiła fakt, że zgłosił się do misji samobójczej. Był to nowy poziom szaleństwa i głupoty. Ci ekstremiści poświęcali życie dla wartości, których Leo nienawidził najbardziej.

– Nie – oświadczyłam. – Nie, nie wolno ci. Nie pozwalałam.

Podniósł wzrok znad talerza.

– Nie pozwalasz – powtórzył.

– To nie jest projekt, tylko misja samobójcza. Nikt nie powinien się na to zgadzać.

– To nie twoja sprawa, ale Kisani pracował nad całą operacją z taką samą uwagą, jak Brad i ja. Nie jesteśmy pierwsi i mam zapewnienia od...

– Nie. – Nie chciałam tego słuchać, tych fałszywych gwarancji bezpieczeństwa, którymi chciał mnie nakarmić, jakby miały jakiegokolwiek znaczenie. – Nie możesz tego zrobić. Będiesz ojcem. Jezu Chryste, przecież Brad ma troje dzieci! Już nie możecie być tak beztroscy. To nie jego pomysł, prawda?

– Co za różnica?

– Taka, że wywierasz na niego presję i któryś z was zginie! A ja ci na to nie pozwolę, zabraniam ci to robić!

– Zabraniasz mi? – parsknął. – Jak? Zwiążesz mnie i nie pozwolisz jechać? Moje zdanie nie ma już żadnego znaczenia, nawet w pracy?

Oboje wiedzieliśmy, o co chodzi, ale nie mogłam uwierzyć, jak szybko mój lęk o niego zmienił się w jego atak z powodu tego, co zrobiłam. Twarz mnie paliła

i odpłynęłam wzrokiem na jedwabny kwiecisty obrus na stoliku między nami.

– Przestań! – szepnęłam.

– Czego ode mnie oczekujesz? Chcesz, żebym rzucił pracę i zajął się czymś, co robi ze mnie wrak człowieka, tylko dlatego, że wrobiłaś mnie w ojcostwo? Nudna praca za biurkiem jest ostatnią z manipulacji, jakie masz na liście?

Głośno złapałam powietrze i wstałam tak gwałtownie, że przewróciłam krzesło.

– Ty draniu!

Na sekundę rozblęskło na jego twarzy poczucie winy, ale zaraz zmieniło się w pogardę.

– To prawda, tak? Po to był cały ten Sztambuł? – Nie, ale przed oskarżeniem o manipulację nie miałam się jak bronić. Wrobiłam go. Może nie aż tak bezpośrednio, jak myślał, ale to w żaden sposób nie umniejszało mojej winy.

– Skoro już robimy listę przestępstw, może porozmawiamy o moim życiu w ubiegłym roku! O tym, co dla ciebie poświęciłam? – Ból przesycił słowa wypadające z moich ust, aż złapałam się na tym, że warczę. – Co z moją rodziną? Z moim domem? I po co to wszystko? Żeby mieszkać tutaj, w tym gównianym pudełku po butach, przez dziesięć miesięcy w roku samotnie, z mężem, który jest tak zapatrzonej w siebie, że nie może do mnie nawet raz na jakiś czas zadzwonić! Mam dość takiego traktowania!

– Ty poświęciłaś rodzinę? Błagam cię! Nie poświęciłaś swojej ledwie funkcjonującej rodziny! Oni cię odrzucili, gdy postanowiłaś się zbuntować przeciwko ojcu i zaczęłaś sypiać ze mną! Poza tym widzisz się z nimi, myślisz, że nie wiem?

– W wyjątkowych okazjach, na przykład na Boże Narodzenie. Nie wiem, czy wiesz, co to takiego. Jeden z tych wielu dni w roku, kiedy mój mąż nie zamierza wracać do domu. – Nie odpowiedział, a ja poczułam nieoczekiwany przypływ wściekłości i postanowiłam dołożyć mu jeszcze bardziej. Kiedy przemówiłam ponownie, moje słowa okazały się potwornym, wściekłym sykiem: – Opowiadasz o pracy, jakby to był jakiś wielki wyczyn. Nikt nie podejrzewa, co się kryje za tą gadką, ale ja wiem. Decydujesz się na te ryzykowne wyprawy, bo wystrzał adrenaliny to jedyny sposób, żebyś się poczuł mężczyzną.

Zobaczyłam w jego oczach ból i przez sekundę czułam się jak zwycięzca. Cieszyłam się, że udało mi się go zranić. Chciałam, żeby cierpiał tak, jak ja cierpiałam.

– Może coś w tym jest. Gdy rozmawiamy, nie czuję się jak mężczyzna. Kiedy ostatnio mówiłaś do mnie, jakbyś mnie nie nienawidziła? „Czemu nie wracasz do domu, Leo?”. Bo nie chcę być z tobą, kiedy co minutę przypominasz mi, jak bardzo mnie nienawidzisz. Trzeba było słuchać ojca i trzymać się z daleka od takiego kundla, jak ja.

– Pieprz się, Leo! I wsadź sobie swoje fałszywe obietnice i przeklęty kompleks mesjański! Nienawidzę cię i już nie mam siły.

– Więc odejdz. Wróć do swojej wieży z kości słoniowej. Dołącz do lamentów swojego tatusia, jakim dupkiem się okazałem. Może uda ci się z powrotem wkraść w jego łaski? No, idź!

Rozplakałam się, pobiegłam na górę, położyłam się na łóżku i szlochałam. Przyszedł Lucien i położył się obok, a chociaż wiedziałam, że Leo by się wściekł, pozwoliłam mu zostać. Gdy zasnął, czułam dziecinną satysfakcję, bo leżał na poduszce Leo.

Po drugiej nad ranem usłyszałam, że wchodzi po schodach. Nie spałam, choć dawno już przestałam płakać. Usiadł po mojej stronie, tuż obok, i myślałam, że przeprosi. W zeszłym roku zaliczyliśmy więcej kłótni, niż umiałabym zliczyć, ale tak okrutni nie byliśmy jeszcze nigdy i byłam tym przerażona i zszokowana. Ta pogarda, brak szacunku i lekceważenie, a także moja zdrada, wszystko, czemu pozwoliliśmy narosnąć, całkowicie nami zawładnęło.

– Nie możemy tak dłużej – szepnął.

Usiadłam. Lucien też się podniósł, a kiedy zobaczył Leo, zeskoczył z łóżka i podreptał na dół. Leo ani drgnął, nie dotykał mnie. W pokoju panował półmrok, jedyne światło dochodziło z parteru. Widziałam jego twarz, ale nie byłam w stanie nic z niej wyczytać.

– Wiem.

– Zawsze to mówię, ale przysięgam ci, nie chcę się znów kłócić.

– Ja też nie. – Ile razy mówiłam to w zeszłym roku? Zawsze była w tych słowach najczystsza prawda, nigdy nie chciałam się kłócić, był to odruch ostatecznej desperacji. Chciałam się zbliżyć do niego, nic więcej, ale trudno zbliżyć się do kogoś, kto stale się odsuwa.

Czekałam, bo teraz powinien mnie przytulić, żebyśmy mogli się nawzajem pocieszyć. Kiedy nadal się nie poruszył, naprawdę zgłupiałam.

– Opowiadałem ci o moim dzieciństwie – powiedział bardzo cicho. – I ta dzisiejsza kłótnia... W pokoju obok mógł spać pięciolatek, leżący w łóżku i drżący od furii, jaka wypełniała nasze słowa, a my i tak byśmy się na siebie darli. Nie panowaliśmy nad sobą. Nie szanowaliśmy się, już od dawna nie darzymy się szacunkiem. To, co nas łączyło, odeszło. A tego, co zostało, nie warto naprawiać. Wiem, jak wygląda życie dziecka, gdy związek rodziców oparty jest na wściekłości. Chcę, żeby najważniejsze chwile w jego życiu pełne były śmiechu i miłości, nie gniewu i wrzasków. Jesteśmy w stanie mu to zapewnić. – Zamilkł i odchrząknął, dokończył dopiero po chwili: – Ale nie zrobimy tego razem.

Nie mogłam złapać tchu. Szykowałam się do zaprzeczenia, chociaż wiedziałam, że ma rację. Kierował mną odruch wszczywania kłótni, ale nie miałam na to siły.

– Powiedziałaś dzisiaj, że mnie nienawidzisz. I nie możesz się upierać, że nie to miałaś na myśli. Prawda jest taka, że byłem fatalnym mężem. Jedna wielka porażka. Jedyne, co robiłem, to krzywdziłem cię i rozczarowywałem.

– Nieprawda – odezwałam się, ale mnie samą zaskoczyła spokojna rezygnacja w moim głosie. – Bywało dobrze. Naprawdę cudownie.

– Tak. Dawno temu. Źle cię traktowałem, wiem to równie dobrze, jak ty. Ale teraz pojawiło się coś jeszcze i nie mam pojęcia, czy potrafię to wybaczyć. Jeśli myślisz, że dotąd było strasznie... Boże, z tym, co czuję, będzie jeszcze gorzej. Jedyne rozwiązanie to iść naprzód i zacząć od nowa. Oddzielnie.

Powinłam przeprosić, ale wiedziałam, że żadne słowa nie będą miały dla niego znaczenia. Coś mu odebrałam, a w konsekwencji zniszczyłam zaufanie między nami. Już nie da się go odbudować. Jedyne, na co mogłam liczyć, to że pewnego dnia zasłużę na jego szacunek.

Odwrócił się do mnie i zobaczyłam smutek w jego oczach.

– Taki jestem, po prostu. Nie zmienię się i nawet nie chcę. Tak samo, jak ty nie chcesz się zmieniać. Zrobiliśmy, co się dało i moglibyśmy próbować jeszcze przez rok czy dwa, a może i dziesięć lat, ale zawsze skończyłoby się na tej rozmowie. Zostaniemy rodzicami i nie możemy sobie pozwolić na więcej prób i porażek, nie mamy czasu. Wolę cię widzieć szczęśliwą, zadowoloną i spokojną u boku kogoś innego.

Nie wyobrażałam sobie siebie z kimś innym, ale kiedy wypowiedział te słowa, dotarło do mnie, że z nim też już siebie siebie nie wyobrażam. Miał rację. To, co go pchało do tej przeklętej pracy, zawsze zaowocuje stylem życia, którego nie zaakceptuję. Moje małżeństwo było przeklęte od początku.

– Dobrze – odparłam. Chociaż byłam przekonana, że tak powinno być i ta rozmowa musiała się wydarzyć, świadomość ani trochę nie łagodziła bólu. Musiałam się naprawdę starać, żeby nie zacząć płakać. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu pośród ruin naszego małżeństwa i życia, które zbudowaliśmy. Czekałam, aż sobie pójdzie, ale w końcu zrozumiałam, że nie zamierza, zaczęłam się więc zastanawiać, co powiedzieć, jak przeprosić, bo może tego oczekiwał. – Przed narodzinami dziecka odbudujemy przyjaźń. Będzie między nami dobrze.

– Naprawdę mam nadzieję, że się uda – szepnął, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, dodał: – Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że nie liczysz na żadne „długo i szczęśliwie” i nieważne, kiedy nasz związek się zakończy, i tak będziesz szczęśliwa, że spędziliśmy razem czas? – Pokiwałam głową, a z oczu popłynęły mi łzy. – Ja też się cieszę z naszego wspólnego życia. Byłem szczęśliwy. I to jest bardzo ważne, mimo że się skończyło.

Przytuliłam go mocno i chociaż miałam wrażenie, że serce mi pęka, ostrożnie pocałowałam go w policzek.

– Bądź ostrożny – wyszeptałam, a urywany szloch wreszcie wyrwał mi się z

ust. Widziałam, że zacisnął szczęki, a w oczach miał rozpaczliwy ból, którego nie potrafiła ukryć nawet ciemność. Potem wstał, wyszedł z sypialni i zniknął w swoim gabinecie.

Następnego dnia wróciłam do Bennelong. Może tak naprawdę nie myślałam tego, co powiedziałam tamtego wieczoru, może go nie nienawidziłam, ale w nadchodzących dniach już na pewno tak. Nienawidziłam wszystkiego, co się stało z naszym życiem, a jego za to, że tak łatwo odpuścił. Nastąpił koniec, a ja wciąż nie rozumiałam, jak mogłam pozwolić, żeby runęło najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

Zaledwie kilka dni później przysłał mi maila z informacją, że widział się z adwokatem i zasugerował, żebym też sobie jakiegoś znalazła. Odczytałam ten list przy moim biurku, czekając na spotkanie z jego ojcem, które miało się zacząć za chwilę. Gdy Andrew wszedł do biura, wiedziałam, że Leo nie powiedział rodzinie, co się między nami dzieje. Zrobiłam się tak wściekła, że skłamałam coś o złym samopoczuciu i wróciłam do domu.

Aż tak nie wzruszało go to, co się działo, że poszedł do prawnika, zanim poinformował rodziców? Cały on, zostawić takie sprawy na mojej głowie. Tym razem nie zamierzałam mieć z tym nic wspólnego i pod żadnym pozorem nie będę tą, która przekaże wieści jego rodzinie.

Zignorowałam list i jego radę. Obiecałam sobie, że poświęcę na żałobę tyle czasu, ile będę potrzebowała, a kroki zmierzające ku zakończeniu małżeństwa rozpocznę, gdy będę gotowa.

Następnego dnia miałam pierwszą wizytę u położnika. Wysłałam Leo esemesa z informacją, bo byłam przekonana, że zechce przyjść, przecież twierdził, że zamierza odbudować naszą przyjaźń i wspólnie ze mną wychowywać dziecko. Gdy recepcjonistka usiłowała wysłać mnie do gabinetu, spytałam, czy któraś z pacjentek chciałaby iść pierwsza.

– Mój mąż się spóźnia – poinformowałam. – Ale na pewno przyjdzie. – To było kłamstwo, nie miałam żadnej pewności, ale czułam na sobie podejrzliwe spojrzenie recepcjonistki. Nawet kiedy już wchodziłam do gabinetu, wpatrywałam się w drzwi wejściowe. Ale nie przyszedł. Napisałam kilka wersji złośliwych wiadomości, bo byłam rozczarowana, że się nie pojawił, ale w końcu wszystkie wykasowałam. Nie mogłam sobie pozwolić na wstrzyknięcie do naszego związku większej ilości jadu. Przed narodzinami dziecka musieliśmy wypracować nowe, pokojowe kontakty.

Przed wylotem do Syrii przysłał esemesa z lotniska.

„Zaraz lecę. Jeśli chciałabyś zabrać coś z domu, śmiało przyjdź przed moim powrotem. Załatwiłem osobę, która będzie wyprowadzać Luciena, więc nie czuj się zobowiązana wracać, jeśli niczego nie potrzebujesz”.

Tydzień później telefon zadzwonił w środku nocy. Gdy tylko odebrałam,

usłyszałam łkanie. Nie wiedziałam, kto mówi, ale rozumiałam, że chodzi o Leo i że stało się coś złego.

– Nie żyje, tak? – spytałam. Byłam spokojna. Ból i nieprzemijająca żałoba jeszcze mnie zdruzgocą, ale ta chwila nie mogła się nie wydarzyć, wiedziałam, że przed nią nie ucieknę. Wiedziałam, że to się stanie i przygotowałam się, przez lata wyobrażałam sobie ten moment. Ktoś dzwoni albo przychodzi do domu i od tej pory Leo po prostu nie ma. Wydawał się gotów do złożenia swojego życia na ołtarzu pracy.

– Nie – zaszlochała kobieta i wtedy poznałam, że to Kisani. – Ale jest ranny.

– Ranny? – powtórzyłam i westchnęłam, wyobrażając sobie kolejną kulę w ramieniu. – Co się stało?

– Mieli wypadek samochodowy... Brad nie podał szczegółów, ale jest źle.

Słyszałam w jej głosie przerażenie. Czyli to nie jedna ze „standardowych” ran Leo.

– Jak bardzo źle? – szepnęłam.

– Molly, bardzo mi przykro. Nie wiadomo, czy przeżyje. Jak szybko możesz przylecieć do Rzymu?

Siedziałam już na pokładzie odrzutowca taty, gdy zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, czy powinnam lecieć.

Ale taka jest miłość. Możesz ją zadrzeć, ostudzić, zdusić nienawiścią albo ze wszystkich sił starać się ją unicestwić, ale jeśli raz zapłonęła, żar zostanie na zawsze.

Wrzesień 2015

Jest późno, gdy wreszcie docieram do Bennelong. Słońce nad miastem zachodzi, a salon skąpany jest w ciepłym, pomarańczowym blasku. Żadne okna mojego szeregowca nie wychodzą na zachód i zawsze jest tam ciemno. Lubię to ciepłe światło w mieszkaniu Molly. Nie mówiąc o tym, że to także moje mieszkanie, jeśli przyjmie mnie z powrotem.

Jest cicho i spokojnie, ale wiem, że jest w domu, powiedział mi to konsjerż. Zastanawiam się, czy po tym, jak wyszedłem, płakała i czy zobaczy, że ja płakałem.

– Molly! – wołam i ruszam w stronę sypialni. Leży na łóżku i patrzy w okno, nie na mnie. Nie porusza się, gdy wchodzę, dłońmi obejmuje brzuch. Zbliżam się i przesiadam się z wózka na łóżko.

Wtedy się porusza, powoli, z ociąganiem, ale w końcu siada. Zerka na mnie przelotnie, ale znów odwraca wzrok.

– Wiedz, że nie miałem romansu.

– To już coś – szepcze.

– Obok kancelarii był bar. Musiałem wejść na drinka, zanim zdecydowałem się iść na spotkanie. Wiedziałem, że popełniam błąd.

– Na pewno to błąd? Przecież wylądowaliśmy w tym samym miejscu. Mamy dokładnie ten sam problem, tylko że jest gorzej, bo okazało się, że znów się kochamy.

– Nie mamy tego samego problemu – mówię łagodnie, a wtedy wreszcie patrzy prosto na mnie. Sceptycznie. Sięgam do kieszeni i wyjmuję kartkę. Podaję i obserwuję twarz Molly, kiedy czyta. Gwałtownie wciąga powietrze i podnosi na mnie wzrok.

– Naprawdę? – szepcze.

– Tak.

– Zrobisz to dla mnie?

– Nie – odpowiadam i stanowczo kręcę głową. – Nie zrobiłbym tego tylko dla ciebie. Nie zniosłabyś mnie, gdybym się poświęcił. Robię to dla naszej rodziny. Dla ciebie, dla mnie i dla Henry’ego albo Juliette.

Molly oddaje mi dokument, a ja raz jeszcze rzucam na niego okiem. Pamiętam, jak całkiem niedawno Brad wmawiał mi, że mam magiczną moc przekonywania Kisani do każdej mojej zachcianki w „News Monthly”, choćby nie wiadomo jak dziwacznej, ale zdobyć jej podpis, w ciągu jednego popołudnia,

okazało się wyzwaniem nawet dla mnie.

Aktualizacja opisu stanowiska pracy Leo Stephensa

Stanowisko: starszy reporter i konsultant ds. Bliskiego Wschodu

Wymiar pracy: pół etatu, trzy dni w tygodniu, do czasu zakończenia rekonwalescencji

Warunki zatrudnienia: nie będą wymagane podróże zagraniczne, materiały będą zbierane na miejscu lub przez asystenta

– Ale ja chcę, żebyś był szczęśliwy. – Molly marszczy czoło. – Ważniejsze jest dla mnie twoje szczęście, niż żebyś był ze mną. Nawet jeśli będziesz w ciągłym niebezpieczeństwie. Między innymi dlatego zgodziłam się na separację. Dałeś mi jasno do zrozumienia, że nie rzucisz pracy.

– Wiem, skarbie – mówię łagodnie i kładę dłoń na jej udzie, bo muszę ją poczuć. – Ale to oczywiste, że nie mogę pracować tak, jak pracowałem i jednocześnie mieć ciebie i dziecko.

– Myślisz, że będziesz z nami szczęśliwy? – pyta z wahaniem.

– Wiem. Przecież już jestem, prawda? Przez ostatnie miesiące, mimo nerwów związanych z wypadkiem i moich przeklętych niezdziałających nóg, jestem z tobą szczęśliwy. Kocham cię ponad wszystko, nawet bardziej niż pracę. I czuję się jak idiota, bo długo mi zajęło dojście do wniosku, że ja się z tobą nie związałem ze względu na twój oszałamiający majątek... – Molly wznosi oczy do góry, gdy żartuję, ale brnę w to: – ...a ty ze mną z powodu pracy.

– Leo, na litość boską, nikt by się z tobą nie związał z powodu pracy!

– Po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Że ktoś taki jak ty chce być z kimś takim jak ja. I chciałem... Nie, potrzebowałem zostać dla ciebie kimś.

– Ale ty jesteś kimś, Leo! – mówi i patrzy na mnie.

Widzę w jej oczach ból z powodu tego, co jej powiedziałem i czyste uwielbienie, które zawsze tam było i mnie przerażało. Milion razy oskarżałem ją o brak wsparcia, ale teraz do mnie dotarło. Nie mogła popierać pracy, która mnie zabijała, ale zawsze wspierała mnie. Boję się zmiany, na którą się zdecydowałem. Nigdy się tak nie bałem, nawet na wojnie, ale tym razem mnie to powstrzyma. Mam za dużo do stracenia, a poza tym nie będę się do nowego życia przyzwyczajał sam.

– Kochałem tę pracę. I byłem w niej cholernie dobry.

– Wiem – szepcze.

– Ale teraz czas poświęcić całą energię nowej roli i będę ją kochał jeszcze bardziej.

Patrzy na kartkę, którą trzymam w dłoni.

– Reportera krajowego na pół etatu i konsultanta ds. Bliskiego Wschodu? – czyta.

Kręcę głową.

– Nie. Męża i ojca.

Wzdycha powoli, ale potem się uśmiecha, tym uśmiechem, który mógłby rozświetlić świat, jak zawsze myślałem.

– Nigdy tak naprawdę nie żyliśmy razem. Ale ja chcę się z tobą zestarzeć, aż będziemy mieli takie same zmarszczki i identyczne znużone miny i wszyscy będą myśleli, że jesteśmy rodzeństwem.

– To nam chyba nie grozi! – Śmieje się z głupiego żartu, a radość i poczucie wolności, jakie słyszę w jej śmiechu, są potwierdzeniem, jakiego potrzebowałem: jeszcze nie jest dla nas za późno. Uśmiecham się i wreszcie biorę ją w ramiona. – Chcę dla nas jednego życia, a nie dwóch oddzielnych, które się od czasu do czasu zbiegają. Możemy zaangażować w to całych siebie, a i tak może się nie udać. Ale obiecuję ci, że tym razem nie poddam się, chyba że spróbujemy wszystkiego i nie będzie już nadziei. Ty też możesz to obiecać?

– Wiesz, że tak.

Patrzymy na siebie. Widzę, jak szeroki, choć trochę zapłakany uśmiech odmienia jej twarz, i jest w tej chwili tak piękna, że aż zapiera mi dech.

– Czyli wchodzimy w to? – szepczę.

– No chyba że tak, do cholery!

Epilog

Molly

Pożegnaj się z mamą, Henry!

Stoję w drzwiach i patrzę na Leo z naszym synem. Henry ma cztery miesiące i nadal jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałam. Ma ciemne, kręcone włosy Leo i brązowe oczy, a od jego narodzin przeżywam najlepszy czas w życiu. Kocham każdą chwilę z nim. Nawet kiedy karmię w środku nocy, zdaję sobie ze zdumieniem sprawę, że nie ma na świecie ani jednego innego miejsca, w którym wolałabym być i żadnej rzeczy, którą chciałabym robić bardziej. Nadał mojemu życiu sens, o jakim nawet nie śniłam.

Siedzi teraz na kolanach swojego taty i z pomocą Leo macha do mnie, całkowicie nieświadomy podniosłości chwili, w jakiej uczestniczy. Przez całe jego życie nie oddaliłam się od niego na dłużej niż na godzinę. Aż do dzisiaj.

Czuję, że zaraz się rozplączę. Wiedziałam, że nie będzie łatwo, ale jest znacznie trudniej, niż sobie wyobrażałam. Poprawiam torebkę na ramieniu i zdaję sobie sprawę, że to nie torba z pieluchami, do której jestem przyzwyczajona. Robi mi się niedobrze. To nie w porządku, nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

– Jesteś pewien, że sobie poradzisz? – pytam Leo, a on unosi brwi.

– Przecież wiesz, że tak. – I ma rację, ale mimo to zaczynam się trząść. Mam ochotę porwać dziecko na ręce i wszystko odwołać.

– Chyba nie dam rady – szepczę, a Leo zbliża się do mnie na wózku. Jest już w stanie pokonywać krótkie dystanse na nogach, zwykle z pomocą kul albo balkonika, ale mimo że od wypadku minął już rok, nadal jest to proces powolny i wyczerpujący. Jedynym ustępstwem na rzecz niepełnosprawności jest elektryczny wózek, na który przystał tylko dlatego, że po narodzinach Henry'ego zdał sobie sprawę, że musi się przemieszczać, jednocześnie trzymając syna.

Ale wciąż jest nadzieja. Lekarze twierdzą, że może odzyskać sprawność, jednak biorąc pod uwagę, jak powolny to proces, mogą minąć lata, zanim mózg na nowo przystosuje się do chodzenia. Leo się nie podda. Lata ciężkiej pracy go nie zrażają, jeśli można osiągnąć cel.

– Wszystko zależy od ciebie. Jeśli nie jesteś gotowa, to nie jesteś, trudno. Możemy spróbować za tydzień, dwa albo kiedy indziej, gdy nadejdzie czas. Nie obrażę się ani nic takiego.

Jedną dłonią obejmuje Henry'ego za pękaty brzusek, a drugą bierze mnie za rękę. Ścisza mocno, a mnie łzy płyną po policzkach. Dotąd patrzyłam na dziecko, ale teraz zerkam na Leo, który uśmiecha się do mnie łagodnie i kojąco.

– To tylko pół dnia, skarbie – szepcze. Kiwam głową i odwracam się, żeby odejść, ale w ostatniej chwili znów panikuję i klękam, żeby ukryć twarz w szyi synka. Henry od razu odwraca głowę i wilgotnymi dziąsłami zaczyna ssać moje włosy, jakby spodziewał się znaleźć tam mleko. Po minucie czy dwóch odsuwam się i znów na nich zerkam.

– Może to jeszcze za wcześnie na powrót do pracy – mówię do Leo.

– Jeśli tak, w porządku.

– Ale już wszystko przygotowaliśmy...

– Nieważne.

– Idiotka ze mnie.

– Nieprawda.

Życie jest teraz całkiem inne. Śmiejemy się jednocześnie i wspólnie płaczemy. Prawie każdej nocy z zachwytem wpatrujemy się w naszego syna. Żyjemy razem, niespiesznie, dwoma zyciami w końcu splecionymi w jedno.

Jest wspaniałym ojcem, o czym byłam przekonana, ale to nie wszystko: jest też mężem, na jakiego liczyłam. Jakimś cudem, po wszystkim, przez co przeszliśmy, żyjemy tak, jak odpowiada nam obojgu.

Leo i Brad wykonują fantastyczną robotę, wyciągając na światło dzienne sprawy Aborygenów. Jeździli do odległych wiosek i siadywali przy ogniskach ze starszyzną, która wciąż żyje zgodnie z tradycją. Jedli burgery z dziećmi z ulic Redfern. Przeprowadzali wywiady z dyrektorami banków, niezwykłymi artystami i sportowcami. Spotykali się z rodzinami z trudem wiążącymi koniec z końcem, ale mającymi nadzieję na lepszą przyszłość i odwagę, by trwać przy swoim stylu życia. Zwrócili uwagę opinii publicznej na zalety Aborygenów i na wyzwania, z jakimi mierzy się ich społeczność. To dobra praca dla Leo. Podchodzi do niej z pasją, a nie maniacką energią, która pchała go za granicę.

Pracował w obrębie własnej społeczności, ale przy okazji dowiadywał się więcej o sobie. Zaczął rozumieć swoją historię, a wiem, że zawsze mu tego brakowało. I pewnego dnia wróci do tej pracy, ale dzisiaj następuje w naszej rodzinie zmiana warty.

Ja wracam do półetatowej pracy w fundacji i przez najbliższy rok, co najmniej, to Leo skupi się na wychowywaniu naszego syna. Muszę go dzisiaj zostawić, bo jestem potrzebna w fundacji, ale także dlatego, że przyszła jego kolej na bycie sercem naszego domu.

Wstaję i po drodze całuję go w policzek.

– Muszę to zrobić – mówię. – Dacie sobie radę.

– Pewnie, że tak. Prawda, kolego?

– Kocham cię.

Odrywa wzrok od Henry'ego i spogląda na mnie, a w jego oczach widzę spokój, dumę, szacunek, ciepło i otwartość. Kiedyś myślałam, że straciłam je na

zawsze. Teraz to mroczna i bolesna część naszej historii. Dojrzeliliśmy dzięki niej, zmieniliśmy się, ale przetrwaliśmy. Leo powoli uczy się chodzić, a jako para uczymy się iść ramię w ramię. Jako rodzina. Dzięki temu, że mamy za sobą kryzys, staliśmy się lepsi, i zaczynam podejrzewać, że z ludźmi pewnie zwykle tak się dzieje.

– Bardzo jestem z ciebie dumny – zapewnia Leo, a ja uśmiecham się niepewnie i w końcu wciskam guzik przywołujący windę.

– Widzimy się na lunchu?

– Będziemy czekać w tym samym miejscu!

Wybucham płaczem, gdy drzwi windy zamykają się za mną, płacząc przez całą drogę do biura, a nawet gdy wkraczam do środka i natrafiam na czekającego w lobby Tobiasa. Wciska mi do ręki kawę.

– Dobrze, że jesteś z powrotem – mówi, a ja się uśmiecham. Ponieważ jednak w dalszym ciągu płacę, nie wyglądam przekonanego, gdy stwierdzam:

– Dobrze jest być z powrotem.

Siadam przy biurku i wyciągam z torebki ramkę ze zdjęciem, a potem stawiam je przy monitorze. Na fotografii jest przyszłość i nadzieja – mój piękny syn – i mój bohater: cudowny, odważny i skomplikowany mąż. Chłopcy patrzą na mnie, a ja kładę palce na klawiaturze i wracam do pracy.

Podziękowania

Nie dokończyłabym tej powieści, gdyby nie moja cierpliwa i genialna redaktorka, Emily Ruston. Emily, nie wiem, jak Ci dziękować za pomoc w tworzeniu tej książki. Kolejna szansa na współpracę z Tobą była przyjemnością i wyróżnieniem.

Dziękuję ekipie z wydawnictwa Bookouture, zwłaszcza Oliverowi Rhodesowi, za wiarę w moje historie i hojnie rozdawaną wiedzę oraz rady, jak się poruszać w branży. I za stworzenie takiej firmy, bo współpraca z Wami to zaszczyt. Dziękuję Lydii Vassar-Smith za pilnowanie moich terminów i doprowadzanie spraw do końca. Kim Nash, specjalistce od reklamy i nadzwyczajnej matce-kurze za wszelkie wsparcie.

Wielkie podziękowania kieruję do kolegów-autorów z Bookouture, którzy zaoferowali mi nieocenioną pomoc, propagując moją książkę w mediach społecznościowych, a także nieustannie mnie rozśmieszali i pomogli zachować jako takie zdrowie psychiczne (a przynajmniej jego pozory!). Książka wiele zyskała dzięki uwagom znajomych i przyjaciół: dziękuję Helen za nieoceniony wgląd w świat dziennikarstwa. Pasja Leo wynikała w dużej mierze z naszych rozmów. Dziękuję! A także mojej pięknej siostrze Mindy za pomysł, z którego wzięły się tatuaże Leo oraz wieloletnim przyjaciołom, Peterowi i Kisani, za nocną rozmowę, z której wynikała historia zdjęcia starszej pary.

Wyrazy wdzięczności dla Ryana i Rebekki, którzy pożyczyli mi swój zapasowy „dom”, gdy gonił mnie deadline i musiałam się gdzieś zaszyć. Rodzicom dziękuję za to, że zawsze we mnie wierzyli, wpuszczali do swojej jadalni i pozwalali zjeść całe jedzenie, jakie było w domu, kiedy musiałam wziąć się do roboty i skupić.

A wreszcie dziękuję mojemu mężowi, Danowi, że we mnie wierzył, pogodził się z szalonymi porami, w których zastawał mnie nad klawiaturą... i za zapisanie się na lekcje karate, kiedy potrzebowałam informacji z pierwszej ręki

Przeczytaj fragment następcnej powieści

Kelly Rimmer
Milczenie matki

pierwsze polskie wydanie
październik 2017

1. Olivia

Ludzie zazwyczaj unikają rozmowy o tym, co się stało. A nawet jeśli ta konwersacyjna akrobatyka zawiedzie i temat jednak wypłynie, skupiają się wyłącznie na sygnałach ostrzegawczych... dokładnie tych sygnałach ostrzegawczych, które ja jakoś przegapiłam.

Rozumiem, naprawdę to rozumiem. Gdyby były jakieś sygnały, a ja bym je zlekceważyła, to byłaby moja wina. O wiele łatwiej obwiniać mnie niż kogoś, kto nie żyje. Skoro były ostrzeżenia, to znaczy, że całej tej sytuacji można było uniknąć – a to oznacza, że ludzie mogą się ustrzec przed czymś takim. Muszą tylko okazać odrobinę więcej czujności niż ja, biedna, głupia Olivia... Tak ślepa na to, co się działo tuż obok, w głowie jej własnego męża.

Chcę o tym rozmawiać, ale nie o żadnych cholernych sygnałach. Chcę wypowiedzieć jego imię. Wykrzyknąć je z wściekłością, wyć z rozpacz. A przede wszystkim usłyszeć, jak mówię te słowa na głos, bez poczucia, że wprawiam kogoś, kto jest w pokoju razem ze mną, w nieznośny dyskomfort.

Mój mąż nazywał się David Wyatt Gillespie. Zmarł w wieku trzydziestu siedmiu lat. Zasiadał w radzie miasta i pewnego dnia zamierzał ubiegać się o fotel burmistrza. Przez dziesięć lat był kapitanem naszej drużyny krykieta, a na studiach grał w futbol w reprezentacji. Zawsze mówił, że gdyby nie skupił się na kończeniu studiów biznesowych, zostałby zawodowym graczem. Tutaj, w Milton Falls, prowadził salon sprzedaży samochodów wraz z serwisem, jedyny w mieście. Może pomyślicie, że w małym australijskim miasteczku nie ma miejsca na prestiżowy salon, ale David pokazał, że jest. Był taki dobry w tym, co robił, że ludzie przyjeżdżali po nowy samochód z daleka, a potem wracali do serwisu.

Miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ostatnio trochę przytył. Gęste czarne włosy nie siwiały, ale w rok przed śmiercią zaczęły się przerzedzać. Był czarujący i miał naturalny dar przekonywania, urodzony sprzedawca. Swoim niewymuszonym uśmiechem i kilkoma celnymi słowami nawet marudnego klienta przerabiał na swojego dozgonnego fana. W liceum był „tym” chłopakiem: chciały

go mieć wszystkie dziewczyny, a wszyscy chłopcy chcieli być tacy jak on. Orbitował poza moim zasięgiem, a w każdym razie tak myślałam do czasu, aż znów spotkaliśmy się na uniwersytecie. Tego wieczoru, gdy zaczęliśmy się spotykać, spojrzeliśmy na siebie z dwóch końców zatłoczonego pokoju i poczułam, jakbyśmy się widzieli po raz pierwszy. Stałam się bohaterką romansu albo księżniczką z filmu Disneya, jakimś cudem przeniesioną do normalnego świata.

Dziwne, że teraz już nawet wspomnienie tamtego pierwszego wieczoru nie jest nieskazitelne, tylko splugawione poczuciem winy i niepewnością. Nie wiem już, czy ciągnęło mnie do niego z tak nieodpartą siłą, bo naprawdę mi się podobał, czy może chciałam przeżyć wielką miłość? Nie ustawiłam się na pozycji biernej uczestniczki, wskoczyłam w uczucie na główkę, bez sprawdzenia, czy to bezpieczne. Chciałam żyć jak w bajce i wmawiałam sobie, że tak jest, jeszcze długo po tym, jak się okazało, że nie będzie szczęśliwego zakończenia.

Nawet teraz, kiedy o nim pomyślę, boję się. On nie żyje i jestem bezpieczna, a jednak nadal mnie przeraża. Może najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że naprawdę go kochałam, w każdym razie na pewnym etapie. Czasem szczerze tęsknię, ale zaraz ożywa nienawiść tak wielka, że mam nadzieję, że istnieje piekło, w którym on przeżywa takie same męczarnie, na jakie skazał mnie.

(...)

